

Nicola Doherty

A photograph of a young man and woman embracing. The man is on the left, smiling broadly, with his arms around the woman. The woman is on the right, also smiling, with her hands clasped over the man's shoulder. She is wearing a ring on her finger. The background is a simple, bright indoor setting with white blinds.

Nicola DOHERTY

Z miłością
jej do
twarzy

Pascal

Z miłością jej do
twarzy

Prolog

Ups, znów to zrobiłam.

To miało być spokojne wyjście z Rachel na świątecznego drinka – drinka, w liczbie pojedynczej. A zamiast tego... zasłaniam oczy i przewracam się na drugi bok, próbując przypomnieć sobie, co się stało. Czy ochroniarz naprawdę poszedł z nami do drugiego klubu, czy tylko tak mi się wydaje? I czy naprawdę jechałyśmy rikszą? Przed oczami mam niewyraźny obrazek: Kira śpiewa *Jingle Bells*, a kierowca udaje renifera. Ale, co najgorsze, gadałam o Davidzie. Ostatnim razem obiecałam sobie: nigdy więcej się nie upiję i nie będę o nim rozmawiać.

To dziwne, ale czuję się w miarę dobrze. Sprawdzam oznaki kaca, lecz jestem cała i zdrowa, nawet głowa mnie nie boli. Wygląda na to, że choć raz pamiętałam o tym, by przed położeniem się do łóżka wypić dwie szklanki wody.

Boże, czuję się jak na Saharze. Musiałam zostawić włączone ogrzewanie. Już wyobrażam sobie SMS-y, które dostanę dziś od Deborah: „Zoe, czy mogłabyś nie zostawiać ogrzewania włączonego przez całą noc? To kosztuje”. „PS Czy to twój kubek stoi na szafce? Jeśli tak, radzę, byś go umyła”.

Ziewając, gramolę się z łóżka, żeby wyłączyć grzejnik. Dziwne. Nie jest włączony. Postanawiam otworzyć okno: powiew lodowatego powietrza mnie otrzeźwi. Odsuwam zasłonki i zamiast przysypanego śniegiem ogródka, przymrożonego żywopłotu oraz oblodzonej ścieżki widzę oślepiająco błękitne niebo, rozświetlone słońcem ulice i zielone drzewa.

Kręcę głową i przecieram oczy. Czy to możliwe, że cały śnieg stopniał w nocy? I co z drzewami i słońcem? Dziewczyna przechodząca ulicą jest ubrana – przybliżam się do okna, żeby lepiej widzieć – w krótką czerwoną letnią sukienkę. I ma gołe nogi. Głośno nabieram powietrza i przytrzymuję się zasłonki, by odzyskać równowagę.

Wtedy uświadamiam sobie, że pogoda to nie jedyny niepasujący element.

Nie jestem w swojej sypialni.

Znajduję się w pokoju, którego, jak sądziłam, już nigdy,

przenigdy nie zobaczę. Kontempluję znajomą scenerię: duża dwudrzwiowa szafa z wbudowaną toaletką, na której leży tylko grzebień, butelka balsamu do opalania i okulary przeciwsłoneczne. Podwójne łóżko z ciemnoniebieską pościelą z białymi lamówkami. Rakietka do tenisa firmy Babolat i duży stos archiwalnych numerów „British Medical Journal”. Jestem w sypialni Davida! Serce mocno mi bije. Siadam na łóżku i chwytam pościel. Tak, jest prawdziwa. To nie sen. Czy byłam wczoraj tak pijana, że zapukałam do drzwi mieszkania Davida? Czy to możliwe, że w jakiś sposób się pogodziłyśmy, a ja wyparłam to ze świadomości? A może – Jezu przenajświętszy! – włamałam się tutaj.

Ale co z pogodą? To czas świąt, a widok za oknem przypomina środek lata. I gdzie, do licha, są moje świąteczne zakupy?

Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona. Albo jestem naprawdę mocno skacowana, albo stało się coś bardzo dziwnego.

Rozdział 1

12 godzin wcześniej

23 grudnia, 19.15

A ten? – pyta mnie, wskazując palcem kolejny pierścionek. Diament ma szlif szmaragdowy, jest nieduży, ale nieskazitelny, obsadzony w platynie. Cudowny. Uśmiecham się i chcę przymierzyć, ale mnie powstrzymuje.

– Proszę pozwolić mi to zrobić – mówi nieśmiało, tonem człowieka z doskonałymi manierami. Odchrząkuje. Podnosi pierścionek i ostrożnie wkłada mi go na palec. – Chcę się upewnić, że gdy nadejdzie ten wielki dzień, zrobię to, jak należy – oznajmia już normalnym tonem i poluzowuje krawat. Wygląda na zdenerwowanego.

– Jest uroczy. – Odwracam dłoń, by brylant odbił światło. – Prawdziwa klasyka. Mam wrażenie, że to ten jedyny.

– Naprawdę? – Wygląda na zmartwionego. – Nie wiem. Wydaje mi się, że łatwiej mi ją sobie wyobrazić z tym okrągłym. Czy mogłaby pani przymierzyć go raz jeszcze.

– Oczywiście. – Cierpliwie zsuwam pierścionek z palca i z powrotem wkładam ten ze szlifem brylantowym. Wyciągam rękę, żeby mógł się przyjrzeć. Wpatruje się w klejnot z taką koncentracją, jakby emanowały z niego tajemne wiadomości, które pozwolą mu podjąć właściwą decyzję. Wyjaśniam mu, że na ogół nie pracuję w tym dziale i właściwie powinien poczekać na jednego z naszych specjalistów od biżuterii, ale on mówi, że już się wszystkiego dowiedział i chce teraz po prostu zobaczyć pierścionki w akcji. Cieszę się, że zrobiłam sobie wczoraj manicure. Odcień Ballet Slippers lakieru Essie to minimum, na które zasługują te brylanty.

Gdy spoglądam na łysą głowę mężczyzny pochylonego nad pierścionkiem, pozwalam sobie odpłynąć w świat fantazji, w którym to David wkłada mi na palec takie cacko. Wróciłam do domu i zobaczyłam, że czeka w śniegu, przy moich drzwiach. Przyleciał z Nowego Jorku, z pierścionkiem w kieszeni. Albo inaczej – zabrał mnie do Nowego Jorku, żebyśmy tam razem spędzili święta. Przez całe popołudnie przymierzaliśmy pierścionki u Tiffany'ego, aż wreszcie

znaleźliśmy idealny. Teraz jesteśmy z powrotem w jego apartamencie na Upper East Side, niedaleko szpitala Mount Sinai, otwieramy butelkę szampana i obdzwaniamy rodzinę i przyjaciół. Zaczynam kategoryzować naszych znajomych i ich reakcje, ale po chwili postanawiam się tym nie przejmować: chcę się skupić na Davidzie. Później przytulimy się do siebie i popatrzymy na padający śnieg, a w tle cicho będą brzmieć kolędy.

– To najlepszy świąteczny prezent, jaki mogłem dostać – powie David i popatrzy w moje oczy.

– Też tak uważam – odpowiem, wpatrując się w niego.

– To trudne zadanie – stwierdza mój klient. – Gdy je zobaczyłem, wydawało mi się, że będzie łatwo, ale nadal nie mogę sobie wyobrazić, który jej się bardziej spodoba.

Dyskretnie zerkam na wielki zegar w stylu art déco, wiszący na ścianie za klientem. Dziewiętnasta dwadzieścia. Zamykamy o dwudziestej pierwszej, a ja muszę jeszcze dokonać kilku transakcji. Już ktoś na mnie czeka. Czuję, że moja szefowa, Karen, przygląda mi się zza drugiego końca lady.

– Czy ma pan jej fotografię? – pytam. Prawdopodobnie nie powinnam tego robić, ale dzięki temu może będę miała jakieś pojęcie o stylu tej kobiety.

Wyciąga telefon i pokazuje mi zdjęcie ciemnowłosej dziewczyny, śmiejącej się do obiektywu. Czarna ramoneska, czerwona apaszka w czaszki od Alexandra McQueena.

– Szlif szmaragdowy – oświadczam. – Zdecydowanie ten.

Pięć minut później wychodzi zadowolony, trzymając w ręku pierścionek. Obserwuję go i myślę o jego dziewczynie, która w świąteczny poranek otworzy jaskraworóżowe pudełko z aksamitu. Teraz czuję się jeszcze gorzej, że śniłam na jawie o oświadczeniach Davida, bo nigdy do nich nie dojdzie. Głównie dlatego że rozstaliśmy się trzy miesiące i dziewiętnaście dni temu.

– Zoe, czy możesz posprzątać na tej ladzie? Szybciutko. – Karen stoi obok mnie, niemal chucha mi w kark. Jest dziś wyjątkowo czepialska, bo wiele osób z głównego biura przyjeżdża do sklepu, by pomóc nam w czasie świąt, i – co naturalne – chce zrobić na nich dobre wrażenie. Julia, szefowa zakupów w dziale damskim, zajęła stanowisko po drugiej stronie sali, przy szalikach i rękawiczkach, i podobno nawet

pan Marley, nasz tajemniczy dyrektor zarządzający, pracuje w stoisku z czekoladkami.

– Co robisz fajnego w święta, Karen? – pytam, porządkując ladę i układając pod kasą nowy zapas pudełek i papieru do pakowania.

– To co zwykle – odpowiada lakonicznie. Po chwili dodaje: – Jak sobie radzisz, kochanie? O mój Boże, to szaleństwo, nieprawdaż? – Jestem zaskoczona tym wybuchem serdeczności, ale zaraz zauważam, że nie kieruje tych słów do mnie, tylko do Louisa, szefa zakupów w dziale męskim, który akurat mija nasze stoisko. Zaczynają o czymś rozmawiać. Chwilę później Karen spogląda na mnie, więc zniżają głosy do szeptu. Kiedyś wpadałam w paranoję, gdy coś takiego się działo, byłam przekonana, że rozmawiają na mój temat, ale teraz już wiem, że po prostu plotkują.

Gdy tak sobie szepczą, mam chwilę oddechu. Wsuwam stopę z buta i szybko rozciągam jedną łydkę, a później drugą. Mimo że teraz noszę płaskie obuwie (nie sądziłam, że kiedyś do tego dojdzie), odkąd zaczęłam tu pracować, z tyłu łydki pojawiła mi się cienka niebieska linia i jestem przerażona, że może rozwinąć się z niej żyłak.

W sklepie jest pełno klientów, wszyscy śpieszą się, by zrobić zakupy na ostatnią chwilę, są obładowani paczkami i torbami. Panuje atmosfera pogodnej paniki: ludzie uśmiechają się i rozmawiają ze sobą, porównują notatki dotyczące zakupów. Wygląda to tak, jakbyśmy byli za kulisami i przygotowywali się do wystawienia wielkiej sztuki. Leci *Have Yourself a Merry Little Christmas*, a w powietrzu unosi się cudowny zapach ze stojącej na ladzie miniaturowej choinki przyozdobionej malutkimi pomarańczami z goździkami.

Kocham święta i wszystko, co z nimi związane: spotkania z rodziną, leżenie na kanapie i oglądanie starych czarno-białych filmów w telewizji, pójście na pasterkę do katedry w Dublinie, picie Baileysa o szesnastej i jedzenie wszystkiego, na co mam ochotę. Uwielbiam to poczucie, że normalne życie zostało przerwane i w każdej chwili może się zdarzyć coś wspaniałego. Oczywiście w te święta nie zobaczę się z rodziną. Muszę pracować w Wigilię i drugi świąteczny dzień. Moim rodzicom się to nie podoba („Co to za praca, która nie pozwala ci przyjechać do domu na święta?”), a ja czuję się winna. Ale powiedziałam im, że mając dwadzieścia osiem lat, jestem już wystarczająco dorosła, by spędzić święta z dala od domu.

– Cześć, Zoe – słyszę kogoś z tyłu. – Jak leci? – To Harriet, sprzedawczyni z mojego działu damskiego: bardzo młoda, bardzo miła i z pewnością najbardziej sympatyczna osoba w całej firmie.

– Cześć! Teraz tu pracujesz? Myślałam, że jesteś w papierniczym.

– Nie, Karen kazała mi się zamienić. Przed chwilą wyszła.

– Jeden z kupców jest na papierniczym, prawda?

– Tak. Ale co to zmienia? – Harriet sprawia wrażenie zdziwionej.

– No cóż, Karen lubi nawiązywać nowe kontakty.

– Ahaa – mówi Harriet, a na jej ładnej, okrągłej twarzy pojawia się wyraz zrozumienia. Wiem, że to bystra dziewczyna – studiuje anglistykę na uniwersytecie w Leeds – ale nie zawsze wyłapuje kwestie polityki firmowej.

Nagle zauważam przy ladzie po drugiej stronie jedną z wrogich mi koleżanek z czasów liceum: Kerry-Jane Murphy. O mój Boże. Z pewnością przyjechała tu na świąteczne zakupy. Ma na sobie pikowaną kamizelkę i kaszmirowy sweterek z golfem, a na szyi nauszники z owczej skóry. Założyła też skórzane rękawiczki i trzyma w ręce małe torebki z butików Jo Malone, Petit Bateau i Liberty. Jej włosy są jeszcze jaśniejsze niż zazwyczaj, ma sztuczną opaleniznę i wydaje mi się, że zrobiła sobie mały botoks. Odwracam się, desperacko szukając innego klienta, ale akurat po raz pierwszy dziś nie ma nikogo. Marszczę brwi i wpatruję się w kasę, udając, że robię coś, co wymaga wielkiej koncentracji, i modlę się, żeby Kerry-Jane przeszła obok i mnie nie zauważyła.

– Zoe Kennedy.

Na dźwięk jedynego w swoim rodzaju akcentu z południowego Dublina podnoszę wzrok i staram się sprawiać wrażenie podekscytowanej i zdziwionej.

– Kerry-Jane! Witaj!

– O mój Boże – mówi, a jej akcent sprawia, że brzmi to, jakby się dusiła. – Czy ty... tu pracujesz.

– Tak jest – odpowiadam wesoło. – Jestem zatrudniona w dziale damskim, ale teraz pomagam tutaj, bo mamy dużo klientów.

– Ale... co się stało? Myślałam, że przyjęli cię do Accenture? – W jej ustach słowa te brzmią tak, jakbym zebrała na ulicy.

– PricewaterhouseCoppers. Pracowałam, ale odeszłam stamtąd w

styczniu.

– Aha. – Kiwa głową. – Czyli zostałaś... – Pokazuje gestem podcięcie gardła, co, jak sędzę, oznacza „zwolniona”.

– Nie, to ja zrezygnowałam. Bardzo chciałam pracować w branży związanej z modą, więc...

Cofa się.

– I wylądowałaś tutaj? Przy kasie w sklepie.

Oczami wyobraźni już widzę siebie leżącą na wypolerowanej marmurowej posadzce niczym rozjechana zwierzyna na drodze.

– Tak. Mam nadzieję, że wkrótce przeniosę się do.

– To wspaniały sklep, nie zrozum mnie źle. Zawsze tu przyjeżdżam na kilka dni przed świętami. Po prostu nigdy bym nie pomyślała, że będziesz robić coś takiego, wiesz? Zawsze byłaś taka ambitna. – Chichocze. – O, a wiesz, że Sinead Devlin ma własną firmę modową? Dodatki. Ludzie szaleją na jej punkcie. Projekty jej autorstwa można kupić u Harveya Nichollsa, pokazywano je w „Vogue’u”. Była na zjeździe absolwentów. Czemu się na nim nie pojawiłaś.

„Żeby uniknąć takich ludzi jak ty?”. Gdybym dostawała funta za każdym razem, gdy ktoś opowiedział mi o sukcesie Sinead Devlin, byłabym... no cóż, miałabym dużo funtów. Tak naprawdę próbowałam skontaktować się z Sinead, ale nigdy mi nie odpowiedziała.

– Och, byłam zajęta. Jak się miewasz? Szukałaś czegoś konkretnego?

– Wspaniale! Nie kłopotz się. Nadal pracuję w PR, głównie marek luksusowych. Pewnie słyszałaś: Ronan mi się oświadczył – ściąga rękawiczkę, by pochwalić się krzykliwym pierścieniem z brylantem otoczonym wieloma mniejszymi kamieniami. – Wesele w przyszłym roku, w pobliżu Awinionu. Na południu Francji. Zaraz, może przyleciałabyś na poprawiny? Loty są dość tanie. Mogłabyś kogoś poznać... a może spotykasz się teraz z kimś? – Jej brązowe okrągłe oczy rozpalają się, gdy niecierpliwie czeka na odpowiedź. Wie, że zaprzeczę.

– No nie. Spotykałam się z kimś, ale nam nie wyszło. – Czemu jej o tym mówię.

– Ojej – odpowiada z udawanym współczuciem. – Powiedziałabym, że ciężko jest kogoś poznać, gdy się tu pracuje, prawda? Słuchaj, chętnie bym dłużej z tobą porozmawiała, ale lepiej

będzie, jak już sobie pójdę. Muszę jeszcze zajrzeć do l'Occitane i kupić coś dla mamy Ronana. Ale uważaj na siebie, dobrze? Mam nadzieję, że ci się wszystko ułoży – wypowiadając te słowa, wyciąga rękę, by poklepać mnie – dosłownie: poklepać – po głowie, i znika, pozostawiając za sobą opary perfum Chanel. Nadal próbuję dojść do siebie, gdy sekundę później Kerry-Jane wpada oddać ostatni strzał.

– Przepraszam, Zoe, jak dostać się na stoisko Hermèsa? Ronan potrzebuje jeszcze jednego krawata.

Uśmiecham się słodko, macham ręką i wskazuję niewłaściwy kierunek.

Co za suka! Przeprowadziłam się do Londynu właśnie po to, by uniknąć takich ludzi jak ona i móc w spokoju zmienić branżę. Po czym po dwóch latach wrócić w rodzinne strony w blasku chwały jako główna specjalistka od zakupów w najlepszym domu towarowym albo jako właścicielka butiku. A teraz Kerry-Jane opowie wszystkim, że Zoe Kennedy stoi przy kasie w Marley's. No dobra, i co z tego? Miałam szczęście, że dostałam tę pracę, poza tym mam tu mnóstwo możliwości awansu, choć do tej pory jeszcze z nich nie skorzystałam. Ale jakim cudem stać ją na takie wypadki zakupowe? Sądziłam, że w rodzinnych stronach wszyscy są splukani. Krawaty od Hermèsa, też mi coś. Pewnie tylko sprawdza ceny breloczków.

Nie widziałam Kerry-Jane od mniej więcej pięciu lat i uświadamiam sobie, że bardzo mi kogoś przypomina. Kogoś, kogo naprawdę nie znoszę... Kogo? No tak, jasne. Jenny. To jedna z tych rzeczy, których żałuję najbardziej: nie powinnam była być tak zazdrosna o najlepszą przyjaciółkę Davida.

– Przepraszam, proszę pani.

Mam poczucie winy, gdy widzę klientkę, która stoi przede mną i czeka, aż ktoś ją obsłuży. Jest tak drobna, że prawie jej nie zauważam. Ma osiemdziesiąt parę lat, lekko spłowiały brązowy płaszcz przeciwdeszczowy, włosy fioletowe od płukanki i ogromne kwadratowe okulary. Podpiera się laską.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. W czym mogę pomóc?

– Och, dziękuję. Szukam spinek do mankietów dla mojego chrześniaka – odpowiada trzęsącym się głosem. Dokończenie zdania zajmuje jej sporo czasu, więc zastanawiam się, czy nie miała kiedyś udaru.

– Oczywiście, o jakich spinkach pani myślała.

Mija dłuższa chwila, zanim dowiaduję się, ile może przeznaczyć na ich zakup, ale w końcu wybieramy uroczą parę kwadratowych srebrnych spinek, które pakuję na prezent. Płaci gotówką, a banknoty wyjmuję ostrożnie z niedużej, wytartej portmonetki haftowanej w kwiaty. Jest tak mała, że na jej widok aż ściska mnie w dołku. Jej pomarszczone dłonie trzęsą się trochę, gdy wkłada paczuszkę do swojej plastikowej torby na zakupy. Odruchowo wyciągam rękę, żeby jej pomóc, ale powstrzymuję się – może się jej to nie spodobać. Kiedy kończy pakować zakup, spogląda na mnie i nieoczekiwanie się uśmiecha.

– Dziękuję, moja droga. Wszystkiego najlepszego.

– Dla pani również – odpowiadam, czując ciepło z powodu obsłużenia zadowolonego klienta, i zapominam o Kerry-Jane. Nie obchodzi mnie zdanie ludzi mówiących, że kupowanie różnych rzeczy nie może nas uszczęśliwiać: ja wiem, że dobry zakup czasami przynosi szczęście. Odkładając niekupione spinki, zauważam porzuconą na ladzie haftowaną portmonetkę.

– O nie.

– Co się stało? – pyta Harriet.

– Moja klientka zostawiła portmonetkę. Pobiegnę za nią, OK?

– Jasne – zgadza się Harriet. Najprawdopodobniej zapomniała, że nie powinnyśmy opuszczać stanowiska pracy, nie mówiąc już o wychodzeniu ze sklepu, chyba że w budynku wybuchł pożar albo coś w tym stylu. Ale nawet wtedy i tak potrzebowałybyśmy pozwolenia Karen. Nie zajmie mi to jednak dużo czasu.

– Wracam za dziesięć minut. – Biorę portmonetkę i wybiegam, mijając stoisko z kosmetykami do makijażu, dział dodatków, torebek i szalików, a następnie hol i portiera w uniformie oraz wielką witrynę z kwiatami. Rozglądam się.

Nie widzę jej. Oczywiście jest ciemno, a Regent Street wypełnia tłum ludzi wylewających się ze sklepów, oglądających podświetlane witryny czy po prostu przechadzających się i spoglądających na świąteczne światła rozwieszane wzdłuż ulicy niczym podświetlane naszyjniki. Na ziemi leży śnieg, a ja mam na sobie cienki sweterek z angory z krótkim rękawem (czarny, zgodnie z zasadami Marley's, ale z wycięciem z tyłu, firmy Whistles). Mimo że jest potwornie zimno, nie

poddaję się; staruszka nie mogła odejść zbyt daleko. Zgaduję, że kierowała się raczej w stronę Piccadilly Line niż Oxford Circus. Żeby lepiej widzieć, odpycham na bok kogoś przebranego za Świętego Mikołaja i widzę jej drobną postać, jak boleśnie wolnym tempem sunie po chodniku. Biegnę za nią, po drodze wymijając grupki ludzi.

– Przepraszam – dyszę do przechodniów, aż w końcu doganiam starszą panią. – Przepraszam? – Nie słyszy mnie, więc muszę się przed nią pochylić. – Przepraszam, zostawiła pani portmonetkę.

– O mój Boże. Ależ jestem głupia. Dziękuję, dziękuję bardzo. Zginęłabym bez niego – bierze portfelik i ostrożnie wkłada go do swojej torby, a ja w tym czasie gorączkowo pocieram ramiona, żeby nie zamrznąć. Stoimy w środku tłumu ludzi, którzy przyszli tu na zakupy, tuż obok stoiska z pieczonymi kasztanami. Ich zapach sprawia, że cieknie mi ślinka. Ledwo znalazłam dziś czas, by zjeść na lunch pół kanapki.

– Wcale mnie nie dziwi, że Marley’s ma tak dobrą obsługę. To naprawdę wyjątkowe miejsce – mówi. – Zwłaszcza witryny. Kiedyś ludzie mawiali.

Nie. Serio? Ma zamiar tu stać i wspominać dawne czasy? Nie jest jej zimno? Po tym, jak się zagrzałam, goniąc staruszkę, teraz czuję, jakby ktoś wbijał we mnie ostrza z lodu. Mężczyzna zbierający pieniądze na jakiś szczytny cel wygląda, jakby miał do mnie podejść, ale zaraz zmienia zdanie.

–... i jeśli w tygodniu przed świętami staniesz przed witryną i pomyślisz jakieś życzenie, dostaniesz to, czego pragniesz.

– To urocze – kwituję, nie zastanawiając się nad jej słowami. Tłum napiera w naszą stronę, a jakaś kobieta z tysiącem siatek przepycha się, niemal przewracając moją nową znajomą. Chwytam staruszkę i pomagam jej odzyskać równowagę.

– Te tłumy są dość przerażające – stwierdza. Wygląda na zdenerwowaną.

– Może złapię dla pani taksówkę.

– Och nie, proszę się nie kłopotać.

– To żaden problem. – Gdy wreszcie udaje mi się przywołać taksówkę, zaczynam już zgrzytać zębami. Pomagam staruszce wsiąść do auta, po czym powtarzam kierowcy, dokąd ma jechać.

– Wesołych świąt! – macham do niej.

– Wesołych świąt! I nie zapomnij pomyśleć życzenie – odpowiada, odmachując na pożegnanie trzęsącą się dłonią.

Biegnę z powrotem do Marley's, mając nadzieję, że moja nieobecność nie była zbyt długa. Jedna z dziewczyn na stoisku z perfumami nie dostrzega mojego identyfikatora i zanim zdążę ją powstrzymać, podbiega do mnie i spryskuje czymś o kwiatowym zapachu.

Gdy docieram do swojej lady, od razu wpadam na Karen.

– No proszę, Zoe, postanowiłaś zaczerpnąć świeżego powietrza? Zrobić sobie małą przerwę? – Do ust ma przyklejony uśmiech, więc przechodzący obok nas klienci mogą mieć wrażenie, że miło sobie gawędzimy, ale ja wiem lepiej.

– Przepraszam. – Nawet nie próbuję się tłumaczyć.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie powinnaś nigdy opuszczać swojego stanowiska? Pod żadnym pozorem? I chyba zapomniałaś, że masz na sobie rzeczy o wartości kilku tysięcy funtów, które są własnością sklepu. – Odruchowo sięgam po zawieszony na szyi wisiołek z brylantem i szmaragdami. To fakt, zapomniałam o nim.

– Sądziłam – ciągnie Karen – że osoba, która pełniła odpowiedzialną rolę konsultantki marketingowej, będzie bardziej profesjonalna i nie zdecyduje się tak po prostu sobie wyjść... – Kiwam głową, starając się robić wrażenie odpowiednio skruszonej, i stoję tak, i czekam, aż to się skończy. Wolałabym, żeby nie robiła tego pośrodku sklepu. Wydaje mi się, że pomimo jej szaleńczego uśmiechu, na klientach ta scena musi robić dziwne wrażenie.

Kiedy Karen w końcu pozwala mi wrócić za ladę, biedna Harriet stara się mnie przeproszać.

– Tak mi przykro, Zoe. Próbowałam cię kryć, ale mi się nie udało. Była bardzo wkurzona.

Wzruszam ramionami.

– Tak, zrobiła suszarkę. Ale nie przejmuj się, to nie była twoja wina.

– Jaką suszarkę? – Harriet jest dezorientowana.

– Tak to nazywam. Suszyła mi głowę.

– Miałaś mokrą.

Gdy próbuję wytłumaczyć jej, co znaczy suszyć głowę, uświadamiam sobie, że Karen miała rację. Postąpiłam impulsywnie i

głupio. Tak samo jak z Davidem... Ale zanim znów wpadnę w obsesję, rzucam się w wir pracy, zdeterminowana, by wykonać zadanie sprzedażowe przed końcem dnia.

Wychodząc z budynku, zatrzymuję się na moment, by popatrzeć na witryny. Choć mijam je każdego dnia, nadal wydają mi się naprawdę magiczne. Każda z nich to cudowny róg obfitości, pełen wspaniałych, niepasujących do siebie rzeczy: butów, okularów, talerzy, zegarków, rękawiczek i apaszek, złotych bombek i srebrnych dzwoneczków. Okna wystawowe po stronie Regent Street to „Baśnie”. Moją ulubioną jest ta z Królową Śnieżką i czarownicą wystrojoną w długą czarną suknię od Armaniego oraz łowcą mającym na sobie kraciasty garnitur Prince of Wales. Na krótszej ścianie, tej prowadzącej w stronę Soho, przygotowano wystawę „Cztery Pory Roku”. Najbardziej lubię „Lato”. Mężczyzna, ubrany w białą koszulkę polo i wyblakłe džinsy (oba ciuchy od Ralphi Laurena), niesie koszyk piknikowy wypełniony łakociami z naszych delikatesów. Jego towarzyszką ma na sobie długą białą sukienkę Theyskens' Theory i ogromny ciemnoniebieski kapelusz. Oboje są piękni, stoją na zielonym trawniku, a za nimi namalowano urocze tło: zielone drzewa, szmaragdowe jezioro i idealnie niebieskie niebo z kilkoma chmurkami. To wymarzony letni dzień. Park wygląda jak raj. Jestem w pełni świadoma własnego szaleństwa, ale męski manekin przypomina Davida. Ma taką samą postawę wyrażającą pewność siebie i spogląda z góry na damskiego manekina. Tak jak David kiedyś patrzył na mnie. Czuję, że łzy napływają mi do oczu, więc mrugam, żeby powstrzymać się od płaczu.

Zastanawiam się, co teraz robi David. W Nowym Jorku jest godzina szesnasta. Prawdopodobnie znajduje się w szpitalu: przeprowadza operację albo robi obchód czy dyżuruje w przychodni. Manhattan musi teraz wyglądać bardzo świątecznie. Wyobrażam sobie, jak David idzie Piątą Aleją, z naręczem pełnym pakunków, albo jest przed Macy's i daje dolara mikołajowi z Armii Zbawienia... Po czym odwraca się w stronę smukłej modelki pielęgniarce i obdarza ją świątecznym pocałunkiem.

Żeby odwrócić swoją uwagę od tego obrazka, myślę o tym, jak rodzice zabrali mnie na oglądanie witryn w Brown Thomas przy Grafton Street, gdy miałam sześć albo siedem lat. Zabawki, dekoracje i ruszające się figurki – byłam nimi kompletnie oczarowana.

– Czy Święty Mikołaj je robi? – zapytałam tatę.

Wyjaśnił mi, że choć elfy Świętego Mikołaja przygotowały część tych rzeczy, większość prezentów została wykonana przez zwykłych Irlandczyków.

– Na przykład domki dla lalek i zabawki z placów zabaw, które produkuje firma twojego taty – wyjaśniła mama.

– Ale jeśli poprosisz Świętego Mikołaja, na pewno przyniesie ci dowolny prezent z tej witryny – powiedział tato, ignorując mamę, która później bez wątpienia okrzyczyła go za to, że podsunął mi taki pomysł.

Przypominają mi się słowa staruszki – o tym, by pomyśleć życzenie i dostać to, czego pragnie moje serce. Oczywiście to nonsens, ale pod wpływem impulsu zamykam na chwilę powieki i mamrocę pod nosem: „Chciałabym odzyskać Davida”.

Otwieram oczy i przewracam nimi na widok swojego odbicia w oknie. Co za świruska. Ruszam szybko wzdłuż Beak Street i cieszę się, że nikt mnie nie widział.

Rozdział 2

Spotykam się z Rachel tuż przy Old Compton Street, w dziwnym małym barze, który odkryliśmy kilka tygodni wcześniej. Białe anielskie włosy zwisają z sufitu, wszystkie lampy i kominki udekorowano świecidełkami, a Nat King Cole śpiewa *Chestnuts Roasting on an Open Fire*. Nawet kelnerzy noszą mikołajowe kostiumy i rogi renifera. Wnętrze baru wygląda jak szalona grota Świętego Mikołaja albo sypialnia wyjątkowo ochoczego świątecznego elfa.

W środku jest pełno ludzi, którzy robili przedświąteczne zakupy, i pracowników biur, ale w końcu udaje mi się dostrzec stojącą w rogu Rachel. Zauważam, że grupa facetów znajdujących się w pobliżu przygląda się jej długim nogom i szczupłej figurze ubranej w golf i czarną ołówkową spódnicę. Ona nie zwraca na nich uwagi, pochyla ciemnowłosą głowę nad BlackBerry i błyskawicznie pisze wiadomość. Widząc, że dwie kobiety wychodzą, rzucam się, by zająć ich miejsca, i szaleńczo macham do Rachel, żeby podeszła.

– Ależ z ciebie dobra kobieta – mówi, obejmując mnie i siada. – Można być pewną, że znajdziesz miejsce, gdy sytuacja tego wymaga.

– Cieszę się, że mogę wreszcie zrzucić ten ciężar z nóg – wzdycham, przeciągam się i pozbywam wilgotnego zamszowego płaszcza.

– Mówisz jak moja mama. – Rachel posyła mi szeroki uśmiech.

– Wiem. Fajny ciuch.

– Dzięki, kupiłam go w Gap dziś rano w drodze do pracy. Dzięki moim cudownym pracodawcom od dwóch tygodni nie miałam możliwości zrobienia prania.

Podnosi wzrok. Uśmiecham się. Rachel nie jest w stanie mnie oszukać – może narzekać, że sprzedała duszę korporacji prawniczej, ale wiem, że kocha swoją pracę. Wyciągam rękę, żeby dotknąć jej rękawa.

– Mogę? Super. Mieszanka merynosów i kaszmiru? – Czuję się trochę usatysfakcjonowana, gdy przyjaciółka kiwa głową. Jak widać, uczę się czegoś w swojej pracy. Jeszcze rok temu nie byłabym w stanie rozpoznać tych materiałów.

– Jakież wieści w twojej sprawie? – Sprawa nie wydaje się szczególnie fascynująca – chodzi o spór, kto jest właścicielem floty tankowców – ale dla Rachel to niezwykle ważne.

- No cóż... ogłoszono dziś wyrok... Wygraliśmy!
- O mój Boże! Gratuluję! Postawię ci drinka, żebyśmy mogły to oblać.
- Nie ma takiej potrzeby. To coś nosi nazwę Białe Święta – mówi Rachel, nalewając mi ze stalowego dzbanka pysznie wyglądający kremowy napój. – Bóg jeden wie, co w tym jest, ale smakuje świetnie.
- Dzięki. Twoje zdrowie! Co dla ciebie oznacza ta wygrana.
- Przede wszystkim to, że mam teraz po swojej stronie jednego ze współników. Co może mi któregoś dnia pomóc przy awansie. – Uśmiecha się szeroko, a ja cieszę się wraz z nią, ale też jestem trochę zazdrosna. Rachel, w przeciwieństwie do mnie, podjęła mądre decyzje odnośnie swojej kariery. Chciała być prawniczką, więc poszła na prawo. Ja interesowałam się modą, ale studiowałam ekonomię i filologię francuską, bo wydawało się, że to bezpieczniejsze wyjście, po czym zaczęłam pracę, której nienawidziłam, aż w końcu, w wieku zaledwie dwudziestu siedmiu lat, postanowiłam zmienić branżę. A teraz mam dwadzieścia osiem lat, a więc prawie trzydzieści, i nadal noszę w pracy identyfikator. Grrrr. Wypijam kolejny łyk koktajlu.
- Masz ochotę spędzić święta z Kirą.
- Kiwam głową. Rachel wie, że jestem rozpieszczoną jedynaczką, więc nowością są dla mnie święta z dala od rodziców. Ale mam szczęście: nie będę sama – spędzę świąteczny czas z moją przyjaciółką z Australii, Kirą, i jej sześcioma współlokatorkami, które mieszkają w ogromnym domu w pobliżu Westbourne Grove. Kira przygotuje wielką pieczeń, będziemy grać w twistera i pijackie gry.
- Kira miała grypę. Mam nadzieję, że już czuje się lepiej.
- Grypa w niczym jej nie przeszkodzi. Nie znam osoby, którą trudniej powstrzymać. Poza tobą – stwierdza Rachel.
- Ostatnio nie wydaje mi się, żeby można było coś takiego o mnie powiedzieć. – Opowiadam przyjaciółce o spotkaniu w pracy Kerry-Jane. – Spytała mnie, dlaczego nie przyjechałam na zjazd absolwentów.
- Mój zjazd absolwentów był strasznie dziwny – mówi Rachel. – Wszyscy są po ślubie, mają po troje dzieci, a jedna z dziewczyn nawet czwórkę. Czuję się jak wybryk natury. Wyobrażasz sobie.
- Nie za bardzo. – Ledwo jestem w stanie zadbać o siebie, a co dopiero o dziecko. Puszczają piosenkę *Last Christmas*. Nigdy

wcześniej tego nie zauważyłam, ale w tym roku grają ją bezustannie, a za każdym razem, gdy ją słyszę, myślę o Davidzie. Próbuję oderwać od niego myśli i poświęcić uwagę słowom Rachel.

– A wspominałam ci, że po Nowym Roku będę pracować nad sprawą w Manchesterze? Wielkie wyłudzenie ubezpieczenia. W sumie to dość interesujące, bo... – przerywa, marszczy brwi i spogląda na mnie. – Czemu jesteś taka smutna.

– Jestem? Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Chodzi o to, że...

– No co.

– David...

– O Boże. Co z nim? Odezwał się do ciebie.

– Nie. Chodzi o to... David był na stażu w Manchesterze – nagle twarz mi się wykrzywia i zalewam się łzami. – Przepraszam – jestem żałosna. Obiecałam sobie, że nie wspomnę dziś o Davidzie, nie mówiąc już o rozplakaniu się po wypiciu zaledwie dwóch drinków.

– Zoe, nie możesz się wciąż zdręzczać Davidem. Koniec. Musisz odpuścić.

– Wiem. Tylko nie mogę przestać myśleć o tym, co by było, gdybym postąpiła inaczej. Mogłabym być teraz z nim w Nowym Jorku.

– Ale... no dobra. Przez moment pomyślmy rozsądnie. Nie mogłabyś tam pracować, nie mając wizy. A to duże poświęcenie dla kogoś, kogo znasz niecały rok. Poza tym, czy nie powtarzasz zawsze, że zostajesz w Londynie tylko przez dwa lata, a później wracasz do Dublina? Gdzie w tym wszystkim miejsce na Nowy Jork? Co powiedzieliby twoi rodzice.

– Coś bym wymyśliła. Pukałabym do drzwi każdego budynku i sklepu w Nowym Jorku, aż w końcu dostałabym pracę – nieważne, czy legalną, czy nielegalną. A stypendium Davida trwa tylko rok. I przecież mówił wcześniej, że chce wrócić do Irlandii. Mogło być idealnie – znów zalewam się łzami i chowam twarz w dłoniach.

Rachel klepie mnie po ramieniu.

– Wiem, że to trudne. Uwierz mi, znam ten ból. Ale takie jest życie, wiesz jak jest – przekonuje mnie łagodnie. – Zdarza się, musimy to zaakceptować.

Podnoszę głowę.

– Ale ja w to nie wierzę. Nigdy w to nie wierzyłam. Uważam, że twoje życie zależy od ciebie.

– Wiem o tym, ale są pewne granice. Spójrz na mnie i Jaya – mówi. – Nie jest łatwo widywać go codziennie w pracy. Żałuję, że w ogóle się z nim spotykałam. To najgorsza decyzja, jaką wtedy podjęłam. Ale stało się i nic z tym nie zrobię.

– Naprawdę? – Rachel była wściekła, gdy wyszło na jaw, że Jay spotyka się z jakąś dziewczyną – to zrozumiałe. Jednak nie zdawałam sobie sprawy, że była z tego powodu aż tak zdruzgotana. – Naprawdę to była najgorsza decyzja, jaką w tamtym czasie podjął.

Kiwa głową.

– To albo zapisanie się na intensywne zajęcia z fitnessu. Zapłaciłam za osiem spotkań, a poszłam tylko raz.

Jest mi głupio. Prawdopodobnie nie pomogłam jej za wiele, kiedy we wrześnie wybuchła cała ta sprawa z Jayem. Rachel jest taka pewna siebie i poukładana – ma nawet własną kawalerkę, co wydaje mi się cudem. I zawsze przyciąga superpartie: bankierów, prawników. Każdy z nich jest przystojny i odznacza się czymś wyjątkowym: licencją pilota, faktem, że przez pół roku mieszka w Hongkongu, że jest półkwi Rosjaninem czy Szwedem albo coś w tym stylu. Ale żaden z jej związków nigdy nie wypala. Nic z tego nie rozumiem.

– Utrzymujesz z nim kontakt? – pytam zaciekawiona.

– No... obiecaj, że nie będziesz się śmiała.

– Postaram się.

– Sponsorowałam jego wasa podczas Movember¹⁾ – spogląda na mnie i obie wybuchamy śmiechem. – Wiem, wiem, miałam chwilę słabości – jęczy i ukrywa twarz w dłoniach.

1) Movember – od słów *moustache* i *november*, czyli „wąsy” i „listopad”. Doroczna akcja, podczas której mężczyźni zapuszczają wąsy, by nagłośnić kwestie związane z rakiem prostaty i innymi chorobami dotykającymi mężczyzn. Fundacja Movember powstała w 2004 roku i działa w wielu krajach na całym świecie (przyp. tłum.).

– A co on na to.

– Dostałam automatyczną odpowiedź: „Jay i Wąsaci Bandyci dziękują ci za darowiznę w wysokości dwudziestu funtów”. To była pobudka.

– Wiesz, nadal mam wśród znajomych na Facebooku Olivera. Bardzo mu się podobałaś. – Oliver to chirurg, naprawdę uroczy facet,

przyjaciół Davida. Całował się kiedyś z Rachel, gdy oboje byli pijani, ale do niczego później nie doszło, co go rozczarowało.

– Był zbyt miły – krzywi się Rachel.

– Zbyt miły? O co ci chodzi? Cały czas się kłóciliście. – Rachel i Oliver za każdym razem, gdy się spotkali, jakimś cudem zaczynali gorącą dyskusję o polityce, polowaniu na lisy albo o tym, czy kobiety powinny po ślubie zmieniać nazwisko.

Przyjaciółka wzrusza ramionami.

– Po prostu nie jest w moim typie. I jest taki wysoki... Nie chcę być wredna, ale jego wzrost mnie przeraża. No i ma odstające uszy.

– Ale przecież nic z tym nie robi. A jest taki uroczy. I bardzo mu się podobałaś. Naprawdę nie dasz mu szansy.

– Dobra. Zawrzyjmy układ. Postanowienie noworoczne: przestaniesz rozpaczać z powodu Davida, a ja, jeśli kiedykolwiek jeszcze spotkam Olivera, dam mu kolejną szansę. Zgoda?

– Zgoda. A teraz zamówmy szampana, żeby oblać twój sukces.

Ignorując protesty Rachel, podchodzę do baru i proszę o dwa kieliszki musującego trunku. Raczej nie powinnam się nim raczyć po wypiciu koktajli, ale do diabła z tym – musimy uczcić wybraną Rachel. To znaczy wygraną Rachel. Jestem trochę wstawiona. Biorę kieliszki i ostrożnie niosę je do naszego stolika.

– No dobra, drogie panie! – dobiega nas z tyłu jakiś głos.

Odwracam się. To Kira, opatulona po uszy w długą, pikowaną kurtkę i owinięta białym szalikiem. Spod różowej czapki wystają kosmyki jej blond włosów, a śliczna twarz jest blada i wymizerowana. Wygląda okropnie.

– Kira. – Obejmuję ją na powitanie. – Jak się czujesz.

– Znów czuję się jak człowiek. Mniej więcej. – Siada i wysuwa się z wierzchniego okrycia jak gąsienica z kokonu. – Przepraszam, że wcinam się wam w świętowanie... po prostu musiałam wyjść z domu.

– Dopada ją atak kaszlu. – To przez zimę – dodaje płaczliwym tonem – nadal nie mam odporności.

– Jesteś jak tropikalna roślina – mówi Rachel. – Powinnaś dziś wychodzić z domu.

– Najprawdopodobniej nie, ale szczerze mówiąc, jeśli zobaczę kolejny odcinek *Skarbów na poddaszu*, zwymiotuję. Zaczęło mi się nawet wydawać, że prowadzący program jest atrakcyjny.

Kira jest instruktorką fitnessu w klubie niedaleko od mojego mieszkania. Chodzę na jej zajęcia zumby i Body Pump, zaprzyjaźniłyśmy się. Była niesamowita, gdy zostałam porzucona przez Davida – siłą ściągała mnie z sofy i zabierała na imprezy wbrew mojej woli.

– Ej, a gdzie jest twoja miniaturka? Nie przyjdzie dzisiaj? – pyta Kira.

Rachel wybucha śmiechem, a ja z wyrzutem patrzę na Kirę.

– Harriet nie jest moją miniaturką. Nie bądź wredna.

– Żartuję! Jest urocza. Nadal kopiuje wszystkie twoje ubrania?

– Nie, poprosiłam ją, żeby tego nie robiła. – Wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Zamieniłam słówko z Harriet tego dnia, gdy kupiła takie same jak moje zielone czółenka ze skóry pytona. Była załamana.

– No to gdzie ta impreza? – pyta Kira i zaciera ręce. – Jaki mamy plan.

Obie patrzą na mnie, mimo że mieszkam tu dopiero od roku, a one znacznie dłużej. Jakimś cudem zostałam doradcą do spraw imprez, barów i klubów, co zupełnie mi nie przeszkadza. Część mnie pragnie wrócić do domu i jeść w łóżku słodczyce, ale wiem, że widzę Rachel ostatni raz przed jej wylotem do domu na święta. Dziś zostaję na mieście.

•

Cztery godziny później pijana jak bela wytaczam się z taksówki. Auć. Jak do tego doszło? Piłyśmy drinki w kameralnym gronie, później rozmawiałyśmy z jakimiś kolesiami... a następnie Kira zaczęła się całować z jednym z nich i wszyscy poszliśmy w jakieś inne miejsce. Gdy taksówka wolno odjeżdża, spoglądam na niebo: zimne, odległe i pełne gwiazd. Przypomina mi się kreskówka z myszami, które śpiewały *Somewhere Out There*. Gdzieś tam. Gdzieś tam jest David. Potykam się na pokrytych śniegiem stopniach i niechcący głośno walę w drzwi. To na pewno obudzi Deborah, moją współlokatorkę, ale trudno. Wczołguję się do łóżka i zapadam w pijacki sen. Śni mi się, że ja i David jesteśmy myszami w Nowym Jorku.

Rano budzę się w sypialni Davida.

Rozdział 3

Rozglądam się i chłonę wszystkie znajome detale: abstrakcyjne reprodukcje, gustowną jasną wykładzinę i białe ściany. Widzę cenną raketę tenisową Davida. Czyli nadal tu mieszka. Czy to możliwe? Mam szaloną wizję, w której mój były chłopak udaje, że przeprowadził się do Nowego Jorku, choć tak naprawdę cały czas przebywa w Londynie, ukrywa się przede mną w Maida Vale.

Muszę go zobaczyć – jeśli tu jest – i dowiedzieć się, co się, do licha, dzieje. Ręce trzęsą mi się tak bardzo, że otwarcie drzwi zajmuje mi dłuższą chwilę. Wchodzę na górę, do kuchni. Nikogo w niej nie ma, ale w powietrzu nadal unosi się zapach kawy, a w zlewie stoi pusty kubek. David na pewno wciąż znajduje się w mieszkaniu.

Ale nie może w nim być. Już tu nie mieszka.

A co jeśli ktoś podał mi narkotyki? Albo mnie porwał? A co jeżeli osoba, która wynajmuje teraz mieszkanie Davida, zobaczyła moje zdjęcie albo coś w tym stylu (nie przejmuję się szczegółami) i postanowiła mnie odnaleźć, odurzyć jakąś substancją i tutaj sprowadzić.

Instynktownie biorę do ręki duży nóż z suszarki i mocno go trzymam, by poczuć się bezpieczniej. Stoję na szczycie schodów, kręcę się w kółko, gdy słyszę za sobą hałas. Odwracam się i widzę wychodzącego właśnie z łazienki nieznanego mi mężczyznę z ciemnymi mokrymi włosami i zaspanymi brązowymi oczami, zupełnie, absolutnie, całkowicie, całkowicie nagiego.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaa! – krzyczę. – Aaaa! – wymachuję nożem w jego stronę.

– Ej, zaczekaj! Wszystko w porządku! – wyciąga rękę, by mnie uspokoić, co sprawia, że wrzeszczę jeszcze głośniej. Nagle chyba uświadamia sobie, że jest goły, więc biegnie do łazienki, a po chwili wychodzi z niej z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Jest bardzo wysoki i szczupły, brzuch ma niemal wklęsły.

– Nie podchodź bliżej! – ostrzegam go podniesionym głosem. – Zadzwoiłam już na policję! – Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale jestem zadowolona, że mój umysł działa bez zarzutu. – Jeśli się do mnie zbliżysz, będę krzyczeć tak, że obudzę wszystkich w budynku, i utnę ci jaja! – grożę mu nożem.

– Zoe, przestań!

Zastygam w miejscu, otwieram usta.

– Jestem Max! Kolega Davida. Już się kiedyś spotkaliśmy. Nie pamiętasz.

Opuszczam nóż i wpatruję się w mężczyznę. Wysoki, z ciemną czupryną, grubymi ciemnymi brwiami i brązowymi oczami. Pamiętam, ale bardzo niewyraźnie. Jakiś wieczór w pubie. Jest lekarzem. Nie, naukowcem. Kolega Davida ze studiów albo coś w tym stylu. Ale oczywiście wtedy miał na sobie ubranie.

– Nie wspomniał ci, że przenocowałem na jego sofie? –
zawiązuje mocniej ręcznik w pasie i znów wyciąga rękę. –
Przepraszam, że cię przestraszyłem, sądziłem, że już wyszłaś. Stąd ta...
ekhm... nagość.

– A gdzie jest David? – pytam szorstko.

Twarz Maksa jest bez wyrazu.

– Chwilę temu wyszedł do pracy.

To dla mnie za wiele.

– Był tutaj? I poszedł? Ale dlaczego? Wróci? Co się dzieje.

Max patrzy na mnie w dziwny sposób.

– Zoe, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Może usiądziesz na chwilę na kanapie, weźmiesz parę głębokich wdechów? A gdy już dojdiesz do siebie, zaparzę herbatę i zadzwonimy do Davida? Chyba przeze mnie doznałaś szoku. – Powoli wyciąga rękę i zabiera mi nóż, łagodnym, ale pewnym ruchem. Pozwalam mu zaprowadzić się do kanapy, na którą opadam ciężko. Mój oddech jest szybki i spłycony.

– Dobrze się bawiłaś w teatrze? – pyta.

– Nie byłam w teatrze! Spotkałam się z Rachel i Kirą. – Czyż tak nie było? Co się dzieje, do cholery.

– Naprawdę? – dziwi się Max. – No cóż, na pewno David jest tutaj, w Londynie. Wydawało mi się, że wczoraj poszliście razem na *Hamleta*, ale oczywiście mogę się mylić. Ja też wczorajszego wieczoru wypilem parę drinków, więc prawdopodobnie nie jestem zbyt wiarygodnym świadkiem. – Zaczyna mi opowiadać o swoim wieczorze, podczas którego zaliczył trzy puby, „śmierdzący klub” i imprezę u kogoś w domu, kiedy to wypito szampana stojącego w lodówce od Bożego Narodzenia dwa tysiące siódmego roku. –
Mieliśmy problem z otwarciem butelki, więc musieliśmy ją rozbić, a

potem baliśmy się, że będziemy pili szampana z drobinkami szkła, dlatego przecedziliśmy go przez szalik kumpla – kończy swoją opowieść.

Rozmyślałam. Faktycznie byliśmy z Davidem na *Hamlecie*. Ale to było kilka miesięcy temu, latem.

Przez okno widzę, że niebo jest niebieskie, a na drzewach nadal są zielone liście. To ciepły słoneczny dzień. Letni dzień. Max jest opalony.

– Jaki dziś dzień? – pytam powoli.

– Czwartek – odpowiada Max, patrząc na mnie w dziwny sposób.

– OK, czwartek. Ale jaka data.

– Uuhm... dwudziestego drugiego lipca.

Kręcę głową.

– To niemożliwe. To niemożliwe! O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże! – Nie panuję już nad swoim oddechem, wymachuję rękoma. Hiperwentylacja. Max rozgląda się i znajduje papierową torbę. Biorę ją i szybko oddycham, po czym znów czuję, że muszę machać rękami.

– To jakaś sztuczka, tak? – Nie mogę oddychać. – Zawiesiłeś coś na oknach. Jakiś filtr albo ekran.

Max kręci głową.

– Żadnych sztuczek.

Postanawiam się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to zadziała. Ale tylko sprawiam sobie ból. A później – nie mam pojęcia, co mną kieruję – wyciągam rękę i szczypię Maksa, by się przekonać, co się stanie. Wyje z oburzenia i odgania mnie. No cóż, przynajmniej wiem, że istnieje naprawdę.

– Ej, przestań. – Przytrzymuje mnie za ramiona i patrzy mi prosto w oczy. – Uspokój się. Oddychaj. Posłuchaj, przeżyłaś szok. Może straciłaś pamięć albo coś w tym stylu. Nie mam pojęcia. Ale obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. W porządku? Spójrz na mnie. Wszystko będzie dobrze.

Wpatruję się w jego brązowe, pełne spokoju oczy i uświadamiam sobie, że ma rację: muszę spróbować się uspokoić albo przynajmniej udawać, że to robię. Biorę kilka głębokich wdechów, a on powoli rozluźnia swój uścisk.

– Przepraszam – mówię. – Nie jestem wariatką. Czuję się dobrze, serio. Tylko... czy masz jakąś gazetę albo coś? Mogę zobaczyć

dzisiejszą datę? Mamy rok dwa tysiące dziesiąty.

Max marszczy brwi.

– No cóż, nie mam gazety, ale... – podnosi ze stolika wiekową komórkę z pękniętym wyświetlaczem i pokazuje mi ją. Czwartek, dwudziestego drugiego lipca. Wstaje, nastawia czajnik, a ja z niedowierzaniem wpatruję się w telefon.

– Nic się nie stanie, jeśli pójdę się ubrać, podczas gdy woda będzie się gotować? – pyta. – Wrócę za pięć minut.

– Tak, tak, w porządku.

Max znika, a ja znów oddycham głęboko. Ponownie czuję, że ogarnia mnie panika. A co jeżeli zamrugam i znajdę się na przykład w Dublinie za czasów wikingów? Albo w starożytnym Egipcie? Jak długo to potrwa? Czy wróciłam tu na stałe? Zastanawiam się, do kogo zadzwonić, kogo poprosić o pomoc. Chyba mogłabym zatelefonować na medyczną infolinię NHS Direct. „Halo, wydaje mi się, że przeniosłam się w czasie. Nie, nic spektakularnego, zaledwie sześć miesięcy. Co państwo zalecają?”.

– Chcesz z mlekiem i cukrem? – Max wraca. Ma na sobie okropne luźne džinsy i wyblakłą fioletową koszulkę z nadrukiem. Ponieważ jest kolegą Davida, spodziewałam się, że będzie się ubierał w podobnym do niego stylu: eleganckim, trochę dandysowatym. On jednak wygląda niedbale. Ale nie w modnie nonszalancki sposób, tylko w taki, który zdaje się mówić: „Ubierałem się po ciemku”. Osuszył ręcznikiem włosy, a jego rozwichrzona brązowa czupryna została spacyfikowana.

– Samo mleko. Dziękuję.

Obserwuję, jak Max buszuje w szafkach i lodówce. Ma bardzo długie ręce i nogi – prawie nie musi się wysilać, by zdjąć coś z najwyższej półki. Zastanawiam się, czy spodobałby się Harriet, która lubi wysokich mężczyzn. Później wybucham śmiechem. Przeniosłam się w czasie – albo postradałam zmysły – a i tak dalej mam czas, by zajmować się swataniem.

– Coś zabawnego się wydarzyło? – pyta.

– Yhm... tak jakby. – Otrząsam się. Jeśli to się dzieje naprawdę, a wygląda na to, że tak właśnie jest, muszę zacząć zachowywać się bardziej normalnie. – Zastanawiałam się po prostu, czemu nie widziałam cię wczoraj wieczorem.

– Proszę – Max podaje mi herbatę. – No cóż, sam późno wróciłem. – Siada naprzeciwko mnie, w ręce też trzyma kubek. Ja wpatruję się w swój. Zwykła biała porcelana z Heal's, z cienką krawędzią, bo David nie znosi grubej. Korzystałam z tego kubka wiele razy.

– Jestem w trakcie przeprowadzki do Londynu, i robię to powoli. Przez ostatnie cztery lata mieszkałem w Kalifornii, w Berkeley – ciągnie Max.

– Aha. – Na wzmiankę o Ameryce natychmiast zaczynam myśleć o posadzie Davida w Nowym Jorku. – Też jesteś lekarzem.

– Nie, zajmuję się badaniem mózgu.

Chyba zaczynam kojarzyć – pamiętam, że David wspominał o przyjacielu Maksie, który przez parę dni będzie korzystał z jego kanapy, ale nie widziałam go, gdy byłam w mieszkaniu Davida. Na ramieniu jego koszulka jest poplamiona atramentem. Patrząc na nią i zastanawiam się, jak mu się udało to zrobić.

– Mieszkam teraz w Oxfordzie z przyjaciółmi – wyjaśnia Max – ale pracuję w Londynie, na Uniwersytecie Londyńskim. W którymś więc momencie będę musiał znaleźć mieszkanie. – Wypija łyk herbaty. – A co u ciebie? David chyba wspominał, że mieszkasz gdzieś w pobliżu.

– Tak, tak jest. To znaczy... – Czy w ogóle mam ze sobą klucze? Albo ubranie? Czy nadal mieszkam w swoim mieszkaniu? Zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Czuję, że znów zbliża się atak paniki.

– Wszystko w porządku? – dopytuje się Max.

– Nie wiem, gdzie jest moja torebka. Nie widziałam jej w sypialni Davida.

Max wstaje i podchodzi do barku w kuchni. Wsuwa jedno z krzeseł.

– To ta? – pyta, podnosząc torebkę.

– Tak! To ona. – Moja cudowna, cudowna torebka od Mulberry, model Alexa. Przeglądam szybko jej zawartość i chyba wszystko jest na miejscu: portfel, karta Oyster, klucze, telefon – ten stary, a nie nowy – kalendarz, trzy balsamy do ust, perfumy. Gdy kołyszę ją w objęciach, czuję, że wraca moja pewność siebie.

– Muszę cię o coś zapytać – oznajmia Max. – Czy ty wczoraj coś wzięłaś? To znaczy coś, co sprawiło, że urwał ci się film.

Podnoszę wzrok znad przytulanej torebki.

– O Boże. Nie, to znaczy wiem, dlaczego tak myślisz, ale szczerze mówiąc... – Przystaję mówić i patrzę w ciemne, zmartwione oczy Maksa. Bez wątpienia jest przekonany, że zażyłam jakiś dziwny narkotyk przygotowany w holenderskim laboratorium i że to przez niego mi odbiło. Ale tak serio, co mogę mu powiedzieć? „Wydaje mi się, że przeniosłam się w czasie, ale luz, bo teraz mogę przekonać Davida, że nie jestem psycholką?”. Lepiej nie.

– Serio, wszystko w porządku – mówię. – Wydaje mi się, że byłam kompletnie skacowana i zdezorientowana, no i nie spodziewałam się, że Davida już nie będzie, a zamiast niego zastanę ciebie. To wszystko. – Uśmiecham się do Maksa. Naprawdę nie powinnam siedzieć w koszuli nocnej i wdawać się w pogaduszki z przypadkowym gościem Davida. Muszę się ogarnąć i postarać dowiedzieć, o co chodzi – skontaktować się z Davidem, pójść do pracy i tak dalej.

Praca. Cholera jasna, praca!

– Cholera – wstaję. – Która jest godzina? Chyba bardzo się spóźnię do pracy.

– Jest, hm, ósma trzydzieści pięć.

– O kurczę. Lepiej już pójdę! Słuchaj, Max, dzięki za herbatę i w ogóle. Miło było cię poznać. – Biorę torebkę i zbiegam po schodach.

– Ej, zaczekaj! – woła Max. – Jesteś pewna, że możesz tam wejść? Chcesz, żebym zadzwonił do Davida? – idzie za mną aż do schodów.

– Nie, nie, dziękuję – krzyczę. Otwieram szafę Davida i trzymam kciuki. Błagam, niech nie będę naga jak Eric Bana w *Zaklętych w czasie*. Są: moja granatowa sukienka z Zary, wyglądająca jak projekt Moureta – bokserka z zieloną lamówką – i lakierowane koturny w kolorze nude. Czuję się, jakbym spotkała starych znajomych. Wyciągam rękę, dotykam sukienki, wyczuwam pod palcami jej materiał. Dociera do mnie zapach drewnianej podłogi, na której stoję boso. Kiedy się ruszam, deski skrzypią, wciągam w nozdrza delikatną woń wody kolońskiej Davida. Wiem, że to nie złudzenie: jestem tutaj, teraz, cofnęłam się w czasie.

Jak, do licha, do tego doszło? Próbuję wrócić myślami do poprzedniego wieczoru – albo tego, co wydawało mi się wczorajszym

wieczorem. Wyszłam na miasto z dziewczynami... wcześniej byłam w pracy... dostałam ochrzan od Karen.

Zaraz, zaraz.

Staruszka. Kazała mi pomyśleć życzenie, a ja zapragnęłam mieć Davida z powrotem.

I teraz mamy lipiec, znów jesteśmy razem. Co oznacza, że... czy to możliwe? Czy życzenie pomyślane przed sklepem Marley's faktycznie się spełniło? Czuję ciarki biegnące mi po plecach. Wiem, że to niewiarygodne, ale nie znajduję innego wytłumaczenia. Znów kręci mi się w głowie, więc muszę usiąść.

Zmuszam się do zachowania spokoju. Przeglądam kalendarz i próbuję się odnaleźć. Jeśli dziś jest dwudziestego drugiego, to wczoraj spotkałam się z Davidem i jutro zamierzam zrobić to samo. Mam to zapisane, czarno na białym: „David, 20.00, metro przy Warwick Avenue”. Teraz pamiętam. Tego wieczoru okropnie pokłóciliśmy się o Jenny i wszystko zaczęło się psuć. Ale jeszcze do tego nie doszło.

– Dziękuję ci, Panie Boże – mamroczę pod nosem. Nie wiem, jak długo to potrwa ani co się stanie, ale w tym momencie albo umarłam i poszłam do nieba, albo nadal jestem z Davidem. I mam nadzieję, że tym razem już tak zostanie.

Rozdział 4

Po wyjściu z mieszkania Davida i minięciu po drodze do stacji metra pubu Prince Alfred, po raz pierwszy wracam myślami do czerwcowego dnia, w którym poznaliśmy się w tym właśnie lokalu. Pierwsze spotkanie miało dość dramatyczny przebieg, nie tylko dlatego, że byłam wtedy na randce z innym gościem.

Poznałam Matta tydzień wcześniej na bardzo hucznej imprezie w domu Kiry. Mam mgliste wspomnienia, ale pamiętam, że był zabawny i uroczy: niski, ciemnowłosy, miał błyszczące, brązowe oczy i świetną sylwetkę. Tego wieczoru było już jasne, że posiadanie tak niesamowitego ciała miało swoją cenę. Przez pół godziny słuchałam, jak przynudzał o swoim harmonogramie treningów do triathlonu, i byłam zszokowana, jak kiepsko potrafię wyczuć innych ludzi. Wpatrywałam się w jego do połowy pełną szklankę piwa, pragnąc, by była już pusta (moja została opróżniona jakiś czas temu). Gdyby tylko skończył pić, wyszłabym. „Błagam, błagam, wypij to wreszcie” – myślałam. Była za dwadzieścia pięć dziewiąta, gdyby tylko się sprężył, zdążyłabym dotrzeć do domu i obejrzeć *The Apprentice*.

– Oczywiście najważniejszy jest hawajski Ironman – opowiadał Matt, wpychając sobie do ust kolejną garść orzeszków Nobby's Nuts. Zignorował moją sugestię, by zamówić coś do jedzenia – z czego teraz naprawdę się cieszyłam – ale pochłaniał już trzecią paczkę orzeszków.

– Te zawody są na szczycie mojej listy, ale najpierw – podniósł palec, by pokazać mi, że mam się za bardzo nie ekscytować – musisz przejść eliminacje. To też Ironmany. Ironmany to liczba mnoga odnosząca się do zawodów, a Ironmeni – do uczestników. Teoretycznie mogą to też być uczestniczki, ale wiadomo, to głównie faceci kończą te zawody. Najpierw wystartuję w Bolton. Później w Tenby, w Walii. – Wepchnął sobie do ust więcej orzeszków. – Potem... – Zakaszłał i poklepał się po klatce piersiowej.

– Nic ci się nie stało? – zapytałam i zaproponowałam mu szklankę wody.

Pokręcił głową, zaczął z trudem łapać powietrze i dusić się. Jego twarz zmieniała już kolor: z różowego na ciemnoczerwony. Ludzie wokół nas milkli i odwracali się w naszą stronę. Zeskoczyłam z krzesła i zaczęłam z całej siły walić go w plecy, desperacko próbując sobie

przypomnieć, jak wykonuje się rękoczyn Heimlicha. Wtem poczułam, że ktoś zdecydowanym ruchem odsuwa mnie na bok. To był młody mężczyzna, ciemny blondyn ubrany na biało – trzasnął Matta zdecydowanym ruchem między łopatki, uniósł go z krzesła i, obejmując od tyłu, mocno ścisnął – raz, dwa, trzy razy. Aha, czyli tak wygląda rękoczyn Heimlicha.

– Kurwa mać! – wykrzyknął Matt, odkaszlnął i wreszcie zaczął normalnie oddychać.

– Przyniosę ci wody – zaproponował jego wybawca.

– Proszę – podałam Mattowi swoją szklankę, starając się nie gapić na gościa, który przed chwilą, no cóż, uratował mu życie. Było to trudne, bo facet był boski. Krótkie, wilgotne włosy wskazywały na to, że przed chwilą wziął prysznic. Miał jasną skórę, był starannie ogolony, a jego błyszczące, choć podkrążone oczy wydawały się szczerze. Mocne ramiona skojarzyły mi się z tenisem i pływaniem, a nie godzinami spędzonymi w siłowni na podnoszeniu ciężarów. Był dobrze zbudowany, ale niezbyt wysoki, miał na sobie dżinsy i koszulkę polo: zadbane i atrakcyjny. Schludny – takie określenie od razu przychodziło mi na myśl, ale było w nim coś jeszcze, jakaś taka spokojna pewność siebie, która wydawała mi się interesująca. A właściwie bardzo interesująca. Miałam lekko otwartą buzię, więc natychmiast ją zamknęłam.

– Bardzo ci dziękuję – powiedział Matt, podając mu rękę. – Nie wiem, jak do tego doszło.

– Nie ma problemu – odpowiedział mężczyzna, ściskając jego dłoń i zerkając na puste opakowania po orzeszkach. – Już powinno być w porządku, napij się trochę wody. – Zaczęłam uważniej słuchać. To Irlandczyk! Byłam prawie pewna, że pochodzimy z tej samej części Dublina. Już otwierałam usta, by go o to zapytać, gdy Matt zwrócił się do niego:

– Pozwól mi postawić ci drinka. Przynajmniej tak się odwdzięczę.

Mogłam przysiąc, że gość, zanim odpowiedział, zerknął na moją pustą szklankę.

– Dzięki, ale nie mogę. – Później, gdy Matt znów mu podziękował, dodał: – Nie ma za co, cała przyjemność po mojej stronie. – Zerknął na mnie i lekko się uśmiechnął, po czym odszedł.

Trwało to moment, ale zdołałam zobaczyć, że jego oczy mają kolor wojskowej zieleni, i poczułam się dziwnie, prawie tak, jakby poraził mnie prąd. Patrzyłam, jak wraca do swojego kumpla, niesamowicie wysokiego gościa w okularach, z odstającymi uszami, i niechętnie oderwałam od niego wzrok.

– No cóż, to było trochę niespodziewane – powiedział Matt. Wolno pokręcił głową, a jego oczy były przepełnione tajemnicą życia i śmierci. – Huh! Niefajnie byłoby zejść przed zawodami w Bolton.

– Zrozumiem, jeśli zechcesz, no wiesz, wrócić do domu i trochę odpocząć... – zasugerowałam pełna nadziei.

– Chyba najpierw jeszcze się napiję.

– Jasne. – Po chwili zorientowałam się, że tę kolejkę stawiam ja, więc wstałam i niechętnie podeszłam do baru, rozmyślając nad tym, że niełatwo jest wyjść bez wyjaśnienia z randki z kimś, kto właśnie cudem uniknął śmierci. Gdy wracałam do stolika z kolejnym kuflem piwa dla Matta – tym razem bez orzeszków – i ginem z tonikiem dla mnie, nie mogłam się powstrzymać, by nie zerknąć na chłopaka w białej koszulce polo. On też patrzył na mnie, a kiedy nasze spojrzenia się spotkały, oboje się uśmiechnęliśmy, po czym odwróciłam wzrok.

Niesamowite, ale Matt doszedł do siebie w rekordowo krótkim czasie i wkrótce znów opowiadał o swoim gadzecie treningowym, który nazywał się gremlin, goblin czy jakoś tak. Sama nadal byłam jeszcze w lekkim szoku, ale bardzo mi ulżyło, gdy okazało się, że z nim jest wszystko w porządku. Postanowiłam nie myśleć już więcej o przystojnych nieznanym i skupić się na biednym Matcie, którego cudem udało się wyrwać ze szponów śmierci. Starłam się pozbyć myśli o tym, że wołałam, gdy się nie odzywał, choć nie posunęłabym się do tego, by życzyć mu zadławienia się na śmierć. Kiedy tak rozmyślałam nad sprawami życia i śmierci, poczułam, że ktoś na sali gapi się na mnie, i nie mogłam się powstrzymać od popatrzenia w jego stronę. Uśmiechał się do mnie. Odwzajemniłam uśmiech i szybko spuściłam wzrok. Sytuacja stawała się nedorzeczna, na dodatek było to niegrzeczne z mojej strony. Ale Matt chyba niczego nie zauważył.

– Muszę pójść na stronę – oznajmił.

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową (nienawidzę tego określenia). Po czym zaskoczona zobaczyłam, że gość w białej koszulce polo wstał dokładnie w tym samym momencie co Matt i

zaczął iść w moją stronę. Założyłam, że kieruje się do baru, ale zatrzymał się obok mnie.

– Witam ponownie – podał mi rękę. – David Fitzgerald.

– Zoe Kennedy – odpowiedziałam, podekscytowana i równocześnie przerażona. Czy na pewno Matt zaraz nie wróci? Serce waliło mi w piersi, a gdy poczułam uścisk jego cieplej, silnej dłoni, zaczęło bić jeszcze szybciej.

Podniósł wzrok i widziałam, że przyswaja informację, iż jestem Irlandką, ale nie skomentował tego w żaden sposób.

– Razem z przyjacielem Oliverem rozmawialiśmy o etyce w medycynie.

– Aha. – Staralam się, by zabrzmiało to nonszalancko, i zerknęłam na jego kumpla, który udawał, że jest zajęty grzebaniem w komórce. – A dokładniej.

– Zastanawialiśmy się, czy twój... chłopak?

– To nie mój chłopak! Jesteśmy na pierwszej randce. – Zawahałam się, ale dodałam: – I na ostatniej, szczerze mówiąc.

– Ojej, aż tak źle.

Pochyliłam się w jego stronę.

– Potrafi mówić tylko o jednym: o triathlonie.

– To w sumie trzy rzeczy – zażartował. Roześmiałam się. Chyba moja reakcja go zachęciła, bo włożył ręce do kieszeni i przeniósł ciężar ciała na pięty. – Zastanawialiśmy się, czy twojego znajomego należałoby uznać za mojego pacjenta. Jestem lekarzem – wyjaśnił. – A jeśli byłby moim pacjentem... byłoby wyjątkowo nieetyczne z mojej strony, gdybym zapytał, czy dasz mi swój numer telefonu.

– I co postanowiłeś? – rozejrzałam się zaniepokojona po sali. Matt mógł wrócić w każdej chwili.

David, zanim odpowiedział na moje pytanie, potarł oko palcem wskazującym.

– Uważamy, że udzielenie podstawowej pierwszej pomocy nie należy do tej samej kategorii co długotrwałe relacje między lekarzem a pacjentem. Gdybyś więc była gotowa dać mi swój numer telefonu, chciałbym ci kiedyś postawić drinka. – W jego oczach wykryłam błysk niepewności, który sprawił, że mężczyzna wydał mi się jeszcze bardziej seksowny.

– Jasne – uśmiechnęłam się do niego. Jakby ten facet nie był

wystarczająco atrakcyjny! Zawsze pociągali mnie lekarze. Uwielbiałam *Doktora House'a, Chirurgów*.

I wtedy stało się coś dziwnego. Cały pub, rozmowy w tle i brzęk kieliszków, wszystko zdawało się wtopić w tło. Byliśmy tylko ja i David. Zauważyłam, że na brodzie miał ledwo widoczną bliznę i żółte iskierki w zielonych oczach. Trwało to kilka sekund, ale wydawało mi się, że minęła cała wieczność.

Gdy zaczęłam dyktować Davidowi swój numer telefonu, z przerażeniem dostrzegłam, że na horyzoncie za nim pojawił się Matt.

– Super. – David znów się do mnie uśmiechnął, schował telefon, po przyjacielsku skinął głową Mattowi i spokojnym krokiem powrócił do miejsca przy barze. Zdenerwowana spojrzałam na Matta, który chyba przegapił całą sprawę. Prawdopodobnie nie zauważył nawet tego, że David schował telefon – zajmując miejsce przy stoliku, był zbyt zajęty oglądaniem własnej komórki.

– Czego on chciał? – zapytał. Zerkał to na mnie, to na telefon, pisząc SMS.

– Sprawdzał, czy wszystko ze mną w porządku. Z powodu szoku i w ogóle.

– Aha, super – skinął głową Davidowi i pokazał mu dwa podniesione kciuki.

•

Trzy dni później David zadzwonił i zaprosił mnie na randkę. Zdenerwowana, zaproponowałam puby usytuowane w pobliżu mojego domu.

– Oczywiście to zależy od twego miejsca pracy – dodałam. – Gdzie pracujesz? Jeśli w centrum, znam taki całkiem fajny pub.

– W sumie to chciałem zaprosić się na kolację do Oxo Tower. W środę o dwudziestej.

– Aha, tak, świetnie. – W większości przypadków to ja zajmowałam się logistyką randek, ale najwyraźniej David nie działał w ten sposób.

Byłam pod jeszcze większym wrażeniem, gdy dotarłam do Oxo Tower. Nasz stolik stał na tarasie, z którego rozpościerał się niesamowity panoramiczny widok na Tamizę. Słońce zachodziło, na niebie pojawiły się fioletowe pręgi przypominające wzorzyste szaliki

Etro, które niedawno dostarczono do sklepu, a mrugające światła miasta pojawiały się jak pierwsze gwiazdy. Można było dostrzec aż London Eye i Canary Wharf. To była jedna z tych chwil, o których marzyłam, odkąd zamieszkałam w Londynie, ale aż do tamtego dnia nie miałam okazji ich przeżyć.

Podczas kolacji dowiedziałam się, że David ma dwadzieścia dziewięć lat i pracuje na oddziale torakochirurgii w szpitalu St. Mary w Paddington.

– Pewnie często to słyszysz, ale nie mogłabym być lekarzem. Nie znoszę widoku krwi.

– Można się do tego przyzwyczaić. Widzisz tę bliznę? – wskazał palcem na brodę, na bladą szramę w kształcie litery V. – Tę ranę odniosłem, gdy byłem początkującym lekarzem i asystowałem przy pierwszej operacji pomostowania tętnic wieńcowych. Pracowaliśmy już przez kilka godzin, byłem bardzo zmęczony i zemdlałem. Rozwalilem sobie podbródek na podłodze i musieli mi założyć siedem szwów. Ale zmusiłem się do powrotu na salę operacyjną, ponieważ wiedziałem, że to właśnie chcę robić.

– Dlaczego?

– Bo to najwyższa forma chirurgii. Możesz schrzanić operację nogi i pacjent przeżyje, ale serce to kwestia życia lub śmierci – napełnił ponownie mój kieliszek winem. – A ty? Co robisz.

Opowiedziałam mu, że przeprowadziłam się do Londynu, żeby znaleźć pracę związaną z modą, najchętniej jako specjalistka od zakupów, ale obecnie jestem ekspedientką w Marley's. Martwiłam się, że będzie patrzył z góry na moją wiejską posiadłość, ale on tylko powiedział.

– Jestem pewien, że dostaniesz wymarzoną pracę, jeśli faktycznie tego pragniesz. To oczywiste, że jesteś dziewczyną, która otrzymuje to, czego chce.

Rozmawialiśmy przez chwilę o pracy, po czym odstawił swój kieliszek i, intensywnie się we mnie wpatrując, zapytał:

– No więc, Zoe, najwyższy czas, bym zadał ci to pytanie: w której części Dublina mieszkałaś.

– Blackrock – zaśmiałam się. – A ty.

– Donnybrook. To co, może pominiemy całe to „a gdzie chodziłeś do szkoły” i „czy znasz mojego kuzyna Joe”?

Bardzo często spotykałam w Londynie Irlandczyków, którzy mieli obsesję na punkcie tego typu rozmów. Podobało mi się, że David potrafił się z tego śmiać. Kiedy powiedział, że uczęszczał do Belvedere, pokiwałam głową z aprobatą. Lubiłam chłopaków z Belvedere – nie byli tak arogancy jak ci ze szkół, w których grywano w rugby, na przykład Blackrock.

– A gdzie dokładnie mieszkają twoi rodzice w Donnybrook? – spytałam.

– Niedaleko centrum Merrion.

– Aha, czyli bliżej Sandymount? Przy której ulicy? – Teraz byłam już bardzo zaciekawiona: miałam swoje podejrzenia, dlaczego tak powściągliwie wypowiadał się na ten temat.

– Shrewsbury – odpowiedział, potwierdzając moje przypuszczenia. Shrewsbury Road to najdroższa ulica w całym Dublinie, przy której stoją okazałe wiktoriańskie rezydencje. W okresie największej prosperity jeden z domów przy tej ulicy został sprzedany za pięćdziesiąt osiem milionów euro. Rodzina Davida bez wątpienia była nadziana, ale podobało mi się, że on sam nie obnosił się z tym.

– To jednak daleko od Belvedere, nieprawdaż? Jak to się stało, że nie chodziłeś do Gonzagi.

– Mój tato uczęszczał do Belvedere. I tak, to Dermot Fitzgerald ze szpitala Mater. – Uśmiechnął się szeroko. – Wiem, że o to nie pytałaś. Ale wszyscy w Dublinie zadają to pytanie. Dlatego przyjechałem studiować tutaj, w Imperial, a nie w dublińskim Royal College of Surgeons, do którego uczęszczali wszyscy Fitzgeraldowie od czasów epoki lodowcowej. Ojciec do tej pory mi tego nie wybaczył.

– Wyczułam w jego żarcie odrobinę napięcia, które sprawiło, że David spodobał mi się jeszcze bardziej – o ile w ogóle było to możliwe.

– No cóż, wielki szacunek za to, że uciekłeś z miasta. Wiem, co masz na myśli. Dublin jest czasem taką wiochą. Wszyscy się znają.

– Dokładnie tak – zgodził się David. Gestem wskazał otaczające nas, migoczące setkami świateł miasto: siedzibę parlamentu, London Eye, Gherkin, niedokończony Shard. – A Londyn to zimna, okrutna metropolia, w której nikogo nie obchodzi, gdzie chodziłeś do szkoły ani kim jest twój ojciec. – Wzniósł kieliszek. – Pokochasz to miasto.

Uśmiechnęłam się, ale poczułam się nieswojo. Planowałam zostać w Londynie rok albo dwa, tylko tyle, ile trzeba, by rozpocząć

karierę. Później wracam do domu. David jednak sprawiał wrażenie, jakby chciał tu zamieszkać na stałe. Oczywiście, to była nasza pierwsza randka i było zbyt wcześnie, by myśleć o takich sprawach, ale...

– Wyobrażasz sobie powrót na stałe do Dublina? – spytałam niezobowiązująco.

– Pewnie. Zwłaszcza teraz, gdy mój tato przeszedł na emeryturę. A ty.

Pokiwałam głową. Byłam podekscytowana. Jakie miałam szanse, że po przyjeździe do Londynu spotkam tutaj idealnego Irlandczyka.

Od tamtego dnia widywaliśmy się tak często, jak to było możliwe. Gdy spotykałam się z moimi wcześniejszymi chłopakami, to ja byłam odpowiedzialna za robienie planów, szukanie interesujących wydarzeń i rzeczy do zrobienia. W tym wypadku to David podejmował decyzje i zabierał mnie gdzieś, nawet jeśli był zmęczony. Poszliśmy do teatru szekspirowskiego, na kolację do River Café, na martini do Duke's Hotel. Wybraliśmy się nawet na Wimbledon na mecz Federera (jego ulubionego zawodnika), który rozbił Arnauda Clémenta. Gdy siedzieliśmy tam w upalnym słońcu i obserwowaliśmy graczy biegnących tam i z powrotem (dwie białe smugi na zielonej trawie), a ja widziałam piękny profil Davida, aż musiałam się uszczypnąć.

David był też pierwszym moim facetem, który potrafił mi odmówić. Zauważyłam to, kiedy poszliśmy razem do kina, jakieś dwa tygodnie po naszej pierwszej randce. Byłam przekonana, że ktoś siedzący za mną kopie w mój fotel. David kazał temu komuś przestać, co na chwilę poskutkowało, ale po chwili sytuacja się powtórzyła. Zmieniliśmy miejsce, po czym osoba siedząca obok mnie zaczęła hałasować, odpakowując słodycze. Ale kiedy znów zaproponowałam zamianę miejsc, David odmówił.

– Ludzie zawsze zachowują się w kinie w irytujący sposób, Zoe – powiedział. – Musisz to po prostu zignorować.

To sprawiło, że hałas ucichł. A ja uświadomiłam sobie, że nie mogę rządzić Davidem tak, jak to robiłam z poprzednimi chłopakami – na przykład Paulem, który nadal od czasu do czasu znajdował głupią wymówkę, by się ze mną skontaktować. Wiedziałam, że podobam się Davidowi, ale miałam też świadomość, że nie mogę go brać za pewnik. Po raz pierwszy, mając dwadzieścia siedem lat, byłam zakochana. A wtedy.

A wtedy wszystko zaczęło się psuć – a właściwie to ja wszystko zepsułam. Ale nie zamierzam teraz o tym myśleć. Gdy pociąg zatrzymuje się na Oxford Circus, wysiadam z niego pełna wdzięczności za to, że dostałam drugą szansę.

Rozdział 5

Rachel – syczę do telefonu. – Rachel, słyszysz mnie.

– Tak – odpowiada też sycząco. – Czemu szepczesz.

– Bo wydarzyło się coś niesamowitego. I chciałam ci o tym powiedzieć osobiście, ale nie mogłam się doczekać, więc dzwonię.

Słyszę, jak nabiera powietrza.

– Zareczyłaś się z Davidem.

– Nie, nie o to chodzi. – Od razu czuję, jak uchodzi ze mnie powietrze, ale później przypominam sobie, że to nadal jest możliwe! – Nie, chodzi o to... o Boże, wiem, że to zabrzmia idiotycznie, ale... – Pochyliłam się jeszcze niżej, żeby nikt mnie nie usłyszał, co jest trudne, bo stoję na ulicy, mam pierwszą przerwę. – Cofnęłam czas.

– Co zrobiłaś? – pyta Rachel. – Co masz na myśli, mówiąc, że cofnęłaś czas? Kupiłaś sobie nowy krem nawilżający czy coś podobnego.

– Nie, chodzi o to... – waham się. Rachel nawet nie wierzy w znaki zodiaku. Czy na pewno mogę jej się zwierzyć, że doświadczyłam podróży w czasie.

– Trudno to wyjaśnić. Byłoby łatwiej, gdybyśmy się spotkały. Robisz coś dziś wieczorem.

– Tak, wybieramy się na kolację z Jayem. Zaprosił mnie do Coq d'Argent – wydaje się tym faktem bardzo podekscytowana. – Mieliśmy iść tydzień temu, ale Jay się rozchorował.

Już mam się zapytać, czemu, do cholery, się z nim spotyka, gdy przypominam sobie: jasne, przecież nadal się z nim umawia.

– Rachel... – na końcu języka mam już ostrzeżenie dotyczące Jaya i jego prowadzenia się, chcę też jej powiedzieć, że jego tajemnicza choroba z poprzedniego weekendu zostanie wkrótce zdiagnozowana jako „drugadziejczynoza”.

Ale nie ma mowy, żebym opowiedziała przyjaciółce, co się stało. Pomyśli, że jestem świrnięta. Będę musiała spróbować ostrzec ją w inny sposób.

Po rozmowie z Rachel dzwonię do mamy. Zawsze to robię, gdy mam za sobą długą podróż, a przeniesienie się w czasie z pewnością do takich się zalicza.

– Wszystko w porządku? – pytam, odczuwając nagły niepokój. –

A tato.

– Czuje się świetnie, Zoe – odpowiada zaskoczona. – Jest w fabryce.

Tato miał już odejść na emeryturę i zrezygnować z prowadzenia firmy, która buduje i wyposaża place zabaw dla dzieci, ale podczas ostatnich wakacji – to znaczy tych wakacji – zaczął się martwić z powodu faceta, którego zatrudnił do zarządzania fabryką, więc znów musiał się w niej pojawiać. Rozmawiamy z mamą przez chwilę, po czym pyta mnie, tym swoim ciepłym tonem zarezerwowanym na rozmowy o Davidzie.

– A jak się miewa twój młodzieniec.

– Miewa się... świetnie! Poszliśmy wczoraj do teatru. – Jestem taka szczęśliwa, że nie muszę jej rozczarować, przekazując złe wieści. Mama uwielbia słuchać o Davidzie, i szczerze powiedziawszy, wcale się jej nie dziwię.

– Czy to nie cudowne, że robi te wszystkie wspaniałe rzeczy, choć pracuje nie wiadomo jak długo.

– Zgadza się – uśmiecham się na myśl, że mogę mówić o Davidzie w czasie teraźniejszym.

– Zapomniałam ci powiedzieć – dodaje. – Biedny Paul wpadł do nas któregoś dnia.

Mój związek z Paulem był jedną z tych znajomości, które powinny się zakończyć po miesiącu lub dwóch, ale ponieważ pracowaliśmy razem, mieliśmy mnóstwo wspólnych znajomych i mieszkaliśmy blisko siebie, trwało to całe dwa lata. Jego rodzice mieszkają w Blackrock, niedaleko moich, i nawet się zaprzyjaźnili, co raczej nie pozwala Paulowi o mnie zapomnieć.

– Naprawdę? Czego chciał? – Świetnie pamiętam, ale udaję zaskoczoną.

– Mówił coś o twoich butach. Powiedział, że znalazł je podczas przeprowadzki. Wyglądają na bardzo stare, Zoe. Nie wiem, czy będziesz je chciała jeszcze nosić, a na mnie nie pasują. – Mama była kiedyś wielką fanką Paula, ale zapomniała o nim w sekundzie, gdy na scenie pojawił się David.

– Nie, mamo, nie chcę ich. Oddaj je jakiejś organizacji charytatywnej, jeśli to nie problem.

Jeżeli David to chłopak, którego straciłam, Paul jest tym, który

nie chce mnie stracić. Kiedyś miałam z jego powodu poczucie winy, ale teraz już wiem, że przed końcem roku pozna uroczą dziewczynę, asystentkę stomatologiczną, i wreszcie przestanie dzwonić i esemesować.

Kończymy rozmowę, a ja oddycham z ulgą. Jestem szczęśliwa. Jest cudowny, słoneczny poranek w Soho. Są tu wszyscy młodzi i pełni nadziei ludzie: stażyści z magazynów modowych oddają ubrania od projektantów, inni osobiście doręczają taśmy i płyty z następnym potencjalnym hitem, modelki śpieszą się na castingi, aktorzy przygotowują się do zdjęć próbnych. Wpatruję się w dziewczynę w niebieskiej spódnicy z koła, która wygląda na oryginał z lat pięćdziesiątych. Do tego ma dopasowaną džinsową kamizelkę i czerwoną wzorzystą apaszkę zawiązaną na głowie. Pamiętam ją! Widziałam ją sześć miesięcy temu! Kładę dłoń na ścianie budynku: stoi mocno, jest ciepła w dotyku. Ale bez względu na podróżę w czasie moja przerwa dobiega końca, więc wbiegam z powrotem do sklepu.

•

Sześć miesięcy temu – albo wczoraj – przed sklepem było bardzo zimno, a w środku naprawdę ciepło. Teraz jest dokładnie na odwrót. Gdy wchodzę, uderza mnie fala zimnego klimatyzowanego powietrza, dającego cudowny chłód po żarze, jaki panuje na ulicach. Przy kasie już czeka na mnie Karen i spogląda na zegarek. Moja przerwa trwała mniej niż przepisowe dziesięć minut, ale ona zawsze sprawdza czas, gdy wracam z przerwy. A także kiedy przychodzę rano do pracy i gdy z niej wieczorem wychodzę.

– O, jesteś – mówi. – Chciałabym, żebyś zmieniła mnie za kasą, dobrze?

– Oczywiście. – Zastanawiam się, co by powiedziała, gdybym wyznała jej, że cofnęłam się o pół roku w czasie, a nie tylko przyszłam dwie minuty przed końcem przerwy. W sumie czy mogłoby to zostać uznane za nadgodziny.

Karen jest trochę po trzydziestce, całkiem atrakcyjna, tylko trochę przy kości. Ma owalną twarz, małe, zaciśnięte usta i ciemne włosy, zawsze ładnie upięte, a jej makijaż każdego dnia wygląda tak samo: przydymione oko z dużą ilością niebieskiego cienia do powiek. Odnosi się do mnie podejrzliwie, chyba wydaje jej się, że według mnie

to zajęcie jest poniżej moich zdolności. W pierwszym tygodniu pracy, gdy zapytałam ją, czy mogę przesłać przypomnienie klientowi, który przekroczył o jeden dzień miesięczny termin zwrotu wypożyczonych ubrań, odpowiedziała:

– Myślę, że konsultantka do spraw zarządzania jest w stanie odpowiedzieć na takie pytanie.

– Czuje się zagrożona – Rachel natychmiast postawiła diagnozę, gdy zreferowałam jej to wydarzenie. – Jak z podręcznika. Widzi, że masz bogate doświadczenie zawodowe, odczuwa niepokój, więc próbuje cię zdołować.

– Jakie bogate doświadczenie? Nie mam takiego! Byłam tylko młodszym analitykiem, cały dzień dłubałam w tabelkach w Excelu.

– Ale skończyłaś Trinity i pracowałaś w PwC. Pewnie sądzi, że chcesz zająć jej miejsce. I że spisałaś się lepiej niż ona.

Tak naprawdę interesuje mnie inna praca – chcę być specjalistką od zakupów, ale wiem, że to nie przekona Karen do mnie, więc postanowiłam się po prostu uśmiechać i wyhodować sobie grubą skórę, gdy trzeba będzie mieć z nią do czynienia.

– Mam spotkanie z gościem z Hugo Bossa – oznajmia. Wpatruję się w nią, gdy odchodzi, i przypominam sobie, że już to słyszałam. No tak, to już się wydarzyło. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam do tego przywyknąć.

– Tylko tę jedną rzecz – pięćdziesięcioparoletnia klientka z hełmem ufryzowanych kasztanowych włosów kładzie przy kasie różowy pierzasty kapelusz od Philipa Treacy’ego. Gapię się na nią i jej zakup. Pamiętam ją: zwróci nakrycie głowy po tygodniu, tłumacząc, że jednak nie pasuje do jej fryzury.

– Jest pani pewna? – pytam, kierowana szalonym impulsem.

– Słucham?

– Przepraszam, zastanawiałam się, czy nie potrzebuje pani czegoś jeszcze – sięgam pod ladę i wyjmuję pudło na kapelusze, po czym wypełniam je ostrożnie specjalnym papierem.

– Nie, dziękuję – odpowiada i zabiera torbę, nie patrząc na mnie.

– Proszę bardzo – mówię, ale już jej nie ma. To niesamowite, ilu klientów potrafi ani razu nie spojrzeć człowiekowi w oczy podczas całej transakcji.

To jeden z naszych spokojniejszych dni. Nie cieszy mnie myśl, że

będę musiała przejść przez to jeszcze raz: godziny przestoju, gdy stoisz przy kasie, dołożyłaś już towar na wieszaki i nie masz nic do zrobienia, możesz tylko wpatrywać się w dal i od czasu do czasu wytłumaczyć komuś, jak dojść do toalety, albo niczym sęp osaczyć jedyne go klienta i spytać go, czy możesz mu pomóc. Mam o wiele lepsze samopoczucie, gdy jestem zajęta.

Dziwnie się czuję ze świadomością, że lipcowe wyprzedaże, bardzo żywe w mojej pamięci, jeszcze się nie wydarzyły. Niemal kręci mi się w głowie. Możliwe, że mam halucynacje. Jestem w pełni przygotowana na to, iż w każdej chwili mogę zamrużyć oczami i zorientować się, że wszystko to zniknęło i znów jest grudzień.

Kątem oka dostrzegam mignięcie blond włosów, co oznacza, że Julia, szefowa damskiego działu zakupów, robi jeden ze swoich przeglądów. Większość sprzedawców z pozostałych działów pracuje w głównym biurze przy Paddington, ale pracownicy damskiego działu swoje miejsca pracy mają w tym budynku. Jestem zazdrosna, gdy widzę, jak wchodzi – spacerują, niosąc w dłoni filiżankę z cappuccino albo trzymając pod pachą katalogi czy próbki, rozmawiają o pokazie, na którym niedawno byli, bądź o ostatnim wyjeździe do Mediolanu. O tym właśnie marzę.

Wszyscy kupcy pracują na szóstym piętrze. Nie można tam dostać się normalną windą – jest oddzielna i aby z niej skorzystać, trzeba mieć przepustkę. Jechałam nią tylko dwukrotnie: raz, gdy podekscytowana dotarłam na szóste piętro, by odbyć rozmowę kwalifikacyjną na stanowisko asystentki do spraw zakupów, i drugi raz, kiedy zjeżdżałam na dół, wiedząc, że ją spieprzyłam.

– Nie chodzi o to, Zoe, że naszym zdaniem nie drzemie w tobie potencjał – powiedziała mi szefowa działu, Julia. – Ale masz bardzo mało doświadczenia. Twój czas jeszcze nie nadszedł.

Zasugerowała, żebym wieczorowo studiowała modę. To świetny pomysł, ale nie stać mnie na chesne. Mama i tato zaproponowali, że mi je pokryją, lecz nie chcę im na to pozwolić. Zamierzam wszystko sama osiągnąć. Poza tym studia trwają rok, a ja nie mogę tak długo czekać.

Ale zaraz. Obok Julii idzie starsza asystentka działu zakupów, Hannah. Ta, która zaraz złoży wypowiedzenie. To oznacza, że rozmowa jeszcze się nie odbyła. Dostaję drugą szansę.

Podekscytowana obserwuję, jak Julia i Hannah przechadzają się

po sklepie, zatrzymują się przy wieszakach i witrynkach. Normalnie nie powinny dziś robić obchodu, wydaje mi się, że ustalają obniżki cen. Julia bierze krótką sukienkę w geometryczny wzór, a ja mrugam i pamiętam dokładnie, jak to zrobiła poprzednim razem, pół roku wcześniej.

– Niezbyt dobrze się sprzedają, nieprawdaż? – z tym pytaniem zwraca się do Hannah. – Co mówią klienci.

Hannah sprawia wrażenie zszokowanej. Julia spogląda na nią z wyczekiwaniem, po czym idzie w stronę wieszaka z ubraniami Malene Birger. Wiem, co się zaraz stanie: Hannah podejdzie i zada mi to pytanie.

– Cześć, Zoe – wita się, zerkając na mój identyfikator. Wygląda na trochę podenerwowaną. – Powiesz mi, co klienci mówią na temat tych sukienek.

Hannah jest wysoka, szczupła i ma długie jasne włosy, które często przerzuca z jednej strony głowy na drugą. Wiem, że spotyka się z fotografem, który najwyraźniej ma dużo znajomości, bo Hannah wkrótce się zwolni i zacznie pracować w PR mody.

– Podobno nie są dobrze uszyte. Możesz włożyć całą dłoń między guziki. – Dokładnie to samo odpowiedziałam poprzednim razem. Ale teraz dodaję:

– Powiem ci jednak, co się bardzo dobrze sprzedaje: długie sukienki. Wydaje mi się, że kilka dni temu wyprzedały się wszystkie rozmiary. Czarne są super, ale klienci chcieliby też mieć je w innych kolorach.

Dołącza do nas Julia. Ona też ma długie blond włosy, ale w przeciwieństwie do prostych i krótszych włosów Hannah są one kręcone i prawie sięgają jej talii. Spoglądam na nią z nadzieją, zastanawiając się, czy słyszała moją uwagę albo czy chociaż ją przemyśli. Ale podobnie jak ostatnim razem Hannah odwraca się do mnie plecami, dosłownie zasłaniając moją osobę przed wzrokiem Julii, i mówi.

– Jeśli pytasz o moje zdanie, krój tych sukienek jest niedobry. Ale długie suknie cieszą się dobrą opinią. Powinniśmy zastanowić się nad zamówieniem ich w innych kolorach.

– Dobrze, przyjrzymy się liczbom – proponuje Julia.

Nie wierzę w to. Gdy stało się to po raz pierwszy, wydawało mi

się, że Hannah nie chciała wyjść przed szefową na idiotkę, co było irytujące, ale dało się zrozumieć. Ale teraz wiem, że wkrótce się zwolni. Czy nie mogłaby dać mi choć cień szansy.

– A co z tym wzorem? – Julia poszła dalej i trzyma teraz w ręce kolejną krótką sukienkę bez rękawów. Ledwo się mogę powstrzymać: pamiętam ją! Obniżyliście ceny, po czym widziano Keirę Knightley w takiej sukience i pokazano ją w „Grazii”. Wyprzedziła się w ciągu jednego dnia; była z przeceny, a mogliśmy jej sprzedać dużo więcej. Otwieram usta, próbując obrać najlepszą strategię, by powiedzieć o tym Julii, ale przeszkadza mi klientka.

– Przepraszam, gdzie jest toaleta.

Tłumaczę, jak dojść do WC i nadal jestem oszołomiona tym, co się dzisiaj stało. Julia i Hannah poszły już dalej, nawet na mnie nie spojrzęły. Nie mogę uwierzyć w to, że jestem tak tępa i dopiero teraz to do mnie dociera.

Wiem wszystko.

Wiem, co się sprzeda, a co nie znajdzie nabywców. Wiem, że obniżą cenę tych luźnych kurtek, uznając, że moda na nie minęła, a tymczasem moglibyśmy sprzedać ich mnóstwo i to po normalnej cenie. Wiem, że sukienka do łydek nie zmieni swojej ceny, choć powinna być na wyprzedzi. Wiem, że zamówienie na długie suknie zostanie zrealizowane zbyt późno i nic z niego nie będzie. Gorączkowo zastanawiam się, co jeszcze mogłabym im powiedzieć.

Ale komu.

Gdy tylko wraca Karen, postanawiam podjąć ryzyko i ją zapytać.

– Karen... ta wyprzedaż w przyszłym tygodniu.

– Tak? O co chodzi? Obawiam się, że jest już za późno na zmianę grafików.

– Nie, nie. Chodzi o to, że mam parę pomysłów na to, co powinno mieć niższą cenę. Komu mogłabym o tym powiedzieć.

Moja szefowa patrzy na mnie, jakbym mówiła po marsjańsku.

– Pomysły na to, co powinno mieć niższą cenę? O czym ty mówisz.

– Sugestie, co się sprzeda dobrze, a co nie.

Karen wpatruje się we mnie bezmyślnie przez chwilę, po czym mówi.

– Ach tak, oczywiście! Czemu nie wjedziesz na szóste piętro i

poprosisz o rozmowę z szefową działu zakupów? Albo z samym dyrektorem zarządzającym? Jestem pewna, że chętnie wysłuchają twoich wskazówek. A wcześniej idź, proszę, do magazynu. Znajduje się tam parę rzeczy wymagających prasowania.

Nasz sklep jest ekskluzywny, ale nieszczególnie modny, w przeciwieństwie do Harvey Nichols czy Selfridges. Nasze najlepiej sprzedające się marki to Jaeger, Gucci i Louis Vuitton. Staramy się jednak przyciągać też coraz więcej młodszych klientów, dzięki takim markom, jak McQueen, Temperley czy Marc Jacobs – choć wydaje mi się, że moglibyśmy sobie pozwolić na wprowadzenie kolejnych. Czasem z opowieści Karen wnioskuję, że coś ekscytującego dzieje się na poziomie planowania strategicznego, i żałuję, że nie wiem więcej na ten temat.

Magazyn mieści się w piwnicy. Jest ogromny, a wieszaki i szafki są tak wysokie, że aby dosięgnąć niektórych towarów, trzeba skorzystać z drabiny. Harriet tu jest, zajęta prasowaniem. Wydaje mi się, że pokłóciłyśmy się w tym miejscu o coś, ale nie mogę sobie przypomnieć powodu sprzeczki.

– O, cześć, Zoe – mówi, dodając identycznie jak wcześniej: – Jestem w połowie tego wieszaka, więc może zaczęłabyś prasować ubrania wiszące na tamtym? Oczywiście, o ile to nie problem – dodaje szybko, jakby nie chciała wydawać mi poleceń.

Harriet jest studentką i pracuje podczas letnich wakacji. Studiuje filologię angielską na uniwersytecie w Leeds. Jest marzycielką i romantyczką. Powiedziała mi, że chciała tam studiować, żeby móc przechadzać się po wrzosowiskach jak Cathy w *Wichrowych Wzgórzach*, co, jak sądzę, wyczerpuje temat. W pewnym sensie rozumiem, dlaczego Kira przezwała ją moją miniaturką. Obie jesteśmy drobnymi brunetkami, mamy jasną skórę i niebieskie oczy. Różni nas tylko to, że Harriet może się pochwalić cudownymi, falowanymi włosami, podczas gdy moje są proste jak druty, cienkie i oklapłe. Chciałabym mieć puszystą burzę włosów, ale to nierealne. Zajmuję stanowisko obok Harriet i wyjmuję prasowacz parowy. Uwielbiam prasować. Widok zagnieceń znikających jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki bardzo mnie uspokaja i nie wiedzieć czemu, daje o wiele więcej satysfakcji niż prasowanie zwykłym żelazkiem.

– Przy okazji, kupiłam sobie te zielone czółenka ze skóry pytona!

Mam nadzieję, że się nie gniewasz – oznajmia Harriet i wyciąga nieśmiało stopę, by pokazać mi but. – Nie mogłam się oprzeć, a została już tylko jedna para w moim rozmiarze.

No jasne! To dziś pokłóciłyśmy się o to, że Harriet „naśladuje” mój styl. Prawdopodobnie wynika to z tego, że obie mamy czterdziestoprocentową zniżkę dla pracowników, ale nie mogłam nie zauważyć, że ciągle kupuje to samo co ja. Próbowałam nie zachowywać się jak dziecko i nic nie powiedziałam, gdy zdecydowała się na zakup takiej samej szarej szyfonowej spódniczki do połowy łydki z Ghost oraz białej koronkowej bluzki Jaeger, ale te buty na płaskim obcasie od Marca Jacobsa były kroplą, która przepełniła czarę goryczy.

– Buty też? – zapytałam. – Harriet, daj spokój. Zmieniasz się w mojego kлона. – Gdy to usłyszała, była załamana, a ja czułam się głupio przez kilka tygodni.

Ale tym razem zachowuję się inaczej.

– Oczywiście, że się nie gniewam – zapewniam ją uprzejmie. – Świetnie w nich wyglądasz.

Promienieje, a ja myślę: to niesamowite. Nie tylko mam szansę odzyskać Davida – mam nadzieję – ale też mogę być lepszą przyjaciółką i uniknąć różnych błędów. Na pewno nie kupię tej neonowej żółtej koszulki na ramiączkach ani tych skórzanych spodni. Nie pójdę do tego salonu, w którym tak fatalnie zafarbowano mi brwi, że wyglądałam, jakbym miała na twarzy dwie gąsienice.

– Jak ci idzie poszukiwanie współlokatorki? – pyta Harriet.

– Co takiego.

– Nie rozmawiasz w tym tygodniu z potencjalnymi współmieszkankami.

– Tak, tak. W porządku, super! – Nie mam nawet zamiaru tracić na to czasu: wybiorę po prostu Deborah, tak samo jak wcześniej. Ma lekką skłonność do ponuractwa i lubi rządzić, ale jest OK.

Chciałabym jednak wymyślić, co zrobić z pracą. Mam wszystkie te swoje przypuszczenia, ale jak je wcielić w życie.

– Harriet, co byś zrobiła, gdybyś naprawdę wierzyła w jakiś produkt albo wiedziała o czymś, co sprawi, że to coś wypali, i chciała o tym powiedzieć ludziom? To znaczy kierownictwu.

Spogląda na mnie wielkimi oczami.

– Nie wiem – odpowiada, sprawiając wrażenie zakłopotanej. –
Chyba nic.

Kiwam głową i myślę, że to całkiem rozsądne podejście. Dla Harriet to tylko praca na wakacje, więc w jej przypadku wychylenie się jest całkowicie pozbawione sensu. Zastanawiam się, co by się stało, gdybym podążyła za sarkastyczną radą Karen i udała się na górę, żeby przedstawić moje pomysły kierownictwu działu zakupów – może nawet dodałabym, że pochodzę z przyszłości. Powiedziałabym, że po trzydziestu sekundach przyjdzie ochrona i siłą wyprowadzi mnie stamtąd. Ale wielu ochroniarzy będzie pracowało w przyszłym tygodniu w sklepie, podczas wyprzedaży. Być może nadarzy się okazja, żebym mogła się podzielić przynajmniej kilkoma pomysłami z Julią albo kimś takim.

– No to co robiłaś wczoraj wieczorem? – pyta mnie Harriet.

– Yhm... – Harriet jest jedyną osobą, która prawdopodobnie uwierzyłaby, gdybym powiedziała, że przeniosłam się z czasie, ale nie warto ryzykować. – Poszliśmy z Davidem na *Hamleta* do Globe. – Przypominam sobie Maksa i zastanawiam się, czy powie Davidowi o tym, w jakim stanie byłam dziś rano. Naprawdę mam nadzieję, że tego nie zrobi.

Harriet odkłada prasowacz i przyciska do siebie koszulkę z długim rękawem, nie myśląc o tym, że dzięki temu całkiem ją wygniecie.

– To takie romantyczne! Ale z ciebie szczęściara.

– Tak, jestem szczęściarą! – zgadzam się gorliwie i wiem, że nie ma pojęcia, o czym mówi. – A ty? Co robiłaś.

– Spotkałam się ze znajomymi ze szkoły, których nie widziałam od lat. Poszliśmy do Hyde Parku i urządziliśmy piknik. Było naprawdę super.

Wpatruję się w nią. Znajomi ze szkoły.

– To jest to! – stwierdzam.

– Co takiego? – pyta, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej zagubionej.

Odpowiadam wymijająco. Muszę się skontaktować z Sinead Devlin tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli będę miała szczęście, nie podpisała jeszcze kontraktu z Harvey Nichols. Mogę pokazać jej projekty naszym kupcom i jestem stuprocentowo pewna, że dostrzegą

jej potencjał. I zrobię na nich wrażenie podczas wyprzedaży, i nie schrzanię aplikacji na posadę asystenta działu zakupów. Odkładam prasowacz i czuję, jak narasta we mnie ekscytacja. Tym razem musi mi się udać.

Rozdział 6

Jest za pięć ósma wieczorem, a ja mam za chwilę spotkać się z Davidem. Jestem tak podekscytowana i zdenerwowana, że aż mnie mdli i trzęsą mi się ręce. Ledwo udaje mi się zapiąć naszyjnik. Prostuję się i oceniam swój wygląd, dokładnie oglądam sztuczną opaleniznę. To jedna z wad, z jaką muszą się borykać Irlandki z jasną skórą. Choć moje włosy są niemal czarne, skórze dosłownie brakuje melatoniny. Tak więc muszę nie tylko smarować się kremem z filtrem 50, lecz także od maja do września nakładać samoopalacz. Bywa to kłopotliwe, ale dzięki temu wszystko mam poprawione: znikają niedoskonałości, wyglądam na zdrowszą, bardziej wysportowaną, nawet szczęśliwszą.

Postanawiam nie ubierać się na tę randkę tak samo jak poprzednim razem. Sukienka była bardzo ładna: biała, z koronki, z krótkim rękawem, do kolan. W stylu Dolce & Gabbana, ale z Topshopu. Jednak teraz mam z nią złe skojarzenia. Zakładam białą jedwabną koszulkę od Alexandra Wang (kupioną z rabatem siedemdziesiąt procent na The Outnet), różowe szorty i czarne wysokie espadryle.

Przed wyjściem siadam i biorę kilka głębokich wdechów. Przeglądam swój nowy nabytek: *The Rules*²). Niektóre porady są raczej beznadziejne („Nałóż na usta szminkę, gdy idziesz biegać!”), ale generalne przesłanie poradnika jest następujące: zawsze wyglądamy świetnie, udawaj trudną do zdobycia, zadbaj o przyjemną atmosferę, zamiast narzekać i prowokować kłótnie. I dokładnie tak mam zamiar się zachowywać.

2) Książka *The Rules: Time-Tested Secrets for Capturing the Heart of Mr. Right* autorstwa Ellen Fein i Sherrie Schneider, bestsellerowy poradnik wydany w USA w latach dziewięćdziesiątych, w którym autorki radziły czytelniczkom, jak usidlić ukochanego mężczyznę (przyp. tłum.).

•

Unikałam pojawiania się w pobliżu Warwick Avenue, gdzie mieszka David, bo smuciła mnie sama moja obecność w tym miejscu (słuchałam też w kółko *Warwick Avenue* w wykonaniu Duffy, aż moja

współlokatorka Deborah błagała, bym ją wyłączyła). Kiedy dostrzegam Davida stojącego na zewnątrz, przy wyjściu ze stacji metra, w jasnoniebieskiej koszuli z podwiniętymi rękawami i džinsach, muszę się na moment zatrzymać i wziąć kolejny głęboki oddech.

– Zoe – robi krok w moją stronę. – Ładnie wyglądasz.

Dotyka ustami moich warg, a ja odpowiadam mu namiętym pocałunkiem. Wydaje mi się, jakbyśmy się całowali po raz pierwszy. Znow, po wielu miesiącach, czuję łagodny zapach wody kolońskiej na jego skórze, co sprawia, że mięknią mi kolana.

– Cześć – szepcze mi do ucha. Wygląda na nieco zaskoczonego tym, jak ciepło go powitałam. Głos Davida, normalny, nieszczególnie głęboki czy wysoki ani nic takiego, to jedna z tych rzeczy, które lubię w nim najbardziej. Jest łagodny i lekko ochrypły, co doprowadza mnie do szaleństwa.

Robię krok w tył i przyglądam mu się z uwagą: jego zielonym oczom, opalanej skórze – teraz trochę bledszej ze względu na pracę w budynku. Stoi tuż obok mnie. Po prostu nie mogę w to uwierzyć. David. Tutaj, ze mną, z własnej woli.

– Dobrze się czujesz? – pyta, marszcząc brwi.

– Tak, czuję się świetnie! – Mam ochotę robić gwiazdy, lecz nie mogę. Muszę się zachowywać normalnie. Normalnie, ale lepiej.

– Zarezerwowałem stolik tu niedaleko – oznajmia, gdy oddaliśmy się od stacji metra. Odwraca się w moją stronę i uśmiecha szeroko. – Próbowałem znaleźć dla ciebie jedną z tych restauracji, które otwierane są na jakiś czas w coraz to nowych miejscach, ale chyba nie jestem na tyle modny, by wiedzieć, gdzie się znajdują.

– Słucham?

– Rozmawialiśmy o nich wczoraj. Nie pamiętasz.

– A tak! Faktycznie!

Zapomniałam o tej rozmowie. Nie pamiętałam też, że to jeden z jego żartów: o tym, że ja trzymam rękę na pulsie, a on jest naprawdę zdziadziały. To prawda, że David nie trzyma ręki na pulsie (chyba że w pracy). Jego kolekcja muzyczna to kilka przykurzonych płyt R.E.M. i U2 i prędzej wybierze się na wystawę niż undergroundowy koncert w Dalston. Ale uwielbiam to: taka postawa zdecydowanie bardziej mi odpowiada niż hipsterzy, którzy oceniają człowieka na podstawie gustu muzycznego.

– Ale wiele zależy też o definicji – ciągnie David. – Czy możemy uznać za ważne, jeśli kupimy butelkę cydru i wypijemy go w parku.

Śmieję się. Już chcę zasugerować, że jeżeli pogoda będzie ładna, można zrobić sobie piknik w Hyde Parku, ale powstrzymuję się. Nie będę paplać ani podpowiadać, co powinniśmy zrobić. Pozwolę, by to on cały czas się za mną uganiał.

David spogląda na mnie i chyba jest trochę zdziwiony, że tak mało mówię.

– Czyli... jak ci minął tydzień? Co tam w pracy.

Gdy poprzednim razem zadał mi to pytanie, narzekałam, że Karen jest wobec mnie wredna. Ale tym razem postanawiam być bardziej entuzjastyczna. Jak nakazuje *The Rules*, zamierzam promieniować pewnością siebie, zachowywać się radośnie i trochę tajemniczo.

– Świetnie. Mam zamiar zaproponować w pracy nazwisko genialnej nowej projektantki, z którą chodziłam razem do szkoły. – Chciałam opowiedzieć mu, jak udało mi się namierzyć numer telefonu Sinead Devlin i jak nagrałam się jej na pocztę głosową, ale nie ma sensu wdawać się w takie szczegóły.

– A jak minął twój dzień? – pytam.

– W porządku. Był długi. Nikt nie skradł nam studentów ani pielęgniarek, więc mieliśmy dużo wsparcia, co oznacza wiele godzin przy stole operacyjnym, ale nie chcesz o tym słuchać. Jesteśmy na miejscu – oznajmia, gdy skręcamy za róg. – Jest tak ładnie. Pomyślałem, że usiądziemy na zewnątrz.

Doskonale to pamiętam: Summerhouse. To miejsce zbrodni. To tu David powiedział mi, że przyjeżdżają jego rodzice, i wspomniał, że on i jego najlepsza przyjaciółka Jenny zawsze chodzą z nimi na podwieczorek do Connaught. Poczułam się tak zraniona i odrzucona, że zachowywałam się zupełnie nierozsądnie i strzeliłam okropnego focha. To było coś, czego najbardziej żałowałam w związku z Davidem.

Ale teraz jestem przygotowana. Dostałam drugą szansę. I wykorzystam ją, jak należy.

– Zoe? Wszystko w porządku? – David patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, bo zatrzymałam się nagle, niczym koń wyścigowy przed poprzeczką, na której wcześniej się przewrócił. – Nie podoba ci się tutaj.

– Co? Nie! Jest wspaniale – odpowiadam, w samą porę przypominając sobie, że nigdy wcześniej tu nie byłam. Restauracja jest usytuowana przy kanale, w którym odbija się złoty zachód słońca, więc wygląda to tak, jakbyśmy byli na łodzi. Na stolikach ustawiono małe bukietki groszku. Atmosfera jest kameralna, ale nie ma tłoku. Przy sąsiednim stoliku siedzą mężczyźni w czerwonych dżinsach wyglądający na bankierów, pamiętam ich z pierwszego pobytu w tym lokalu. Dzięki temu, że mamy widok na wodę, a świat tonie w promieniach słonecznych, miejsce kojarzy mi się z atmosferą amerykańskiej plaży.

– To cudowny punkt. Przypomina mi Hamptons – mówię, gdy zajmujemy miejsca.

– W Stanach Zjednoczonych? Byłaś tam? – David znów jest zaskoczony.

– Nie, ale widziałam w telewizji – przyznaję.

David wybucha śmiechem, a ja czuję zadowolenie: nadal śmieje się z moich dowcipów. Początkowo uwielbiał moje poczucie humoru i bawiły go drobne wpadki w moim wykonaniu. Uważał, że byłam zabawna, gdy on wspomniał o skalpeli, a ja myślałam, że mówi o zestawie ćwiczeń. Lubiłam go rozśmieszać i często specjalnie się wygłupiałam, aż przesadziłam i zaczęłam go irytować. Ale nie tym razem.

David prosi o dwa kieliszki szampana, a ja uśmiecham się, bo przypominam sobie, że on uwielbia ten trunek i zamawia go pod byle pretekstem.

– Coś świętujemy? – pytam. Ja na pewno mam powody.

– Tak. Uczymy to, że dziś piątek... i mam cały weekend wolny. I spotykam się z tobą.

Wow. Cały ten wieczór został w moich wspomnieniach zniszczony przez aferę z Jenny. Kompletnie zapomniałam o tej miłej chwili, gdy David zamówił szampana.

– Twoje zdrowie – mówi. – Czyli dobrze się czujesz? Max wspominał, że wczoraj rano zachowywałaś się trochę dziwnie.

Do licha! Czyli coś jednak wygadał.

– Nie, serio, byłam tylko trochę skacowana. Nie spodziewałam się, że go zobaczę, no i się wystraszyłam.

– Przepraszam za to. Dałem mu kilka dni temu swoje klucze, ale

nie byłem pewien, czy w ogóle się pojawi – zależało to od eksperymentu, który przeprowadzał. Jak zawsze nieprzewidywalny Max – dodaje rozbawiony.

– Jest naukowcem, nieprawdaż?

– Zajmuje się neurokognitywistyką. To inteligentny koleś.

Uważam, że mógłby osiągnąć naprawdę wiele, gdyby trochę bardziej się przykładał.

– Znacie się z Imperial.

David kręci głową.

– Obaj chodziliśmy do Imperial. Ale gdy byliśmy dziećmi, mieszkaliśmy obok siebie w Putney, przed powrotem do Irlandii.

Jasne. Urocza mała uliczka w Putney, gdzie mieszkał David, zanim skończył dwanaście lat. Jego sąsiadką była Jenny i razem lepili babki z piasku i malowali palcami.

– Czy mogę przyjąć zamówienie? – pyta kelner.

Mam świetną okazję, by zrobić coś inaczej. Ostatnim razem wybrałam linguine z pesto i gdy wieczorem myłam zęby, zauważyłam na jednym z nich zielony ślad. Oczywiście mogło być tak, że nie miałam go tam przez cały wieczór, ale myśl, że moje zęby były upstrzone pesto, gdy krzyczałam na Davida z powodu Jenny, była tak straszna, że chciałam umrzeć.

– Poproszę o kurczaka – mówię.

David zamawia stek. Jest uzależniony od czerwonego mięsa. Zaczynamy rozmowę. Muszę się uszczypnąć, żeby się upewnić, że jestem tutaj, z nim. Tak bardzo za tym tęskniłam, że nie pamiętam już niektórych historii, które opowiadał mi poprzednim razem.

– Jakieś plteczki w St. Mary's?

– No na przykład mój szef rzucił przez salę komórką anestezjologa, gdy ta zaczęła dzwonić w trakcie operacji. I pamiętasz Andrew, którego dziewczyna zawsze narzeka na to, w jakich porach on pracuje.

– Tak! Pamiętam!

– Zerwali.

Poprzednim razem nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo, ale teraz widzę, że to doskonała okazja, by pokazać, że jestem wyluzowana i mało zaborcza.

– To takie absurdalne! Przecież on nic nie poradzi na to, że

pracuje w takich godzinach.

– Owszem.

– Naprawdę nie rozumiem dziewczyn, które potrzebują obecności faceta dwadzieścia cztery godziny na dobę. Cenię czas, który mogę spędzić sama – przeczesuję włosy palcami i opieram się na krześle w sposób, który ma pokazywać moją bez troskę i niezależność.

Zastanawiam się, czy nie przesadziłam, ale David spogląda na mnie z podziwem.

– Cieszę się, że tak to postrzegasz. To trudne, ale uważam, że jeśli związek jest wystarczająco silny, przetrwa.

„Tak! Dziękuję ci, Panie Boże – mówię w myślach. – Dzięki, tajemnicza staruszko”.

– Ale teraz mam szczęście, jeśli chodzi o grafik – ciągnie David.

– W sumie, pomyślałem, że moglibyśmy wyjechać gdzieś na weekend. Może trzydziestego pierwszego i pierwszego.

– Och, byłoby cudownie! – ledwo jestem w stanie pohamować swój entuzjazm. – Tylko czy to nie wtedy przyjeżdżają twoi rodzice.

David marszczy brwi.

– Boże, faktycznie. Skąd o tym wiedziałaś.

Ups, dobre pytanie.

– Och, no cóż, sądziłam, że mówiłeś o pierwszym weekendzie sierpnia. Wczoraj, przez telefon – improwizuję.

– Naprawdę? Nie pamiętam, żebym ci o tym wspominał.

O nie. A co jeśli pomyśli, że zaglądałam do jego kalendarza. Albo, co gorsza, zdemaskuję się któregoś dnia, wiedząc o czymś z przyszłości, czego nie powinnam wiedzieć.

– No cóż, moja pamięć najwidoczniej mnie zawodzi – stwierdza David. – Masz rację, przyjeżdżają wtedy. Ale może moglibyśmy wyjechać w kolejny weekend.

Dzięki Bogu, chyba mi wierzy. Gdyby David dowiedział się o całej tej sprawie z podróżą w czasie, pomyślałby, że jestem chora psychicznie i zerwałby ze mną. I kto by go za to winił? Odczuwam ulgę, gdy podchodzi kelner i skupia na sobie naszą uwagę.

– Deser, herbata albo kawa? – pyta.

David kręci głową i spogląda na mnie pytająco. Uwielbia słodczyce, ale trzyma też żelazną dyscyplinę i nigdy nie zamawia deseru. Poprzednim razem poprosiłam o podwójne espresso i ciasto

kawowe i byłam później tak nakręcona, że zdecydowanie przyczyniło się to do naszej kłótni. W sumie gdy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że to kawa zniszczyła mój związek.

– Dla mnie tylko herbata miętowa – mówię.

Najchętniej znów wróciłabym do rozmowy o wyjeździe na weekend, ale powstrzymuję się od tego. Niech David o tym wspomni, jeśli będzie miał na to ochotę. A ja napomknę o sprawie Jenny i pokażę, jaka jestem wyluzowana.

– A co planujesz robić podczas pobytu rodziców.

– Nie jestem pewien. Zawsze chodzimy z nimi na podwieczorek do Connaught.

Kiedy słyszę o tym po raz kolejny, brzmi to tak niewinnie, że nie mogę uwierzyć, iż wtedy tak wybuchłam.

– Aha, czyli masz na myśli siebie i Jenny? – ton mojego głosu jest całkowicie spokojny. David patrzy na mnie i widzę na jego twarzy zaskoczenie i ulgę.

– Tak, moi rodzice są bardzo tradycyjni – wyjaśnia. – Drink w Shelbourne dzień przed Bożym Narodzeniem i msza w katedrze, dwa tygodnie wakacji w sierpniu w Wexfordzie – pod koniec sierpnia, bo wtedy jest lepsze towarzystwo – i podwieczorek w Connaught w Londynie. A twoi rodzice.

Wydaje mi się, że David próbuje zmienić temat, ale muszę podkreślić, że nie mam problemu z Jenny.

– Pewnie cieszą się ze spotkania z Jenny – wypowiadam te słowa z łatwością. – Moi rodzice zawsze lubią spotykać się z moimi przyjaciółmi ze szkoły albo z Rachel, jeśli jest w Dublinie.

Kiwa głową, sprawia wrażenie, jakby mu ulżyło.

– Nie musisz mi mówić. Mój staruszek pamięta imiona wszystkich chłopaków, którzy byli ze mną w drużynie podczas rozgrywek pucharowych. I imiona ich ojców. – Robi przerwę. – A sprawa z Jen jest taka, że moi rodzice bardzo się przyjaźnili z jej rodzicami. Więc wydaje mi się, że mama i tata chcą utrzymywać z nią kontakt szczególnie z tego względu. Rozumiesz?

– Oczywiście. – Teraz jest mi naprawdę głupio. Wiedziałam, że rodzice Jenny nie żyją, ale nigdy nie skojarzyłam faktów: nic dziwnego, że rodzice Davida chcą się z nią spotkać.

– Cieszę się, że to rozumiesz – mówi. – A właśnie, skoro mowa o

Jenny... nadal szukasz kogoś do mieszkania.

Co? Chyba nie chce, żeby ona się do mnie wprowadziła. A może jednak.

– Tak, Sonia się wyprowadza. A czemu pytasz? Czy Jenny...? – przerywam, gorączkowo próbując wymyślić jakąś wymówkę.

– Nie, przepraszam, po prostu Jenny skojarzyła mi się z Maksem. To on szuka mieszkania.

– Aha. – To nowość. – Nie wiem. Na pewno jest bardzo sympatyczny, ale nigdy nie mieszkałam z facetem. I wydaje się trochę... nie wiem. Czy nie wspominałeś, że jest nieprzewidywalny.

– No cóż, może musiałybyś zaakceptować jego dziwaczny plan dnia i kilka ekscentrycznych nawyków. Ale jestem pewien, że mieszkanie z nim będzie w porządku. Oczywiście nie musisz tego robić – dodaje. – Po prostu pomyślałem, że zaoszczędzi ci to kłopotów związanych z szukaniem współlokatora.

Już mam odmówić, bo przychodzi mi do głowy, kto mógłby ze mną zamieszkać, ale po chwili uświadamiam sobie: jeśli wyświadczę Maksowi przysługę, pokażę Davidowi, jaką jestem rozsądną, uprzejmą dziewczyną.

– Jasne, mogę pokazać mu mieszkanie. Pasuje?

– Bardzo – odpowiada David. – Mógłby mieć cię na oku. Gdybyś znów miała takiego dziwnego kaca.

Uśmiecham się do niego, promieniejąc ciepłym blaskiem. Zakładam, że wystarczy pokazać Maksowi mieszkanie. Później zawsze mogę powiedzieć „nie”.

– Wyślę mu twój numer – oznajmia David i wyjmuje telefon. Po czym rozgląda się, zniecierpliwiony, w poszukiwaniu kelnera.

– Czemu nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni? – mamrocze pod nosem. Spoglądam na niego z czułością i przypominam sobie, że zawsze bardzo się niecierpliwi, jeśli kelner nie podejdzie do niego dokładnie w chwili, gdy go potrzebuje.

– Nie śpieszymy się przecież.

Podnosi wzrok i spogląda na mnie w taki sposób, że cała się czerwienię.

– Ja się śpieszę.

Kiedy dostajemy rachunek, David zerka na niego i szybko podaje kelnerowi kartę.

– Pozwól mi zapłacić połowę – proponuję, ale on tylko kręci głową.

– Nie wezmę twoich pieniędzy – oświadcza.

David prawie nigdy nie pozwala mi zapłacić. Wiem, że powinnam mieć z tego powodu poczucie winy, ale nie mam. W przeciwieństwie do mnie David zarabia dużo pieniędzy i jest bardzo hojny. W każdym razie, według *The Rules* nigdy, przenigdy nie powinnam płacić. Mogę ugotować dla niego obiad albo (o ile dobrze pamiętam) kupić mu bejsbolówkę, ale nic więcej. Szczerze mówiąc, przy mojej pensji przestrzeganie tej zasady nie jest szczególnie trudne.

David wyciąga rękę i gładzi bok mojej dłoni czubkiem swojego palca – od paznokcia aż po nadgarstek. Mimo że ledwo mnie dotyka, przez całe moje ciało przechodzą dreszcze.

– Chodźmy do domu – mówi.

Rozdział 7

Powoli wybudzam się ze snu. Pamiętam – jakie to cudowne uczucie – że jestem tu z Davidem. Wydarzenia wczorajszego dnia rozgrywają się w mojej głowie w zwolnionym tempie: pełen oczekiwania spacer do domu, a później ten pierwszy prawdziwy pocałunek, który wywołał ciarki na plecach, oraz drinki zrobione przez Davida, których nawet nie zdążyliśmy wypić... i to, jak rozbierał mnie po drodze do sypialni, gdy schodziliśmy po schodach. Na jakiś czas zatrzymaliśmy się na stopniach. Potem w końcu znów byliśmy blisko: zapach jego skóry, dotyk jego warg i palców... jego szept: „Jesteś taka wspaniała, Zoe...”.

Czy aby na pewno? Nagle zaczynam się bać, że kiedy otworzę oczy, znów będę sama, a na zewnątrz będzie padać grudniowy śnieg. Ale wtedy słyszę znane mi ciche chrapanie. Dzięki Bogu.

Ostrożnie rzucam okiem: David śpi. Skręca mnie na myśl o tym, co zrobiłam ostatnim razem, gdy zostałam na noc. Zaczęłam od obudzenia Davida, kiedy próbowałam się do niego przytulić. Później zaproponowałam wyjście na lunch. David nie miał na to ochoty, więc zostaliśmy w mieszkaniu i zjedliśmy na śniadanie płatki.

– Chcesz iść do kina albo coś w tym stylu? – zapytałam. – Możemy też wypożyczyć coś na DVD.

– Nie, dzięki. Gram w squasha o drugiej i muszę się najpierw rozgrzać.

– Aha, w porządku – odpowiedziałam, czując się nieswojo. Czy naprawdę grał w squasha, czy tylko chciał się mnie pozbyć? Wysłałam, z nowym i nieprzyjemnym poczuciem zbliżającego się końca.

David przewraca się z boku na bok tak, że jest teraz zwrócony twarzą w moją stronę.

– Dobry – mruczy i odwraca się z powrotem, pociągając za sobą większość kołdry.

Wymykam się z łóżka i szybko udaję się do łazienki, gdzie myję zęby, używając tylko odrobiny pasty, żeby nie było to zbyt oczywiste, smaruję się kremem nawilżającym, szczotkuję włosy, ujarzmiam brwi i nakładam odrobinę różu w kremie. Bardzo cieszy mnie to, że znów jestem w tej nieskazitelnej łazience i widzę znane mi kosmetyki Davida – są najlepszej jakości. Z nabożną czcią sięgam po jego wodę po

goleniu – David Cool Water dla mężczyzn – i wciągam w nozdrza jej zapach. Gdy po naszym zerwaniu byłam bardzo przygnębiona, w ramach przyjemności wachałam tester w dziale perfumeryjnym Marley's. Ale teraz mogę w każdej chwili powąchać tę prawdziwą wodę kolońską.

Ostrożnie odkładam kosmetyk na półkę, upewniając się, że David nie zauważy, iż brałam go do ręki. Wychodzę z łazienki, zakładam bieliznę i koszulkę, którą przyniosłam ze sobą na tę właśnie okazję. Łagodnie się rozciągam, podnosząc ręce wysoko w górę, a następnie sięgam palców u stóp. Później robię powitanie słońca.

David otworzył już oczy.

– Witaj, Cirque de Soleil – mówi zaspany. – O co chodzi.

– To tylko joga. – Takie zagranie poleca poradnik *The Rules*. Nie proponują pozostawiania na noc u chłopaka, ale jeśli już do tego dojdzie, rano, zamiast wylegiwać się w łóżku i przytulać do faceta, powinno się wstać i porozciągać się, w ramach działań mających sprawić, by pragnął więcej. Taka taktyka chyba przynosi rezultaty: David przygląda mi się uważnie.

– Joga jest niebezpieczna – oznajmia, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Niech Oliver opowie ci o kontuzjach związanych z uprawianiem jogi.

Ignoruję go i, wykonawszy ostatni, pełen wdzięku skłon, prostuję się.

– Lepiej już pójdę.

– Co, już? – pyta. Wygląda na naprawdę zaskoczonego.

Kiwam głową.

– Mam zarezerwowaną lekcję jogi o dziesiątej – mówię, spoglądając na budzik Davida. Jest kwadrans po dziewiątej, więc moje wytłumaczenie brzmi wiarygodnie.

David zdejmuje kołdrę i wyskakuje z łóżka.

– O nie, nie masz – obejmuje mnie w tali, ciągnie w stronę łóżka i obsypuje mnie pocałunkami. A ja piszczę, wyrywam się i śmieję.

– Nie idź na jogę – prosi. – Zostań tutaj, możemy poćwiczyć inne ruchy.

Wow, to naprawdę działa.

– Bardzo chętnie – odpowiadam. – Ale już zapłaciłam za zajęcia, więc...

– No cóż, jeśli pragniesz śmierci, to kim ja jestem, by ci tego zabraniać? Idź wyginać ciało. – Całuje mnie, a ja topię się pod wpływem dotyku jego ust. Jak cudownie byłoby zjeść śniadanie w łóżku i spędzić w nim cały dzień, wstając tylko wieczorem, by zrobić coś na kolację. Ale postanowiłam, że popyt na moją osobę ma przekroczyć podaż.

David obejmuje mnie i oglądamy się w lustrze zamontowanym w drzwiach szafy.

– Gorąca z ciebie laska – mówi i nachyla się, by pocałować mnie po raz kolejny, po czym patrząc na swoje odbicie, marszczy brwi, pochyla się i dotyka palcami linii włosów.

– O co chodzi? – pytam, choć wiem, czemu się przygląda.

– Starzeję się – rzuca się z powrotem na łóżko. – Nie przeszkadza mi to, że nie należę do wysokich, ale nie jestem przygotowany na bycie niskim i łysym.

– Nie jesteś niski! – David ma metr siedemdziesiąt osiem, co według mnie jest przeciętnym wzrostem. Zresztą ja jestem niska, więc mi to nie przeszkadza. – I nie łysiejesz. Wcale a wcale. – Według mnie to urocze, że tak sądzi. Ma świetne włosy. Ale faktycznie przejmuje się ich stanem, kupił sobie nawet szampon na porost włosów.

David uśmiecha się, wzrusza ramionami i zamyka oczy.

– Mów jeszcze – mruczy pod nosem. Sięgam po torebkę i wygrzebuję z niej legginsy i sandaalki, które przyniosłam na przebranie. Wygodnie byłoby trzymać u Davida parę takich rzeczy, żebym nie musiała wszystkiego ze sobą nosić. Ale mogę sobie wyobrazić, co na ten temat napisano w *The Rules*.

– Co robisz w weekend? – pytam niezobowiązująco.

– Zupełnie nic, jeśli mogę mieć na to jakiś wpływ. Gram w squasha i piszę pracę na konferencję. No i spotykam się dziś wieczorem z Jenny, ale poza tym nie mam żadnych planów.

Sekundę lub dwie zajmuje mi zapanowanie nad twarzą, tak bym miała normalną minę i nie wyglądała jak wkurzona wiedźma. Ta cholerna Jenny spotyka się z nim w sobotni wieczór. Czy ona nie ma własnych przyjaciół, których mogłaby zanudzać? A poza tym... nie wydaje się, żeby mu przeszkadzało, że wychodzę tak wcześnie. A może on chce, żebym sobie poszła? I dlaczego nie wrócił już do tematu wyjazdu na weekend? Daję sobie na wstrzymanie. „Nie świruj, Zoe –

mówię do siebie. – Nie rób tego”.

David ziewa.

– Nie chcesz do nas dołączyć wieczorem i iść z nami do kina? Jenny chce obejrzeć jakiś francuski film... później może pójdziemy na naleśniki? Idziesz?

Wieczorem mam się spotkać z Kirą i jej współlokatorkami. Mogłabym je olać i pójść z Davidem i Jenny. Dawna Zoe zrobiłaby to w mgnieniu oka. Ale teraz, podejmując ogromny, nadludzki wysiłek, większy niż odłożenie paczki delikcji po zjedzeniu tylko jednego ciastka albo wstanie z sofy, gdy zaczyna się *Top Model*, postanawiam tego nie robić. „Bądź silna – dopinguję samą siebie. – Nie rezygnuj ze swoich planów i nie zgadzaj się na ochłapy. Ani na naleśniki”.

– Dzięki, ale mam inne plany.

– Aha – mówi David. – Z kim się spotykasz.

– Idziemy z dziewczynami na miasto – wyjaśniam roztargniona i udaję, że jestem całkowicie pochłonięta poprawianiem włosów. – Nic szalonego.

Tak naprawdę wszystkie jesteśmy splukane, więc zamierzamy zostać w domu, oglądać *Legalną blondynkę 2*, pić wino i jeść pizzę. Ale David nie musi o tym wiedzieć. Zerkam w jego stronę. Opiera się o poduszkę i patrzy na mnie z wyczekiwaniem. Teraz widzę, że poświęca mi całą swoją uwagę. Nawet wyobraża sobie, jak będę wyglądać odstawiona na wieczorne wyjście, gdy jacyś faceci będą mnie zagadywać – bosko! Niech zanudzi się wieczorem z Jenny, Meganudziarą, i rozmyśla o tym, co go omija.

Podnoszę torbę, nakładam na usta balsam Burt's Bees i posyłam Davidowi buziaka.

– Do zobaczenia – żegnam się i idę w kierunku drzwi.

– Hej! – woła. – Kennedy.

– Tak? – odwracam się.

Wygląda uroczo, gdy jest taki zaspany, ma cienie pod oczami, a jego cudowny tors i ramiona są tylko w połowie okryte pościelą.

– Jeśli jakiś facet spróbuje cię wyrwać, wyślij mi SMS, a przyjadę i się nim zajmę.

– Zrobię, co w mojej mocy – odpowiadam i machając do niego raz jeszcze, wychodzę z sypialni.

Rozdział 8

Jestem w euforii. Udało się! Byłam tajemnicza i uwodzicielska i sprawiłam, by pragnął więcej. Szkoda, że nie mogłam spędzić z nim więcej czasu, ale był tak entuzjastycznie do mnie nastawiony właśnie dlatego, że podeszłam do sprawy na luzie. Muszę trzymać się tego planu. Nie na zawsze, ale jeszcze przez jakiś czas.

Jest kolejny cudowny, gorący poranek, przepiękny obietnicą lata. Nie mogę się nadziwić, jak wspaniałą mamy pogodę. Czy na pewno poprzednim razem też była taka piękna? Błogosławieństwem jest możliwość wyjścia na dwór w samej koszulce i legginsach. Spoglądam na swoje stopy w klapkach Havaianas i na fioletowy pedikiur – to lakier Demure Vixen Essie – i znów wzdycham ze szczęścia. Mijając bistro przy Formosa Gardens, widzę pary siedzące w ogródku przy śniadaniu. Ludzie czytają gazety albo śmieją się, ciesząc się swoim towarzystwem. Postanawiam, że moje życie z Davidem też będzie tak wyglądało. Potrzeba nam jeszcze tylko trochę czasu.

Idę Castellain Road, gdy dzwoni mój telefon. Nie znam numeru.

– Halo?

– Cześć, Zoe, tu Max.

– Max?

– Przyjaciel Davida.

– Cześć! Przepraszam, nie spodziewałam się, że zadzwonisz tak szybko – mówię roztargniona, przebiegając przez Sutherland Road i starając się uniknąć wpadnięcia pod samochód terenowy. – Dzwonisz w sprawie pokoju.

– Tak. Jestem teraz w Maida Vale, więc zastanawiam się... może mógłbym go obejrzeć już dzisiaj. Jeśli ci to pasuje, oczywiście.

– Oj... – Dziś wydaje się terminem bez uprzedzenia, ale nie jestem w stanie wymyślić żadnej wymówki oprócz tej, że wolałabym sobie posiedzieć w parku. – Jasne. Nie dotarłam jeszcze do domu, ale może mógłbyś wpaść o dziesiątej? – Podaję mu adres. – Nie wracasz od Davida? – Mam wielką nadzieję, że nie spędził ostatniej nocy na kanapie. Bóg jeden wie, co mógłby zobaczyć i usłyszeć.

– Nie, nie, byłem gdzieś indziej. Dzięki, do zobaczenia.

Od razu po zakończeniu rozmowy przypominam sobie, że poinformowałam Davida, iż idę na jogę o dziesiątej, po czym

umówiłam się z Makssem dokładnie o tej porze. A jeśli wspomni o tym Davidowi.

OK, to w sumie nie ma znaczenia. Zawsze mogę powiedzieć, że zmieniłam zdanie. Uświadamiam sobie jednak potencjalne zagrożenie związane z ewentualnym wprowadzeniem się Maksa do mnie. A jeżeli powie Davidowi o tym, że odpływ prysznicą zatyka się od moich włosów i że czasem (no cóż, często) nie zmywam od razu po jedzeniu albo że w piątki wieczorem lubię oglądać głupie filmy na DVD i obzerać się pizzą? Albo że zobaczy moje plastry do depilacji, samoopalacz i bałagan, jaki robię w pokoju? Nie chodzi o to, że David mógłby z tego powodu ze mną zerwać, po prostu nie wydaje mi się, żeby wpuszczanie jego przyjaciela za kulisy było dobrym pomysłem.

Kiedy docieram do domu, już zaczynam żałować, że w ogóle powiedziałam Davidowi o pokazaniu mieszkania Maksowi. Postanawiam zaprezentować mu lokum, z czystej uprzejmości, a później wymyślić jakąś wymówkę. Zabieram się do szybkiego sprzątnięcia – choć jest raczej czysto – gdy słyszę dzwonek do drzwi.

– Cześć, wejść, proszę – naciskam guzik domofonu i mam nadzieję, że wpuszczam Maksa, a nie jakiegoś przypadkowego mordercę z siekierą.

To Max. Ma ze sobą czarny nylonowy plecak i jest ubrany w starą brązową koszulkę i te okropne, luźne amerykańskie dżinsy. Mieszkanie jest nieważne, tak naprawdę to on potrzebuje nowego stylu. Natychmiast.

– Wejść! Witam w moich skromnych progach.

– Dzięki – sprawia wrażenie trochę mniej pewnego siebie niż wczoraj, gdy odwoził mnie od zabójstwa. Jestem zaskoczona, że bycie nagim podczas naszego pierwszego spotkania nie zniechęciło go do oglądania mieszkania – chyba powinien się spalić ze wstydu? Ale gdy widzę, jak wchodzi po schodach, rozgląda się i pochłania każdy szczegół salonu – okna z widokiem na Elgin Avenue, białe ściany (sama malowałam je w maju) i brązową sofę stojącą naprzeciw telewizora, plakat z obrazem Wayne'a Thiebauda wiszący nad kominkiem (należy do mnie), regał na książki i czarny stół z Ikei – dociera do mnie, że naprawdę potrzebuje mieszkania.

– Chcesz najpierw obejrzeć pokój.

– Tak, byłoby super – odpowiada Max.

Pokój Sonii odznacza się, jak zawsze, przerażającą czystością, choć jego właścicielka jest w trakcie przeprowadzki. Małe podwójne łóżko, wyjątkowo porządnie zasłane (Sonia woli koce od kołder – to chyba mówi o niej wystarczająco dużo), wbudowana szafa, biurko z lampką z Ikei, ściany w kolorze magnolii, plakat z kwiatem, też z Ikei. Mnóstwo różowych brokatowych długopisów ułożonych w rzędzie. Walizka. I właściwie tylko tyle. Zawsze myślę, że Sonia na pewno ma gdzieś ukrytą szafkę (jak Monica w *Przyjaciółkach*) – trzyma w niej rupiecie i śmieci, które posiadają normalni ludzie, a ja pewnego dnia ją otworzę i zasypie mnie lawina gratów.

– Wow – mówi Max. – Ale z niej bałaganiara – robi krok do przodu. – Pokój jest odpowiednio duży.

– Dla twojej wiadomości: mój jest mniejszy, płacę o czterdzieści funtów mniej na miesiąc.

Kiwa głową, podchodzi do okna, które wychodzi na tylną część podwórka, wygląda przez nie i pyta.

– Czy możemy korzystać z ogródka.

– Obawiam się, że nie. Jego właścicielem jest facet, który mieszka w suterenie.

– Olbrzym Samolub – stwierdza. – A jest coś innego na zewnątrz? Jakiś balkon albo coś w tym stylu.

– Nie – odpowiadam wesoło. – Na pewno nie znajdziesz w tej okolicy mieszkania z dostępem do ogródka. Nie za taką cenę.

Max posłusznie idzie za mną, gdy oprowadzam go po pozostałej części mieszkania. Zawsze kojarzy mi się to z dziwnie zawstydzającym rytuałem. Jakbym robiła dla kogoś striptiz, tyle że ten ktoś zamiast gwizdać i rzucać we mnie pieniądze, uprzejmie potakuje i oświadcza, że mieszkanie jest urocze. Ale może wydaje się to osobliwe, bo człowiek pokazuje komuś kawałek swojego życia, a ten ktoś musi się zachwycać, choć tak naprawdę uważa to miejsce za ruderę. W rzeczywistości moje mieszkanie jest trochę ruderą. Ale właśnie dlatego nie kosztuje zbyt dużo.

Nie zamierzam się starać i przekonywać go do tego pokoju na siłę: jeśli mu się podoba, niech się wprowadza.

– Tu mamy kuchnię. Oryginalne wyposażenie jest z mniej więcej tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku. Pralka, bez suszarki, mikrofalówka. Bez niej umarłabym z głodu. A, zapomniałam

o łazience... – Jest w miarę czysta. Wszystkie moje eleganckie kosmetyki L'Occitane są tylko dla ozdoby, żele pod prysznic Palmolive i stare gąbki trzymam w kosmetyczce. Zauważam, że Max odlicza mój zbiór szamponów. Mam ich sześć, korzystam z nich na zmianę i są ustawione rzędem w kolejności użycia.

– Nie brakuje wam czasem ciepłej wody? – pyta.

– Nie – odpowiadam zdziwiona. – A to mój pokój. Przepraszam za bałagan.

To kłamstwo. Przed chwilą go posprzątałam. Nadal mnóstwo rzeczy się w nim wala, ale w jednym miejscu panuje idealny porządek: w mojej szafie. Zimowe ubrania zostały spakowane w worki próżniowe, letnie ciuchy są uporządkowane według stylu i rodzaju, a wszystkie buty znajdują się w oryginalnych pudełkach, na których wierzchach przykleiłam zdjęcia wykonane polaroidem przedstawiające ich zawartość (zrobił je dla mnie Paul, mój eks, więc nowsze nabytki mają tylko cyfrowe wydruki kiepskiej jakości).

Max zagląda do środka, najwidoczniej nie chcąc wchodzić na mój teren.

– Jest trochę mniej bezosobowy niż pokój twojej koleżanki.

Wydaje mi się, że spędziliśmy już wystarczająco dużo czasu w mojej sypialni, dlatego wyprowadzam z niej mojego gościa. Słyszę hałas, więc się odwracam: Max zdołał przewrócić mały wazon, który stał na półce na książki. Flakonik nie rozbił się, ale wypadła z niego róża i wylała się woda. Max podnosi go i spogląda zaniepokojony to na niego, to na mnie.

– Przepraszam – mówi i podaje mi wazon.

– Nie ma sprawy – odkładam go z powrotem na półkę. – Trochę tu ciasno.

Gdy idziemy korytarzem, myślę sobie: „Na pewno nie pozwolę mu się tutaj wprowadzić. Zdemolowałby mieszkanie”.

– A tu... to oczywiście salon. Usiądź sobie. O nie, nie siadaj na tym, zaraz się zawali. Spróbuj z drugiej strony.

– A jaki jest właściciel mieszkania? – pyta Max, zajmując posłusznie miejsce.

– No cóż, jeśli mam być szczerą, jest bardzo leniwy. Dokonuje napraw tylko wtedy, gdy jest to absolutnie niezbędne, a poza tym trochę nas zaniedbuje. Ale bierze mało kasy, więc nie naciskam –

dodaję. – Większość mieszkań z dwiema sypialniami w tej okolicy kosztuje dwa razy więcej niż to. – Mogę być szczerą, skoro i tak nie zamierzam zgodzić się na to, by się tutaj wprowadził.

– To świetnie. Właścicielka naszego mieszkania w San Francisco miała obsesję na punkcie feng shui i ciągle sprawdzała, czy nie kładziemy śmieci w kącie symbolizującym związek.

– O raju. Z kim tam mieszkałeś.

– Z dwoma przyjaciółmi z Berkeley. Zajmowali się badaniem mózgu za pomocą komputera – uśmiecha się do mnie szeroko. – Możesz to sobie wyobrazić? Trzech naukowców je razem pizzę, ogląda telewizję i przeprowadza nieprawdopodobnie naukowe rozmowy. Ludzie twierdzili, że kojarzy im się to z Teorią *wielkiego podrywu*.

Kiwam głową i myślę, że pewnie nie został nauczony zasad, które obowiązują, gdy mieszka się z normalnymi osobami.

– Napijesz się herbaty? – Nie mam zamiaru proponować mu zamieszkania ze mną, ale w końcu to przyjaciel Davida.

– Tak, chętnie. Pomóc ci.

Zaprzeczam, ale w myślach nagradzam go gwiazdką za to, że zaoferował pomoc, i idę do kuchni, gdzie nastawiam wodę i wybieram dwa najbardziej przyzwoicie wyglądające kubki, cukierniczkę oraz dzbanuszek na mleko. Max nie może powiedzieć Davidowi, że podałam mu mleko w kartonie. Dodaję kilka ciasteczek Kimberley, które niedawno przysłała mi mama.

– Proszę – odzywam się, kładąc tacę. Zajmuję miejsce na drugiej kanapie, prostopadle do niego. Zastanawiam się przez moment, czy nie powinnam zaproponować, żebyśmy zamienili się miejscami – wtedy nie musiałby siedzieć na tej zepsutej – ale postanawiam się tym nie przejmować.

– Taca – mówi. – Świetnie. Teraz już czuję, że wróciłem do Londynu.

– Ważniejsze jest to, że znajdujesz się w mieszkaniu Irlandki – oznajmiam, stawiając obok niego herbatę. Sprawdzam, czy napar jest wystarczająco mocny, i nalewam mu do kubka. Max dolewa sobie mleka, po czym zanurza łyżeczkę w cukrze i odmierza dokładnie jej połowę, a następnie potrząsa łyżeczką, tak by została na niej tylko ćwiartka, i dopiero wtedy sładzi herbatę. Odwracam wzrok w samą porę, by nie zauważył, że się na niego gapię.

– A gdzie twoja współlokatorka? – pyta Max. – Czemu się wyprowadza.

– Pewnie na siłowni. Jej firma miała wcześniej siedzibę przy Paddington, ale przenosi się do Watford Junction. Sonia jest zadowolona, bo mieszkania przy Watford są tańsze.

Kiwa głową. Uważam, że to wszystko, co musi wiedzieć o Sonii, najnudniejszej współlokatorce pod słońcem, i jej nawykach.

– Czyli... poznaliście się z Davidem w Londynie, tak? Ale jesteś od niego młodszy.

– Tak. Jego rodzina mieszkała przy tej samej ulicy w Putney, zanim przeprowadził się do Irlandii, a my do Bristolu. Ale teraz moi rodzice mieszkają w Walii.

– Czyli znasz też Jenny? – nie mogę się powstrzymać, by go o to nie zapytać.

– No tak, znam ją – odpowiada. A ja od razu widzę, że jej nie lubi i przyznaję mu za to kolejną gwiazdkę.

Max bierze do ręki ciasteczko Kimberley i ogląda je z różnych stron.

– Jakie interesujące ciastko. Co to takiego.

– Kimberley – irlandzkie. Mama mi je przysyła – wyjaśniam. Bawi mnie jego analityczne podejście. – Ile mieszkań oglądałeś.

– Osiem. Naprawdę chcę coś znaleźć jak najszybciej. Próbuję ustawić tutaj pewien eksperyment, ale zgodziłem się też pomóc przy pewnym projekcie laboratoryjnym w Oxfordzie, więc nie za bardzo mogę się ogarnąć z pracą i szukaniem mieszkania. Dobrze byłoby mieć swój kąt. – Dostrzegam, że faktycznie jest bardzo zmęczony: mimo opalenizny i piegów wygląda blado, a włosy sterczą mu na wszystkie strony. Zastanawiam się, dlaczego jeszcze nie znalazł żadnego lokum. Jest przystojny, choć chyba trochę ekscentryczny.

– Nigdy wcześniej nie prowadziłam takich rozmów z potencjalnymi współlokatorami – przyznaję się. – Sonia i ja znalazłyśmy się tu dzięki właścicielowi mieszkania. O co cię pytają? O rzeczy typu, o której wstajesz.

– Nie, częściej o moje zalety i słabości, jak mogę się przydać w mieszkaniu, jak sobie wyobrażam samego siebie za pięć lat, jakie są moje najlepsze i najgorsze nawyki.

– O mój Boże! Żartujesz sobie! Naprawdę?

Kiwa głową.

– W jednym domu, który oglądałem w tym tygodniu, kazali mi trzymać w ręce kartkę z napisanym moim imieniem, żeby mogli zrobić mi zdjęcie i umieścić w swoich rejestrach. – Wybucham śmiechem, a on się uśmiecha.

– W porządku, rozumiem to, chcą wybrać właściwą osobę. Ale szukają też ideału, a jego znalezienie nie jest możliwe.

Nie zgadzam się z nim. Oczywiście, że można znaleźć ideał – czyż nie o to chodzi w chodzeniu na randki i szukaniu współlokatora.

Max gwałtownie zaprzecza ruchem głowy, jakby nie chciał wypowiadać się na ten temat.

– W każdym razie nie chcę przebywać w domu pełnym ludzi. Mieszkałem tak w Berkeley, było fajnie, ale chyba mam już tego dość.

– A co powiedziałaś tym, którzy zadawali ci te wszystkie pytania? – Jestem naprawdę zaintrygowana. – Interesowały ich twoje najgorsze nawyki.

– Że często lunatykuję i mam zwyczaj włączania przez sen piecyka.

– Ale to nie jest prawda? – pytam z powątpiewaniem.

– Nie, ale wiedziałem, że żadne z nas nie jest zainteresowane wspólnym mieszkaniem, więc nie zrobiło to żadnej różnicy. Ale jeśli chcesz znać całą nagą prawdę.

– Chcę.

– No to jedną z moich wad jest to, że lubię brać długie kąpiele. Naprawdę okropnie długie.

– Jak długa jest okropnie długa kąpiel.

– Yhm... dwie godziny.

– Dwie godziny?!

– Tak byłoby idealnie. Ale zawsze najpierw sprawdziłbym, czy ktoś inny nie potrzebuje skorzystać z łazienki. Albo poczekałbym, aż wszyscy wyjdą. Nie miałem w Kalifornii wanny, lecz wydaje mi się, że przy londyńskiej pogodzie naprawdę będę potrzebował kąpeli.

Hm. Jeśli ma zamiar pluskać się w wannie co wieczór, gdy ja będę chciała nałożyć samoopalacz, z czystym sumieniem mogę go skreślić z listy kandydatów.

– A jak wygląda twój dzień.

– Bardzo różnie. Czasem dużo pracuję i nawet noce spędzam w

laboratorium, więc właściwie nie będziesz mnie widywać. Co pewnie jest zaletą. Ale później, gdy pracy jest mniej, często wychodzę na miasto. Mogę też spędzić dwa lub trzy dni, nie opuszczając domu, przed telewizorem.

– Co oglądasz? – robię się podejrzliwa. Lepiej, żeby to nie była zawsze piłka nożna.

– Wiadomości. Albo *Simpsonów*.

– A piłkę nożną.

– Nie, nie przepadam za rywalizacją w sporcie. Ale lubię pływanie. I wspinaczkę. I surfowanie. Więc czasem mogę wyjechać na weekend, by poślizgać się na falach.

Dobrze. Spoglądam na niego i po raz pierwszy przechodzi mi przez myśl, że mogłabym z nim mieszkać. Przypuszczam, że nie byłby tak drobiazgowy jak Deborah.

– David wspomniał, że pracujesz w domu towarowym – mówi Max.

– Tak, w dziale damskim w Marley's.

Spogląda na mnie z zaciekawieniem. Patrzę na jego koszulkę i dodaję.

– To duży dom towarowy. A ty co robisz? To znaczy wiem, że jesteś naukowcem, ale czym dokładnie się zajmujesz.

– No cóż, generalnie badaniami nad pamięcią. Tym, jak działa, które części mózgu są wykorzystywane przy zapamiętywaniu poszczególnych rzeczy, tak najogólniej mówiąc.

Aż podskakuję.

– Serio?

– No... tak. Dlaczego pytasz.

„Bo może mógłbyś mi pomóc dowiedzieć się, czy oszalałam, czy pamięć płata mi figle, czy naprawdę przeniosłam się w czasie”.

– Nie, tak sobie. Wydaje się interesujące.

– Bo takie jest. Wiążę dużo nadziei z moim ostatnim pomysłem. Naprawdę chciałbym móc się na nim skoncentrować – bierze kolejne ciastko (trzecie!) i wgryza się w nie. – Na tym właśnie skupia się teraz moja uwaga.

– Czego dotyczy.

Natychmiast zaczyna objaśniać mi coś, czego w ogóle nie rozumiem – coś o płacie czołowym, korze mózgowej i tomografii.

Wnioskuje, że ma to związek z chorobą Alzheimera. Gdy obserwuję, jak wymachuje rękoma, by coś pokazać, a przy okazji rozsypuje okruszki po całym dywanie, myślę sobie: ten koleś nie opowie Davidowi o tym, że znalazł moje włosy w odpływie wanny. Nie zauważy tego. I nie będzie rozpisywać grafiku prac kuchennych ani narzekać, gdy zdarzy mi się hałasować po dwudziestej, jak to miała w zwyczaju Deborah. Nada się.

– No i co myślisz o mieszkaniu.

– Jest idealne – odpowiada bez zastanowienia. – Pokój, lokalizacja są świetne.

Po ogniu pytań, jaki miał miejsce w przypadku pozostałych kandydatów, miło mi usłyszeć takie słowa. Nawet Deborah, która w końcu ze mną zamieszkała, nigdy nie powiedziała, że mieszkanie jest idealne. Rozejrzała się i stwierdziła: „Tak, jest w porządku”. Max ma o wiele mniejsze wymagania. W sumie taki układ mógłby być idealny. Wyluzowany współlokator, który pozwoli mi robić to, na co mam ochotę. Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam.

– A co nie wchodzi w rachubę w przypadku zachowania współlokatorów? Czy jest coś, co cię naprawdę wkurza.

Marszczy brwi.

– Nie, jeśli tylko nie kradną moich rzeczy, jestem zadowolony.

Omawiamy kwestię czynszu i rachunków; mówię Maksowi, że wynajem musi trwać minimum rok, choć właściciel ma prawo wypowiedzieć umowę wcześniej.

– A, no właśnie. Powinienem ci wspomnieć o jednej kwestii.

No super. Trzyma w domu węża? Umawia się z bliźniaczkami? Potrzebuje oddzielnego pokoju dla swojej kolekcji porcelanowych lalek.

– Jest niewielkie prawdopodobieństwo, że będę musiał wyjechać z Londynu za pół roku. Mam nadzieję, że tak się nie stanie – dodaje szybko. – Ale moje aktualne stypendium wystarczy tylko na następne sześć miesięcy. I istnieje taka możliwość, że być może będę musiał szukać dofinansowania gdzieś indziej, na przykład w Niemczech albo Stanach. Nie chcę tego, naprawdę wolałbym zostać w Wielkiej Brytanii, ale pomyślałem, że powinienem ci o tym wspomnieć.

– Aha – mówię. No to szkoda. Nie chcę znów szukać współlokatora za pół roku, zakładając, że pozostanę w tym wymiarze.

– Przepraszam. Powinienem być ci powiedzieć wcześniej. To znaczy, być może do tego nie dojdzie, ale nie chciałbym cię później zaskoczyć.

A więc to dlatego nie załapał się na żaden z oglądanych wcześniej pokoi. Był zbyt uczciwy. Większość ludzi podpisałaby umowę i wyjechała, gdyby zaszła taka potrzeba.

Max wstaje.

– Powinienem już iść. Dziękuję za herbatę i za wszystko. – Otrzepuje koszulkę i wydaje się zaskoczony tym, że okruszki upadły na podłogę. – Przepraszam.

– W porządku. Obawiam się, że sześć miesięcy to trochę krótko... – Też podnoszę się z kanapy. – Jak mówiłeś, może do tego w ogóle nie dojść, ale...

– Nie ma sprawy. Nadal się rozglądam, szukam czegoś do wynajęcia na krótki termin.

Udaje mi się powstrzymać od powiedzenia, że „wynajem czegoś na krótki termin kosztuje w Londynie fortunę”. Biedny chłopak. Szukanie mieszkania jest beznadziejne. Wygląda na zrezygnowanego i na pewno jest rozczarowany. Gdy schyla się, żeby założyć na ramię plecak, zauważam, że napisał mój adres na wierzchu prawej dłoni – na pewno jest leworęczny. Z jakiegoś powodu widok tych gryzmołów mnie rozczula. Nie wiem, czy jest mi go żal, czy chcę wyświadczyć Davidowi przysługę, czy wolałabym mieć dla odmiany wyluzowanego współlokatora, a nie Deborah i jej zasady, ale podejmuję szybko decyzję.

– Max, słuchaj. Jeżeli chcesz się wprowadzić, pokój jest twój. Nie ma znaczenia, jeśli będziesz się musiał wprowadzić. Pod warunkiem że pomożesz mi kogoś znaleźć na swoje miejsce.

– Naprawdę? – wydaje się zachwycony. – To cudownie. Jesteś pewna? Dzięki, Zoe. Super.

Upewniam się, że zapisałam jego numer telefonu, i ustalamy kwestię kaucji oraz kluczy. Po jego wyjściu podchodzę do okna i patrzę, jak idzie sprężystym krokiem Elgin Avenue. No cóż, fajnie jest zrobić dobry uczynek. Przyjęłam pod swój dach bezdomnego. Na dodatek eksperta od pamięci! Jeśli ktoś może mi pomóc dowiedzieć się, co się ze mną stało, to tylko on.

•

Wieczorem, zgodnie z planem, spotykam się z Kirą i jej współlokatorkami w ich ogromnym domu w Westbourne Grove. Niemal padam na kolana, gdy otwiera mi drzwi. Kiedy widziałam ją poprzednim razem, była blada, biedna i kaszląca, i miała na sobie zimowy płaszcz. Teraz jest ubrana w krótkie wzorzyste turkusowe spodenki i białą bokserkę, a jej skóra ma idealną karmelową opaleniznę. Kira wygląda jakby wróciła ze świata zmarłych.

– Mam coś na zębach? – pyta.

– Nie! Nie masz.

Dziwnie się czuję, oglądając te same filmy na DVD i prowadząc te same rozmowy: o pracy Kiry (jej szef nie pozwolił jej wyjechać na święta i jest z tego powodu wściekła, a mnie to cieszy, bo dzięki temu mam je gdzie spędzić) oraz o Kate Middleton i księciu Williamie (muszę się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć, że zaręczą się w listopadzie). Kira, mająca dość cyniczne poglądy w kwestii mężczyzn i związków, wygłasza też uwagę, którą poprzednim razem puściłam mimo uszu, a która teraz daje mi do myślenia.

– Sprawienie, by facet na ciebie poleciał, wcale nie jest trudne – oznajmia. – Po prostu dowiedz się, co jest jego największą fantazją seksualną i urzeczywistniaj ją tak często, jak to możliwe.

– Hm – mruczę. Nigdy nie spytałam Davida, co mu się najbardziej marzy w tej dziedzinie, i nie wydaje mi się, by wystarczyło mi odwagi, żeby to zrobić – jeszcze nie. Ale kiedy o tym teraz myślę, przypominam sobie, że któregoś dnia w sierpniu zrobiło się szczególnie gorąco, gdy siedzieliśmy u niego na tarasie. Obawiałam się, że sąsiedzi nas zauważą, więc weszliśmy do środka, ale David sprawiał wrażenie rozczarowanego. To samo przydarzyło się innym razem, gdy późnym wieczorem wracaliśmy z koncertu w Hampstead Heath. Chciał, żebyśmy zostali na dworze jeszcze dłużej, lecz ja nie miałam na to ochoty.

Ale jeśli coś takiego naprawdę go kręci... byłoby to dla mnie bardzo krępujące, choć wydaje mi się, że mogłabym spróbować. A przynajmniej o tym pomyśleć.

– Ziemia do Zoe – mówi Kira. – Napij się jeszcze.

Po wypiciu kilku drinków mam wielką ochotę napisać do Davida. Jest wiele powodów, by to zrobić: mogłabym go poinformować, że

spotkałam się z Maksymem w sprawie mieszkania, albo zapytać, jak
podał mu się film, ale przypominam sobie *The Rules* i powstrzymuję
się. Nie będę się z nim kontaktować jako pierwsza; mogę odebrać
telefon od niego, ale nic więcej. Komórka nigdy nie dzwoni, gdy się na
nią patrzy, więc chowam ją, by mnie nie kusiła.

Rozdział 9

Jestem cała rozemocjonowana, gdy w poniedziałek docieram do pracy. Udało mi się namierzyć Sinead Devlin i odwiedziłam ją poprzedniego dnia w jej magazynie-mieszkanu w Hackney. To zabawne: sądziłam, że nie odpowiada na moje maile, bo odnosi ogromne sukcesy jako projektantka, ale tak naprawdę jest po prostu bardzo roztargniona. Była podekscytowana, kiedy dowiedziała się, że chcę pokazać jej projekty naszym kupcom i mam ze sobą jej katalog.

– Dobry, Zoe. – Bruce, obleśny ochroniarz, wita mnie, nie okazując większego zainteresowania. To fajnie. Ostatnio przyglądał mi się, bo miałam zbyt krótką spódniczkę. Dzisiejsza ołówkowa jest zdecydowanie bezpieczniejszym wyborem. Wokół szyi zamotałam sobie boską apaszkę, którą dostałam od Sinead. Mam nadzieję, że przyniesie mi szczęście.

O mniej więcej jedenastej znów jesteśmy z Julią w przymierzalniach. Zapomniałam, ile tu pracy. Trzeba sprawnie wpuszczać do nich i wypuszczać z nich ludzi, wnosić i wyciągać naręcze ubrań, rozwieszać je na wieszakach, sortować, sprzątać niesamowity bałagan pozostawiony na podłodze przez klientów. Jedna wyjątkowo elegancka kobieta zostawiła w przymierzalni pięć opakowań po orzeszkach sojowych. Zastanawiam się, czy nie powinnam może poczekać do końca dnia z opowiedzeniem o Sinead, gdy Julia zwraca się do mnie.

– Cudowna apaszka. Gdzie ją kupiłaś.

Zachwycona odwracam się do niej.

– O! To mojej przyjaciółki, młodej irlandzkiej projektantki. Ma nadzieję, że dostanie się wkrótce do jakiegoś showroomu i zaprezentuje podczas Londyńskiego Tygodnia Mody.

– Mogę się lepiej przyjrzeć.

– Jasne! – wręczam jej apaszkę. Dokładnie ją ogląda. Chustka jest naprawdę fajna. Jej wzór z daleka przypomina kwiaty, ale po bliższym obejrzeniu widać, że to skamieliny i kamienie, w różnych odcieniach niebieskiego na ciemnoszarym tle.

– Te są z jedwabiu, ale w zimowej kolekcji ma też takie z kaszmiru.

– Czy jest może rozmiar trzydzieści osiem? – pyta ktoś za mną.

Zajmując się klientką, czuję się, jakbym siedziała na szpilkach: czy Julia będzie zainteresowana, czy nie? Ale gdy tylko sytuacja na to pozwala, Julia wraca do tematu.

– Jest wspaniała. Widziałas inne projekty.

– Tak. Właściwie to mam przy sobie jej katalog. Chciałabyś go obejrzeć.

– O, to super. Może pokażesz mi go podczas lunchu? Pojadę na górę o wpół do pierwszej, żeby sprawdzić maile. Przynies mi go wtedy.

– Świetnie! Tylko... – Tak się przejmuję formalnościami, że najchętniej wyjaśniłabym, iż normalnie mam przerwę o pierwszej, ale zalewa nas kolejna fala klientów i nie ma już czasu na rozmowy. Spokojnie, przecież Julia nie musi wiedzieć, o której mam przerwę na lunch. Nawet nie musiałam inicjować rozmowy! Sama zauważyła apaszkę! Teraz trzeba tylko wymyślić, jak dostać się na górę o wpół do pierwszej.

Mniej więcej o jedenastej czterdzieści pięć Julia gdzieś wychodzi, a jej miejsce zajmuje Harriet. Jest podekscytowana, bo dzięki wspólnym znajomym poznała jakiegoś faceta. Napisał do niej SMS, że powinni się spotkać, ona odpisała, że bardzo chętnie, i teraz martwi się, czy to wystarczy.

– Może powinnam zaproponować czas i miejsce? – zastanawia się.

– W żadnym wypadku. To on musi się wykazać – odpowiadam.

Nie dodaję już, że gość będzie wysyłał SMS-y z propozycją spotkania, ale nigdy do niego nie dojdzie. Harriet i tak bardzo często prosi mnie o poradę, gdybym zaczęła jeszcze przewidywać przyszłość, nastąpiłaby katastrofa.

– O której godzinie masz przerwę na lunch? – pytam.

– Od dwunastej piętnaście do dwunastej czterdzieści pięć. Czemu pytasz.

– Zamienisz się ze mną? Zaczynam o pierwszej. – Gdy wyjaśniam dlaczego, Harriet jest bardzo podekscytowana.

– Cudownie! – mówi. – Zoe, jesteś genialna, powodzenia.

Dostrzegam, że kupiła nie tylko takie same zielone buty ze skóry pytona, lecz także identyczną bluzkę bez rękawów, tylko że ja mam granatową, a ona czarną. No cóż, to nieistotne, mam wobec niej dług.

•

Gdy tylko zaczyna się przerwa, biegnę do kasy, gdzie w szufladzie pod stertą katalogów ukryłam moje materiały o Sinead. Jestem przerażona, widząc, że Karen przegląda je z zainteresowaniem. Kiedy podchodzę, podnosi wzrok.

– Zoe! Czemu nie jesteś w przymierzalniach.
– Mam przerwę na lunch. Zamieniłam się z Harriet.
– Jak to.
– Och... byłam głodna? – Ojej, to nie jest dobra odpowiedź.
– No cóż, to twój punkt widzenia. Przydzielono wam te przerwy i nie powinnyście się zamieniać między sobą.
– Rozumiem. Czy jednak mogłabym ten jeden raz zrobić wyjątek? – pytam.

Jej oczy zwięzają się w szparki.
– Uważasz, że zasady ciebie nie dotyczą, Zoe?
– Nie – odpowiadam potulnie.
Zapada cisza, aż w końcu mówi.
– Dobrze, ale jeden jedyny raz.
– Dziękuję... Julia prosiła, żebym przyniosła jej do biura ten katalog.
– Aha, myślałam, że zostawił go tu któryś z kupców – zamyka katalog z trzaskiem. – Zaniosę go do jej gabinetu.
Cholera. Teraz muszę się przyznać.
– Nie, należy do mnie. Znam projektantkę.
– Oo – wydaje przesadny odgłos mówiący „ale jesteś modna”, po czym otwiera katalog raz jeszcze i zaczyna się przyglądać. – Znasz projektantkę, tak? No oczywiście, że znasz. – Przerzuca kilka kolejnych stron.

To jasne, że szuka jakiegoś sposobu, by się sprzeciwić, ale nie może nic zrobić, więc oddaje mi katalog.

– Tylko wróć na czas i niech ci nie wejdzie w nawyk takie zamienianie się przerwami na lunch.

– Oczywiście – rzucam i biegnę do windy. Nie mam przepustki, więc czekam i po chwili ktoś się pojawia. Widziałam go wcześniej. To wysoki, przystojny Azjata, który upodobał sobie eleganckie ubrania, na przykład trzyczęściowe garnitury. Dziś bije od niego blask. Ma na sobie piękną niebieską marynarkę z płótna, białą koszulę, spodenki do kolan i mokasyny, bez skarpetek. Jest szefem jakiegoś działu, ale nie

wiem którego.

– Na górę, koleżanko? – pyta mnie z okropnym udawanym amerykańskim akcentem. Uśmiecha się i dostrzegam, że nosi niebieskie szkła kontaktowe. Widzi, że pod pachą trzymam katalog, więc szybko mierzy mnie wzrokiem, oceniając każdy detal mojego stroju.

– Mam nadzieję – odpowiadam.

•

Szóste piętro wygląda dokładnie tak samo jak ostatnio: błyszcząca, czarno-biała, otwarta przestrzeń podświetlona pięknymi małymi zielonymi lampkami – takimi jak w bibliotekach. Przechodzę, starając się nie gapić na wszystko dokoła: rozstawione wszędzie wieszaki z ubraniami, tablice z inspiracjami wiszące na ścianach, dziewczynę w rurkach i converse'ach biegnącą z ogromnym aparatem fotograficznym. Gdy mijam pokój z przeszklonymi drzwiami, w którym miała miejsce moja rozmowa o pracę, wzdrygam się na myśl o tym, jak źle mi poszło. Pójdzie. Mam nadzieję, że tym razem tak nie będzie.

Gabinet Julii znajduje się na końcu. Julia je sushi, pije herbatę Yoga Bunny Detox i wpatruje się w wielkiego Maca. Włosy ma zaplecione w dobierany warkocz, który sięga jej aż do talii.

– O, cześć! – patrzy na mnie, nie rozumiejąc, o co chodzi, aż wreszcie przypomina sobie, kim jestem, i gestem zaprasza mnie do środka.

– Proszę, oto katalog – mówię, pewnie wkraczając do pokoju. – Daj mi znać, gdybyś czegoś jeszcze potrzebowała. Namiary na projektantkę są w środku, ale możesz go jej zwrócić, jeśli uznasz, że cię to nie interesuje.

– Dobrze. Usiądź, proszę. Zdejmij tylko te rzeczy z krzesła – ja je wezmę.

Podnoszę stertę dzinsów 7 for all mankind i jedwabnych bluzek i podaję je Julii. Pokój jest mały i zagracony, pełno w nim czasopism i katalogów, próbek materiałów, portfolio rozrzuconych na podłodze. Dostrzegam stojącą na biurku fotografię w srebrnej ramce: dwoje małych dzieci. Są bardzo małe. Nic dziwnego, że Julia zawsze wygląda na potwornie zmęczoną.

– Ta dziewczyna to twoja znajoma? – pyta, otwierając katalog.
– Tak, chodziłyśmy razem do szkoły. Skończyła NCAD3) w Dublinie parę lat temu i od tamtej pory pracuje dla projektanta dzianin.
3) NCAD – National College of Art and Design (przyp. red.).

– Są znakomite. Podoba mi się ich kolorystyka. Mówisz, że nie ma showroomu ani agenta.

– Nie, pracuje w swoim mieszkaniu w Hackney.

– Świetnie. Na pewno się z nią skontaktuję. Dzięki, Zoe.

– Nie ma sprawy.

Zamyka katalog i uśmiecha się do mnie. Chyba powinnam już iść, więc wstaję i kieruję się w stronę drzwi, ale kiedy widzę eleganckie, głośne biuro, pełne ludzi wykonujących pracę, o której marzę, nie mogę się zmusić do wyjścia i odwracam się z powrotem.

– W sumie to mam jeszcze kilka pomysłów, o których chciałam ci wspomnieć.

– OK – Julia sprawia wrażenie zdezorientowanej.

– Chodzi o to... o tę brązową sukienkę w geometryczny wzór, którą wczoraj oglądałaś.

Podnosi brwi.

– Tak. Co z nią.

– No, Keira Knightley sobie taką kupiła i planuje ją założyć. A... te luźne marynarki są bardzo popularne. Wydaje mi się, że nie powinny być przeceniane, bo możemy ich jeszcze sporo sprzedać. Tak samo sukienki maxi – sądzę, że znalazłyby wielu nabywców, gdybyśmy je szybko zatowarowali w innych kolorach. Znaczą się kolorystyce.

Julia spogląda na mnie. W dłoni trzyma pałeczki. Jest jednocześnie zdziwiona i rozbawiona.

– Powtórzysz jeszcze raz to o Keirze Knightley.

– Chodzi o to, że ma taką sukienkę – miałam powiedzieć, że ją założy, ale wtedy wyszłabym na stalkerkę. – A tylko my i Harrods mamy je w ofercie, więc na pewno nam się sprzedadzą i nie powinniśmy obniżać ich ceny.

– Skąd o tym wiesz.

– Hm... to moja znajoma. – Boże wszechmogący, czy ja naprawdę powiedziałam coś takiego? Tak, nie mam pojęcia czemu. Nie byłam po prostu w stanie wymyślić nic innego.

- Naprawdę? Skąd ją znasz.
- No... mamy wspólnych znajomych. Moja przyjaciółka prowadzi kawiarnię. W Primrose Hill. A Keira regularnie w niej bywa.
- Skąd mi się to bierze? Nawet nigdy nie byłam w Primrose Hill.
- Rozumiem – Julia spogląda na mnie z pewnym zaskoczeniem. Oczywiście jest, że zmienia swoją opinię na mój temat. – Głosujesz za luźnymi żakietami i sukienkami maxi. Coś jeszcze.
- Nie. Może tylko tyle, że chyba zamówiliśmy za dużo dzinsów z rozszerzaną nogawką. I wydaje mi się, że ciężko będzie opchnąć sukienki midi.

Julia marszczy brwi.

– Ale dopiero je wstawiliśmy. Opierasz się na wcześniejszej sprzedaży czy to tylko prognozy.

– Tak naprawdę tylko prognozy.

W moim głosie słyhać wahanie, gdy o tym mówię, bo nie chcę sprawić wrażenia, jakbym krytykowała jej decyzje. Julia kiwa głową i bierze kawałek sashimi.

– W porządku. Zawsze dobrze jest usłyszeć opinie od sprzedawców. – Wskazuje palcem na katalog. – Powiedz koleżance, że się z nią skontaktuję. To znaczy projektantce, nie Keirze – uśmiecha się.

– Dzięki. Świetnie. Dziękuję, Julio! Do zobaczenia.

Wychodzę pośpiesznie z gabinetu i zerkam na wielki zegar wiszący na ścianie: jest dokładnie za kwadrans pierwsza. Jak dostanę się z powrotem do windy? Na szczęście w jej kierunku biegnie bardzo wysoka dziewczyna, a towarzyszy jej dziewczyna z aparatem, którą dostrzegłam wcześniej.

– Do zobaczenia, Agneto, dbaj o siebie – mówi, machając w windzie przepustką, i wpuszcza nas do środka.

Dyskretnie spoglądam na nią, jej wysmukłą sylwetkę i wysokie kości policzkowe. Myślę, że poprzednim razem w tym momencie byłam w sklepie i składałam T-shirty, a obecnie jestem w windzie z prawdziwą, żywą modelką! Teraz muszę tylko czekać i modlić się, by moje przewidywania się sprawdziły i bym niedługo być może sama miała przepustkę do windy.

•

Robiłam, co w mojej mocy, żeby uniknąć patrzenia na telefon, ale wieczorem dostrzegam z ulgą, że dostałam wiadomość od Davida. Niekontaktowanie się z nim z pewnością działa: to on się teraz ugania. Jedyne problem polega na tym, że SMS brzmi: „Jutro quiz w pubie. Będziesz? X”.

Rozdział 10

Quiz w pubie był takim koszmarem, że naprawdę nie chcę przez to znów przechodzić – z drugiej strony zamierzam rozegrać tę sytuację inaczej.

Już za pierwszym razem nie miałam ochoty na to spotkanie z trzech powodów. Po pierwsze, szkoda było marnować na quiz tak ładny lipcowy wieczór, choć Auld Shillelagh to całkiem przyjemny pub, z wysokim sufitem i wielkimi drzwiami otwierającymi się na ulicę. Po drugie, nie znoszę quizów i obawiałam się, że słabo wypadnę w towarzystwie przyjaciół Davida. Po trzecie, miałam zobaczyć Jenny po raz pierwszy po mojej sprzeczce z Davidem. On jednak uwielbiał swój cotygodniowy konkurs i po tym, jak się pokłóciliśmy, odczułam taką ulgę z powodu wyjaśnienia całej sytuacji, że chętnie zgodziłam się przyjść.

Kiedy dotarłam na miejsce, wcale mnie nie zdziwiło, że Jenny już tam była i zajęła miejsce obok Davida.

– Cześć, Zoe – powiedziała z niewyraźnym uśmiechem.

– Witaj, Jenny, cieszę się, że cię widzę – odpowiedziałam w taki sam fałszywy sposób, zastanawiając się przez moment, czy David wspomniał o naszej kłótni. Miałam nadzieję, że tego nie zrobił.

David poszedł kupić mi gin z tonikiem i gdy tylko wrócił, odwróciła się ode mnie i kontynuowała swoją niekończącą się opowieść o tym, co tego dnia powiedział i zrobił jej konsultant Roger. Dużo o nim słyszeliśmy, bo najwyraźniej był najlepszym chirurgiem naczyniowym na świecie. Podobno jego zdaniem Jenny również jest dość dobra, choć nie chciał tego przyznać.

– Stale ciągnie mnie na swoje zabiegi, to żenujące.

Jak mawiała Rachel, Jenny umiała przedstawić się w dobrym świetle. Nie potrafiłam ocenić, czy jest atrakcyjna, czy nie. Moim zdaniem nie miała ładnej twarzy, a jej niebieskie oczy były zimne, ale zazdrościłam jej gęstych, puszystych blond włosów i opalanej skóry – była jedną z tych osób, które w ciągu pół godziny opalają się na złoty brąz (szlag by ją trafił). Uprawianie drogiej, wymagających sportów – takich jak jazda konna, żeglowanie, narciarstwo i oczywiście tenis, w którego grała z Davidem w prawie każdy weekend – sprawiło, że miała świetną figurę. Często nosiła błękitne koszule z postawionym

kołnierzykiem, perłowe kolczyki i mokasyny, ale tamtego dnia z jakiegoś powodu była ubrana w czarną kopertową sukienkę do kolan. Czułam się bardzo wyzywająco w moim topie w stylu hippie z dużym dekoltem i krótkich spodenkach, a na dodatek zostałam całkowicie wykluczona z rozmowy.

– Słyszałeś o Fergusonach? – zapytała Davida. – Kupili niedawno dom w Chelsea. Cztery bańki. Gdy o tym usłyszałam, umarłam z zazdrości.

– To nasi sąsiedzi z czasów, gdy byliśmy dziećmiakami – wyjaśnił mi David.

– Widziałam zdjęcia tego domu. Zajebiaszcze – stwierdziła Jenny.

Przyjaciółka Davida jest uzależniona od słówek tego typu, mówi „psiółka” zamiast „najlepsza przyjaciółka” albo „entnie” zamiast „ewidentnie”. I nigdy nie przepuszcza okazji, by pokazać mi, jak dobrze znają się z Davidem, jak blisko jest z jego rodziną i jak wiele mają ze sobą wspólnego – także ten quiz, na który Jenny przychodziła z nim co tydzień, mimo że odbywał się daleko od Putney, czyli dzielnicy, w której mieszka.

– Wygrywamy prawie za każdym razem, prawda, Davidzie? Nigdy nie wypadliśmy z pierwszej trójki. Ale nie przejmuj się, Zoe, nie będziesz musiała odpowiadać na wiele pytań. Oliver też jest dość dobry. O właśnie, oto nadchodzi.

Oliver zmierzał w naszą stronę, zdejmując z siebie cały sprzęt rowerowy mający poprawić jego widoczność na drodze i żonglując kuflem piwa, kaskiem i siodełkiem rowerowym. Miał wzrost koszykarza – prawie dwa metry – i już był lekko przygarbiony od pochylania się przez cały dzień nad stołem operacyjnym.

– Nie martw się, nadeszła kawaleria – oznajmił, poklepał Davida po plecach i usiadł obok mnie.

– Jak było w pracy? – spytałam go, bo odczułam ulgę, że pojawił się ktoś miły.

– Ech, tylko kilka złamań. Nic, czego sama byś nie naprawiła, mając za sobą odrobinę praktyki, Zoe. – Poprawił okulary na nosie i przeczesał palcami ciemne włosy. – A teraz pokażmy, co wiemy.

Lubiłam Olivera. Nie dało się o nim powiedzieć, że jest bosko przystojny – z pewnością uszy nie należały do jego największych zalet

– ale za to był zabawny i świadomy własnych niedoskonałości. Zawsze żartował, że chirurg ortopeda to mniej więcej to samo co stolarz. I spędził rok w Nairobi jako wolontariusz programu „Lekarze bez granic”. Jednak mimo wszystkich tych wspaniałych cech jego zauroczenie Rachel pozostawało nieodwzajemnione.

Pytania były niemożliwe: nawet David i Oliver, którzy szczycili się ogromną wiedzą ogólną, czuli się momentami speszeni. Jedną rundę poświęcono piłce nożnej (David był w tym temacie bardzo dobry), kolejną – rozpoznawaniu flag (tu z kolei brylował Oliver), padło też mnóstwo pytań dotyczących mało znanych zespołów (żadne z nas nie umiało na nie odpowiedzieć). Wiedziałam, że David nie znosi przegrywać, niezależnie od tego, czy chodziło o pracę, grę w squasha czy quiz, i naprawdę chciałam zrobić coś, co mu pomoże, zamiast siedzieć tam jak pustak.

Zanim rozpoczęła się przerwa przed ostatnią rundą, nie zdołałam odpowiedzieć na żadne pytanie. Z kolei Jenny udzieliła wielu odpowiedzi. Siedziała oparta, wyglądała na zadowoloną z siebie i ostentacyjnie ziewała.

– Przepraszam. Mam trudny weekend. – Wypiła łyk coli light. Była permanentnie przyssana do puszki tego napoju. – Pracowałam dwadzieścia godzin bez przerwy, po całym tygodniu nocnych zmian. Czasem marzę, żeby mieć taką fajną pracę jak ty, Zoe. Po prostu iść na dziewiątą, kończyć o piątej i nie musieć myśleć – byłoby cudownie.

Otwarłam usta, żeby się odgryźć, ale Oliver, który zawsze stara się zachować spokojny nastrój, przerwał:

– To cud, że wszyscy jeszcze jesteśmy przytomni.

– Nie jestem zwyczajnie zmęczony: jestem tak zmęczony, jak może być tylko lekarz po dyżurze – powiedział David, który zdawał się nie zauważać przytyku swojej przyjaciółki.

Chłopcy zaczęli rozmawiać na inny temat, ale Jenny odwróciła się w moją stronę i posłała mi chytre spojrzenie.

– Wiesz, boję się przyjazdu rodziców Davida. Wiem, że po podwieczorku zaciągną nas na kolację i drinki... Przez tydzień nie będę mogła dość do siebie.

Nie mogłam uwierzyć, że tak się z tym afiszuje. Wzięłam głęboki oddech, powstrzymując się od uduszenia jej.

– To miłe – odparłam przez zaciśnięte zęby.

– Muszę się z nimi spotykać za każdym razem, gdy tu przyjadą – ciągnęła. – Nie mam wyjścia. Ale są świetni, tacy przyjacielscy i ciepłi.

– To urocze. Jesteście z Davidem jak brat i siostra, nieprawdaż? – Sądziłam, że to ją uciszy.

– Wcale nie – odpowiedziała błyskawicznie. – Zerwaliśmy kontakty, gdy David, mając dwanaście lat, wyprowadził się z powrotem do Irlandii, ale pięć lat temu znaleźliśmy się na Facebooku.

Wiedziłam, że również poszedł na medycynę. Wtedy odkryliśmy, że mieszkamy blisko siebie w Londynie i mamy wspólnych znajomych, mieliśmy też zacząć pracę w tym samym szpitalu. Czy to nie boskie? – skończyła z triumfem.

– Boskie – zgodziłam się bez entuzjazmu.

Oliver spojrział na mnie i miałam wrażenie, że wyczuł rosnące między nami napięcie.

– Wyglądasz dziś bardzo elegancko – zwrócił się do Jenny, a ja pomyślałam, że to miło z jego strony, iż próbował zmienić temat, bo tylko z takiego powodu można ją było skomplementować. Jenny miała na sobie zupełnie zwykłą czarną sukienkę kopertową, z jakiejś mieszanki poliestru. Z rozzaleniem pomyślałam, że gdybym przyłożyła do niej płonąca zapalniczkę, pewnie by się zapaliła.

– Dzięki – powiedziała Jenny. – Na ogół nie zawracam sobie głowy kieckami, ale zabawnie było założyć ją dziś wieczorem! Gdy wyszłam z mieszkania, jacyś kolesie gwizdali za mną na ulicy... a później pewien mężczyzna ustąpił mi miejsca. Kretyniaszcze. Faceci to tacy idioci – uśmiechnęła się do Davida, a ten przewrócił oczami w przyjacielski, zaczepny sposób, czym wbił mi nóż w serce. Wtedy Jenny popchnęła go w zabawny, ale zaborczy sposób, a on – nie mogłam w to uwierzyć – odwzajemnił jej gest.

Nie byłam w stanie tego dłużej znieść. Działalam pod wpływem impulsu.

– To idiotyczne! – odezwałam się ze współczuciem. – Ta sukienka naprawdę ci pasuje. Wcale nie wyglądasz... ojej, przepraszam. Przepraszam. Nie zwracaj na mnie uwagi – udawałam zawstydzoną.

– O czym ty mówisz? Ten facet nie sądził, że jestem w ciąży, jeśli to właśnie insynuujesz – burknęła Jenny.

– Aha, rozumiem. Chodzi ci o to, że uznał cię za atrakcyjną. No

tak, to super.

– Zoe – rzekł David z wyrzutem.

Ostatnia runda dotyczyła lat osiemdziesiątych. Odczułam ulgę, bo znałam odpowiedzi na dwa pytania: kto śpiewał *Land Down Under* i jak brzmiało prawdziwe nazwisko George’a Michaela – ucieszyłam się, że nie jestem totalnym głąbem.

– Pytanie numer dziewięć – oznajmił prowadzący. – Jaka znana irlandzka postać została porwana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku.

– Brian Keenan – odpowiedział David.

– Tak, Brian Keenan – potwierdziła Jenny, poklepując go po ramieniu. – Oliverze, zapisz.

– Nie, nie, to podchwytliwe pytanie. Chodzi o Shergara – wtrąciłam się nagle. Nie chciałam podważać opinii Davida, ale byłam przekonana, że to dobra odpowiedź.

– Jesteś pewna? – David zmarszczył brwi.

– Na sto procent. Mój tato interesuje się wyścigami konnymi i pamiętam, jak o tym opowiadał.

– A kiedy porwano Briana Keenana? – zapytał Oliver.

Nie wiedziałam.

– Myślałem, że to było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku – stwierdził David.

– No cóż, urodziłam się w osiemdziesiątym piątym, więc wam nie pomogę – powiedziała Jenny. – Nie wiedziałam, że jesteś taka stara, Zoe.

– Daj spokój, Jen. Dobrze, zapiszemy, że to Shergar – zdecydował David. – Ciii, następne pytanie.

– I pytanie numer dziesięć, ostatnie dzisiejszego wieczoru.

Książę Karol i Diana, księżna Walii, pobrali się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w opactwie Westminster. Kto zaprojektował suknię ślubną Diany.

Wszyscy spojrzeli na mnie z wyczekiwaniem. O Boże. Jedyne pytanie dotyczące mody podczas całego wieczoru, a ja nie znałam odpowiedzi. Pamiętałam tę suknię – pierwszą bezę – ale nie potrafiłam sobie przypomnieć nazwiska projektantki. Czy to była Caroline Charles? A może Amanda Wakeley? Wiedziałam, że nazwisko miało okropne angielskie brzmienie.

– No i? – spytała Jenny i spojrzała na mnie z taką wyższością, że miałam ochotę ją walnąć.

– To była kobieta, nieprawdaż? – Oliver bardzo mnie zaskoczył swoją wypowiedzią. – Moja mama jest wielką fanką Diany – dodał dla wyjaśnienia.

– Wydaje mi się, że chodzi o Caroline Charles – odrzekłam niepewnie, a Oliver posłusznie zapisał odpowiedź.

– Och, naprawdę mam nadzieję, że poprawnie odpowiedzieliśmy na te ostatnie pytania – odezwała się Jenny, gdy wręczyliśmy nasze arkusze. – Bo inaczej byłaby totalna kłapa... Wiesz, kogo dziś spotkałam? – zwróciła się do Davida. – Uroczą Hilary. – Odwróciła się do mnie i dorzuciła: – Jedną z byłych dziewczyn Davida. Jest pielęgniarką. Umawiałeś się z wieloma pielęgniarkami, prawda, Davidzie?

David przewrócił oczami i zwrócił się do mnie.

– Nie słuchaj jej.

– Cicho, dzieciaki, odczytuję odpowiedzi. Ej, nie idzie nam tak źle – podsumował Oliver, notując na odwrocie podkładki pod piwo.

– Mam nadzieję, że będziemy w pierwszej trójce – powiedział David.

Gdy odczytywano odpowiedzi z rundy dotyczącej lat osiemdziesiątych, zaczęłam obgryzać paznokcie.

– *Men at work*... Kenneth Clark... tak... tak! – wykrzyknął Oliver. Dobrze nam idzie, drużyno!

– Pytanie numer osiem. Czyje porwanie wywołało poruszenie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku? Odpowiedź brzmi... Briana Keenana.

W całej sali rozbrzmiewały okrzyki radości i jęki zawodu. Byłam tak zawstydzona, że nie mogłam nikomu spojrzeć w oczy.

– „Napaleni Archiwiści” odpowiedzieli „Shergar”. Niezły strzał, drodzy miłośnicy koni.

– Wydawało mi się, że daliśmy odpowiedź „Brian Keenan” – wyraziła swą wątpliwość Jenny. – Przecież tak właśnie mówiłeś, Davidzie.

– Nie, zapisaliśmy „Shergar” – odparł David. Uśmiechnął się do mnie, jakby chciał pokazać, że nic się nie stało, ale byłam tak zażenowana, że nie mogłam mu spojrzeć w oczy.

– I pytanie numer dziesięć: kto zaprojektował suknię ślubną księżnej Diany.

Błagam, niech to będzie Caroline Charles. Proszę, proszę, proszę...

– Prawidłowa odpowiedź to „Elizabeth Emmanuel”. Dodatkowy punkt za wzmiankę o jej mężu i współpracowniku, a więc „David i Elizabeth Emanuel”.

– Oo... – skwitowała Jenny. – Porażka.

Na koniec wieczoru, gdy odczytano wyniki, okazało się, że uplasowaliśmy się pośrodku. Do pierwszej piątki zabrakło nam dwóch punktów. Innymi słowy, znaleźliśmy się poza nią przeze mnie. Słyszałam, jak Jenny szepnęła do Olivera:

– No tak, wiemy, kto jest naszym najśłabszym ogniwem.

– Nie wygłupiaj się, Jen. Dobrze nam poszło. Ale następnym razem nie damy się pokonać tym draniom! – zapowiedział Oliver i rzucił długopisem w drużynę naszych znajomych, którzy siedzieli przy stoliku obok. Jenny tylko wzruszyła ramionami, a ja zaczęłam się zastanawiać: „Jakim cudem David mógł się przyjaźnić z tą żoną z piekła rodem?”

Później, gdy wracaliśmy z Davidem do domu, nie mogłam odpuścić tego tematu.

– Przepraszam za te wszystkie złe odpowiedzi.

– Nie przejmuj się tym – odparł, myślami błędząc gdzie indziej.

– No tak, ale wiem, że zależało ci na wyniku.

– Nie ma sprawy.

Nie o taką odpowiedź mi chodziło. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu.

– I nie gniewaj się, że byłam trochę niemiła wobec Jenny. Chodzi o to, że ona... czasem przesadza z tym kokietowaniem i skromnością. Nie sądzisz.

– Ale o co chodzi? – Wiedziałam, że weszłam na złą ścieżkę, ale parłam przed siebie.

– No o taką sytuację, gdy udaje, że żartuje albo narzeka, a tak naprawdę się chwali. Na przykład tym, że idzie na drinka z czyimiś rodzicami albo że faceci ustępują jej miejsca w metrze.

– Nie to miała na myśli – stwierdził lakonicznie David. – I czemu powiedziałaś jej, że wygląda, jakby była w ciąży.

– Nie powiedziała! Po prostu źle ją zrozumiałam i sądziłam, że to dlatego ten facet ustąpił jej miejsca! – Czułam, że małe kłamstwo jest w tej sytuacji usprawiedliwione.

David potarł twarz dłonią. Sprawiał wrażenie wykończonego.

– Słuchaj, jestem strasznie zmęczony. Możemy się umówić, że nie zgadzamy się w tej kwestii? I możesz być wobec niej trochę miłsza.

Stałam jak wryta.

– Jestem wobec niej miła. To ona zachowuje się w stosunku do mnie jak jędza! Przez cały czas, a ty to olewasz.

– Zoe, spędziłem dziś dziesięć godzin w sali operacyjnej. Nie mam na to ochoty.

– Przepraszam – odpowiedziałam cicho.

Wróciliśmy razem do domu i pogodziliśmy się, ale ta sytuacja była kolejnym gwoździem do trumny.

•

Nic takiego nie ma miejsca za drugim razem. Jenny coraz niżej opada szczęka, gdy po kolei udzielam prawidłowych odpowiedzi – tyle, ile pamiętam, ale nie tyle, by wzbudzić podejrzenia.

– Kenickie, Winston Churchill. Hm, tysiąc dziewięćset czterdzieści. – Oliver zapisuje odpowiedzi tak szybko, jak jestem w stanie ich udzielać, a David patrzy na mnie z niewiarygodnym zachwytem.

– Nie wiedziałem, że jesteś tak dobra z historii, Zoe – mówi.

Tymczasem Jenny spogląda na mnie podejrzliwie.

Początkowo jeszcze bardziej niż ostatnim razem stara się mnie przebić i w rundzie dotyczącej sportu staje się bardzo przemądrzała.

– Niemcy, zdecydowanie Niemcy. Hiszpania zwyciężyła rok wcześniej.

Ale gdzieś w połowie postanawia zachowywać się tak, jakby udział w quizie był poniżej jej możliwości. W chwili, gdy zaczyna się przerwa przed rundą dotyczącą lat osiemdziesiątych, jest kompletnie wyłączona i rozmawia z Davidem o konsultantach.

– Jeśli możesz, unikaj go. Słyszałam, że w sali operacyjnej puszcza na cały regulator The Carpenters. Seriaszco. – Ostentacyjnie ziewa i sięga po colę light. – Wybacz. Mam trudny weekend.

Pracowałam dwadzieścia godzin bez przerwy, po całym tygodniu

nocnych zmian. Czasem marzę, żeby mieć taką fajną pracę jak ty, Zoe. Po prostu iść na dziewiątą, kończyć o piątej i nie musieć myśleć – byłoby cudownie.

– Spodobałoby ci się – zgadzam się z nią i uśmiecham się serdecznie. Jest zmieszana. Chyba dopiero po chwili orientuje się, że była to obraźliwa uwaga. W *The Rules* nie ma żadnych wskazówek, jak radzić sobie z okropnymi znajomymi, ale generalnie mantra mówi, by zachowywać się beztrzesko i być pewną siebie. Więc pozwalam sobie na jedną docinkę, a później będę wyjątkowo miła. Wyjątkowo miła.

– To cud, że wszyscy jeszcze jesteśmy przytomni – stwierdza Oliver.

– Nie jestem zwyczajnie zmęczony: jestem tak zmęczony, jak może być tylko lekarz po dyżurze – przyznaje się David.

– Wiesz – zwraca się do mnie Jenny – boję się przyjazdu rodziców Davida. Wiem, że po podwieczorku zaciągną nas na kolację i drinki... Przez tydzień nie będę mogła dość do siebie.

– No cóż, taki już urok irlandzkich rodziców – odpowiadam wesoło. – Musisz się na to przygotować.

– Ech... tak, tak zrobię – zgadza się ze mną Jenny, ale widzę, że robi się przygaszona. Obdarzam ją pogodnym uśmiechem.

Oliver spogląda na swoją przyjaciółkę, a później na mnie.

– Wyglądasz dziś bardzo elegancko – mówi do Jenny.

– Dzięki – opowiada. – Gdy wyszłam z mieszkania, jacyś kolesie gwizdali za mną na ulicy... a później pewien mężczyzna ustąpił mi miejsca. Kretyniaszcze. Faceci to tacy idioci – przewraca oczami, ale nie wygląda już na tak pewną siebie jak ostatnio.

– Pewnie że tak. Ale czyja to wina? Dobrze ci w czarnym – dodaję i czuję się jak Matka Teresa.

Bardzo cieszy mnie zawstydzona mina Jenny, gdy rozważa możliwą wartość komplementu i bolesną konieczność podziękowania mi. Ale jeszcze większą radość sprawia mi uśmiech Davida, który widzi, jak miło odnoszę się do jego przyjaciółki.

– Hej – zwraca się David do Jenny. – Zgadnij, kto jest nowym współlokatorem Zoe.

Przez moment na twarzy Jenny maluje się przerażenie, a ja czytam w jej myślach: sądzi, że David się do mnie wprowadza. Gdy tylko słyszy odpowiedź Davida: „Max”, dochodzi do siebie.

– Max Taylor? Upewnij się, że nie podpali ci mieszkania. Pamiętasz, jak próbował stopić piasek, żeby otrzymać szkło, i te małe kawałki kamieni eksplodowały.

– Daj spokój... miał osiem lat.

– Sufit w ich kuchni pozostawał czarny przez wiele tygodni. Jak długo będzie u ciebie mieszkał.

– Nie wiem. Umowa jest na rok.

– To prawdopodobnie największe zobowiązanie, jakie podjął w swoim życiu. Musisz przyznać, że jest raczej ekscentryczny – te słowa kieruje do Davida.

– Ale zamierza chyba płacić czynsz? – pytam zaniepokojona.

– Tak! Nie jest ekscentryczny. Dla własnego dobra być może mógłby być mniej wyluzowany, ale będzie całkiem dobrym współlokatorem. Nie martw się, Zoe.

Kiwam głową, ale nie jestem przekonana.

– Hej – zagaduje David. – A jak poszło z tą projektantką, którą chciałaś pokazać w pracy.

– A, babce z działu zakupów naprawdę podobał się jej katalog. Dzięki. Ma zamiar skontaktować się z Sinead. – Jestem wzruszona, że o tym pamiętał.

– Fantastycznie – kwituje David. Pochyla się w moją stronę, obejmuje mnie i całuje w policzek. Jenny odwraca wzrok. – To powinno umocnić twoją pozycję w pracy.

– Mam nadzieję. Oczywiście nic jeszcze nie wiadomo, być może nie.

– Okej, cicho bądźcie. Ostatnia runda – upomina nas Jenny.

Gdy są odczytywane pytania, czuję się, jakbym była na hajcu. Nie mogę się powstrzymać od udzielenia odpowiedzi na te, które zapamiętałam. Czyli wszystkie.

– Pytanie numer dziewięć. Jaka znana irlandzka postać została porwana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym roku.

– Brian Keenan – szepczę. David kiwa głową z uznaniem.

– I pytanie numer dziesięć, ostatnie tego wieczoru. Księżę Karol i Diana, księżna Walii, pobrali się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w opactwie Westminster. Kto...

– Elizabeth Emmanuel! – Jestem tak podekscytowana, że nie zdaję sobie sprawy, że udzieliłam odpowiedzi, zanim prowadzący

skończył zadawać pytanie.

Chyba nikt tego nie zauważył, ale Jenny patrzy na mnie podejrzliwie.

– Hej! Skąd wiedziałaś.

Cholera. Postanawiam ją zignorować i szybko zwracam się do Olivera.

– Właściwie to zapisz David i Elizabeth Emanuel. To jej mąż.

– Zaimponowałaś mi – przyznaje Oliver i z radością notuje odpowiedź.

– Ona oszukuje! – oznajmia Jenny.

– Co? – chłopcy patrzą na nią.

Jenny wstaje, przewracając przy tym krzesło.

– Ta dziewczyna OSZUKUJE! – krzyczy na cały głos i pokazuje mnie palcem. Wszyscy w pubie milkną, tylko w tle słychać Robbiego Williama.

– Nie oszukuję! – zaprzeczam z oburzeniem. Choć ma trochę racji. Wszyscy gapią się na nas, podekscytowani na myśl o scenie, jaka może się tu rozegrać. David i Oliver przyglądają się Jenny i mnie.

– O czym ty mówisz, Jen? – pyta David.

– Pobijcie się! – woła z nadzieją ktoś na drugim końcu pubu.

– No cóż, to pierwszy taki przypadek – stwierdza prowadzący, niski, rozsądny starszy pan. – Uzgodnijcie to między sobą. – Wyłącza mikrofon i podchodzi do nas.

– Wiedziałaś, że to niemożliwe, żeby znała wszystkie odpowiedzi – mówi do niego Jenny i odwraca się do nas. Jest czerwona na twarzy i tak wściekła, że ledwo może się wysłowić. – Ona... odpowiedziała na ostatnie pytanie, zanim zostało w całości przeczytane. Widziała pytania wcześniej albo sprawdzała odpowiedzi za pomocą telefonu. Jestem tego pewna.

– Zaraz, zaraz – wtrąca się Oliver. – Na pewno jest... – Ale Jenny już zdążyła zabrać moją torebkę i zaczyna w niej szperać.

– Jenny, przestań! – usiłuje ją powstrzymać David.

– Hej! Oszalałaś? Oddaj mi ją! – ciągnę torebkę, ale Jenny wysypuje jej zawartość na stół: gumę do żucia Hubba Bubba, trzy różne balsamy do ust, kartę Oyster, klucze, portfel, notes, puder w kamieniu Mac, kilka paragonów, spinki do włosów, słomkę od frappuccino ze Starbucks, identyfikator z pracy i ulotkę informującą o

wyprzedaczy. Na podłogę leci szczotka do włosów i pomadka. Oliver, cudowny człowiek, zrywa się z miejsca i zaczyna zbierać moje rzeczy. David ciągle nie może się otrząsnąć z szoku i patrzy na nas obie.

– Nawet nie mam przy sobie telefonu. Przypadkiem zostawiłam go w domu – oświadczam i wyciągam dłonie. – Możesz mnie obszukać, jeśli masz na to ochotę, ale nie ukryłam nigdzie ściąg. I tak nie mam ich gdzie schować, prawda? – Jestem ubrana w dość obcisłą, długą sukienkę w paski Splendid. David i Oliver mierzą mnie wzrokiem trochę dłużej niż to konieczne i wreszcie kiwają głowami.

– Tak naprawdę to zmieniłem dziesiąte pytanie w ostatniej chwili. Miałem zamiar zapytać, gdzie pojechali w podróż poślubną, ale uznałem to za zbyt trudne – przyznaje się prowadzący.

– Ale ona odpowiedziała, zanim skończył pan czytać. Jak to możliwe.

– Nie wiem, ale nigdy nie zapisałem tego pytania, więc...

– Po prostu miałam szczęście – próbuję się usprawiedliwić, ale Jenny dotyka dłońmi spodu blatu, jakby sprawdzając, czy pod stołem nie ma jakichś skrytek. – Jak mogła wiedzieć tyle o drugiej wojnie światowej? Na litość boską, ona pracuje w sklepie.

– Okej, wystarczy – rzuca ostro David. – Natychmiast się uspokój i przeproś Zoe. Zajmiemy się tym – zwraca się do prowadzącego, który wzrusza ramionami i idzie z powrotem za bar.

– Sorry – Jenny przypomina teraz nadąsaną nastolatkę.

Nie ucieszyła mnie uwaga dotycząca sklepu, ale mam zamiar pokazać, że jestem ponad to.

– Nic się nie stało – odpowiadam łaskawie. – To zwykłe nieporozumienie. Może kupię nam drinki.

– Nie musisz tego robić, Zoe. Usiądź. Ja zamówię kolejkę – David poklepuje mnie po ramieniu i udaje się do baru.

– Okej. Mieliśmy drobny problem z zawartością torebki, ale wszystko już zostało wyjaśnione – odzywa się gość z mikrofonem. – Czy jesteście gotowi, by wysłuchać odpowiedzi.

Przy naszym stoliku zapada krępująca cisza, gdy pijemy drinki i koncentrujemy się na słuchaniu odpowiedzi oraz zaznaczaniu wyników innych drużyn. Jenny nadal ma bardzo skwaszoną minę i nie patrzy na mnie. Jest mi jej prawie żal.

– Dobrze sobie radzimy – mamrocze pod nosem Oliver. David

ściska pod stołem moje kolano i uśmiecha się do mnie, spoglądając dziwnie. Wygląda to trochę tak, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– A oto wyniki. Na trzecim miejscu „Mieszkamy w Kilburn, ale udajemy, że w Maida Vale”. Na drugim miejscu... „Drużynatorzy”. A na pierwszym... „Napaleni Archiwiści”! Okropna nazwa, musicie też popracować nad *Esprit de corps*, co po francusku oznacza ducha pracy zespołowej, ale wygraliście miażdżącą przewagą dziesięciu punktów.

Wszyscy zaczynają piszczeć, a ja w szoku zakrywam usta ręką. Nie zdawałam sobie sprawy, że zapamiętałam tyle poprawnych odpowiedzi.

– Wspaniale! Dalej drużyno! – woła Oliver i wali mnie po plecach.

– Gratuluję wszystkim – rozlega się głos prowadzącego. – Podejdźcie odebrać nagrody pieniężne.

– Idź, Zoe – mówi David. – Odbierz nagrodę. Zasłużyłaś na to. Postanawiam wykorzystać swoje pięć minut tak bardzo, jak tylko się da, i kroczę z podniesioną głową niczym Angelina Jolie po Oscara. Wracam do stolika i wypłacam wszystkim dywidendy: po czterdzieści funtów na głowę.

– Przychodzisz za tydzień, prawda? – pyta Oliver. – Musimy spotykać się tu regularnie.

– Tak, powinniśmy – zgadza się z nim Jenny i spogląda na mnie oczami wąziutkimi jak szparki. – Skoro masz taki talent.

Wszyscy przyglądają mi się z wyczekiwaniem. Boże, jak się z tego wyplątać.

– Ekhm, jasne, z przyjemnością.

Jenny otwiera usta, by coś dodać, ale zamyka je szybko po tym, jak David obrzuca ją znaczącym spojrzeniem.

•

– Przepraszam za zachowanie Jen – mówi David, gdy wracamy razem spacerowym krokiem bocznymi uliczkami, które prowadzą do jego mieszkania. Wieczór jest naprawdę gorący i choć już minęła jedenasta, David nadal ma na sobie tylko koszulkę, a ja długą sukienkę. – Zachowywała się jak wariatka.

Mam już na końcu języka „jak zawsze”, ale przypominam sobie *The Rules* i postanawiam zachować się z godnością.

– Nie ma sprawy – odzywam się wspaniałomyślnie. – Może ma dużo stresów w pracy albo coś takiego.

– Oczywiście, że tak! Wszyscy mamy. Spędziłem dziś dziesięć godzin na sali operacyjnej. Nie byłem w nastroju do znoszenia jej humorów. Nie mam pojęcia, co ją ugryzło. Ale ty zachowałeś się naprawdę wspaniale. Dziękuję – obejmuję mnie ramieniem.

Zbliżamy się do miejskich ogródków usytuowanych nieopodal mieszkania Davida – tych zamkniętych placyków, do których klucz mają tylko mieszkańcy. Jestem tak podekscytowana przebiegiem dzisiejszego wieczoru, że zastanawiam się, czy nie nadszedł czas, by wcielić w życie kolejny plan.

– Hej, powinniśmy się kiedyś wybrać do tych ogrodów – proponuję niezobowiązująco. – Na... piknik albo coś w tym stylu.

– Jasne.

Hm. Może „piknik” nie był wystarczająco wyraźną wskazówką.

– Masz przy sobie klucze? – pytam ochryplym, uwodzicielskim głosem. – Może wejdziemy i pójdziemy... na spacer.

The Rules nie jest zbyt entuzjastyczne, jeśli chodzi o inicjowanie seksu, ale pozwala na figlarną aluzję od czasu do czasu. Tylko że David chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co robię.

– Co, teraz? Nie jest za późno.

Zatrzymuję się i opieram w seksowny sposób o barierkę.

– Jest tak gorąco – wachluję się dłonią i, zwiększając nieco chrypkę w swoim głosie, dodaję: – Może wejdziemy do środka. I... położymy się na trawie.

O Boże. Jeśli nie zrozumie tej aluzji albo, co gorsza, zrozumie, ale nie będzie miał ochoty, poczuje się zażenowana.

Marszczy brwi i przez moment wydaje mi się, że ma zamiar zapytać mnie, czy dobrze się czuję albo coś w tym stylu. Ale po chwili jego twarz powoli rozjaśnia się uśmiechem.

– Świetnie – mówi zachwycony. – Znajdźmy te klucze... – i zaczyna ochoczo grzebać w kieszeni.

Ogród jest ciemny i opustoszały – dzięki Bogu. Lustruję otoczenie tak dokładnie, jakbym była ochroniarzem w cywilu, i dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie nie da się nas podejrzeć. Spacerujemy żwirowaną alejką i wchodzimy na trawę. David bierze mnie za rękę. Obdarzam go flirciarskim spojrzeniem, ale równocześnie

zerkam w stronę budynków i zastanawiam się, czy ktoś przypadkiem nie ogląda gwiazd i nie ma ustawionej lunety. A co się stanie, jeśli włączy się jedno z tych świateł reagujących na ruch? Ale zaraz staram się wygonić z głowy takie myśli. „Wyluzuj, Zoe. Bądź żadna przygód, uwodzicielska, pozbądź się zahamowań”.

– Jaki ładny... kasztanowiec – odzywam się kokieteryjnym głosem i opieram się o pień ogromnego, rozłożystego drzewa. Po czym w myślach pukam się w czoło: ładny kasztanowiec? David pomyśli, że mam jakiś fetysz związany z drzewami.

Ale on chyba nie zwraca na to uwagi. Przyciska mnie do pnia swoim ciałem. Pochyla się w moją stronę, jakby chciał pocałować mnie w usta, ale w ostatniej chwili zaczyna powoli całować moją szyję. W tym samym czasie jego ręka przemieszcza się z mojego ramienia wzdłuż pleców, bioder, a później bardziej z tyłu. Czuję się tak super, że ku własnemu zdziwieniu zaczyna mi się to wszystko podobać. Pod warunkiem że nikt się nie napatoczy.

Teraz David schyla się, wkłada dłoń pod moją długą sukienkę i przesuwa ją w górę nogi. Cieszę się, że założyłam stringi. Choć oczywiście krótsza spódniczka byłaby łatwiejsza w użyciu. Ale czy ja naprawdę chcę być osobą, która celowo nosi mini, by łatwiej było uprawiać seks w krzakach? Nagle słyszę z tyłu szelest, który sprawia, że niemal wychodzę z siebie.

– O mój Boże! Co to było? – szepczę zaniepokojona.

– Nic. Pewnie jakiś kot – David nie przestaje mnie całować.

Rozglądam się z trwogą, ale niczego nie dostrzegam. Cokolwiek to było, sprawiło, że mam duszę na ramieniu, jak to mawia moja mama. O Boże! Nie mogę uwierzyć, że właśnie pomyślałam o mamie. Nie jestem pewna, czy dam radę to zrobić.

– David, a jeśli ktoś nas zobaczy? – pytam ściszym głosem.

– Och, wow – jęczy. – Powtórz to jeszcze raz.

Matko. Być może ja jestem zażenowana, ale jego to najwidoczniej kręci. Biorę głęboki oddech i zmuszam się do dalszego działania. Powtarzam, tym razem z większą dawką dziewczęcego zaniepokojenia: – A co, jeśli ktoś nas zauważy.

To naprawdę na niego działa i wkrótce jesteśmy na tym etapie, że przyłapanie nas przez kogoś byłoby raczej katastrofą. A moja sukienka jest pewnie okropnie zabrudzona od kory drzewa. Ale teraz ja też

zaczynam odczuwać przyjemność. Modlę się tylko o to, by udało nam się stąd uciec i nie zostać zauważonym. Oczywiście nie modlę się w sensie dosłownym – nie prosiłabym Boga o coś takiego. Oj, do licha. Najpierw mama, a teraz Bóg.

– Dobrze ci tak? – szepcze ochryple. – A może chcesz się położyć? Możesz być na górze.

– Nie, tak jest okej. Jest świetnie.

Najpierw musimy trochę pomanewrować, ale w końcu ustawiamy się pod właściwym kątem. David ma niesamowicie dużo siły. Nie mogę uwierzyć, że potrafi wytrzymać w takiej pozie, zwłaszcza po czternastu godzinach pracy. Jest tak podniecony, że zajmuje nam to tylko kilka minut, co nie stanowi problemu, bo choć David jest silny, a ja raczej giętka, nie bylibyśmy w stanie utrzymać takiej pozycji przez całą noc.

David delikatnie się ze mnie wyplątuje, po czym oboje osuwamy się i padamy na trawę. Wow. Być może spowodowała to gorąca letnia noc, a może ulga, że nikt nas nie widział, ale teraz, gdy jest już po wszystkim, stwierdzam, że było całkiem fajnie. Nawet jeśli Kira uznałaby, że byliśmy bardzo grzeczni, ja jestem z siebie dumna. A David wygląda tak, jakby w jednej chwili przeżywał wszystkie Gwiazdki.

– To było niesamowite – mówi słabym głosem i odwraca się w moją stronę. – Skąd wiedziałaś, że zawsze chciałem to zrobić? – uśmiecha się, ale jest też naprawdę zaintrygowany.

– Ojej, serio? – pytam z niewinną miną. Ale odczuwam ulgę: nie sprawia wrażenia, jakby robił to wcześniej wiele razy. Z jakiegoś powodu zawsze mi się wydawało, że jego eks, ta pielęgniarka, była ode mnie o wiele odważniejsza.

– No cóż, jeśli ktoś się o tym dowie, udam się od razu do rady ogródka, zapewniam cię – całuje mnie w ucho. – Gorąca z ciebie laska, Zoe Kennedy.

– Cieszę się, że tak uważasz – odpowiadam skromnie.

Rozdział 11

To wspaniale, że poznasz rodziców Davida – mówi Rachel. – Kiedy ci to zaproponował.

– Wczoraj. Po tym jak, ekhm, poszliśmy do pubu na quiz.

Jesteśmy w Jigsaw w St Christopher's Place, za Oxford Street, na szybkim rozejrzeniu się po sklepach przed pójściem na kolację. Rachel potrzebuje sukienki – jak to określiła: „kolejnej sukienki na pieprzone wesele”, na które idzie w następny weekend, a ja szukam idealnego stroju na spotkanie z rodzicami Davida. Nie mogę uwierzyć, że mnie zaprosił... Właściwie to trudno mi uwierzyć w cokolwiek, co się ostatnio dzieje. Codziennie spodziewam się, że gdy się obudzę, będzie grudzień, a ja będę samotna, ale nadal trwa lipiec, a ja wciąż jestem z Davidem. Gładzę parę skórzanych szortów i wzdycham ze szczęścia.

Druga cudowna wiadomość – którą trzymam w tajemnicy do kolacji – jest taka, że Julii spodobały się projekty Sinead i zamierza je sprzedawać w naszym domu towarowym. Spotkanie rodziców Davida, sukcesy w pracy... podróże w czasie to najlepsze, co mogło mi się trafić.

– Okej, chyba już wystarczy. Mogę iść, a ty? – pyta Rachel.

Kiwam głową i wychodzimy.

– Chciałaś tu wejść? – zapytuję, gdy mijamy sklep specjalizujący się w ubraniach dla gości weselnych.

– Panna młoda zabroniła.

– Co? – Zupełnie o tym zapomniałam, ale Rachel wyjmuje swój BlackBerry i pokazuje mi listę zastrzeżeń panny młodej dotyczącą strojów jej gości weselnych – zakazane są: kapelusze, pióra, fascynatory i wszystko z tego właśnie sklepu.

– Jay uznał, że to superzabawne. Powiedział, że powinnam pojawić się bez kapelusza, ale ubrana od stóp do głów w ciuchy z tego sklepu.

Serce mi pęka. Cała ta sprawa z Jayem zżera mnie od środka. Chciałabym ostrzec Rachel, że on się z kimś spotyka, ale nie wiem, jak to udowodnić.

– Ale idzie z tobą na wesele? – Wiem, że to nieprawda i muszę przyznać, że pytam z czystego szaleństwa. Albo raczej mam nadzieję, że Rachel sama się zorientuje, że jest egoistą i nie można na nim

polegać, i zerwie z nim, dzięki czemu nie będę musiała się w to mieszać.

– Nie, to takie beznadziejne. Nie ma nic gorszego niż pójście na wesele bez osoby towarzyszącej, gdy się z kimś spotykasz. Czujesz się jak piąte koło u wozu, a i tak nie możesz skorzystać z okazji i poznać innych facetów.

– A jak to się stało, że nie może z tobą iść? – pytam tak niewinnie, jak to tylko możliwe.

– Musi pracować – odpowiada szybko Rachel i sprawia wrażenie, jakby się broniła. – Poszedłby, gdyby mógł, ale kazałam mu się tym nie przejmować. Wesele jest aż w Kildare, więc... to co, wchodzimy tutaj.

– Pewnie. – Wiem już, że Rachel kupi sukienkę w tym właśnie sklepie, czarną koktajlową, choć próbowałam przekonać ją do różowej.

Kiedy jestem na zakupach, ciężko mi całkowicie wyłączyć myślenie o pracy. Gdy tylko wchodzimy, obserwuję ekspedientki i zastanawiam się, od ilu godzin pracują i czy dostają prowizję, oglądam ofertę i plan sklepu i rozważam, jak by do nas pasowali, gdyby doszło do współpracy. Ostatnim razem po prostu przyglądałam się, jak Rachel przymierza ubrania. Ale wydaje mi się, że poznanie rodziców Davida wymaga kupna sukienki-inwestycji i skorzystania ze zniżki przysługującej pracownikom.

– O, i wiesz co? – mówię do Rachel, zdejmując z wieszaka jedwabną bluzkę, którą następnie oglądam dokładnie. – Kolega Davida, Max, wprowadzi się do drugiego pokoju.

– Naprawdę? Jaki jest.

– Wydaje się miły. Spotkaliśmy się tylko raz. Nie, dwa razy.

– Czym się zajmuje.

– Neurobiologią.

– Boże. Jest typem kujona.

– Nie jestem pewna, czy to właściwe określenie. Chyba jest bardziej ekscentrykiem niż kujonem.

– W jakim sensie ekscentryczny.

– No cóż, wyjeżdża z takimi niespodziewanymi rzeczami. Na przykład gdy rozmawiałam z nim o mieszkaniu, powiedział, że lubi brać naprawdę długie kąpiele.

– Naprawdę długie kąpiele? – Rachel wysoko podnosi brwi. – Co za zboczeniec opowiada o tym podczas oglądania mieszkania? Mogę

się założyć, że chciał cię zaciągnąć do łóżka.

– Rachel, przestań! Mam z nim mieszkać, a ty mnie przerażasz! – Wybucham śmiechem.

– Właśnie go sobie wyobrażam: wracasz do domu po ciężkim dniu pracy, a on przygotowuje ci kąpiel z bąbelkami... zapala świece i zaprasza cię... włącza Barry'ego White'a... szampan się chłodzi.

– Rachel! Daj spokój! – Obie rechoczymy jak wariatki i dopiero po kilku minutach jesteśmy w stanie się uspokoić i wracamy do przymierzalni, by sprawdzić, jak pasują nasze suknie.

– Ej, co o niej myślisz.

Wychylam się ze swojej przymierzalni i patrzę na Rachel stojącą przed lustrem w czarnej sukience do kolan, z białą lamówką. Prezentuje się w niej nieźle. Wyglądałaby dobrze nawet w papierowej torbie. Ale to najbardziej bezbarwna sukienka, jaką w życiu widziałam.

– Hm. Nie wiem. Wyglądasz świetnie, ale co powie panna młoda z piekła rodem, gdy przyjdiesz na jej ślub ubrana na czarno.

– Sukienka jest czarno-biała. Okej, specjalnie dla ciebie przymierzę tę różową.

Pojawia się chwilę później ubrana w różową kreację. Sukienka jest jeszcze ładniejsza, niż sobie zapamiętałam: to prosta princeska, z dopasowaną talią i niezwykłym plisowaniem przy dekolcie. Podkreśla jej niesamowitą figurę, a kolor naprawdę pasuje do jej cery i wybija się na tle ciemnych włosów.

– Bardzo mi się podoba – mówię od razu. – Jest idealna. Powinnaś ją kupić.

Chyba ma wątpliwości.

– Różowy raczej do mnie nie pasuje. I dekolt chyba jest trochę dziwny... a twoja.

– Jest całkiem ładna... – wychodzę, by zaprezentować prostą granatową tunikę, bardzo podkreślającą figurę.

– A co do tego? – pyta Rachel.

– O co ci chodzi? Buty! To sukienka.

Ale Rachel ma trochę racji. Postanawiam wybrać najbardziej odpowiedni strój i kupuję kawową jedwabną sukienkę w groszki: bez rękawów, z kopertowym dekoltem.

– O, wyglądasz w niej cudownie – stwierdza Rachel. – Ładna i prosta. Mogłabyś ją też później nosić na wesela i chrzciny.

Nie jestem tego taka pewna. Gdy patrzę w lustro, widzę czterdziestoletnią wersję samej siebie.

– Przypomina mi sukienkę, którą w *Pretty Woman* Julia Roberts zakłada na mecz polo – ciągnie Rachel.

– Do czego zmierzasz z takim porównaniem? – pytam i znikam z powrotem w przymierzalni.

– A może założysz do niej jakieś czółenka.

– Nie mam żadnych – przyznaję. Ale Rachel ma rację. Półśrodki nie mają sensu. Znajduję lakierowane czółenka w cielistym kolorze. Bardzo w stylu Kate Middleton. Kiedy je przymierzam, strój wydaje się niezwykle elegancki, ale niezupełnie w moim stylu, a buty są zdecydowanie za drogie. Później jednak przypominam sobie, że David wspomniał, iż jego rodzice są dość konserwatywni. On sam też jest raczej oficjalny – no cóż, przez większość czasu – więc jeśli tak się wyraził o swoich rodzicach, prawdopodobnie przypominają oni postaci żywcem wyjęte z powieści wiktoriańskich.

Spoglądam na sukienkę jeszcze raz i uznaję, że będzie w sam raz. Mogę to sobie teraz wyobrazić: nasza czwórka śmieje się, popijając herbatę. Wyglądam elegancko, włosy mam uczesane w kok. Rodzice Davida wymieniają spojrzenia pełne aprobaty...

– Kupujesz tę czarną sukienkę? – pytam Rachel, mając nadzieję, że zaprzeczy.

– Nie jestem pewna. Co sądzisz.

– Podobała mi się ta w kolorze fuksji. Szczerze mówiąc, wyglądałaś w niej zjawiskowo – spoglądam na nią i skupiam na jej osobie całą siłę przekonywania, starając się bardziej niż poprzednim razem. – Musisz ją sobie kupić, mówię ci.

– Serio? – Rachel jeszcze raz ogląda badawczo czarną sukienkę.

– W sumie to mam już czarną kieckę.

– Masz ich z dziesięć.

– Dobra, masz rację. Biorę ją. – Jestem podekscytowana, że udało mi się ją przekonać.

Gdy już zapłaciłyśmy, Rachel zatrzymuje się, by wysłać SMS.

– Do kogo piszesz? – pytam.

– Wysłałam Jayowi zdjęcie w tej sukience. Chcę mu pokazać, co go ominie w ten weekend.

To straszne. Muszę jej powiedzieć. Wychodzimy na zewnątrz i od

razu zakładamy okulary przeciwsłoneczne, bo – o radości nad radościami – nadal świeci słońce. Idziemy wzdłuż Oxford Street, wymijając tłumy, których nie da się uniknąć, i skręcamy w lewo, w stronę St Christopher’s Place. Uwielbiam to miejsce: przypomina mi śródziemnomorski rynek pełen sklepów i restauracji, z wielką rzeźnią pośrodku. Tego wieczoru plac, usytuowany za stacją metra Bond Street, jest wypełniony ludźmi w okularach przeciwsłonecznych, przesiadującymi przed restauracjami. Zewsząd dobiega nas szum głosów i śmiechów – można odnieść wrażenie, że to piątkowy wieczór, choć jest dopiero środa. W Carluccio’s panuje tłok, ale po chwili oczekiwania dostajemy stolik na zewnątrz.

– Gdy świeci słońce, Londyn zupełnie się zmienia, nie sądzisz? Jakbyśmy przez cały czas byli na wakacjach. – Wyraża swoją opinię Rachel, gdy zajmujemy miejsca i kładziemy torebki pod stolikiem.

Patrzę na jej przepelnioną szczęściem twarz i postanawiam, że raczej jej nie powiem. Nie dziś.

– Wiesz, bardzo się cieszę, że kupiłaś tę różową sukienkę. Wyglądasz w niej absolutnie obłędnie.

– Dzięki – mówi Rachel. – A ta kawowa sukienka świetnie ci pasuje. – Bierze do ręki menu i zagląda do niego. – O nie.

– Co?

– Chyba nie mają, a nie, zaraz, mają. Uff. Myślałam, że nie podają *penne giardiniera*.

W sumie to nie widziałam, by Rachel jadła cokolwiek innego w tej restauracji: ona naprawdę ma swoje nawyki. Kiedy podchodzi do nas przystojny włoski kelner, by przyjąć zamówienie, przyjaciółka prosi o swoje *penne* i pół butelki wina. Staramy się ostatecznie nie wypijać całej butelki na głowę, więc zamawiamy po pół, co nie wydaje się już takie złe. Decyduję się na dwudaniowy zestaw, ale najpierw pytam, czy do kurczaka *à la Milanese* mogę dostać sałatkę zamiast ziemniaków. Kelner odpowiada, że tak, ale odmawia, gdy chcę zamienić pierwsze danie na przystawkę z cukinii.

– Zoe, jesteś niesamowita – mówi Rachel i potrząsa głową. – Tylko tobie mogło się udać dostosowanie w ten sposób gotowego zestawu.

Wzruszam ramionami.

– Po prostu wiem, co lubię.

Kelner przynosi białe wino. Rachel próbuje, po czym kelner napełnia nasze kieliszki. Gdy obserwuję, jak złoty płyn wiruje w naczyniu, zaczynam żałować, że w czasie mojego pierwszego spotkania z rodzicami Davida nie będę mogła spożywać alkoholu. Czy to oznacza, że jestem alkoholiczką.

– Zoe? – podnoszę wzrok. – Na zdrowie.

Postanawiam przestać już myśleć o zbliżającym się spotkaniu z mamą i tatą Davida oraz o strachu związanym z powiedzeniem Rachel o Jayu – zamierzam po prostu cieszyć się tym, że spędzam miły wieczór z najlepszą przyjaciółką.

– O, Rachel, zgadnij. Pamiętasz, jak mówiłam ci o dziewczynie, z którą chodziłam do szkoły? Projektantce mody.

– Tak, co się stało.

– U mnie w pracy spodobały się jej projekty i zamierzają włączyć je do oferty! Mam potwierdzenie! Dowiedziałam się dzisiaj.

– To cudownie, Zoe! Chyba naprawdę przykułaś ich uwagę. Będziesz miała szansę na dołączenie do działu zakupów.

– Wkrótce zwolni się posada asystentki do spraw zakupów, więc... – pokazuję, że trzymam kciuki. A Rachel odpowiada za pomocą dłoni, że to lubi.

– No i najwyraźniej sprawy z Davidem mają się świetnie – mówi. – Poznasz jego rodziców. Wiesz, gdzie to wszystko będzie się działo.

– Wydaje mi się, że w planach jest podwieczorek w Connaught.

– Connaught? O mój Boże! David chyba pochodzi z lat pięćdziesiątych. Przepraszam, Zoe. Nie mam nic złego na myśli... jest tak retro jak Don Draper⁴).

4) Bohater amerykańskiego serialu *Mad Men* (przyp. red.).

Rachel sprawia wrażenie szczerzej, ale czuję się trochę poirytowana. Choć akceptuje Davida jako potencjalnego męża, czasem mam wrażenie, że jej zdaniem jest trochę sztywny i zarozumiały.

– No cóż, właściwie to... – przerywam gwałtownie, bo nie jestem pewna, czy naprawdę chcę jej o tym powiedzieć.

– Co?

– Dobra, musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz. Otóż... – ściszam głos i opowiadam jej o wydarzeniach ostatniej nocy.

– Nie! – piszczy. Kilka osób siedzących przy stolikach nieopodal

odwraca się, a Rachel zniża głos. – Ale z was dzikusy. No dobra, to zamyka mi usta. Jesteś pewna, że David jest z Irlandii.

– Tak, jestem pewna – czuję, że się czerwienię. – Ale obiecaj mi, że nikomu nie powiesz.

– Nie? Nie wydaje ci się, że magazyn absolwentów Trinity mógłby się tym zainteresować? Albo twoja mama.

– Rachel, jeśli spróbujesz.

– Żartuję. Nie powiem ani słowa. Choć muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Najwyraźniej David szaleje na twoim punkcie.

– Nadziewa *penne* na widelec i pyta: – Jak często się widujecie.

– Raz, czasem dwa razy w tygodniu. To niezbyt często, ale przy jego godzinach pracy i w ogóle... Wydaje mi się, że dobrze nam idzie. Czemu pytasz.

– Bez powodu, tak tylko się zastanawiałam.

Postanawiam zmienić temat. Źle się czuję, mówiąc o tym, jak świetnie mi się układa z Davidem – i w pracy – kiedy planuję przekazać jej złe wiadomości dotyczące Jaya. Przez chwilę rozmawiamy na różne tematy, plotkując także o wspólnych znajomych i rodzinie.

– Jak radzą sobie Roisin i Riona? – pytam.

– Wspaniale. Roisin właśnie awansowała na kapitana, a Riona pracuje nad ważnym materiałem dla „Sindo”.

Rachel ma dwie starsze siostry, które bardzo ze sobą rywalizują – jedna jest dziennikarką, a druga służy w wojsku. Obie są mężatkami i często męczą Rachel z powodu jej chłopaków.

– A co w pracy.

– W porządku. Jest jej sporo. Przydzielono mnie do nowej sprawy, ponieważ jeden z prawników odszedł z firmy, a ja nie wiem, gdzie są wszystkie dokumenty, i nie mam kogo zapytać – zwłaszcza współnika, bo nie odpowiada na maile i nie reaguje na słowo mówione.

– Co za koszmar. A czego dotyczy ta sprawa.

– Tego, kto jest właścicielem tankowców.

– Ojej! – Tę sprawę Rachel wygra! Chciałabym móc jej o tym powiedzieć, ale muszę ograniczyć się do stwierdzenia: – Poradzisz sobie. Jestem tego absolutnie pewna.

– Dzięki. Jay uważa, że powinnam częściej korzystać z pomocy starszego prawnika, co jest sensowną poradą, więc zamierzam tak

zrobić.

Serce mi się łamie, gdy opowiada o radach dotyczących pracy, jakich udzielił jej Jay. Prawda jest taka, że on nie zawsze zachowuje się jak sukinsyn. Gdyby tak było, miałabym ułatwione zadanie.

– O co chodzi, Zoe? Sprawiasz wrażenie bardzo zmartwionej.

– Nic – walczę z własnym sumieniem. Z perspektywy czasu właśnie to tak bardzo zirytowało Rachel: że Jay znalazł wymówkę i nie pojechał z nią na wesele, a udał się ze swoją dziewczyną na inne przyjęcie weselne, na którym było wiele osób z pracy. W ten sposób Rachel się dowiedziała: dużo później oglądała zdjęcia z tej imprezy i zobaczyła na nich Jaya z inną dziewczyną. Było jej z tego powodu bardzo głupio.

– Nic nie mów. David zasugerował trójkąt? – wybucha śmiechem, ale milknie, gdy widzi moją minę.

Zaczynam powoli, mając nadzieję, że wyjaśnię to okrężną drogą.

– Nie, chodzi o Jaya. Chodzi o to, że... Czy zastanawiałaś się kiedyś, czy on, no wiesz, nie ma czegoś na sumieniu.

– Co masz na myśli, mówiąc, że ma coś na sumieniu.

– No wiesz, może się spotyka z kimś jeszcze.

Kelner – cudowny Włoch z kręconymi włosami – akurat w tym momencie postanawia zjawić się obok i zabrać nasze talerze.

– Kawa albo deser dla pań.

– Nie, proszę wrócić za chwilę – odpowiada Rachel. – Zoe, o czym ty mówisz.

– Chodzi o to, że często twierdzi, że jest chory. I nierzadko bywa zajęty w weekendy. A twoi koledzy z pracy nie wiedzą, że się spotykacie.

Rachel natychmiast przyjmuje postawę defensywną.

– Ale on naprawdę się rozchorował! Po prostu wtedy zbyt gwałtownie zareagowałam, gdy nie mogłam się z nim skontaktować. A to, że zachowujemy w pracy dyskrecję... – gwałtownie milknie, jakby sobie o czymś przypomniała. Ale zaraz kontynuuje, sprawiając wrażenie coraz bardziej zdenerwowanej: – To, że tak cudownie ci się układa z Davidem i że wygrywasz quizy w pubie, poznajesz jego rodziców i pieprzysz się w krzakach, nie oznacza, że związki innych ludzi są katastrofą.

– Rachel! Ciiiiii!

Starsza para siedząca przy sąsiednim stoliku posyła nam zszokowane spojrzenia. Jestem czerwona jak burak. Kelner z kręconymi włosami przychodzi raz jeszcze i po jego minie widzę, że wszystko słyszał. Mruga do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Seks w krzakach? Nie ma w tym nic złego”.

– Czy możemy prosić o rachunek? – pytam, patrząc na niego znacząco. Obie z Rachel nie należymy do ludzi, którzy wybiegają z restauracji. Okej, ja mogłabym tak postąpić, ale ona na pewno nie. Teraz jednak widzę, że ma ochotę to zrobić. Siedzimy w krępującej ciszy i czekamy na rachunek, a później obie płacimy kartą. Wtedy pojawia się problem z terminalem i musimy poczekać pięć minut, aż przyniosą drugi. Nie patrzymy na siebie. Gdy wychodzimy z restauracji, spodziewam się, że pójdziemy razem na stację Oxford Circus, jak zawsze, ale Rachel mówi.

– Wsiądę na stacji Bond Street. Pogadamy później. – I odchodzi, zostawiając mnie z sukienką w torbie pośrodku gęstego tłumu roześmianych ludzi w piękny letni wieczór.

To największa kłótnia, jaką kiedykolwiek odbyłyśmy. Nigdy się nie sprzecamy.

Jest tak ciepło, że postanawiam przejść część drogi do domu pieszo w nadziei, że spacer rozjaśni mi trochę w głowie. Idąc bocznymi uliczkami w kierunku Edgware Road, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam. Zdenerwowałam Rachel, która i tak mi nie wierzy. Czemu nie wymyśliłam lepszej historyjki? Mogłam powiedzieć, że Harriet rozmawiała z klientem, który zrobił aluzję, mogłam też dodać, że kupowała bieliznę modelującą albo coś takiego i była naprawdę mało atrakcyjna.

Wtedy przypominam sobie o czymś jeszcze. Będzie włamanie do domu Harriet. Ale kiedy? Wydaje mi się, że było to zaraz po moim katastrofalnym wystąpieniu na rozmowie w sprawie pracy, która odbyła się w czwartek, piątego sierpnia. Skradziono całą biżuterię jej babki i Harriet była tym zmartwiona przez wiele dni.

Muszę wymyślić coś, by ją ostrzec. Zapisuję to w moim kalendarzu, uświadamiając sobie, że całe to podróżowanie w czasie staje się o wiele bardziej skomplikowane, niż mogłabym to – ha, ha – przewidzieć.

Rozdział 12

Jest sobotnie popołudnie, a ja kręcę się gorączkowo, próbując przygotować się na spotkanie z rodzicami Davida. Dzwoni mój telefon, odbieram szybko z nadzieją, że to Rachel, ale to moja mama. Przełączam ją na głośnik i kończę robić makijaż.

– Nie będę cię zatrzymywać – mówi. – Czy to dziś spotykasz matkę i ojca Davida.

– Tak, mammo. To dziś. – Doskonale wie, że to dzisiaj, lecz nie próbuje robić z tego wielkiego wydarzenia i uwielbiam ją za to.

– Trochę się denerwuję, ale jestem pewna, że dobrze mi pójdzie.

– Nie denerwuj się! Z jakiego powodu miałabyś się denerwować? – przekonuje mnie. – Po prostu bądź sobą, a na pewno cię pokochają. Powiedz jeszcze raz, w co się ubierasz.

– Może zadzwoń do mnie na Skype’a za pięć minut i sama zobacz? – Zakładam sukienkę, włączam komputer i loguję się do Skype’a. Gdy mama dzwoni, kładę laptopa na stoliku nocnym i cofam się o krok, by mogła mnie obejrzeć. Ufam jej ocenie – ma świetny gust – i oddecham z ulgą, gdy stwierdza.

– Zoe, jest piękna. Świetnie ci w tym kolorze. Pewnie była droga.

– Nie... niezupełnie – odpowiadam, automatycznie krzyżując palce za plecami.

– Zakładasz pończochy.

– Nie, mammo! Jest gorąco. Po co miałabym je ubierać.

– Nie musisz na mnie krzyczeć, Zoe Kennedy. Później może się ochłodzić. W każdym razie, widzę, że jesteś zajęta przygotowaniami, więc teraz się z tobą pożegnaj. Bądź sobą, a na pewno cię pokochają – powtarza, po czym dodaje: – Tak bardzo się cieszę, że poznałaś uroczego Irlandczyka. Byłoby wspaniale, gdybyś kiedyś.

Wiem, o co jej chodzi.

– Byłoby wspaniale, gdybyś kiedyś przeprowadziła się z Davidem z powrotem do Dublinu.

– Mammo, spotykamy się dopiero od trzech miesięcy... – przypominam, ale równocześnie mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie. W końcu dziś przypada trzydziestego pierwszego lipca – do „zerwania” czwartego września został ponad miesiąc, a wszystko dobrze idzie.

Żegnam się z mamą i kończę nakładanie makijażu lekko trzęsącymi się dłońmi. David sporo opowiedział mi o swoich rodzicach. Wiem, że oboje pochodzą z Dublina, a jego ojciec jest kardiochirurgiem, obecnie na emeryturze. Matka z kolei została dublińską różą w konkursie piękności Rose of Tralee w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Wszystko to brzmi całkiem normalnie, a mimo to jestem mocno zdenerwowana. Bardzo, bardzo zależy mi na tym, by mnie polubili.

Ale chodzi o coś więcej. Wstąpiłam teraz na nową ścieżkę – już nie mogę korzystać z doświadczeń „poprzedniego razu”, jestem zdana tylko na siebie. Mam wielką nadzieję, że tego nie spieprzę. *The Rules* nie wspomina nic na temat tego całego poznawania rodziców. Jedyna sensowna porada to ta, gdy każą iść z podniesioną głową i być „jedyną w swoim rodzaju”. Zrobię, co w mojej mocy.

Wstaję, oglądam się w lustrze raz jeszcze i zabieram brązową skórzaną kopertówkę w stylu vintage, która kiedyś należała do mojej mamy. Nałożyłam mniej samoopalacza. Nie chcę, żeby rodzice Davida myśleli, że jestem „malowaną dziwą”, jakby to powiedział mój tato, jednak teraz martwię się, że wyglądam zbyt blado. Mam też chwilę wątplenia: czy nie sprawiam wrażenia przebranej? Ale później mówię sobie, że naśluduję tylko styl Kate Middleton – a patrzcie, jak daleko ona zaszła.

Mimo że stacja metra Bond Street jest usytuowana najbliżej Connaught Hotel, i tak idzie się z niej dobre piętnaście minut spacerem. Podejrzewam, że większość ludzi odwiedzających to miejsce nie przyjeżdża metrem. Trochę źle obliczyłam czas i kiedy mijam ogromne place z zielonymi ogrodami i białymi domkami, muszę przyśpieszyć. Tempo, które sobie narzucam, jest trochę zbyt szybkie na moje czółenka. Choć wydawały się wygodne, gdy przymierzałam je w sklepie, teraz są okropne, a lewy but strasznie obciera moją piętę. Wchodząc po schodach Connaught, staram się nie kuleć.

To jeden z najpiękniejszych i najbardziej eleganckich hoteli, w jakich kiedykolwiek byłam: wszystko obite bordowym aksamitem, wypolerowany marmur, ciemne drewno i żyrandole.

– Czy mogę pani pomóc? – podchodzi do mnie jakiś mężczyzna.
– Jestem umówiona ze znajomymi na podwieczorek. Nazywają się Fitzgerald.

– Zaprowadzę panią. – Wiedzie mnie przez całe kilometry pięknych pomieszczeń z ciemną boazerią. Dywany pod moimi obolałymi stopami są cudownie miękkie, ale całe to miejsce mnie dziwnie onieśmiela. Nie chodzi o to, że nie jestem przyzwyczajona do eleganckich hoteli – byłam w barze w Savoyu i wielokrotnie odwiedzałam Shelbourne w Dublinie, także z rodzicami zatrzymywałam się w ładnych miejscach – ale denerwuję się i wolałabym poznać rodziców Davida w nieco mniej formalnych okolicznościach.

Wchodzimy do uroczej sali z widokiem na zielony plac. Na końcu pomieszczenia widzę Davida z parą starszych ludzi. To, jak sądzę, jego rodzice. Niemal toną w ogromnych fotelach. Przed nimi ustawiono całą zastawę – pewnie przyjechali wcześniej i już złożyli zamówienie, co niezupełnie ułatwia sytuację. Dotarcie na drugi koniec pomieszczenia zajmuje chyba całe wieki i w miarę jak zbliżam się do stolika, czuję się coraz mniejsza. Ale przypominam sobie poradę z *The Rules* – idę wyprostowana i staram się wyglądać tak, jakbym przed chwilą przyleciała z Paryża (zakładam, że nie oznacza to, iż mam być rozczochrana i zmęczona podróżą).

Podchodzę do stolika.

– Dzień dobry. Przepraszam za małe spóźnienie.

– Nie ma sprawy – mówi David. Wygląda bardzo atrakcyjnie w granatowej marynarce, jasnoniebieskiej koszuli, krawacie i spodniach z zakładkami. Nigdy wcześniej nie widziałam go w garniturze ani marynarce, więc od razu uznaję, że to widok, na który najbardziej miękną mi kolana. David wstaje, całuje mnie w policzek i dyskretnie łapie za łokieć.

– Mamo, tato – to Zoe. Zoe – to moi rodzice.

Ściskając rękę mamy Davida, zauważam, że ma zielone oczy jak jej syn i cudowną twarz. Jest absolutnie zniewalająca. To po niej David odziedziczył urodę.

– Cudownie cię poznać, Chloe.

– Zoe – poprawia ją David.

– Zoe, oczywiście! – śmieje się w taki sposób, że zaczynam podejrzewać, że nie jest najbystrzejszą kobietą w tej sali.

– Dermot Fitzgerald – przedstawia się ojciec Davida władcym tonem i chwyta moją dłoń w uścisk miażdżący kości. Jest wysoki i

szczupły, ma ogorzałą twarz i krótkie, stalowoszare włosy. Też nosi marynarkę i krawat i wygląda tak, jak powinien wyglądać słynny chirurg, przyzwyczajony do szefowania chmarze lekarzy i do tego, że pielęgniarki i pacjenci mu nadskakują.

– Cześć, Zoe – słyszę czwarty głos. Znany głos.

Odwracam się w prawą stronę, gdzie schowana w głębokim fotelu – jak czarny charakter z filmu z Bondem lub Dr Evil w *Austin Powers* – siedzi Jenny. Jestem zaskoczona, że nie głaszcze białego kota albo nie mówi: „Panno Kennedy, czekaliśmy na panią”. Spoglądam na Davida, ledwo ukrywając szok i zdziwienie.

– Nie wiedziałam, że cię tu dziś spotkam – te słowa Jenny kieruje do mnie.

Jak ona śmie. Zanim jestem w stanie się powstrzymać, odpowiadam:

– Ja też się nie spodziewałam, że cię tutaj zobaczę.

– Och, zawsze spotykamy się z Jenny, gdy przyjeżdżamy do Londynu – wyjaśnia zadowolona z siebie matka Davida, Irene. Wpatruję się w mojego chłopaka, ale z jego miny nie jestem w stanie wyczytać, czy o tym wiedział, czy nie.

– Usiądź, Zoe – zwraca się do mnie ojciec Davida.

Chciałabym, ale nie ma tam dla mnie miejsca.

– Siadaj tutaj, przyniosę jeszcze jedno krzesło – mówi David i odchodzi, zostawiając mnie w towarzystwie trójki nowych przyjaciół. Z gracją zajmuję miejsce – nie krzyżuję nóg, tylko złączam kolana i przechylam je w jedną stronę, jak nauczyły nas zakonnice.

– W każdym razie – odzywa się Jenny – to był mój pierwszy dzień w pracy, konsultant wymigał się w połowie i musiałam dokończyć, choć sama nigdy tego wcześniej nie robiłam! – klepie się w udo.

– To najlepszy sposób, by się tego nauczyć: zobacz, zrób, naucz innych.

Kontynuują tę medyczną pogawędkę, a ja siedzę obok w milczeniu. Nadal jestem w szoku. Jak David mógł przyprowadzić ją tutaj przy tak ważnej okazji? Zwłaszcza po tym, co się stało podczas quizu? Matka Davida także nie włącza się do rozmowy, ale patrzy na mnie ze spokojnym uśmiechem. Jest doskonale ubrana: dopasowana lniana koszula w odcieniu granatu, jasnobrązowa spódniczka z lnu i

buty na płaskim obcasie, które chyba kosztowały więcej niż wszystko, co mam na sobie. Sprawia wrażenie zainteresowanej wyłącznie własną osobą i w ogóle nie zwraca na mnie uwagi.

David wraca z kelnerem, który niesie dla niego krzesło, po czym zajmuje miejsce.

– Wydaje mi się, że nie wystarczy herbaty dla Zoe – stwierdza Jenny i patrzy na mnie ze współczuciem. – Tak szybko wypiliśmy ten dzbanek. Zamówisz kolejny, Davidzie? – pyta go przymilnym głosem.

Ma na sobie koszulę w prążki, kolczyki z perłami, spodnie z zakładkami i brązowe skórzane mokasyny. Rozsiadła się wygodnie i założyła nogę na nogę. W mojej sukience z jedwabnej krepy i czółenkach wyglądam na wystrojoną i nawet w połowie nie tak elegancką jak ona. Ubrania Jenny i Irene mówią: to dla mnie odpowiednie miejsce. Mój strój krzyczy: jestem wystrojona na wielką okazję. Niezbyt dobrze to świadczy o moim wyczuciu stylu.

– Zoe – Dermot odwraca się w moją stronę – w którym szpitalu obecnie pracujesz? Na jakim oddziale.

– Ekmh... nie pracuję w szpitalu.

– Ale jesteś pielęgniarką, nieprawdaż?

– Nie, tato. Zoe zajmuje się modą – informuje go David.

– Ale pochodzisz z rodziny lekarzy, prawda? – dopytuje się

Dermot.

– Wydaje mi się, że myślisz o poprzedniej dziewczynie Davida – sugeruje złośliwie Jenny.

– Aha! – Dermot wybuchą gromkim śmiechem. – Nie mogę za nim nadążyć.

Jenny rechocze. Spoglądam na Davida, ale jest zajęty rozlewaniem herbaty.

Irene najwyraźniej podłapała rozmowę i usłyszała słowo „moda”.

– A na czym polega twoja praca? – pyta, wolno odwracając głowę w moją stronę.

Przez krótką chwilę kusi mnie, by powiedzieć, że jestem ekspedientką, ale tego nie robię.

– Pracuję w domu towarowym z odzieżą dla kobiet – wyjaśniam.
– W Marley’s.

Zapada cisza, a Jenny uśmiecha się z wyższością.

– Naprawdę? – Irene spogląda na mnie z uprzejmym

zdziwieniem. – Pracujesz... przy kasie.

– Czasem tak.

– Zoe pracowała wcześniej jako konsultantka zarządu – objaśnia David. – Ale postanowiła niedawno zmienić branżę i chce zostać specjalistką do spraw zakupów. Co jest naprawdę wspaniałe – chwyta moją dłoń, ściska ją i uśmiecha się do mnie. Spoglądam na niego z wyższością.

– Chciałabym mieć taką fajną pracę – wzdycha Jenny. – O wiele bardziej wytworną niż chodzenie przez cały dzień i całą noc w fartuchu – zerka na Dermota, który aż promienieje. Postanawiam, że jeśli Jenny jeszcze raz określi moją pracę jako „fajną”, uderzę ją w twarz, bez względu na obecność rodziców Davida.

– Wy, młodzi ludzie, nie wiecie, ile macie szczęścia – mówi Dermot. – Gdy ja zaczynałem pracę, mieliśmy dyżury co drugą noc. Trzeba było robić wszystko, co nam się trafiło – od wrośniętych paznokci po guzy mózgu. Nie było ultrasonografów – musieliśmy umieć stawiać diagnozę, stojąc przy łóżku pacjenta.

Odwracam się w stronę Davida, ale on ku mojemu przerażeniu wymienia z Jenny porozumiewawcze spojrzenia. Jego wzrok mówi: „Boże, słyszysz, co znów wygaduje mój staruszek?”. A jej oczy odpowiadają: „Davidzie, był wspaniały w młodości, podobnie jak ty teraz”. Nikt na mnie nie patrzy, więc wpatruję się w sufit.

– No cóż, pracujesz tak ciężko – podkreśla Irene. – Obaj jesteście wspaniali pod każdym względem. David też zawsze ciężko pracował i jest bardzo inteligentny. Chloe, czy wiedziałaś, że David uzyskał sześćset dwadzieścia punktów na egzaminie końcowym.

Wow, to właściwie poziom geniusza. David mamrocze pod nosem:

– Mamo, nie musimy znów wysłuchiwać omawiania wyników egzaminów. – Właściwie takie zachowanie w stylu nadąsanego nastolatka jest całkiem urocze.

– I grał dla Belvedere w finale pucharu seniorów Leinster.

– W półfinale – prostuje złośliwie Dermot.

David tylko się uśmiecha i dodaje:

– Dokopali nam.

Jenny, chcąc dorzucić coś od siebie do tego ogniska miłości i znów znaleźć się w centrum uwagi, wymyśla najlepszy sposób.

– Wydaje mi się, że faktycznie lekarze w twoich czasach, Dermocie, pracowali jeszcze więcej niż my. Ale z drugiej strony nam jest o wiele trudniej znaleźć pracę. Zwłaszcza w takiej specjalizacji jak kardiochirurgia. Chodzi o to, że tylko pięćdziesiąt procent lekarzy w trakcie specjalizacji, takich jak David, dostanie stałą posadę konsultanta.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale widzę, że Jenny wie, o czym mówi. Niech by ją szlag.

– No cóż, musisz zadbać, byś był w tej lepszej połowie – zwraca się Dermot do syna.

– Tak zrobię – oświadcza David spokojnym, pewnym tonem, który tak bardzo mi się podoba.

– A kiedy masz egzamin zawodowy? – pyta nagle Dermot. – W przyszłym tygodniu.

– W przyszły czwartek, piątego.

– Wiesz, kto będzie w komisji?

– Nie.

– Austin może wiedzieć. Zapytam go. Jesteś przygotowany? Wiesz, co powiesz na temat stypendiów i tak dalej.

– Tak tato, jestem przygotowany – odpowiada David, starając się nie podnieść głosu.

– To taka coroczna ocena, którą muszą przejść lekarze w trakcie specjalizacji – odzywa się do mnie Jenny protekcyjnym tonem. – David na pewno świetnie sobie poradzi – dodaje. – Jest taki utalentowany. A jego konsultant naprawdę dobrze go ocenia.

– Ale w tym tygodniu zmieniasz konsultanta, nieprawdaż? – pyta Dermot.

– Tak, będę pracował z gościem, który nazywa się Mark Kinney.

Ojciec Davida przestaje marszczyć brwi i poklepuje go po ramieniu.

– Będziesz świetny. – Po czym zwracając się do Jenny, dorzuca: – Urodził się, nadstawiając ręce, by nałożyć mu rękawiczki.

– Och, oczywiście – zgadza się Jenny. – Do pewnych rzeczy po prostu jest się stworzonym.

Mówiąc te słowa, spogląda na mnie z uśmiechem. Ja też się do niej uśmiecham i żałuję, że nie mogę jej udusić w tym miękkim fotelu. O co jej chodzi? Czy sądzi, że ona i David są stworzeni dla siebie.

– No cóż, nie wziął tego z księżycy. Ale to nie wyjaśnia zachowania jego brata – oznajmia Dermot szorstko.

– O, a jak się miewa Conor? – pyta Jenny. Chodzi o młodszego brata Davida, który, jak rozumiem, jest trochę leniwy.

– Cudownie – kwituje Irene.

– Marnuje sobie życie – mówi Dermot.

– Właśnie skończył studiować sztuki piękne na UCD5), zrobił licencjat – Irene najwyraźniej jest dumna z osiągnięć syna. – A teraz zdobywa doświadczenie zawodowe w telewizji i rozważa zrobienie magisterki.

5) University College Dublin – największa uczelnia w Irlandii (przyp. red.).

– Jasne, doświadczenie zawodowe – prycha Dermot. – Pół dnia spędza w łóżku i codziennie chodzi do pubu, wydając pieniądze ojca.

Zaczynam czuć więź z bratem Davida. Mogę się założyć, że świetnie byśmy się dogadywali.

– Nigdy nie zapomnę Conora w święta w mieszkaniu w Putney – wspomina Jenny. – Tego, jak wyglądał przez okno i szukał reniferów Świętego Mikołaja. To było absolutnie urocze.

– Ach, tak – przypomina sobie Irene. – To był wspaniały okres, gdy mieszkaliśmy w Putney, a Dermot pracował w szpitalu Westminster. Pamiętasz, jak zabierałam dzieci po szkole do Kensington Gardens.

– Oczywiście, że pamiętam! Było tak fajnie! – grucha Jenny. – Pamiętacie Okrągły Staw i te małe łódeczki? David, przypominasz sobie, jak... – zaczyna jakąś podobno zabawną opowieść o tym, jak David próbował ukraść sterowaną łódkę innemu chłopcu. Dermotowi i Irene bardzo podoba się ta historia. Ojciec Davida niemal płacze ze śmiechu. Staram się uśmiechnąć.

David odwraca się w moją stronę.

– Jak ci minął tydzień, Zoe? – pyta. – Zoe niedawno odkryła nową projektantkę – informuje pozostałych.

Irene natychmiast przestaje mówić, podobnie jak Jenny, więc znajduję się w centrum uwagi. Opowiadam im o Sinead i apaszkach, ale dziwnym trafem nie robi to takiego wrażenia jak powinno. Gorączkowo myślę, co jeszcze mogłabym dodać.

– Oglądaliśmy też zapowiedzi kilku kolekcji świątecznych.
Mnóstwo peleryn.

Wszyscy wpatrują się we mnie obojętnym wzrokiem.

– Ostatnim razem, gdy byłam w Londynie, kupiłam sobie śliczny sweter – mówi Irene. – Tylko nie pamiętam gdzie.

– Chodzi o ten czekoladowobrazowy z MaxMary? – podpowiada ochoczo Jenny. – Był przepiękny.

– Masz świetną pamięć, Jenny – Irene kiwa głową. – Ja nigdy niczego nie pamiętam.

Patrzę na nią i zastanawiam się, czy to jakaś gra? Czy matka Davida naprawdę jest tak głupia.

– A skoro mowa o miłych wspomnieniach – odzywa się Dermot – czy mówiłem, że wpadłem w Shelbourne na Maurice’a O’Connella? – Po czym wszyscy wspominają przyjaciela Dermota i ojca Jenny czy coś w tym stylu.

Nie rozumiem, co się dzieje. Czemu wszystko idzie tak źle? Normalnie spotkania z rodzicami to betka. Gdybym tylko podchwyciła wzrok Davida, wszystko byłoby okej, ale on słucha opowieści na temat Maurice’a O’Connella. Czuję się coraz bardziej przezroczyista. Obserwuję, jak kelnerki sprzątaję stół obok, chciałabym wyjść tylnym wyjściem i posiedzieć sobie w kuchni. Zastanawiam się, czy ktokolwiek by zauważył, gdybym opuściła salę. Czuję się tak nie na miejscu i tak przybita, że ledwo wystarcza mi sił, by być oburzoną z powodu obecności Jenny.

Rozmowa na tematy medyczne toczy się dalej: o kimś, kto przeszedł na emeryturę i o kimś, kto został zwolniony, i o czyjejś córce, która właśnie rozpoczęła specjalizację. Później, dla odmiany, rozmawiamy o domu Fitzgeraldów we Francji, ich domu w Wexfordzie i o tym, czy powinni kupić mieszkanie w Londynie.

– Chcieliby je państwo wynajmować? – pytam, tylko po to, by coś powiedzieć.

– Och, nie – protestuje Dermot. – Po prostu wygodnie byłoby mieć jakieś miejsce dla siebie, gdy wpadamy tutaj na mecz rugby czy z jakiegoś innego powodu.

Wow. Mówią o kupnie mieszkania w Londynie, a nawet nie zamierzają w nim mieszkać. Jesteśmy z innej planety.

– Pochodzisz z Dublina, Chloe? – pyta Irene.

– Zoe – poprawia ją David, mrużąc pod nosem.
– Tak – odpowiadam szybko, wdzięczna za iskierkę zainteresowania. – Z Blackrock.

– Gdzie chodziłaś do szkoły.
Udzielam odpowiedzi, a oni lekko kiwają głowami. Na pewno znają tę szkołę, ale widzę, że nie zdecydowaliby się na nią w pierwszej kolejności.

– A czym się zajmuje twój ojciec? – pyta Dermot.
Bezczelność tego pytania zwała mnie z nóg.
– Jest na emeryturze – wyjaśniam spokojnym tonem. Mam ochotę na tym zakończyć, ale byłoby to naprawdę niegrzeczne, więc dodaję: – Pracował w budownictwie.

Kiwają głowami i widzę, że ta odpowiedź ich satysfakcjonuje, bo branża budowlana oznacza pieniądze. Czuję się trochę wrednie, gdyż zagrałam według ich reguł. Lepiej by było, gdybym zamilkła. Ale jest już za późno.

– Powinniśmy zjeść trochę tych kanapek i ciasteczek, nieprawdaż? – zmienia temat Irene. – Inaczej zrobimy przykrość kucharzom.

– Och, chętnie zjem! – wykrzykuje Jenny, sprawiając wrażenie, jakby zaproponowano jej darmową wycieczkę na Hawaje. „Uspokój się – myślę. – To ty dostałaś szansę. Jesteś pierwszą kandydatką na synową”.

– Jenny, kochanie, może ty zaczniesz.
Jenny wybiera najmniejszą kanapeczkę z ogórkiem.
– Tylko tyle? – dziwi się Irene. – Z pewnością nie musisz uważać na dietę. Pracujesz tak dużo i grasz przecież w tenisa. Mieliście ostatnio okazję, by zagrać z Davidem.

– Nie, ale myślimy o wspólnym trenowaniu do maratonu w przyszłym roku – mówi Jenny.

Jeśli jeszcze raz użyje zaimka „my” w odniesieniu do siebie i Davida... no cóż, prawdopodobnie nic nie zrobię. Zastanawiam się, jak Rachel sobie radzi na weselu. Żałuję, że nie mogę uciec z tego kręgu piekieł i do niej zadzwonić, ale niestety to niemożliwe, poza tym ona i tak nie ma ochoty na rozmowę ze mną.

– Cóż za elegancka sukienka, Zoe. Wybierasz się gdzieś później?
– pyta niewinnie Jenny.

– Nie.

Wydaje mi się, że taka krótka odpowiedź podkreśla niegrzeczne zachowanie Jenny i jestem zadowolona, że faktycznie wygląda na nieco zmieszana. Ale kiedy spoglądam na Davida, widzę, że rozmawia z ojcem o rugby i sędzę, że nie usłyszał ani słowa.

– Och, kochanie, prawie wypiałś herbatę. Napijesz się jeszcze?

Podnoszę wzrok, niepewna, czy Irene mówi do mnie czy do Jenny, i nieśmiało wyciągam filiżankę. Ale ona nalewa herbatę Jenny. Aby zatuszować swoją pomyłkę, szybko sięgam po minibiskopczyk leżący na górze patery. Nie do końca rozumiem to, co się dzieje zaraz potem, ale moja bransoletka, która jest bardzo luźna, zahacza o paterę. I wtedy robię coś wyjątkowo głupiego: zamiast odłożyć ciasteczko i zdjąć bransoletkę, by móc ją odczepić, postanawiam, że dyskretniej będzie, jeśli lekko ją pociągnę. A później przerażona obserwuję, jak w zwolnionym tempie cała patera, z ciastkami i kanapkami, przewraca się z hukiem, bransoletka zrywa się, a zawartość czajnika wylewa się na obrus i kolana Dermota. Gdy dochodzi do tego wypadku, wszyscy w sali cichną, a potem równocześnie zaczynają wrzeszczeć.

– Boże wszechmogący, palę się żywcem! – ryczy Dermot, podskakując wkoło stolika. Przód jego spodni jest kompletnie przemoczony.

– Och nie! Tak mi przykro! – Bojąc się, że będzie miał oparzenia pierwszego stopnia, tracę głowę i chwytam najbliższą nietkniętą szklankę wody, po czym bez wahania wylewam na niego jej zawartość.

– Aaach! Odejdź! – wyje.

– Oj nie, chciałam tylko... – nie mogę się powstrzymać i zaczynam osuszać jego spodnie serwetką, ale on mnie odpycha.

– Co się stało? – pyta Irene z uprzejmym zainteresowaniem.

– Wydaje mi się, że bransoletka Zoe zaplątała się w ciastka – wyjaśnia Jenny kojącym tonem.

Robię się czerwona jak burak i zaczynam wycierać stolik, starając się nie patrzeć na zatopione w herbatce ciasteczka.

– Hej, tygrysku, nie denerwuj się – uspokaja mnie cichym głosem David i pomaga mi zebrać płyn. – Nie mogę cię stąd zabrać – próbuje dodać mi pewności siebie, mrugając do mnie, ale ja umieram ze wstydu. Przychodzi kelner i przejmuje obowiązek posprzątania stołu. Wszyscy dokoła są tak zszokowani, że nie wydają z siebie żadnego

dźwięku.

– Czy...? – pytam niepewnie Dermota.

– Przeżyję – odburkuje.

– No widzicie, właśnie dlatego nie noszę biżuterii z wisiorkami – komentuje Jenny, choć nie zwraca się do żadnej konkretnej osoby.

– Czy mogę zaproponować państwu inny stolik? – kelner wstaje i nieśmiało zadaje pytanie.

– Nie, już skończyliśmy – ojciec Davida spogląda na zegarek. – Będę musiał się przebrać. Irene, czy spakowałaś mi drugi garnitur.

– Tak mi przykro – powtarzam po raz kolejny.

Dermot ignoruje moje słowa.

– Spotykamy się z Johnem Austinem o szóstej – zwraca się do Davida i osusza spodnie serwetką. – Powinieneś zostać i się przywitać. Ty także, Jenny.

– David, ja już pójdę – szepczę do mojego chłopaka, gdy jego rodzice rozmawiają z Jenny.

– Odprowadzę cię – proponuje David i poklepuje mnie po ramieniu.

Niepewnie przerywam rozmowę.

– Było mi bardzo miło państwa poznać. Dziękuję za herbatę.

Jeszcze raz przepraszam.

– Nie ma za co – mówi Irene. – Do widzenia, kochanie. – Zastanawiam się, czy mamy się pocałować, czy uścisnąć sobie dłonie, ale matka Davida odwraca się z powrotem do Jenny.

Dermot chyba częściowo odzyskał dobry humor i pochyła się w moją stronę, by mnie ucałować – w jeden czy oba policzki? Szybko oceniam na podstawie jego wieku i pochodzenia, że jeden policzek wystarczy. Ale się mylę. Nachyla się, by pocałować drugi w momencie, gdy ja się odsuwam, więc muszę pochylić się raz jeszcze i cała ta sytuacja jest okropnie dziwna. Jenny przygląda się nam z rozbawieniem. Nie zwracam sobie głowy pożegnaniem z nią. Gdy odwracam się i wychodzę z Davidem, mam nadzieję, że moje utykanie na lewą nogę nie jest zbyt widoczne.

Kiedy tylko znajdujemy się w foyer, mówię:

– Przepraszam za tę paterę z ciastkami.

– To żaden problem – David kręci głową.

Mam ochotę zapytać go, dlaczego zaprosił Jenny, ale wydaje mi

się, że nie mam do tego prawa po tym, jak zrobiłam z siebie taką idiotkę.

– Dobrze się czujesz? Czy coś jest nie tak z twoją stopą.

– Oj... – pochylam głowę. Nie chcę się przyznać, że założyłam nowe, zbyt ciasne buty. – Skręciłam kostkę podczas zajęć jogi dziś rano.

– Mówiłem ci, że joga jest niebezpieczna – nachyla się i całuje mnie w czoło. – Chcesz, żebym cię odprowadził na stację metra.

Kręcę głową. Wolę, żeby nie widział, jak kuleję. Postanawiam zebrać się w sobie i nie być w jego towarzystwie taką sierotą. Zachowuje się bardzo w porządku, mimo moich wpadek.

– Nie, nic mi nie będzie – odpowiadam wesoło. – Słuchaj, powinieneś wrócić do rodziców. Nie chcesz się spóźnić na spotkanie z tym konsultantem.

– Dobrze. Obawiam się, że nie wiem, jakie mamy plany na resztę weekendu. Mogę do ciebie zadzwonić.

– Oczywiście – zmuszam się do uśmiechu i dodaję z wesołą miną: – Ale dzisiaj wieczorem wychodzę z dziewczynami, więc pamiętaj o tym. A teraz wracaj szybko do rodziców.

Całujemy się raz jeszcze i obserwuję go, jak wraca na salę, a jego cudowne ramiona pływaka wypełniają marynarkę. Odwracam się i kuśtykam w kierunku stacji metra. Boże, co za kłapa. Chciałam być jedyna w swoim rodzaju, a wyszło, jak wyszło.

Przed wejściem do metra wstępuję do Dorothy Perkins, żeby kupić sobie płaskie buty. Po dyskretnym spokoju Connaught jasne światła, zapach sztucznych tkanin i ogłuszające dźwięki piosenki Rihanny w dziwny sposób mnie uspokajają. Wybieram kilka rzeczy, które przykuły moją uwagę: uroczy różowy top drukowany w ptasi wzór – ptasie wzory są teraz wszędzie – i parę bardzo wysokich zamszowych niebieskich butów na koturnie. Gdy idę w stronę przymierzalni, zauważam swoje odbicie w lustrze, w jedwabnej sukience w kropki. Wyglądam tak bardzo nie na miejscu. Przypominam sobie, ile pieniędzy wydałam na ten strój. Postanawiam zapomnieć o jakichkolwiek zakupach. Decyduję się tylko na płaskie buty i wracam do domu. Uświadamiam sobie, że do stu czterdziestu dziewięciu funtów, które zapłaciłam za czółenka, powinnam dodać piętnaście funtów za baletki, które musiałam włożyć, gdy rozbolały mnie stopy.

Wsiadając do metra, zaczynam żałować, że David w ogóle zaproponował mi poznanie jego rodziców. A później wybucham śmiechem. W końcu najpierw byłam zła, że o tym nie pomyślał, a teraz złoścę się, że to zrobił. Czy kiedykolwiek będę szczęśliwa.

W drodze powrotnej ze stacji metra trochę się guzdram i zatrzymuję się, by kupić „Grazie” i frappuccino. Zbliżając się do mojego mieszkania, widzę, że Max czeka na mnie w słońcu na schodach. Ma na sobie kraciastą koszulę, dżinsy i sandały i czyta coś, co wygląda jak komiks. Całe podwórko przed domem jest zasłane czarnymi workami na śmieci i kartonami z książkami, jest tam też drewniana skrzynka. Zupełnie zapomniałam, że mój nowy współlokator ma się dziś wprowadzić.

– Bardzo przepraszam! Straciłam poczucie czasu – wbiegam po schodach i otwieram drzwi. Max zapomina o komiksie i wpatruje się we mnie: albo mam coś na twarzy, albo jestem ubrana zbyt elegancko na słoneczne sobotnie popołudnie.

– Nie martw się – odpowiada szybko. – Korzystałem ze słońca. – Wrzuca komiks do kartonowego pudła i zaczyna wciągać je do środka. Próbuję podnieść skrzynkę, żeby pokazać, że chcę pomóc, ale nie jestem w stanie jej nawet ruszyć.

– Nie przejmuj się – mówi. – To wino. Możesz wziąć to, jeśli masz ochotę być pomocna – wskazuje na mały plecak.

– Masz mnóstwo rzeczy.

– Wiem. Trzymałem część z nich u rodziców, ale powiedzieli „dość”. Mój kumpel Gareth pomógł mi je tu przywieźć, lecz musiał jechać.

– Aha – rzucam krótko. Przyglądając się ogródkowi upstrzonemu czarnymi workami na śmieci i zniszczonymi kartonami, myślę sobie: „A było tu tak miło”. Wyobrażam sobie, jak opowiadam o tym Rachel, a ona się śmieje, ale przecież moja najlepsza przyjaciółka się do mnie nie odzywa! Biorąc jeszcze po uwagę katastrofalne spotkanie z rodzicami Davida, to nie jest najlepszy tydzień w moim życiu. No cóż, zostało mi jeszcze wieczorne wyjście z Kirą i jej znajomymi. Może ono poprawi mi nastrój. Choć nie spodziewam się, żeby przebiegło inaczej niż ostatnim razem, co sprawia, że raczej nie będzie aż tak fajnie.

– No cóż, zapraszam. – Gdy tylko wchodzimy do środka, zdejmuję te okropne czółenka. – Witam, oto twoje klucze – rzucam je

do niego z drugiego końca pomieszczenia. Szybko wyciąga rękę i łapie je. – Muszę się teraz przebrać, ale wiesz, gdzie co jest, prawda?

– Tak, jasne.

– Później zrobimy pełne wprowadzenie – proponuję. – Wiesz, porozmawiamy o rachunkach, o tym, gdzie są sklepy i tak dalej.

– Pewnie – podnosi karton i znosi go do swojego pokoju.

Podchodzę do innego pudła i ukradkiem zaglądam do środka. Widzę stertę papierów, kubek z napisem „Mystery Spot: Santa Cruz”, miskę, łyżkę, pół opakowania piłek do squasha, puste opakowanie po Pringles i konsolę do gier, a także Box DVD *Buffy, postrach wampirów*. Nigdy tego nie oglądałam, ale nie znoszę horrorów. I wtedy to do mnie dociera: ten gość, z całym tym bałaganem, hałasem, dziwnym rozkładem dnia, gitarami i gramami komputerowymi, wprowadza się do mojego mieszkania, a ja nie mogę nic zrobić.

Idę do swojego pokoju, przebieram się w dresowe spodenki i koszulkę i kładę się na łóżku. Przygnębiona przeglądam „Grazie”. Już ją czytałam! Cholera. Cheryl Cole trafiła do szpitala z powodu malarii, Victoria Beckham pociesza Davida po mistrzostwach świata...

Napiszcie o czymś, czego nie wiem. Przewracam stronę i widzę zdjęcie Keiry Knightley, idącej ulicą w Primrose Hill i ubranej w sukienkę we wzory. Jakby nie było wystarczająco fajnie, „Grazia” podała numer do dostawcy, który z kolei będzie podawał numer do nas. Głośno piszczę i podrzucam czasopismo w górę.

– Wszystko w porządku? – pyta Max.

– Tak! – Być może zawałam podwieczorek z rodzicami Davida, ale przynajmniej nadal mogę mieć nadzieję w kwestiach związanych z pracą.

Rozdział 13

Ależ to była szalona noc – mówi Kira. – Jak mogłam zakładać, że ten gość jest uroczy. No bo kto nosi okulary przeciwsłoneczne w nocnym klubie.

Jest wpół do pierwszej w niedzielę, siedzimy z Kirą w Lucky Seven, knajpie w amerykańskim stylu przy Westbourne Park Road, i pijemy kawę. Podoba mi się to miejsce: mają tu czerwone skórzane ławki z oparciem, chromowane stoliki i lady. Uwielbiam, jak po nocy na mieście przychodzimy tutaj skacowane na lunch. Ale dziś... nie wiem, czy powodem jest smutek po spotkaniu z rodzicami Davida, czy obawa, że on sam już się do mnie nigdy nie odezwie – tak czy owak, mam dość i nie chcę przez to znów przechodzić.

Jest jednak pewna różnica. Poprzednim razem mówiłam Kirze, że przyjechali rodzice Davida i to Jenny się z nimi spotyka, a nie ja. Kira powiedziała wtedy: „Nie przejmuj się tym, mogę się założyć, że byłoby strasznie nudno”. Zastanawiam się, jak zareaguje, gdy opowiem jej, co się stało tym razem.

– Dwa razy naleśniki? – pyta kelner, niosąc dwa talerze. Poprzednim razem poprosiłam o *huevos rancheros*, a potem zazdrościłam Kirze jej naleśników, więc tym razem zamawiam to samo co ona. To małe zwycięstwo, ale będę się nim cieszyć. Przyjaciółka z radością sięga po swój talerz. Generalnie bardzo uważa na to, co je, ale w niedzielę sobie odpuszcza. Jest gorący dzień, a ona ma na sobie króciutkie dżinsowe spodenki i białą bokserkę i wygląda jak milion dolarów.

– Uwielbiam naleśniki – mówimy jednocześnie i wybuchamy śmiechem. – Moje szczęście! – woła Kira i krzyżuje palce.

– Cholerka, też to robicie w Australii? Myślałam, że tak robią tylko Irlandczycy.

– Kochanie, wszystko robimy w Australii. Musisz przyjechać i przekonać się na własne oczy.

– Chciałabym. – Australia znajduje się na liście miejsc, które planuję odwiedzić, a Kira powiedziała, że oprowadziłaby mnie po Brisbane, załatwiła pobyt u swojej rodziny na farmie bydła i ogólnie pokazała to i owo.

– No i jak było wczoraj na spotkaniu z rodzicami Davida.

– Niezbyt dobrze. – Szybko streszczam jej przebieg spotkania, omijając wypadek z herbatą. Kira nigdy nie dałaby mi spokoju.

– Poczekaj chwilę. Jenny tam była? To zupełnie nie na miejscu – dziwi się. – Po co proponował ci poznanie jego rodziców i przyprowadził inną dziewczynę? Próbuje przywrócić poligamię czy coś.

Dokładnie o tym samym myślałam. Ale teraz czuję, że powinnam bronić Davida.

– No cóż, jest znajomą rodziny. Zaprosili ją wcześniej, więc David nie mógł cofnąć zaproszenia... poza tym jej rodzice nie żyją, więc rodzice Davida zawsze o nią dbają.

– Jasne, jasne, mów mi jeszcze – ironizuje Kira. – Ona na pewno próbuje dobrać się do jego spodni, a on nawet tego nie zauważa. Faceci to straszni idioci.

Nie mówię nic więcej, polewam naleśniki większą ilością syropu klonowego. Być może ma rację, ale nie podoba mi się, że krytykuje Davida: tylko mnie wolno to robić.

– No cóż, ja też nie byłam idealnym gościem – wybąkuję pod nosem.

Na telefon Kiry przychodzi SMS. Odczytuje go, marszcząc brwi.

– Lepiej, żeby to nie była ta suka Emma – mamrocze. Kira obecnie toczy wojnę z jedną ze swoich współlokatorek – pozornie dotyczy ona tego, o której godzinie każdy ma brać prysznic, ale tak naprawdę chodzi o to, że Emma nie akceptuje przyprowadzania do domu przez Kirę obcych facetów.

– To Naomi – informuje mnie przyjaciółka. Naomi to jedna ze współlokatorek, naprawdę urocza dziewczyna z Tasmanii. – Pyta, czy nie chcemy się później powłóczyć po Portobello.

Pamiętam ten spacer. Świetnie się bawiłyśmy, oglądając zawartość straganów w cudownym blasku słońca. Naomi znalazła śliczny pierścionek z kameą, a ja fajne stare okulary i piękną koronkową bluzkę z zabudowanym dekoltem, a później poszłyśmy do parku i wypiliśmy nad jeziorem butelkę wina. Spędziłyśmy uroczy dzień. Wtedy udało mi się nie myśleć o Davidzie. Tym razem jednak nie chcę o nim zapomnieć.

– Pewnie. Świetny pomysł.

– Wspaniale – cieszy się Kira i wyciąga ramiona. – Boże, jak to

dobrze wreszcie mieć wolną niedzielę. Nie mogę uwierzyć, że to już sierpień. Zatem, Londynie! Mamy lato.

Wypowiada te słowa naprawdę głośno – sprawia wrażenie, jakby zwracała się do wszystkich gości w kawiarni. Co zadziwiające, ludzie nie zrzędzą: para z dzieckiem uśmiecha się i kiwa głowami, a jeden koleś podnosi filiżankę z kawą, jakby wznosił toast. Być może ma to jakiś związek z jej skąpym strojem, ale tak naprawdę sędzę, że lato poprawia ludziom nastrój.

– Brunch, zakupy, park. Niedziela idealna – przytakuje jej z radością.

Mam już zaproponować, żebyśmy zapłaciły rachunek i wyszły, gdy dzwoni mój telefon. Serce mi staje, bo widzę, że to David. Tak się bałam, że w ten weekend wcale nie zadzwoni.

– Muszę cię przeprosić na chwilkę – zwracam się do Kiry.

– Halo? Przepraszam, jestem w kawiarni, wyjdę na zewnątrz – przeciskam się wzdłuż ławki i staję na rozgrzanym chodniku. Niebo jest nieskazitelnie niebieskie, a słońce mocno przypieka. To będzie kolejny upalny dzień.

– Cześć – z trudem łapię oddech i osłaniam dłonią oczy przed słonecznym blaskiem. – Jak się masz.

– W porządku – mówi. – Mama i tato poszli spotkać się ze znajomymi w Henley, a ja jestem w Hyde Parku. Zastanawiałem się, czy miałabyś ochotę popływać łódką.

– Łódką? W sensie po jeziorze? – Za to pytanie powinnam sobie dać klapsa. Gdzie indziej można pływać łódką.

– Jest duża kolejka, ale jeśli teraz w niej stanę, powinienem coś dla nas dostać, zanim zdążysz tu dojechać. Dasz radę.

– Och, poczekaj... – udaję, że się zastanawiam. *The Rules* jest bardzo surowe, jeśli chodzi o zaproszenia na ostatnią chwilę, ale mam dość tego poradnika. W czym mi pomógł podczas podwieczorku? Poza tym naprawdę chcę zobaczyć Davida.

– Pewnie. Jestem w Westbourne Grove, więc wsiądę do autobusu. Do zobaczenia za pół godziny.

Niemal unosząc się w powietrzu, wracam do środka i cała aż promienieję.

– To David. Chce mnie zabrać na wycieczkę łodzią w Hyde Parku.

– Oj, naprawdę? – Kira przerywa na moment naciąganie przylegającej do ciała koszuli w kratkę na równie obcisłą koszulkę. – A co z Portobello.

– Innym razem.

Przyjaciółka marszczy brwi.

– Zostawienie koleżanek dla faceta nigdy nie jest dobrym pomysłem, Zoe – mówi udawanym surowym głosem, po czym dodaje: – Żartuję sobie. Idź, popływaj, baw się dobrze. I powiedz mu, że jeśli nadal będzie zabierał wszędzie Jenny, w połowie przyszłego tygodnia skopiesz mu tyłek.

Próbuję sobie wyobrazić, że mówię to Davidowi, ale jakoś nie jestem w stanie.

– Serio – ciągnie Kira – on musi wiedzieć, że takie zachowanie jest nie do zaakceptowania. Ochrzań go.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecuję i pokazuję kelnerowi, żeby przyniósł rachunek. – Szkoda jednak, że nie mam czasu się przebrać. Czy mój strój jest w porządku? – Mam na sobie starą niebieską koszulkę Penneys, białe dżinsowe szorty H&M i japonki, które założyłam w pośpiechu przed wyjściem z domu. Wtedy wydawały mi się w porządku, ale teraz czuję się w nich okropnie. – Szkoda, że nie mam czasu, żeby wrócić do domu i się przebrać – może w długą zwiewną spódnicę albo krótką sukienkę.

– Wyglądasz świetnie. To łódka, a nie sesja zdjęciowa do magazynu mody.

– To też randka – przypominam. – No cóż, będę mogła sobie w autobusie zrobić makijaż.

Kira odstawia filiżankę.

– Zoe, czy choć przez chwilę pomyślałaś, co David musi oglądać przez cały dzień w pracy? Prawdopodobnie jest w stanie znieść niedobry strój albo nieidealną linię bikini.

– Ale o to właśnie chodzi. Jego praca jest taka straszna. Wydaje mi się, że to dlatego tak bardzo lubi ładne rzeczy.

– Skoro tak mówisz. – Dostajemy rachunek, a Kira przygląda mi się dokładnie i oblicza na kalkulatorze w komórce, ile każda z nas ma zapłacić. Oprócz niej żadna moja przyjaciółka nie zachowywałaby się tak przy płaceniu, ale nie przeszkadza mi to – ona po prostu taka jest. Oszczędza jak szalona, żeby móc otworzyć własne studio fitness w

Australii.

Płacimy, a później Kira pomaga mi znaleźć autobus, którym można dojechać do Hyde Parku. Słońce mocno grzeje; cieszę się, że wzięłam balsam do opalania i okulary przeciwsłoneczne, choć wystarczyłby kapelusz. Kiedy nadjeżdża autobus i otwierają się drzwi, gorące powietrze niemal zwała mnie z nóg i prawie przyklejam się do siedzenia, gdy tylko na nim siadam. Obserwując przez okno tłumy przelewające się ulicami Notting Hill, myślę o tym, co powiedziała Kira. Nie zamierzam skopać Davidowi tyłka, ale spróbuję być bardziej szczerą. Powiem mu, że wczoraj czułam się zepchnięta na margines. Nie będę zachowywać się jak psychopatka, porozmawiam z nim jak dorosły człowiek, w spokojny, racjonalny sposób. To chyba nie będzie takie trudne.

•

Po przejeździe w upiornie gorącym autobusie park przypomina raj: zieleń i złote światło przebijające się przez liście, muskające trawę i czubki ludzkich głów. Po krótkiej wędrówce docieram do przystani i widzę, że David stoi prawie na samym początku kolejki. Ma na sobie biały T-shirt, szorty i okulary. To jedyny znany mi facet, który wcale nie przypomina małego chłopca, gdy założy krótkie spodnie.

Po jeziorze pływa mnóstwo ludzi: w łódkach albo na rowerkach wodnych; lawirują między kaczkami i łabędziami. Akwen, w którym odbijają się wszystkie odcienie zieleni drzew, sprawia wrażenie niesamowicie chłodnego i nęcącego. Na intensywnie błękitnym niebie widać tylko kilka kłębków chmur. Zszokowana uświadamiam sobie, że dokładnie tak mogła wyglądać witryna, którą urządziliśmy w naszym sklepie na święta. Albo którą urządzimy. Myślę o tym, że jestem tu z Davidem i znów się muszę uszczypnąć. To niesamowite, jak szybko można przywyknąć do cudu.

– Witaj! – mówi David i daje mi przelotnego buziaka na powitanie. – Gotowa, by wskoczyć na pokład.

– Tak! Dzięki, że stanąłeś w kolejce.

– Nie ma problemu. Jak się miewasz? Dobrze się bawiłaś z dziewczynami.

– Tak, poszłyśmy do Portobello. – Chcę sprawić wrażenie, że byłyśmy w jakimś modnym miejscu, na przykład w Electric. Nie musi

wiedzieć, że odwiedziłyśmy śmierdzącą potem spelunę, w której było mnóstwo nastolatków i alkoholików. Ale później przypominam sobie, że miałam być bardziej szczerą. – Właściwie to była taka knajpa pełna świrów. Ale dobrze się bawiłyśmy.

– No cóż, o to przecież chodzi.

Uśmiecham się do niego i myślę, że byłam straszną wariatką, skoro sama się cenzurowałam. Nie muszę przez cały czas udawać, że spędzam noce na eleganckich imprezach.

Docieramy do początku kolejki. Kupujemy bilety i zostajemy skierowani do małej łódki, która uderza dziobem o dok. David pierwszy do niej wskakuje i wyciąga rękę. Nie jest to potrzebne, ale i tak chwytam jego dłoń, bo to takie romantyczne. Siadając, bez żadnych wypadków, zastanawiam się: „Czemu wczoraj nie poruszałam się z taką gracją?”

– Dobrze wiosłujesz? – pytam, gdy zajęliśmy już miejsca. – Będzie mi potrzebna kamizelka ratunkowa.

– Oprzyj się wygodnie i baw się dobrze.

Opieram się, odwracam i obserwuję zieloną wodę, hipnotycznie migoczącą w słońcu. Mijamy dwie dziewczyny, które ze śmiechem i piskiem usiłują sterować łodzią, ale właściwie to pływają w kółko. Spoglądam na Davida, jego silne ręce i szerokie ramiona napinające się pod białą koszulką podczas wiosłowania. Noszę okulary przeciwsłoneczne, więc nawet nie widzi, że się na niego gapię. Jest taki uroczy, gdy skupia się na czymś i marszczy brwi. I kiedy pochyla się do przodu. I gdy odchyła się do tyłu.

– Gdzie nauczyłeś się wiosłować.

– Kiedy byliśmy dziećmi, jeździliśmy nad Lough Sheelin w Cavan – odpowiada. – Razem z młodszym bratem wskakiwaliśmy do łódki i wypływaliśmy w trzciny, a potem ruszaliśmy do najbliższego miasteczka, żeby kupić słodczyce. Pamiętasz takie słodkie pianki w kształcie delfinów.

– O mój Boże, pewnie, że tak! Były białe. Nazywały się Flipper, Flippy czy jakoś tak? Od lat ich nie widziałam.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie małego jasnowłosego Davida wiosłującego pośród trzciny. To taki uroczy obrazek, że postanawiam nie psuć go wzmianką o Jenny albo katastrofie podczas spotkania z jego rodzicami.

– Mogę spróbować? – pytam.

– Pewnie. Tylko wydostańmy się z tego najbardziej zatłoczonego kawałka jeziora... albo poczekaj. W sumie to jest coś, o czym chciałbym porozmawiać.

Przez moment jestem w szoku. Czy zamierza mnie rzucić ze względu na to, jak źle mi poszło wczoraj? Ale później myślę sobie: „Nie wpadaj w paranoję”. Gdybyś miała z kimś zerwać, na pewno łódka byłaby ostatnim miejscem, w którym chciałabyś to zrobić.

Gdy tylko zaczyna mówić, w naszym polu widzenia pojawia się rowerek wodny, a ludzie, którzy nim kierują, z całą pewnością nie mają nad nim kontroli, rowerek zaś płynie prosto na nas.

– Góra lodowa! – ostrzega David, a następnie ostro machając jednym wiosłem, obraca łódkę tak, że znajdujemy się w bezpiecznym miejscu. Właściciele rowerku piszczą. – Szczury lądowe... Boże, spójrz na tych świrów, którzy tu pływają.

Płyniemy obok kilku kolejnych łódek, a później dryfujemy i zatrzymujemy się pod wierzbą. Kilka młodych kaczek – większych niż kaczątka, ale nadal puszystych – przepływa obok nas. David odkłada wiosła, zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, opiera się i patrzy w dal.

– No więc. Pamiętasz, jak Jenny mówiła wczoraj o tym, że jest tak mało dostępnych posad.

Wolałabym, żeby nie zaczynał rozmowy od słowa na J, ale kiwam głową.

– No cóż, to prawda. Zbyt wiele osób odbyło staż i nie każdy się załapie. I częściowo właśnie z tego powodu musimy tak dużo pracować. Oczywiście nie chodzi tylko o samą pracę, lecz także o takie dodatkowe rzeczy, jak publikacje, wyjazdy na konferencje i cały ten zgiełk – pociera oko palcem wskazującym. – Wiesz, że w tym tygodniu zaczynam współpracę z tym nowym gościem i będę dla niego pracował. Zajmuje się operacjami noworodków. Będzie to bardzo intensywny okres.

Kiwam głową.

– Rozumiem – mówię zgodnie z prawdą.

David sprawia wrażenie trochę zaskoczonego, że nie robię z tego większej afery, ale ciągnie dalej.

– Jest jednak jeszcze jedna rzecz, którą będę musiał zrobić... i to właśnie o tym tak naprawdę chciałem z tobą porozmawiać... Chodzi o

wyjazd zagraniczny... na stypendium.

Wow. Oczywiście wiem o tym, ale nie spodziewałam się, że dziś mi o tym powie.

– Wysłałem aplikacje w kilka miejsc. Jest świetny oddział kardiologiczny w Teksasie i kolejny w Nowym Jorku. Dostałem już odpowiedź ze szpitala w Bostonie i nie zostałem tam przyjęty.

– Ojej, jaka szkoda. – Nie miałam pojęcia, że starał się o staż w szpitalu w Bostonie. Ani w Teksasie! A skoro wiem, co się zdarzy w przyszłości, mam też pewność, że nie wyjedzie do Teksasu – co przyjmuję z ulgą. Zdecydowanie wolałabym Nowy Jork.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, co się stanie w przypadku tych dwóch pozostałych szpitali, ale jestem pełen nadziei. Teksas byłby fantastycznym miejscem, podobnie zresztą jak Nowy Jork.

– Jestem pewna, że dostaniesz się na stypendium w Nowym Jorku. To znaczy, jestem pewna, że dostaniesz się na któreś z nich – poprawiam się szybko. – Kiedy miałyby się zacząć i jak długo będzie trwać.

– Rok. Może się zacząć w każdej chwili jesienią. W listopadzie albo dużo wcześniej, we wrześniu. I nie wiem, kiedy dostanę odpowiedź; mogę ją otrzymać z bardzo krótkim wyprzedzeniem – patrzy na mnie, a w jego oczach widzę szczerą. – Ale nie chcę, żeby to stało między nami, jest przecież tyle możliwości. Będę miał trochę urlopu... mogłabyś mi też dotrzymać towarzystwa przez jakiś czas. Albo cały rok.

Wpatruję się w niego, próbując sobie ułożyć w głowie to, że sprawy potoczyły się zupełnie inaczej niż poprzednim razem, gdy powiedział mi o stypendium. Wtedy siedzieliśmy u niego na tarasie. David zaproponował, żebym wpadła na kawę. Wiedziałam, że „kawa” brzmi złowrogo, ale zdałam sobie sprawę z tego, jak złe wieści chce mi przekazać, dopiero wtedy, gdy bez żadnego wstępu oznajmił: „Zaproponowano mi stypendium w Nowym Jorku. Zaczyna się za kilka tygodni i potrwa rok”.

Pokręciłam wówczas głową, nie byłam w stanie tego w ogóle ogarnąć.

„Co? Tak po prostu wyjeżdżasz do Nowego Jorku?” – Chciałam zapytać, co z nami, ale w głębi duszy wiedziałam, że po wszystkich

tych moich histeriach i po tym, jak przez ostatnie kilka tygodni prawie się nie widywaliśmy, nie było już żadnych „nas”. I miałam też świadomość, że David robi to samo, co ja zrobiłam mojemu poprzedniemu chłopakowi, Paulowi: zaprezentowałam rozstanie jako pechowy skutek uboczny emigracji, a nie coś, do czego i tak by doszło, z Nowym Jorkiem lub bez niego.

– Zoe – mówi teraz David. Wyciąga rękę i chwyta moją dłoń. – Dobrze się czujesz? Wiem, że to szokujące, ale wydaje mi się, że możemy.

– Nie, nie. – Promienieję. – To wspaniała informacja.

– Naprawdę? – Sprawia wrażenie zaskoczonego. Najwyraźniej spodziewał się, jeśli nie łez i napadu szału, to przynajmniej pytań i niepokoju.

– Oczywiście! Będę trzymać za ciebie kciuki.

– Ale rozważyłabyś przyjazd do mnie? W odwiedziny albo na dłużej.

– Naturalnie – uśmiecham się.

– Wspaniale – cieszy się. Bierze wiosła i zaczyna wypływać z naszej przystani. – A, no i ten konsultant, z którym widziałem się wczoraj – przyjaciel ojca – pracował w tym samym szpitalu w Nowym Jorku, i to dlatego się z nim spotykałem, choć wolałbym pójść z tobą na drinka.

Zaproszenie Davida i jego zaskoczenie, że nie jestem rozgniewana, dodały mi pewności siebie. Zamierzam porozmawiać o tym, co się stało wczoraj.

– Cieszę się, że mogłam poznać twoich rodziców. Są bardzo sympatyczni. – Świadomość, że to nie do końca prawda trochę mi ciąży. – Mam nadzieję, że poczuli do mnie sympatię. Szczerze mówiąc, nie byłam tego pewna. Czułam się trochę.

– Tak?

– No cóż, nie byłam przekonana, czy mnie polubili. Czułam się trochę pominięta.

To najbardziej roszczeniowe, szczere wyznanie, na jakie sobie pozwoliłam w tym nowym wcieleniu. Cieszę się, że założyłam okulary przeciwsłoneczne, bo dzięki nim David nie widzi, z jakim niepokojem mu się przyglądam.

– Nie czuj się tak – mówi.

– Czyli jak.

– Pominięta. Nikt nie próbował sprawić, byś tak się czuła.

Do głowy przychodzi mi kilka odpowiedzi, na przykład: „To nie takie proste” albo „A co tam, do cholery, robiła Jenny?”, ale na szczęście David wzdycha i odzywa się jako pierwszy.

– Słuchaj, moi rodzice są czasem trudni wobec nowo poznanych ludzi. Ale serio, to nie twoja wina. Mój ojciec jest... – Wpatruje się w dal, w stronę brzegu jeziora. – No cóż, poznałaś go. Jest dość surowy i nie za bardzo potrafi nawiązać kontakt z ludźmi, którzy nie są jego pacjentami ani lekarzami. A mama idzie w jego ślady. Szkoda, że zachowują się w ten sposób, ale nic na to nie poradzę.

Naprawdę doceniam jego szczerość i postanawiam, że też nie będę niczego ukrywać.

– Rozumiem. Chodzi tylko o to, że mają tak świetny kontakt z Jenny, a ja nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by ze mną byli kiedykolwiek w tak dobrych stosunkach.

David marszczy brwi.

– Tak, ich relacje z Jenny są bardzo dobre, ale to nieistotne. Byłaś wspaniała. A poza tym, liczy się to, co ja sędzę, nie oni. Nawet gdyby cię nie polubili – a tak się na pewno nie stało – nic by mnie to nie obchodziło.

– Nie byłam wspaniała. Oblałam twojego ojca herbatą.

– Zoe, on jest chirurgiem. Oblano go gorszymi rzeczami niż herbatą.

Oddycham z ulgą.

– Świetnie. Nie zrozum mnie źle, dobrze się bawiłam i w ogóle. Ale miałam trochę dziwny tydzień. Pokłóciłam się z Rachel. Raczej na poważnie. I nie wiem, jak rozwiążemy tę sprawę... – Nie zamierzałam mówić o tym Davidowi, ale musiałam to z siebie wyrzucić.

– Tak? A o co się posprzeczałyście.

Już chcę mu o tym opowiedzieć, gdy słyszę znajomy dźwięk: dzwonek jego telefonu.

– Poczekaj chwilę – mówi i wyjmuje komórkę. – David Fitzgerald. Tak... rozumiem, w porządku. Za jakieś czterdzieści pięć minut... już wyjeżdżam.

Spogląda na mnie, a ja już wiem, co zamierza powiedzieć.

– Sytuacja awaryjna. Muszę natychmiast jechać. – Odkłada

telefon i zaczyna wiosłować w kierunku przystani.

– Ale nie masz dyżuru.

– Nie, ale konsultant nie ufa stażystom, który ma teraz dyżur, więc wzywa mnie. Co mówiłaś o Rachel? – Wiosłuje teraz z taką siłą, że ledwo łapie oddech.

Kręcę głową.

– To nieistotne. Chcesz, żebym zamówiła ci taksówkę.

– Metrem będzie szybciej. Ale dziękuję. – Uśmiecha się do mnie z wdzięcznością, a ja staram się ukryć rozczarowanie.

Gdy tylko docieramy do małego mola, David daje mi buziaka, wyskakuje z łódki i biegnie w kierunku wyjścia z parku. Wiedziałam, że to sytuacja awaryjna, lecz gdy widzę, jak się śpieszy, dociera do mnie, jakie to ważne. Wielka szkoda, że nie spędzimy więcej czasu razem. Ale David nie jest jakimś bankierem czy prawnikiem – biegnie, by ocalić czyjeś życie. I wygląda przy tym niesamowicie atrakcyjnie.

Kobieta na początku kolejki dziwnie się na mnie patrzy.

Podejrzewam, że to dość niezwykle, gdy gość ucieka ile sił w nogach od dziewczyny, z którą właśnie romantycznie pływał łódką po jeziorze.

– Jest lekarzem. To sytuacja awaryjna – wyjaśniam.

– O tak, z pewnością – odpowiada uprzejmie.

Nie marnuję czasu na sprzeczki: kobieta na pewno sądzi, że jestem jakąś wariatką, od której uciekł facet poznany przez Internet.

Gdy wracam przez park do domu, uświadamiam sobie, że życie w Nowym Jorku byłoby o wiele łatwiejsze. Mieszkalibyśmy razem, widywalibyśmy się co dzień rano i każdej nocy. Oczyma wyobraźni widzę siebie w drzwiach naszego mieszkania, ubraną w wielki kaszmirowy sweter, z gołymi nogami, jak macham na pożegnanie do Davida, zanim sama wyjdę do pracy... a później wyobrażam sobie nas w święta na Manhattanie.

Rozdział 14

Kiedy w poniedziałek stoję przy kasie i plotkuję z Harriet na temat naszych weekendów, podchodzi do nas Julia.

– Zoe. Właśnie ciebie chciałam dziś spotkać. Czy znalazłabyś dla mnie chwilę na pogawędkę? Około wpół do pierwszej?

– Oj! – wiem, że Karen się nam przygląda. – Normalnie mam przerwę na lunch o pierwszej. Czy możemy się wtedy umówić.

– O pierwszej mam spotkanie. Jestem pewna, że możesz się z kimś zamienić. Mam rację, Karen? – pyta Julia.

Moja szefowa uśmiecha się sztucznie.

– Oczywiście. To żaden problem. Poślemy ją do ciebie o tej porze. – Gdy tylko Julia znika z pola widzenia, Karen odwraca się do mnie i mówi krótko: – Zamień się z Harriet, ale to ostatni raz. – To oczywiste, że ma wielką ochotę dać mi po łapach, ale nie może, bo ja tylko wypełniam polecenie Julii.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję – odpowiadam cicho.

•

Kiedy docieram do biura Julii, nie zastaję jej samej: elegancko ubrany Azjata też tam jest. Tym razem ma na sobie tweedową marynarkę w kolorze różowej gumy balonowej i zielonym oraz jaskrawozielony krawat. Jestem tak oszołomiona, że nie mam pojęcia, w co jest ubrany poniżej pasa. Dziś założył intensywnie zielone soczewki zamiast niebieskich.

– No proszę, Zoe! – Wstaje i ostentacyjnie całuje mnie w oba policzki. Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie doświadczyłam w pracy czegoś takiego. – Jak to się pisze.

– Z-O-E. Z akcentem.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby zmienić imię tak, aby się jeszcze bardziej wyróżnić? Na przykład na Z-O-O-E-Y?

Zanim jestem w stanie odpowiedzieć, że owszem, brałam taką zamianę pod uwagę, ale Rachel mi to wyperswadowała, Julia dokonuje prezentacji.

– Zoe, to Karandeep Sethi, dyrektor strategiczny.

– Mów mi Seth – przerywa.

– No i Keira założyła tę sukienkę – Julia promienieje. – I dzisiaj

rano wyprzedaliśmy ją we wszystkich rozmiarach.

– I bardzo nam się podobają projekty twojej znajomej! – dodaje Seth. – Cudowny kaszmir, wspaniale cyfrowe nadruki, no i... zapomniałaś nam powiedzieć, że jej współlokatorka pracuje w „Vogue’u” i w październikowym numerze pokażą jej prace.

Co? Nie mogę uwierzyć, że Sinead mi o tym nie wspomniała. Chociaż w sumie mogę. Jest taka tajemnicza, że pewnie celowo to pominęła.

– Przyglądam się produktom, o których mówiłaś w zeszłym tygodniu – mówi Julia. – Luźne marynarki i długie sukienki sprzedają się świetnie, a dzinsy z rozszerzaną nogawką i sukienki midi nie cieszą się zainteresowaniem. Dokładnie tak, jak przewidywałam.

– Zastanawiamy się, czy masz kryształową kulę – żartuje Seth.

– No niezupełnie – odpowiadam i czuję się trochę jak oszustka. – Takie miałam przecucie.

– Na pewno masz świetny gust – oznajmia ciepło Julia. – A teraz Keira Knightley w tej sukience – już sama liczba klientów i publikacji zwała nas z nóg.

– Przyjaciółka gwiazd – kwituje Seth. – Kochanie, jak długo już tu pracujesz.

Mam powiedzieć, że rok, ale przypominam sobie, że jest inaczej.

– Sześć miesięcy – odpowiadam.

– A twoje doświadczenie? – pyta z zaciekawieniem Julia. – Gdzie wcześniej pracowałaś.

– W czasie studiów byłam zatrudniona w Dublinie, w Brown Thomas. W dziale damskim. Przepracowałam też jedno lato w Macy’s w Nowym Jorku, przy inwentaryzacji. – Kiwają zachęcająco głowami; na razie nieźle mi idzie. – A po studiach zostałam konsultantką zarządu.

– Co przyciągnęło cię do takiej pracy? – to kolejne pytanie Julii. – I dlaczego z niej zrezygnowałaś.

Dokładnie o to samo pytała mnie podczas rozmowy o pracę. Wtedy udzieliłam najgorszej możliwej odpowiedzi: wygłosiłam dziesięciominutową mowę o tym, jak nudny jest konsulting. Rozmowa skończyła się chwilę później.

Tym razem udzielałam właściwej odpowiedzi.

– Chciałam zdobyć porządne doświadczenie biznesowe, a ta praca dała mi możliwość przyjrzenia się wielu różnym firmom. Ale

moją prawdziwą pasją jest moda, więc dlatego tu jestem. Chciałabym zajmować się zakupami.

– Dasz radę – stwierdza Seth. – A co sądzisz o naszej prezentacji trendów jesienno-zimowych?

Od czego mam zacząć.

– Bardzo mi się podoba! A zwłaszcza podkreślenie tradycji i jakości krawiectwa. I koronki. Myślę, że to się przyjmie.

Julia kiwa głową.

– A czy jest coś, co ci się nie spodobało? Albo coś, co twoim zdaniem nie chwyci.

– No cóż, jeśli mam być szczerą, to nie widzę długości maxi jesienią – staram się, żeby nie zabrzmiało to niegrzecznie. – Ani peleryn. Nie wydaje mi się, aby nasze klientki je nosiły, podobnie jak nie będą zakładać długich rękawiczek. Po prostu nie są na tyle praktyczne.

– A inspiracja serialem *Mad Men*.

– Tak, jeżeli chodzi o modę wieczorową, w pewnym stopniu, ale nie w przypadku ubrań codziennych. – Przypominam sobie całe sterty szerokich sukienek w stylu lat pięćdziesiątych, których nie zdołaliśmy sprzedać przed świętami. – Męskie kapelusze będą hitem. I futrzane elementy przy butach. Ale nie kurtkach. – Mam bardzo żywe wspomnienia związane z przecenianiem dużej liczby kurtek pilotek.

– Co w takim razie będzie się sprzedawać w tej działce? – pyta Seth.

– Och, pikowane kurtki? – Powstrzymuję się przed powiedzeniem, że święta będą białe. – I kurtki woskowane – już latem sprzedają się świetnie i sądzę, że ten trend utrzyma się do jesieni. Uważam też, że Kate Middleton będzie ikoną stylu – dodaję. – I... – muszę tu być bardzo ostrożna, bo jeśli wspomnę o sukience, którą miała na sobie przy ogłaszaniu zaręczyn, spalą mnie jak czarownicę na stosie, gdy spełnia się przepowiednia. – Ona ubiera się bardzo elegancko. Nosi dużo ubrań LK Bennett, uwielbia także Issę, więc wydaje mi się, że warto się przyjrzeć tej projektantce.

Oboje patrzą na mnie z fascynacją. Wiem, że częściowo jest to spowodowane tym, iż moje przewidywania wydają się realne, a częściowo decyduje o tym prezentowana przeze mnie pewność siebie. Ale chwilę później Seth wybucha śmiechem. Skonsternowana wpatruję

się w niego.

– Wybacz – mówi, ocierając oczy. – Chodzi o to, że... płacimy kilka tysięcy funtów miesięcznie agencji zajmującej się przewidywaniem trendów za to, by przekazywała nam informacje, które ty przedstawiłaś w dziesięć minut. I, szczerze mówiąc, wydaje mi się, że masz więcej racji.

Podeksytowana spoglądam na Julię, która chyba jest pod równie wielkim wrażeniem, choć tego nie okazuje.

– Zgadzam się, masz naprawdę dobrego nosa do tego, co się sprzedaje – mówi. – Nie wiem, czy jesteś świadoma zmian, które teraz mają miejsce. Staramy się odświeżyć trochę naszą markę i ofertę.

– Wchodzimy w dwudziesty pierwszy wiek, z jękiem i krzykiem – dorzuca Seth.

– Potrzebujemy ludzi w twoim wieku, którzy wiedzą, czego pragną młodszy klienci. Wkrótce rozpoczniemy rekrutację na stanowisko asystentki do spraw zakupów, która ma pracować ze mną przy budowaniu całej oferty działu damskiego, z wyjątkiem obuwia. Czy byłabyś zainteresowana? – pyta Julia. Spogląda na Seta. Ten marszczy brwi i sprawia wrażenie nieprzekonanego. Pogubiłam się – odniosłam wrażenie, że naprawdę mnie polubił.

– Oczywiście, że byłabym zainteresowana – odpowiadam żarliwie. – Bardzo chciałabym złożyć aplikację na to stanowisko.

– Fantastycznie – Julia wstaje. Zakładam, że nasza rozmowa dobiegła końca, ale ona pyta Seta: – Co sądzisz? – A on kiwa głową.

– Chciałabym, żebyśmy przeszły się razem po sklepie – proponuje Julia. – Masz trochę czasu, prawda? Wytłumaczmy się Karen, jeśli twoja przerwa na lunch trochę się przedłuży. – Jestem tak zaskoczona, że otwieram i zamykam usta, ale już zostaję wyprowadzana z gabinetu.

– Mam nadzieję, że podziękowałaś Keirze podczas waszego spotkania w weekend? – Julia uśmiecha się, gdy zjeżdżamy na dół windą.

– Słucham? – pytam zaskoczona.

– Słyszałam, jak mówiłaś tej drugiej dziewczynie, że byłaś w klubie z Keirą i poszłyście na lunch następnego dnia? Wybacz, nie chciałam podsłuchiwać.

– Ach! – Rozumiem, usłyszała, jak opowiadałam o Kirze. Boże,

wszyscy przyglądają mi się z zaciekawieniem. Wiem, że powinnam wyprowadzić ją z błędu, ale jakoś zmyślam dalej.

– Tak. Poszliśmy do... – mam ochotę powiedzieć „klubu nocnego”, lecz mówię o „klubie tylko dla członków”.

– Aha. A do którego? – pyta Seth, podnosząc wzrok nad swojego BlackBerry, gdy zatrzymujemy się na parterze i wysiadamy z windy. – Należę do Soho House i uwielbiam to miejsce.

– No cóż, my nie... Keira nie powiedziała nam, jak się nazywa ten klub. A przy wejściu nie było żadnej informacji.

– Byli tam jacyś celebryci? Kocham takie ploteczki – przyznaje się Seth.

– Ja też – dodaje Julia. – Spędzam wieczory z kubkami niekapkami i książeczkami o bardzo głodnej gąsienicy, więc potrzebuję takich substytutów.

Oczywiste jest, że pragną usłyszeć jakąś fajną historyjkę, a ja nie chcę ich rozczarować.

– No cóż, był tam Rob Pattinson. – Wybieram przypadkową gwiazdę, o której czytałam rano w „Metrze”.

– O ho, ho! Z Kirsten czy bez? – dopytuje się Seth.

– Yhm, chyba bez, tak mi się wydaje. Ale Keira naprawdę go lubi, więc nas sobie przedstawiła – dorzucam od czapy.

– Jaki on jest? – pyta Julia.

– Czy Keira dobrze tańczy? – chce wiedzieć Seth.

O Boże.

– Tak, był uroczy. Tak, świetnie. Genialnie tańczy, yhm, tango.

– Tango?

– Tak, musiała się tego nauczyć do roli w filmie, więc prezentowała nam swoje umiejętności. Ale była przebrana, więc nikt nie wiedział, że to ona. – Nie wiem, jak to się dzieje, że wymyślam te wszystkie bzdury, ale mam nadzieję, że zaraz przestaną zadawać mi takie pytania.

– No więc tak, gdybyś dała mi jej adres, moglibyśmy wysłać jej jeszcze kilka rzeczy – mówi Julia. – Mogłabyś to załatwić? Jak ci się wydaje, czy miałaby coś przeciwko.

– Nie ma problemu. – Skąd, do cholery, wytrzasnę adres Keiry Knightley.

– Przejdźmy się – proponuje Julia. – Zoe, co sądzisz o tych

sukienkach Joseph.

– Yhm, no cóż. Wydaje mi się, że te czarne sprzedadzą się bardzo dobrze, ale może nam zostać całkiem sporo pomarańczowych.

Rozumiem już zasady gry. Przechadzamy się, oglądamy różne ubrania, ja mówię, co myślę i albo aprobuję, albo krytykuję te rzeczy. W większości przypadków dość dokładnie mogę przewidzieć, co się stanie z tymi ubraniami w ciągu następnego tygodnia czy dwóch.

– To niesamowite, nie sądzisz? – Słyszę, jak Julia zadaje to pytanie Sethowi, a on w odpowiedzi kiwa głową.

Tymczasem Karen widzi, co robimy, i gapi się na nas, a oczy niemal wychodzą jej na wierzch. Julia podchodzi do niej, a ona szybko robi minę, która mówi: w czym mogę pomóc.

– No to, kochanie, skąd ci się to wszystko bierze? – pyta Seth.

– Yhm... no, tak normalnie – próbuję się wykręcić. – Z blogów modowych, spacerów po Londynie.

– No to świetnie – stwierdza Seth. – Rób tak dalej, kochana. Spaceruj po Londynie – śmieje się do siebie.

Wracając na stanowisko przy kasie, czuję się rozradowana. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś słuchał mnie z taką uwagą, traktował poważnie czy uważał, że mam potencjał. Gryzie mnie tylko ta niewygodna świadomość, że trochę ich po prostu oszukałam, ale odsuwam ją od siebie i skupiam się na tym, że Julia poprosiła mnie, bym ubiegała się o posadę asystentki do spraw zakupów. Zadbam o to, żebym ją dostała.

•

Gdy docieram do domu, adrenalina zdążyła już ze mnie zejść i jestem trochę rozkojarzona, ale w pozytywnym sensie. Mam ochotę podgrzać gotowy posiłek w mikrofalówce, pooglądać głupie programy w telewizji i z nikim nie rozmawiać.

Okazuje się jednak, że mam towarzystwo. Kuchnia stała się wielką fabryką cateringową: wygląda na to, że każdy garnek został użyty, a cały blat jest zastawiony narzędziami, deskami do krojenia, dziwnie wyglądającymi suszonymi papryczkami chilli, torebkami ziół. Max jest w kuchni i wyjmuje z piecyka ogromną tacę. Danie wygląda obłędnie: jest gorące, złote i pokryte serem. No i dobrze pachnie. Prawie zapomniałam o swoim nowym współlokatorze; w sumie to

spodziewałam się, że zastanę tu Deborah, która zapyta mnie, czy wypilałam jej mleko (nigdy tego nie zrobiłam, ale miała na tym punkcie taką obsesję, że zaznaczała nawet pisakiem na butelce, ile było w niej mleka).

– Wow, ale to pięknie wygląda – zwracam się do Maksa. Wyciągam gotowy posiłek z opakowania, dziurawię widelcem i wkładam do mikrofalówki.

– Dzięki – mówi. – Zawsze wydawało mi się, że potrafię zrobić tylko trzy rzeczy: spaghetti bolognese, azjatycki makaron i kawę po irlandzku. Ale teraz potrafię też przygotować enchiladę. – Oblizuje palec. – Jestem uzależniony od meksykańskiego jedzenia, a tutaj nie można go kupić.

– Super. – Obserwuję, jak mój posiłek się obraca, czekam na piknięcie i myślę o wszystkim, co się dziś wydarzyło w pracy. Naprawdę mam nadzieję, że moje przewidywania się sprawdzą. Przynajmniej niektóre z nich. Jeśli nie – przez głowę przelatują mi szalone wizje, w których błagam Rachel i Kirę, by poszły do sklepu i kupiły mnóstwo rzeczy, o których powiedziałam, że się sprzedadzą, a później płacę im pieniędzmi zarobionymi dzięki awansowi.

Mój telefon brzęczy – to SMS od Davida. „Mam nadzieję, że miałaś dobry dzień. Masz czas w sobotę? Mam bilety na *Czas wojny*. X”. Nadal jestem podekscytowana za każdym razem, gdy David się do mnie odzywa, ale przypominam sobie: dziś musiał odwołać naszą randkę, bo przez całą noc operował. Postanawiam nie odpowiadać od razu, lecz poczekać pół godziny, jak radzą w *The Rules*. Oczywiście tę książkę napisano przed erą SMS-ów, ale wyobrażam sobie, że dotyczy ich ta sama zasada.

– Napijesz się białego wina? – pyta Max.

– Och, tak. Dziękuję.

Nalewa je ostrożnie i teatralnym gestem potrząsa kieliszkiem. To zaskakujące – sądziłam, że będzie wolał piwo.

Kuchenka mikrofalowa pika, dziękuję Maksowi jeszcze raz i zabieram swój obiad i wino do salonu. Tak naprawdę mam ochotę pooglądać *Plotkarę*, ale nie chcę, żeby Max powiedział o tym Davidowi. Na początku David droczył się ze mną z powodu oglądania przeze mnie głupich programów w telewizji, ale wiem, że tak naprawdę uważał takie zachowanie za urocze. Później jednak zaczęło go to

irytować, aż w końcu stwierdził, że nie chce już słyszeć o *Plotkarze*, *Ugotowanych* czy rodzinie Kardashianów. Nie mogę się doczekać chwili, gdy będę mogła opowiedzieć mu o tym, co się dziś stało. Po wpadce z herbatą przyda mi się trochę dobrego PR.

– Miałaś dobry dzień? – pyta Max i siada ze mną przy stole. Zapomniałam już, jakie to dziwne, gdy dzielisz mieszkanie z kimś, kogo nie znasz, i jesz z nim obiad, jakbyś była na jakiejś dziwacznej randce. Zauważam, że nie używa podkładki na stół, i już mam na końcu języka uwagę na ten temat, ale się powstrzymuję.

– Tak, właściwie tak. – Szczerze mówiąc, nie mam ochoty na rozmowę, ale to nasz pierwszy wspólny wieczór, a on poczęstował mnie winem. – W pracy zaproszono mnie na rozmowę kwalifikacyjną i wiąże z tym spore nadzieje. A co u ciebie.

– Było super.

– Naprawdę? – pytam, przełączając kanały informacyjne i zastanawiając się, czy mogłabym kiedyś zagrać w operze mydlanej *Emmerdale*.

– Przeglądam dane z eksperymentu, o którym ci opowiadałem, i wyglądają one obiecująco. Wydaje mi się, że to jest to... Sądzę, że eksperyment się naprawdę uda – przeczesuje palcami włosy, które zaczynają sterczeć na wszystkie strony. Dzisiaj ma na sobie koszulkę, na której jest napisane „Les Savy Fav” (to chyba jakaś nieznana kapela). – Właśnie dlatego chciałem dziś ugotować mnóstwo rzeczy – żeby nie musieć o tym myśleć przez następane parę tygodni.

– A co to za eksperyment? – zapytuję z umiarkowanym zaciekawieniem. – Nie robisz krzywdy myszkom.

– Nie, choć gdyby była taka konieczność, zrobiłbym to. Są takie rodzaje badań, gdzie nie ma innego wyjścia. Wydaje mi się, że wynalezienie lekarstwa na alzheimera czy parkinsona jest dobrym uzasadnieniem. Ale głównie robię ludziom badania fMRI6)... to coś w rodzaju skanowania mózgu – wyszczerza się. – Mogłabyś się zgłosić na ochotnika, gdybyś miała ochotę. Byłoby to dość ciekawe.

6) Funkcjonalny magnetyczny rezonans jądrowy – metoda badania ośrodkowego układu nerwowego (przyp. red.).

To bardzo kuszące, ale muszę wiedzieć więcej.

– Nie masz wglądu do wspomnień, prawda? Na przykład...

gdybym pokłóciła się z przyjaciółką, nie mógłbyś zeskanować mojego mózgu i tego zobaczyć.

– Nie, nie. – Odkłada widelec i pochyla się w moją stronę, zapomniawszy o obiedzie. – Choć w zależności od rodzaju wspomnień różne obszary mózgu będą aktywne. Był taki słynny eksperyment, w którym kazano uczestnikom przypomnieć sobie zerwanie z ukochanym. Gdy zeskanowano ich mózgi, okazało się, że aktywne były te obszary, które są odpowiedzialne za odczuwanie bólu fizycznego.

– Jestem w stanie w to uwierzyć. – Odsuwam talerz i wpatruję się w niego, rozmyślając o moim rozstaniu z Davidem i o tym, jak Rachel musi się czuć ze względu na Jaya. Mimo że jest gnojkiem, ona i tak go lubiła.

– Ale naprawdę pokłóciłaś się z przyjaciółką? – pyta, zając jadając enchiladę. – Czy było to pytanie teoretyczne.

Wzdycham. Nigdy tego nie zrozumie, ale i tak mam ochotę komuś o tym opowiedzieć. Nie jest Davidem, lecz przynajmniej mam go pod ręką.

– No cóż, tak. Generalnie chodzi o to, że moja przyjaciółka spotyka się z gościem, który ją zdradza – dziwnie się czuję, informując go o tak osobistych sprawach, ale włączony telewizor trochę ułatwia zadanie.

– Powiedziałaś jej o tym, a ona się wkurzyła.

Kiwam głową. Jestem zaskoczona, że się domyślił.

– No tak – mówi po zastanowieniu. – To dziwne. Nikt tak naprawdę nie chce się dowiedzieć o czymś takim. Choć ona pewnie wie, że to prawda. Nalać ci jeszcze wina.

– Tak, poproszę – odpowiadam natychmiast. – Choć normalnie nie piję alkoholu w ciągu tygodnia – dodaję niezgodnie z prawdą.

– Naprawdę? Jak dajesz radę dotrzeć do piątku? – pyta Max, napełniając mój kieliszek, podczas gdy ja myślę o tym, co powiedział na temat Rachel. Coraz bardziej żałuję, że w ogóle jej o tym wspomniałam.

Znów słyszę swój telefon. Odczytuję wiadomość od Olivera: „Zoe, jutro quiz w pubie. David nie może przyjść, ale może ty dasz radę? Będziesz nam potrzebna!”. Grrr. Po minucie desperackiego rozmyślenia odpisuję: „Przepraszam! Pracuję!”.

– No a... – Zamykam usta.

Max podnosi wzrok znad gazety.

– No a co.

Już miałam go zapytać, co według niego powinnam zrobić w związku z Rachel, ale się powstrzymuję. Dlaczego rozmawiam z przypadkowym współlokatorem o tak osobistych sprawach? I muszę uważać, by nie zwierzać się za bardzo przyjacielowi Davida.

– No a która jest godzina? Chcę zadzwonić do mamy. – Wstaję, zabieram talerz i sztućce.

– Za kwadrans ósma.

– Dzięki. Słuchaj, czy mogę dać ci numer telefonu do moich rodziców w Dublinie? Tak na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Na ogół tak się umawiam ze współlokatorami.

Kiwa głową i posłusznie zapisuje numer w swoim telefonie.

– A chcesz dać mi numer do swoich rodziców? – pytam.

Przeczesuje włosy palcami.

– Yhm... no tak – mówi wymijająco. – Tylko czy mógłbym... później podać ci właściwy? Zmieniają teraz numer.

– Aha, jasne, nie ma problemu. – Wydaje mi się to strasznie dziwne, ale nie chcę być wścibska. Wychodzę, a on ogląda telewizję i kończy enchiladę. Zamierzam zadzwonić do rodziców.

Odbiera tato i odbywamy krótką pogawędkę. Mama zdążyła mu już o wszystkim opowiedzieć i najbardziej dziwi go to, że Dermot zrobił takie zamieszanie z powodu rozlanej herbaty.

– I mówisz, że jest chirurgiem? Nie powinien być przyzwyczajony do tego, że ktoś go czymś oblewa? – pyta.

– No cóż, tak, wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze. – Nie chcę, żeby tato nastawił się negatywnie do Fitzgeraldów. Czasami jest nadopiekuńczy w stosunku do swojej małej córeczki, więc trochę łagodzę całą sprawę. Tato i tak nie znosi rozmawiać przez telefon, więc pociesza mnie przez chwilę, po czym oddaje słuchawkę mamie.

– Witaj, kochanie – mówi mama. – Jak się miewasz.

– W porządku... ale poczekaj, jak ci powiem, co się dziś stało w pracy!

Opowiadam jej o mojej przechadzce po sklepie z Julią i Sethem. Właśnie wyjaśniam, że Julia zaproponowała mi, żebym ubiegała się o posadę asystentki do spraw zakupów, gdy mama mi przerywa.

– To cudownie, Zoe. Będę trzymać kciuki, ale słuchaj, tak sobie

myślałam. *À propos* rodziców Davida. Może wysłałabyś im jakąś kartkę i podziękowała za podwieczorek.

– Co? – jestem tak otumaniona zmianą tematu, że potrzebuję chwili, by to do mnie dotarło. – Naprawdę? No cóż... chyba mogę to zrobić. W każdym razie, później Julia powiedziała mi.

– Mogłabyś też przeprosić raz jeszcze i wyjaśnić, że byłaś zdenerwowana.

– Mamo. – Kręcę głową. – Słuchasz mnie w ogóle? Próbuję ci coś powiedzieć.

– No dobrze, mów dalej. Julie mówiła.

– Julia! Nie Julie. Nie mam ochoty ci teraz o tym opowiadać. – Wiem, że zachowuję się jak rozpieszczony bachor, ale nie dbam o to. – Najwyraźniej uważasz, że nie jest to tak ważne jak David.

– Nie o to chodzi – broni się mama i jest oczywiste, że kłamie. – Chodzi o to, że... – wzdycha. – Chciałabym, żebyś wróciła do domu i zamieszkała tu z jakimś miłym Irlandczykiem.

– Mamo, tak się stanie. Wrócę do domu.

– Ale kiedy.

– Za rok lub dwa. Mówiłam ci o tym. David też chce wrócić do domu... za jakiś czas. – Nie wdaję się w szczegóły, bo oczywiście nie jestem na sto procent pewna jego planów. Ale mama najwyraźniej uważa go za mój bilet powrotny.

– Mam nadzieję. Byłam dziś po południu u Bredy – oświadcza mi stąd, ni zowąd. – Idą dziś z Aisling do kina wieczorem.

Aisling to moja kuzynka ze strony mamy. Jest dokładnie w tym samym wieku co ja i wyszła za mąż w ubiegłym roku, i mieszka dziesięć minut drogi od mojej ciotki i wujka. Mam poczucie winy za każdym razem, gdy słyszę, że ona i moja ciocia robią coś razem, podczas gdy ja zostawiłam moich rodziców samych, a nie mam żadnego rodzeństwa, które mogłoby im dotrzymać towarzystwa. Tak więc po tym, jak mama opowiada mi, co u nich, zgadzam się, że powinnam wysłać kartkę do rodziców Davida.

– Gdzie oni mieszkają? – pyta.

– Przy Shrewsbury Road.

Słyszę, że mama jest zaskoczona, ale nie komentuje tego, że mają dom w tak dobrej dzielnicy.

– Zastanawiam się, do której parafii należą? Donnybrook?

– Mamo! Przestań. Zachowujesz się, jakbyś miała zamiar ich śledzić. Zabraniam ci prześladowania ich podczas mszy – słyszę, że w tle tato mówi jej dokładnie to samo.

– Nigdy bym o tym nie pomyślała – zapewnia mnie, ale jest zadowolona, że mam zamiar wysłać tę kartkę, więc rozstajemy się w dobrych nastrojach. Jestem tak zmęczona naszą krótką rozmową, że nie mam siły poprosić ją o radę w kwestii Rachel. Ta sprawa będzie musiała poczekać.

Po zakończeniu rozmowy idę do kuchni nalać sobie szklankę wody. Na blacie leży dziesięć apetycznie wyglądających porcji enchilady, ułożonych jedna na drugiej. Kuchnia nadal wygląda, jakby wybuchła tam bomba: plamy z czerwonego wina na blacie, rozdeptany ser na podłodze, a mój ukochany rondel jest przypalony. Mam ochotę iść do salonu i kazać mu posprzątać, ale nie mogę: to przyjaciel Davida. Mimo że powstrzymywanie się od działania jest niezgodne z moją naturą, postanawiam przymknąć oczy na ten bałagan i modlić się, żeby się nie okazało, że popełniłam kolosalny błąd, pozwalając Maksowi się wprowadzić.

Rozdział 15

Przez cały następny tydzień Max doprowadza mnie do szaleństwa. Jest naprawdę sympatyczny, ale wszędzie tam, gdzie się pojawia, zostawia za sobą chaos i zniszczenie. Za każdym razem, gdy bierze prysznic, porzuca ociekające wodą ręczniki na krawędzi wanny albo, co gorsza, nie sprząta swojego zarostu z umywalki. Je niezliczone ilości płatków śniadaniowych, o czym świadczą pozostawione na blacie miski z obsychającymi resztkami. Napelniam je wodą, żeby się odmoczyły, w nadziei że Max zrozumie aluzję i umyje naczynia, gdy wróci do domu, ale one jak stały, tak stoją. Którejś nocy budzi mnie dźwięk przypominający oberwanie chmury, ale okazuje się, że to tylko prysznic. O trzeciej nad ranem. Z jękiem przewracam się na drugi bok i postanawiam spokojnie porozmawiać z Makssem, gdy tylko będę po rozmowie w pracy.

David w dalszym ciągu pracuje, a Rachel nadal się do mnie nie odzywa, co oznacza, że mogę spędzać całe wieczory, przygotowując się do rozmowy w sprawie pracy. Cieszę się, że mam szansę wyciągnąć wnioski z tej straszliwej katastrofy, jaka się wydarzyła poprzednim razem.

Pierwszym błędem, jaki popełniłam, było to, że starałam się wyglądać jak profesjonalistka w mojej zwykłej garsonce. Oczywiście Julia miała na sobie letnią sukienkę. Rozmowa zaczęła się od kilku raczej prostych pytań, na które odpowiedziałam stosunkowo dobrze, ale później wszystko się posypało. Julia zapytała.

– No dobrze, Zoe. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego powinniśmy zatrudnić cię na stanowisku asystentki do spraw zakupów, choć nie masz żadnego doświadczenia w tym zakresie.

Było to tak oczywiste pytanie, ale totalnie mnie zaskoczyło.

– No cóż, ciężko pracuję i szybko się uczę... i naprawdę mi zależy na tej pracy... – wyjąkałam.

Julia sprawiała wrażenie, jakby nie przekonały ją moje słowa. Spytała mnie o doświadczenie i o to, dlaczego pracowałam dla PwC, a ja udzieliłam jej równie durnej odpowiedzi.

– A... jakich projektantów, których nie mamy w naszej ofercie, powinniśmy do niej wprowadzić.

Było to kolejne oczywiste pytanie, na które nie byłam

przygotowana. Próbując zyskać na czasie, powiedziałam:

– No cóż, wydaje mi się, że powinniśmy nadal mieć w ofercie różne firmy – od sieciówek z wyższej półki po *haute couture*.

– Nie sprzedajemy *haute couture* – przerwała mi Julia. – Myślę, że chodzi ci o *prêt-à-porter*.

– Och jejciu, przepraszam, tak. – Nie mogłam uwierzyć, że popełniłam tak podstawowy błąd. Wiem, jaka jest różnica między *haute couture* a *ready to wear*. Co się ze mną dzieje.

– A ubrania których projektantów *prêt-à-porter* powinniśmy twoim zdaniem sprzedawać? – podpowiedziała, już z lekkim zniecierpliwieniem.

Udało mi się wymienić kilka nazwisk, ale wiedziałam, że nie brzmiało to zbyt przekonująco. Ulżyło mi, gdy chwilę później Julia postanowiła skrócić moje męki.

– Dziękuję, Zoe, że przyszedłaś na rozmowę. Odezwiemy się – obiecała, niemal wpychając mnie do windy, tak bardzo chciała się mnie pozbyć.

Przypominało mi to sytuację, w której facet mówi, że do ciebie zadzwoni, a ty masz stuprocentową pewność, że wykasuje twój numer. Ku mojemu zdziwieniu Julia była bardzo miła i stwierdziła, że jej zdaniem mam potencjał, ale nie jestem jeszcze gotowa. Karen, która wiedziała, że byłam na rozmowie, wprost szalała ze szczęścia.

Gdy wychodzę z windy na szóstym piętrze rano w dniu, w którym mam rozmowę, przypominam sobie, że poprzednim razem byłam tak zdenerwowana, że aż mnie mdliło. Teraz zaczynam się tu czuć jak u siebie i rozpoznaję niektóre twarze: miłą dziewczynę z długimi falowanymi blond włosami i laskę w converse'ach, która chyba jest fotografem Louisa, kupca z działu męskiego. Hannah, imprezową asystentkę do spraw zakupów, i oczywiście Setha oraz jego ciągle zmieniające się soczewki.

– Hej, laska – mówi, gdy go mijam. Ma na sobie jasnoniebieską koszulę, krawat i eleganckie granatowe szorty i jest jak zawsze przyklejony do telefonu.

Julia jest ubrana tak samo jak ostatnio: założyła uroczą cygańską sukienkę z niebieskimi haftami i zabójcze sandałki z jasnobrazowej skóry, na płaskim obcasie. Pamiętam, jak wpatrywałam się w te sandałki z rozpaczą po tym, jak udzieliłam okropnej odpowiedzi i

wiedziałam, że zawaliłam tę rozmowę. „Ale nie tym razem” – upominam samą siebie.

– Witaj, Zoe! – Julia jak zawsze jest serdeczna. – Często się ostatnio widzimy, nieprawdaż? Usiądź sobie. Ooo, jakie ładne spodnie. Gdzie je kupiłaś.

– W Topshopie. – Połączyłam koralowe spodnie z białą jedwabną koszulką od Alexandra Wanga, srebrnym naszyjnikiem i czarnymi butami z odkrytą piętą od Kurta Geigera. Nie mogę uwierzyć, że poprzednim razem ubrałam się w garsonkę. Już z tego powodu nie powinnam dostać pracy związanej z modą.

Rozmowa nie jest trudna. Julia zaczyna od prostych pytań: jacy są moi ulubieni projektanci? Jak opisałabym naszą typową klientkę? A później zadaje pytanie, które rozwaliło mnie poprzednim razem.

– Masz świetny gust, ale dlaczego mielibyśmy zatrudnić cię na stanowisku asystentki do spraw zakupów, skoro nie masz żadnego doświadczenia w tej dziedzinie.

Tym razem przygotowałam dużo lepszą odpowiedź.

– Po pierwsze, mam doświadczenie w sprzedaży w tym właśnie sklepie – wiem, kim są nasi klienci i czego chcą. Po drugie, mogę się pochwalić dużym doświadczeniem biznesowym, które zdobyłam, pracując przez pięć lat jako konsultantka kadry zarządzającej. Po trzecie, dlatego że nadrobię brak doświadczenia w tej dziedzinie wytrwałą pracą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obiecuję, że będę bardzo ciężko pracować, jeśli dostanę tę posadę.

Nie podskakuję na kanapie, ale niebezpiecznie się do tego zbliżam. Julia uśmiecha się.

– Zdajesz sobie sprawę, że w tej pracy jest dużo papierkowej roboty.

Energicznie kiwam głową.

– Nie ma z tym żadnego problemu. – I opowiadam jej o tym, że w PwC byłam odpowiedzialna za roczny „raport”, który wymagał ode mnie wyciągania odpowiedzi od mniej więcej trzystu klientów i konsultantów i zestawiania ich. – Robiłam to przez trzy lata.

– Fantastycznie. No a... – spogląda na swoje notatki. – Jakich projektantów, których nie mamy w ofercie, powinniśmy zaproponować naszym klientkom.

Udaję, że zastanawiam się przez chwilę nad tym, po czym

recytuję przygotowane odpowiedzi: między innymi Theyskens' Theory i Preen.

– Co za zbieg okoliczności – Julia mruga. – Właśnie z nimi o tym rozmawiamy.

– Naprawdę?! – mamroczę. Bo w sumie to jest zbieg okoliczności, czyż nie.

– A co sprawiło, że wymieniałś właśnie tych dwóch projektantów? – pyta. Wychyla się do przodu z zaciekawieniem i przez jeden krótki moment czuję się jak oszustka. Ale udzielam w miarę rozsądnej odpowiedzi, o tym, że prezentują to, co najlepsze w Wielkiej Brytanii i Europie. Podkreślam, że Theyskens' to nowe podejście do luksusowej klasyki, a Preen jest bardziej eksperymentalne. Julia kiwa głową.

– A teraz dodajemy też młody talent z Irlandii, czyli projekty twojej przyjaciółki. To był świetny pomysł, Zoe. A wszystko, co powiedziałaś o kolekcjach w sklepie... Minął dopiero tydzień, ale już widzimy, że twoje przewidywania się sprawdzają.

Bąkam pod nosem coś niezobowiązującego i staram się wyglądać skromnie.

– Dlaczego wcześniej nic nie mówiłaś.

– No cóż... uczyłam się, jak działa ten biznes.

– Powtórz to. – Wstaje i podaje mi dłoń. – No cóż, Zoe, musimy to tutaj omówić, ale bardzo, bardzo szybko się z tobą skontaktujemy.

Pośpiesznie zjeżdżam na dół i znajduję Harriet w cichym kącie działu damskiego. Wyprzedaż już się skończyła i sprawy wróciły do swojego normalnego, spokojnego tempa. Zauważam, że Harriet ma na sobie taką samą granatową spódnicę Maje, jaką sobie kupiłam, ale tylko wzruszam ramionami. Jestem za bardzo podekscytowana rozmową.

– Co tu robisz, skoro masz wolne? – pyta. – Och nie, zaczekaj! Zapomniałam! Miałaś dzisiaj rozmowę, nieprawdaż? – ścisza głos do konspiracyjnego szeptu. – Jak poszło.

– Wydaje mi się, że dobrze – odpowiadam głosem pełnym emocji. – Powiedziała, że skontaktują się ze mną.

– To wspaniale! Świetnie się spisałaś. – Nagle na jej twarzy pojawia się smutek. – Ale bez ciebie to nie będzie to samo, Zoe. Będzie mi cię naprawdę brakowało w pracy.

– Hej, poczekaj. Przecież jeszcze nie dostałam tej posady.
– No tak. Ale daj mi znać, jak tylko się dowiesz. Wyjeżdżam na ten weekend z mamą i tatą, ale...
– A, no tak, Harriet! – Byłam tak pochłonięta kwestią rozmowy, że zapomniałam o włamaniu do jej domu. – Słuchaj...
– Tak? – W jej okrągłych oczach dostrzegam zmartwienie.
– Jedziecie do wujka i cioci w Gloucestershire.
– Tak! Zoe, skąd o tym wiesz.
Zapomniałam, że mi o tym nie powiedziała. Kręcę głową, nie jestem pewna, jak to zaimprovizować.
– Po prostu mam przecucie... bardzo silne przecucie.
– Tak?
– Że powinniście dobrze pozamykać drzwi przed wyjazdem.
– Naprawdę? Jak to? – Jej oczy są wielkie jak spodki.
Kręcę głową, bo uważam, że powiedziałam już o wiele za dużo.
– Nie wiem – ciągnę dalej, udając, że jestem zdziwiona. – Po prostu przyszło mi to do głowy. Dziwne. Ale i tak pewnie warto to zrobić.
– Tak, o mój Boże! Teraz, gdy o tym wspomniałaś, przypomniałam sobie, że zepsuł się alarm przeciwwłamaniowy. Zadzwońię do mamy i powiem, że trzeba go naprawić – mówi.
Odpowiadam, że to chyba dobry pomysł i uciekam do domu, zanim znów zdradzę za dużo. Naprawdę mam nadzieję, że dobrze mi poszło podczas rozmowy i dostanę tę pracę. Gdy tak się stanie, życie powinno się okazać trochę prostsze. Taką mam nadzieję.

Rozdział 16

Jest sobota, siódmego sierpnia. Wieczorem mam się spotkać z Davidem, ale wiem, że odwoła randkę mniej więcej o osiemnastej. Wstydę się tego, jak zareagowałam poprzednim razem. Wzdrygam się na samą myśl o tym.

– Hej, Zoe – David wydawał się półprzytomny ze zmęczenia. – Przepraszam, że w ostatniej chwili muszę odwołać nasze spotkanie, ale dziś nie dam rady dotrzeć.

– Och nie. Naprawdę? – usiadłam na łóżku i spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Byłam wystrojona w nową sukienkę z szyfonową spódniczką do połowy łydki i górą obszytą cekinami.

– Obawiam się, że nie. W tym tygodniu przepracowałam jakieś dziewięćdziesiąt godzin i musiałem przyjść do pracy także dzisiaj i nie jestem się w stanie ruszyć. Może sprawdzić, czy ktoś inny nie będzie chciał skorzystać z biletów? – zapytał.

W końcu poszłam na *Czas wojny* z Kirą. Ledwo byłam w stanie skupić się na tym, co się działo na ekranie, bo prowadziłam wyimaginowane rozmowy z Davidem, a później zastanawiałam się, czy zniszczyłam wszystko poprzez swoje nierozsądne zachowanie.

Tym razem, gdy David dzwoni, jestem już w domu, po pracy. Siedzę na kanapie, ubrana w spodenki i koszulkę, i maluję sobie paznokcie u stóp.

– Hej, Zoe – David sprawia wrażenie półprzytomnego ze zmęczenia. – Przepraszam, że w ostatniej chwili muszę odwołać nasze spotkanie, ale dziś nie dam rady dotrzeć.

– Ojej, jesteś aż tak wykończony.

– Tak, przepracowałam jakieś dziewięćdziesiąt godzin i musiałem pójść do pracy także dzisiaj. Leżę w łóżku i jem żelki Haribo. Tylko do tego się teraz nadaję.

– Auć. To chyba ty będziesz potrzebował dzisiaj pierwszej pomocy.

– Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiłem. Operowaliśmy noworodka z guzem na sercu.

– Jak poszło.

– Było bardzo ciężko. Rodzice dali każdemu z nas po butelce whisky – mówi cicho. – Mnie i mojemu szefowi. Wolałbym, żeby się z

tym trochę wstrzymali. Niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. Najgorsze może być dopiero przed nami.

– Och, Davidzie. – Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby był tak wstrząśnięty. Czuję się okropnie, że ostatnim razem próbowałam wywołać u niego poczucie winy. – Wydajesz się kompletnie rozbity. Nie martw się dzisiejszym wieczorem, odpocznij sobie.

– Dzięki – w jego głosie słyszę ulgę. – Zaprosiłbym cię do siebie, ale nie nadaję się dziś do tego, by przebywać w ludzkim towarzystwie. Poza tym najpierw muszę się spróbować choć trochę przespać, na wypadek, gdyby coś się działo z moim pacjentem i wezwaliby mnie na oddział.

– Biedactwo. Co się może z nim stać.

– Z nią. Przeprowadziliśmy tamponadę... – Krzywię się z bólu, gdy David wyjaśnia mi, na czym polega ten delikatny i niebezpieczny zabieg.

– Przepraszam, że nie dałem ci wcześniej znać. Mogłaś sobie coś innego zorganizować.

– Wcale się tym nie przejmuj – przekonuję go, czując się jak pełen cnót aniołek. – A może dasz bilety Jenny? – Mam zamiar dodać, że jego przyjaciółka sprawia wrażenie, jakby często nie miała co robić w sobotni wieczór, ale powstrzymuję się i przyznaję sobie dodatkowe gwiazdki.

– Dobry pomysł. Tak zrobię. A co z Makssem? – pyta, ziewając.

– W porządku. Szczerze mówiąc, prawie go nie widuję.

Wychodzi później niż ja i przez większość wieczorów siedzi do późna w laboratorium, tak mi się wydaje. Teraz też go nie ma. – Postanawiam nie wspominać o tym, że jego bałaganiarstwo doprowadza mnie do szaleństwa.

– Czyli to idealny współlokator – podsumowuje David. – Muszę się z nim niedługo spotkać. Zagrać w tenisa. Słuchaj, lepiej będzie, jeśli się trochę prześpię... ale może spotkamy się w tygodniu.

Dawna Zoe wyjęłaby kalendarz i powiedziała: „Tak! Kiedy?”, bo tak bardzo chciała go usidlić. Ale teraz mówię beztrąsko:

– Oczywiście. Kiedy tylko zechcesz. – Nawet nie dodaję, żeby mi dał znać.

Po zakończeniu rozmowy wzdycham. Oczywiście, jestem rozczarowana tym, że nie spotkam się z Davidem, ale jednocześnie

czuję się jak najlepsza dziewczyna na świecie. Mam już zaplanowany cały wieczór: zamierzam najpierw wziąć kąpiel, użyć samoopalacza, zrobić depilację woskiem i nałożyć maseczkę, a później obejrzeć coś na DVD. Nie kłopotalam się zrobieniem tego wszystkiego wcześniej, bo wiedziałam, że i tak nie spotkam się z Davidem.

Zdażyłam dopiero odkręcić wodę, gdy słyszę, że dzwoni mój telefon. Biegnę, by go odebrać, przez jedną szaloną sekundę zastanawiając się, czy David może odzyskał siły. Ale to Rachel.

– Rachel! – wykrzykuję, zanim jeszcze udaje mi się złapać telefon. – Cześć! Jak się miewasz.

Muzyka zagłusza jej odpowiedź, ale słyszę słowo „koniec”.

– Co?

– To koniec – mówi. – Doszło do konfrontacji... przyznał się. Miałaś rację, Zoe. Zdradzał mnie.

– Naprawdę? Rachel, tak mi przykro.

– To nie twoja wina! I bardzo cię przepraszam, że się nie odzywałam. Powinnam była wcześniej do ciebie zadzwonić. – Mam wrażenie, że Rachel zaraz się rozplacze. – Powinnam była cię posłuchać.

– Och nie, wszystko w porządku... nie wiedziałas. To znaczy, ja też nie wiedziałam – dodaję pośpiesznie. – Gdzie jesteś.

– W Soho. We Floridita... to tu byliśmy na pierwszej randce. – Przetyka ślinę. – Przepraszam za swoje żalosne zachowanie.

– Okej. Masz wybór. Możesz zaraz do mnie przyjechać, napijemy się wódki i będziemy się świetnie bawić w domu albo mogę przyjechać do ciebie do Soho i zabawimy się na mieście.

Rachel mówi coś niezrozumiałego, co brzmi jak „marzę ojeju”. Chyba wyszła na ulicę, bo słyszę samochody i syreny.

– Co mówiłaś, Rachel? Nie słyszę cię.

– Usmażę go w oleju.

Sugeruję przyjaciółce, żeby natychmiast opuściła Floriditę, miejsce zbrodni.

– Poczekaj na mnie w Bar Italia – mówię do niej i jedną ręką naciągam dzinsy. – Niech cię podrywają przystojni Włosi, czekaj na mnie, napij się prosecco i pooglądaj MTV. Będę tak szybko, jak tylko potrafię.

•

Przygotowanie się zajmuje mi dokładnie pięć minut: zakładam obcisłą białą koszulkę American Apparel i najwygodniejsze buty na koturnie, nakładam trochę tuszu do rzęs i spryskuję się perfumami. Jestem gotowa. Nie miałam czasu na depilację nóg ani użycie samoopalacza, ale to bez znaczenia.

Siedząc w metrze, myślę o wszystkich tych przypadkach, gdy Rachel przychodziła mi na ratunek albo udzielała dobrych rad. To ona zdecydowanie odradzała zmianę pisowni imienia z Zoe na Zooney. Zachęcała mnie do tego, żebym rzuciła pracę i przeprowadziła się do Londynu, i pozwoliła mi nocować u siebie przez całe trzy tygodnie, zanim znalazłam swoje mieszkanie. Kiedy podczas letniego pobytu w Nowym Jorku skończyły mi się pieniądze i nie chciałam o tym powiedzieć rodzicom, przesłała mi sto dolarów przez Western Union. A gdy zostałam porzucona przez Davida, w ciągu godziny zjawiała się u mnie w mieszkaniu i przyniosła czekoladki, gazety, chusteczki oraz butelkę wina. Teraz cieszę się, że mam okazję się odwdziaczyć. Prawdopodobnie będzie chciała wypić na spokojnie drinka, uronić parę łez i wrócić do domu, ale przynajmniej udzielię jej moralnego wsparcia.

Bar Italia jest jak zawsze wypełniony turystami, Włochami, hipsterami i przypadkowymi gośćmi. Widzę, że Rachel siedzi przy barze, pije Martini Bianco i rozmawia z bardzo młodym, ale przystojnym Włochem w skórzanej kurtce, który sprawia wrażenie rozdartego między podziwem i ostrożnością. Przyjaciółka ma na sobie ulubioną czarną bluzkę z dużym dekoltem, którą nazywamy Aniołkiem Charliego, choć nie pamiętam z jakiego powodu, dzinsy i buty na wysokim obcasie, i już jest nieźle wstawiona.

– Zoe! Jak dobrze cię widzieć... – Obejmuje mnie na powitanie.
– To jest... przepraszam, możesz się jeszcze raz przedstawić.

– Gaetano.

– Gaetano. Gaetano, oczywiście. Gaetano postawił mi cudowne Martini Bianco, bo jest dżentelmenem. W przeciwieństwie do innych ludzi, którzy kłamią, zdradzają i prowadzą podwójne życie.

– To bardzo miło – przerywam jej szybko, uśmiecham się do jej nowego przyjaciela i zastanawiam, co mu opowiedziała. – Martini Bianco? Nigdy tego nie piłam.

– Jak właśnie wspominałam Gaetano – ciągnie – chodzi o to, że

na początku Jay mi się aż tak bardzo nie podobał. Nie chciałam się wiązać z kimś z pracy i nie podobało mi się, że robił coś tak głupiego i niebezpiecznego jak trenowanie boksu. Ale później się do niego przekonałam. Drań.

– Wiem, wiem, tak mi przykro. – Klepię ją po ramieniu.

– Kupić cię drinka? – pyta mnie Gaetano.

– Nie, nie trzeba... – Nalega, więc proszę o piwo – to moja standardowa zagrywka, gdy nie chcę, żeby facet stawiał mi drogiego drinka.

– Jaki słodziak – oznajmiam, gdy chłopak znika. – Ale może weźmiesz od niego numer i umówicie się na inny dzień, co?

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – żali się Rachel. – To znaczy nie mogę uwierzyć, że się na to złapałam. Ale skąd wiedziałaś, Zoe? Powiedz szczerze, skąd do licha o tym wiedziałaś.

– Tak się tylko zastanawiałam... przez te nieobecności i w ogóle – czuję się niezręcznie. – Ale Rachel, pamiętaj, że jesteś cudowna, genialna, inteligentna. Poznasz kogoś.

Na szczęście dokładnie w tym momencie Gaetano przynosi mi Peroni.

– Zgadza się – mówi, wpatrując się w Rachel. – Jest bardzo piękna.

Boże, miej go w swojej opiece. Dziś wieczorem postawił na złego konia.

– Ale najgorsze jest to – zwraca się do niego Rachel – że razem pracujemy. Mówiłam ci o tym? Wyobrażasz sobie, że musisz iść do pracy i uprzejmie z nim rozmawiać o przesłuchaniach i o tym, gdzie leżą te akta, a gdzie leżą tamte? – I nawija w podobnym stylu przez dłuższą chwilę. Gaetano kiwa głową ze współczuciem, ale widzę, że oczy trochę mu zasły łzami. Gdy Rachel zaczyna opowiadać o tym, że wiedziała, iż damski dezodorant w łazience Jaya nie należał do jego siostry, chłopak znajduje jakąś wymówkę i wraca do swoich znajomych.

Rachel chyba nawet tego nie zauważa. Wpatruje się w aluminiowy blat i z wściekłością rwie swoją podkładkę na kawałki. Podchodzi barman i ostrożnie zabiera pusty kieliszek. Ma zamiar pozbiierać też strzępki tektury, ale Rachel zakrywa je dłonią i piorunuje go wzrokiem.

– Mężczyźni to tchórze – oznajmia ponuro.
Barman odchodzi w bezpieczne miejsce, a ja uznaję, że czas ją stąd zabrać.

– Słuchaj, mam pomysł. Chodźmy w jakieś naprawdę fajne miejsce, potańczmy i zapomnijmy o tym wszystkim.

– Tak! Ale dokąd.

– Mogłybyśmy pójść do Popstarz albo Freedom. Albo The Edge.

– Do barów gejowskich.

– No, tam może być bezpieczniej. Biorąc pod uwagę twój nastrój. Ale nie winię cię za to, że jesteś teraz trochę przerażająca.

– No wybac mi – mówi nadąsana. Po czym, już bardziej szczerze, dodaje: – Przepraszam, Zoe. Jesteś moją przyjaciółką, moją dobrą przyjaciół... – gwałtownie potrząsa głową i obejmuje mnie ramieniem.

– Rachel, ile wypiałś.

– Parę koktajli we Floridita – odpowiada. – A teraz to martini. Nie jadłam przez cały dzień. Ale czuję się dobrze.

– Okej, zamówmy jakieś jedzenie.

Ku mojemu zdziwieniu pozwala, żebym kupiła jej kawałek pizzy.

– Czuję się o wiele lepiej – oświadcza, gdy kończy jeść. – Dobra. Chodźmy potańczyć.

Ulice Soho huczą od szumu ludzi idących do klubów, gejów, turystów, uczestniczek wieczorów panieńskich, riksów oraz taksówek powoli meandrujących między pieszymi. Mijamy bary, w których dudni muzyka, i przyciągamy wzrok paru przechodzących obok przystojniaków. Wieczór jest gorący, dopiero zaczyna się ochładzać: wszyscy są ubrani w koszulki albo krótkie sukienki lub spódniczki i mają gołe nogi. Przestrzeń wypełniają odgłosy rozmów, śmiechu i muzyki: przypomina to wielką imprezę uliczną. W noce takie jak ta robi mi się przykro na myśl o wyjeździe z Londynu. Choć oczywiście nie znaczy to, że nie mam ochoty jechać z Davidem do Nowego Jorku. Tymczasem Rachel jest niepokojąco cicha.

– Nie mogę uwierzyć, że łyknęłam tę jego beznadziejną wymówkę związaną z weselem – oznajmia, gdy docieramy do celu, małego klubu przy Wardour Street.

– Nie martwmy się tym teraz – mówię, prowadząc ją w kierunku wejścia. – Będziemy tańczyć. – Na szczęście bramkarz przy drzwiach

wejściowych był kiedyś ochroniarzem w Marley's i z uśmiechem wpuszcza nas do środka.

– Cześć, Zoe! – woła na powitanie, co powoduje, że parę osób z kolejki patrzy na niego złowrogo. Fajnie jest poczuć się przez trzydzieści sekund, jakbym należała do śmietanki towarzyskiej.

To całkiem przyjemne miejsce. Jedną trzecią gości stanowią geje, jedną trzecią turyści, a reszta to ludzie z przedmieść, którzy chcą poimprezować. Zawsze można tu liczyć na dobrą zabawę. Teraz grają *Stereo love* Edwarda Mai, jedną z moich ulubionych piosenek tego lata.

– Uwielbiam ten utwór! – krzyczę do Rachel, gdy schodzimy po schodach do części klubowej. Wtedy przypominam sobie, że tekst piosenki dotyczy łamania serc i zdenerwowana spoglądam na nią, ale wydaje się, że wszystko u niej w porządku: nie pomstuje ani nie płacze, tylko sobie tańczy, choć jeszcze nawet nie dotarliśmy do parkietu.

– Czego się napijesz? – Rachel próbuje przekrzyczeć muzykę.

– Wódkę z colą light? Tylko nie podwójną... – dodaję, ale ona ruszyła już w stronę baru.

Tańczę przez chwilę sama, później z grupką sympatycznych dziewczyn. Po dwóch kolejnych piosenkach uświadamiam sobie, że Rachel nie ma już zbyt długo, idę więc pośpiesznie do baru, gdzie znajduję ją przyklejoną do jakiegoś wystraszonego gościa w pasiastej koszulce.

– Ale wiedział, że zobaczę zdjęcia z wesela! – mówi. – Dlaczego podjął takie ryzyko.

– Chodź, Rachel. – Łapię ją za ramię. – Idziemy zatańczyć.

Muzyka zmieniła się: teraz leci *Maneater*, co wyraźnie ożywiło Rachel.

– *Maneater, make you wonk wonk* – fałszuje. – *Becha wisha never metter at all.*

Dwóch dziwnie wyglądających gości tańczy obok niej i spogląda na nią z aprobatą. Jeden z nich jest ubrany w koszulkę na ramiączkach i skórzane spodnie i ma wąsa. Nie potrafię stwierdzić, czy to przebranie, czy też jego zwyczajowy strój do klubu. Rachel zaczyna z nimi tańczyć, wykonuje superseksowne ruchy, które budzą w nich wielką radość. Koleś z wąsem tańczy z nią lambadę. Jego kolega próbuje robić to samo ze mną, ale za każdym razem, gdy rzuca się na mnie, zrećźnie udaje mi się wymknąć z jego zasięgu.

– Przyszliśmy tu tylko po to, żeby się dobrze bawić! – krzyczę mu do ucha, ale on nie słyszy.

Leci *She-Wolf* Shakiry. Rachel teraz szaleje: wymachuje rękoma nad głową, kręci biodrami, śpiewa – facetom bardzo się to podoba.

– Kupię ci butelkę szampana – powtarza Wąsik. Jestem podekscytowana, bo wygląda na to, że Rachel dobrze się bawi. Nie byłam w klubie całe wieki. Szkoda, że potrzeba było takiego dramatu jak dziś wieczorem, żeby do tego doszło.

Kiedy puszczają *Single Ladies*, nie mogę się powstrzymać i wykonuję cały układ, którego nauczyłam się na zajęciach tanecznych w roku, w którym ta piosenka miała premierę. Nie tańczę tak dobrze jak Beyoncé, ale i tak chyba wychodzi mi całkiem nieźle: gdy robię finałowy przysiad, unoszę ramiona i odwracam dłoń raz w jedną, raz w drugą stronę, gromadzi się wokół mnie mały tłumek.

Podczas wykonywania ostatniego ruchu rozglądam się za Rachel, ale nie widzę jej. Martwię się – a jeśli ją zgubiłam? Ale później widzę, że kręci się w pobliżu. Jej baterie są na wyczerpaniu, więc idziemy znaleźć jakieś miejsce siedzące. Faceci wyglądają jak osieroceni i próbują ją odnaleźć.

– Twoi przyjaciele chyba za tobą tęsknią – żartuję. Puszczają teraz Robyn, *Dancing on my own*. Tekst tej piosenki jest naprawdę smutny – kojarzył mi się kiedyś z Davidem – zaczynam więc mówić, żeby ją zagłuszyć.

Rachel chyba mnie nie słyszy. Zamiast tego mamrocze coś do swojego kieliszka z wódką i kręci głową.

– Co? Nie słyszę cię – przekrzykuję muzykę.

– Coś sobie uświadomiłam – mówi głośniej.

– Co takiego.

– Coś bardzo ważnego. Projekt Rachel – oznajmia z emfazą – jest porażką. – Żeby uciszyć moje protesty, podnosi jeden palec w górę. – Nie, tak jest. Trwa już dwadzieścia osiem lat i jak dotąd nie przyniósł żadnych efektów. Żadnych!

– O nie, nie. To nieprawda.

– Zacznę raz jeszcze. Z... z Projektem Roxanne.

– Serio? O co chodzi w Projekcie Roxanne? – pytam ostrożnie.

– Roxanne... jest o wiele fajniejsza od Rachel. Uprawia kick-boxing i sporty ekstremalne. Ogląda filmy z napisami. I nosi pasującą

do siebie bieliznę, i nigdy nie boi się współników w kancelarii, w której pracuje. I mężczyźni idioci nią nie pomiatają – gwałtownie wymachuje ręką, niemal przewracając swoją wódkę z colą. Później jednym haustem opróżnia szklanę.

•

Wąsaty przyjaciel Rachel dostrzega ją i podczas gdy my rozmawiamy, on krąży coraz bliżej nas. Teraz jest tuż obok, niemal siedzi nam na kolanach. Rachel podnosi wzrok i po raz pierwszy go dostrzega.

– Cześć – mówi. – Jestem Roxanne. – Wyciąga dłoń, którą on chwyta z wielkim entuzjazmem i nie puszcza. Jestem wystraszona, bo Rachel go nie spławia, tylko wzdycha i kładzie się na stole, opierając głowę o jedną rękę, podczas gdy wąsacz gładzi drugą.

– Okej, Roxanne. – Wstaję i odciągam ją od wielbiciela. – Czas wracać do domu.

Rachel się nie opiera, tylko pozwala zawlec się w kierunku szatni.

– To koniec Rachel – oznajmia powoli i bardzo wyraźnie. – K-O-N-I-E-C. Koniec.

– To wcale nie koniec – pocieszam ją i próbuję podać nasze numerki z szatni, zabrać marynarki i równocześnie przytrzymać przyjaciółkę. – Dopiero się rozkręcasz.

– Łatwo ci mówić. Wyjdiesz za mąż za Davida i zamieszkas w przeogromnej rezydencji. A ja przez całe życie będę mieszkać w kawalerce. A w łazience w tej kawalerce zawsze będzie tylko...

JEDNA SZCZOTECZKA DO ZĘBÓW.

– Oj, daj spokój – staram się ją uspokoić i założyć jej zakiet. – Miałaś w swoim życiu już sporo szczoteczek do zębów. A całe mnóstwo jeszcze przed tobą.

Rachel tylko potrząsa głową. Gdy ciągnę ją w górę po schodach, słyszę, jak mamrocze:

– Jedna szczoteczka do zębów, Projekt Rachel i KONIEC.

O Boże. Jakim cudem zawlokę ją do domu? Mało prawdopodobne, że uda nam się przekonać taksówkarza, by zabrał ją w takim stanie. Lepiej, żeby najpierw trochę otrzeźwiała, a później wezmę ją do siebie. Gdy Rachel wydaje się, że zapomniała swojego

zakietu, następuje mały atak paniki, więc muszę jej przypomnieć, że ma go na sobie. W końcu jednak udaje nam się wejść po schodach i wytoczyć na Wardour Street. Rachel sprawia wrażenie, jakby mocne światła i głośna grupa imprezowiczów dodały jej nieco wigoru. Odwraca się w moją stronę z takim błyskiem w oku, jakby przed chwilą przeżyła kolejne wielkie oświecenie.

– Frytki! Kupmy frytki.

W sumie nie jest to taka zła myśl. Zjedzenie czegoś dobrze by na nią wpłynęło.

– Frytki, świetny pomysł – zgadzam się. – Zastanówmy się, gdzie możemy je kupić. Nie tutaj, nie wydaje mi się... może gdzieś bliżej Cambridge Circus... – Rachel jest nadal do mnie przyklejona, więc przechodzimy przez ulicę, kuśtykając, jakby ktoś związał nam nogi, a ja zastanawiam się, czy cała ta wyprawa po frytki jest możliwa do zrealizowania. Nie wspominając już o tym, że nie wiem, jak dostaniemy się do domu.

– Wiesz, Rachel, kupienie frytek może być teraz trochę trudne – mówię. – Mogłabym zrobić nam w domu tosty.

– Chcę frytki – upiera się. – Mogę się założyć, że gdzieś je tu znajdziemy. – Odwraca się i zaczyna iść niepewnym krokiem w przeciwną stronę, ku Oxford Street, gdzie z całą pewnością nie będzie żadnych frytek. Ciągnę ją z powrotem we właściwym kierunku, odwraca się posłusznie, ale chwilę później znów zmienia zdanie i siada. Na chodniku.

– Poczekajmy tutaj przez chwilę – proponuje i opiera głowę o ramiona.

– Och nie, Rachel, nie możemy siedzieć na ulicy.

– Bolą mnie stopy. – Wyciąga jedną nogę.

Świetnie. Jak, do cholery, zmuszę ją teraz do tego, żeby się ruszyła. Zastanawiam się właśnie, czy powinnam wezwać taksówkę, żeby przyjechała i nas stąd zabrała, gdy dostrzegam po drugiej stronie ulicy wysoką sylwetkę z burzą ciemnych włosów.

– Boże, to Max.

Natychmiast odwracam się, w nadziei, że nas nie zauważy. Niestety, Rachel natychmiast zaczyna się drzeć.

– Max! Hej, Max!

– Ciiii, Rachel, przestań! – syczę, ale jest już za późno. Słyszał

nas, podobnie jak większość ludzi na ulicy. Max przechodzi przez jezdnię. Wygląda dziś inaczej, ale jestem zbyt rozkojarzona, by zastanowić się dlaczego.

– To moja przyjaciółka Rachel – wyjaśniam, wskazując na chodnik. – Rachel, to Max, mój nowy współlokator.

– Heja – wita się Rachel, podając na siedząco dłoń Maksowi. – Dużo o tobie słyszałam – mówi, po czym wybucha śmiechem. – Chlup, chlup, chlup... – udaje, że bierze kąpiel. Spoglądam na niego bezradnie, a później z powrotem na Rachel. Jak, do licha, udało jej się tak nawalić? Przyjaciel z wąsem musiał przemycić jej dodatkowe drinki albo coś w tym stylu.

– Stało się coś? – Słyszę jakiś głos. To policjant. Dwóch policjantów. A raczej jeden gliniarz i babka z obyczajówki, oboje w odblaskowych kamizelkach.

– Wszystko w porządku – odpowiada spokojnie Max. – Wracamy już do domu.

– Czy mogłaby pani wstać? – pyta policjantka. – Nie może pani tak siedzieć na ulicy.

– Nie, dziękuję – mówi Rachel.

– Rachel, chodźmy już! – Zaczynam się poważnie martwić. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuje, to pyskowanie policjantom.

– Proszę pani, jeśli pani nie wstanie, będziemy musieli panią zatrzymać – oświadcza ta z obyczajówki. Moja przyjaciółka tylko wzrusza ramionami.

– Daj spokój, Rachel – syczę. Próbuję pociągnąć ją za ramię, by pomóc jej wstać, ale mnie odtrąca.

Max kuca obok niej.

– Hej, Rachel – zagaduje serdecznie. – Jak leci.

– Pfff – odpowiada.

– Zoe i ja idziemy teraz na frytki. Pójdiesz z nami.

Wyciąga do niej rękę, a ona – to cud! – chwyta ją i wstaje.

Posyłam Maksowi spojrzenie pełne wdzięczności.

– Zaopiekujemy się nią – zwracam się do policjantki. – Obiecuję. Ona normalnie nie zachowuje się w ten sposób.

– Proszę się nią zająć – mówi, po czym oboje z partnerem czekają, aż odejdziemy, prowadząc Rachel.

– Miałam się dziś spotkać z moim chłopakiem – przyjaciółka

zwierza się Maksowi, gdy razem kuśtykamy wzdłuż ulicy. – Ale on ma dziewczynę.

– Kiepsko – komentuje Max.

„O Boże, Rachel – myślę sobie. – Proszę, nie zaczynaj opowiadać Maksowi o swoim życiu miłosnym”.

– Musi być idiotą – dodaje mój współlokator, co jest bardzo miłe z jego strony, biorąc pod uwagę stan, w jakim znajduje się aktualnie Rachel.

– Gdzie dzisiaj byłeś, Max? – pytam wesołym, zachęcającym do rozmowy tonem ponad głową przyjaciółki. – W klubie czy.

– Byłem na najlepszym koncercie w całym swoim życiu. Ale prawdopodobnie nigdy o nich nie słyszałaś... Man or Astro-man.

Kręcę głową. Dotarliśmy do Charing Cross Road, gdzie mam nadzieję złapać taksówkę, o ile ktoś będzie wystarczająco głupi, by nas zabrać.

– Grają coś w rodzaju surf punk rocka i mają całą tę otoczkę, że niby spadli na ziemię z kosmosu i tworzą klony, a te klony dają koncerty. Trudno to wyjaśnić, ale są... po prostu świetni.

Jestem roztargniona, kiwam głową, ale nie mogę się skupić. Podchodzę do krawędzi chodnika i wypatruję, czy zbliża się jakaś taksówka. Jednocześnie próbuję przypomnieć sobie, kto jeszcze mówi w ten sposób? No tak, Kira.

– Nie czuję się zbyt dobrze – oświadcza Rachel. Odwracam się. Jest blada jak trup i przyciska dłoń do ust. Zanim jestem w stanie jakkolwiek zareagować, Max prowadzi ją na bok, gdzie – ojejku – Rachel zaczyna wymiotować. Max przytrzymuje jej włosy. Czuję się trochę winna, bo przecież to moje zadanie. Choć nie mam jakiegś szczególnie palącej potrzeby, by przejąć od niego tę rolę.

Zauważam kiosk, biegnę do niego po wodę, chusteczki i miętówki i pomagamy Rachel doprowadzić się do porządku, po czym opuszczamy miejsce zbrodni i jakieś sto metrów dalej zatrzymujemy taksówkę. Albo raczej ja zatrzymuję taksówkę, a Max zostaje z Rachel parę kroków za mną i dopiero w ostatniej chwili pokazujemy ją taksówkarzowi.

– Nie chcę, żeby mi się tu zrzygała – oświadcza kierowca z niepokojem.

– Nic jej nie będzie – zapewnia go Max i pomaga mi wepchnąć

Rachel do samochodu. Jest tak ociężała, że obecność Maksa okazuje się bardzo pomocna.

- Ale mi wstyd – mamrocze Rachel, gdy ruszamy.
- Nie wstydź się! Wszystko gra! – Głaszczę ją po głowie.
- Ale... jestem doświadczoną pijaczką – mówi prawie do siebie.
- Jak do tego doszło.

Rachel rozwała się na siedzeniu i zamyka oczy, a ja widzę, że Max przygląda mi się ponad jej głową. Uśmiecha się do mnie, a ja do niego: ta sytuacja jest w sumie zabawna. Dopiero teraz uświadamiam sobie, czemu dziś wygląda inaczej niż zwykle: nie ma na sobie za dużej koszulki, tylko bardziej twarzową, dopasowaną szarą koszulę. I przyciął włosy. Wygląda lepiej, choć nadal nosi te same džinsy i buty do koszykówki. Chyba ma tylko jedną parę butów i jedną parę spodni.

Gdy skręcamy, Rachel otwiera oczy i zwraca się do Maksa, jakby zauważyła go po raz pierwszy w życiu.

- Przepraszam, ale kim ty jesteś.
- Jestem Max.
- Max. Jakie fffajne imię.
- Dzięki. Moja siostra miała trzy lata, gdy się urodziłem, i bardzo jej się podobała książka *Where the wild things are*⁷⁾. Zapytała więc moich rodziców, czy mogliby mi dać na imię Max, na cześć tego małego chłopca w książce, a oni się zgodzili.

7) Książka dla dzieci amerykańskiego pisarza Maurice'a Sendaka. Na jej podstawie powstał film *Gdzie mieszkają dzikie stwory* (przyp. red.).

- Jakie to urocze.
- Tak, chyba miałem szczęście, że nie przypadł jej do gustu Paddington.

Rachel zdążyła już zasnąć. Zawsze potrafiła to zrobić, nawet gdy była trzeźwa. To zadziwiające. Straciłam już rachubę, ile razy po prostu udało jej się zapaść w sen w trakcie rozmowy, gdy przebywałyśmy w tym samym pomieszczeniu.

- Masz tylko jedną siostrę? – pytam Maksa. – Gdzie mieszka? – Jest mi głupio, że nie zapytałam wcześniej o jego rodzinę.
- Mam dwie siostry. Starsza, Sarah, mieszka w Yorku. Jest archiwistką w radzie miasta i interesuje się rekonstrukcjami

historycznymi. Wiesz, przebieraniem się w stroje z epoki angielskiej wojny domowej.

– Aha. – Nie miałam pojęcia, że istnieje coś takiego.

– A Lucy, moja młodsza siostra, właśnie skończyła studia na uniwersytecie w Bristolu, a teraz jest w Tajlandii na kursie nurkowania. Tak przynajmniej twierdzi – sposób, w jaki się uśmiecha, świadczy o tym, że to ona jest jego ulubienicą i że pewnie nie samym nurkowaniem się zajmuje.

Rachel mamrocze coś pod nosem, a jej głowa opada na ramię Maksa.

– Przepraszam za to wszystko – szepczę. – Serio, nie widziałam jej w takim stanie. Nawet na studiach.

– Nie ma problemu.

Jedziemy dalej w ciszy, słuchając Jamesa Blunta, którego puszcza w radiu słuchanym przez taksówkarza. Mam szczerą nadzieję, że Maks nie opowie Davidowi o wydarzeniach dzisiejszej nocy. Oczywiście David lubi się napić i kiedy studiował medycynę, robił różne szalone rzeczy – słyszałam, jak wspominał, że podłączył sobie kroplówkę, żeby zwalczyć kaca – ale cieszę się, że nie wpadliśmy na niego dziś wieczorem. Choć jestem przekonana, że on nie miałby z tym problemów, ja chyba umarłabym ze wstydu.

– Zoe – głos Maksa odciąga mnie od rozmyślania – czy wkurzam cię swoim zachowaniem w mieszkaniu.

– Co? Co masz na myśli.

– Wydaje mi się, że z jakiegoś powodu jesteś poirytowana. Widzę, że coś robię nie tak, ale nie jestem pewien, o co chodzi.

Od czego mam zacząć.

– No...

– Aha, czyli jest coś takiego.

– No tak, na początek chciałabym, żebyś nie zostawiał swoich ręczników na podłodze w łazience. Powieś je na wieszaku, żeby wyschły. I mógłbyś splukiwać umywalkę, jak skończysz się golić.

– Ojej, przepraszam. Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– No i kwestia zmywania. Wydaje mi się, że jest o wiele przyjemniej, gdy robi się to regularnie.

– Jak bardzo regularnie.

Co to za pytanie.

– Na przykład za każdym razem, kiedy coś pobrudzisz.

– Aha. Ale widziałem, że zostawiasz brudne naczynia rano przed wyjściem do pracy, więc...

– Okej, ale i tak zmywam je wieczorem po powrocie do domu. Nie zostawiłabym brudnych naczyń dłużej niż jeden dzień. A poza tym, obudziłeś mnie wczoraj w nocy, gdy brałeś prysznic.

– O cholera. Przepraszam. Nie miałem pojęcia. Czy jest coś jeszcze.

– Tak. Lubię, gdy na stole w salonie panuje porządek. Gdy nie jest zastawiony książkami, czasopismami i innymi pierdołami. I wolę biały papier toaletowy, nie kolorowy. I może kupowalibyśmy na zmianę kwiaty do mieszkania.

– Nie.

– Słucham?

– Postaram się nie robić takiego bałaganu, ale są pewne granice. Nie będę kupował kwiatów ani sprawdzał, jakiego koloru jest papier toaletowy.

– Dobrze, w porządku. Po prostu postaraj się utrzymywać porządek, okej?

Max przygląda mi się badawczo.

– A czy wpadłaś kiedyś na to, że być może też masz irytujące nawyki? – pyta.

– Nie – przechodzę do defensywy. – Nie wpadłam na to. Jakie na przykład.

– No na przykład za każdym razem, gdy otwieram drzwi, widzę tam jakieś dziesięć par butów na wysokim obcasie, jakbyś zastawiała pułapkę na hefalumpy. I czasem wstawiasz do lodówki karton mleka, w którym zostały tylko dwie krople, zamiast wyrzucić go do śmieci i otworzyć nowy. No i jeszcze to głośne śpiewanie pod prysznicem... Tutaj, po prawej stronie – zwraca się do kierowcy.

– Hej, nie musisz się powstrzymywać – mówię, gdy taksówka zatrzymuje się przed naszym domem.

– Śpiewanie tak naprawdę mi nie przeszkadza – Max pokazuje zęby w uśmiechu. – Właściwie to nawet mi się podoba. – Pochyliła się do przodu i płaci taksówkarzowi trzydzieści funtów.

– Oddam ci połowę – obiecuję, nie mając pewności, czy powiedział mi komplement, czy nie.

– Chcesz ją obudzić? – pyta, ignorując moją propozycję, i wysuwa się spod opartej o niego Rachel. – Chyba lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz. Może się wystraszyć, jeśli mnie zobaczy.

– Rachel. – Poklepuję ją delikatnie. – Rachel, obudź się. Jesteśmy w domu.

– Cooo? Coo? Ahaaa – otwiera oczy, dostrzega mnie i jęczy: – Zoe, o Boże. Myślałam, że to mi się śniło.

– Nie, wszystko w porządku. – Pomagam jej wysiąść z taksówki i wejść po schodach, gdzie przy otwartych drzwiach czeka Max.

– Może położyłabyś ją do mojego łóżka – proponuje, gdy wchodzimy po schodach w mieszkaniu. – Tylko po to, żeby się wyspała – dodaje szybko. – Ja się prześpię na kanapie.

– Och, nie, w porządku. Zaprowadzę ją do mnie.

Max kiwa głową i rusza korytarzem w stronę swojego pokoju, zostawiając w moich objęciach chwiejącą się Rachel.

– Max! Zaczekaj!

– Tak?

– Uhm, dziękuję, że nam pomogłeś.

– Nie ma za co – odpowiada.

Rozdział 17

Obsługa hotelowa – oznajmiam, stawiając tacę na stoliku przy łóżku.

Jest jedenasta i Rachel wreszcie się ruszyła. Przyniosłam jej kawę i tost, a do tego butelkę wody i wielką szklankę soku pomarańczowego. Przygotowałam tost w jej ulubiony sposób – poczekałam aż ostygnie i dopiero wtedy posmarowałam margaryną (szaleństwo).

– Jak się czuje pacjentka.

– Jakby miała umrzeć. Jestem strasznie chora. Jakim cudem tak się upiłam? – jęczy. – Jak, jak, jak? I, o Boże, czy ja naprawdę opowiadałam temu kolesiowi w Bar Italia o swoim życiu uczuciowym? – zakrywa twarz kołdrą. Nagle podnosi głowę. – Zoe, błagam, powiedz mi, że nie miałyśmy starcia z policją?

– Miałyśmy. Ale nic się nie stało. Skończyło się na upomnieniu.

– Co? – Zrzuca kołdrę z łóżka i siada wyprostowana, przykładając palce do skroni. – O Boże! Upomnienie? Zwolnią mnie z pracy.

– Nie, Rachel, przepraszam, żartowałam. – Ups, nie wiedziałam, że upomnienie wiąże się z takimi konsekwencjami.

– A spotkałyśmy twojego współlokatora? – pyta, marszcząc brwi. – Co on tam robił.

– Och, wpadłyśmy na niego, a on... pomógł nam wsiąść do taksówki.

– Czyli pomógł ci zapanować nad twoją pijaną przyjaciółką. O Boże! – Zakrywa twarz dłońmi. – O mój Boże – powtarza do samej siebie. – Bardzo mi przykro, Zoe. Nie mogę uwierzyć, że przyjechałaś, by mi pomóc, a później przeszłaś przez to wszystko.

– Nie ma sprawy. A co o nim myślisz? Uważasz, że jest przystojny? – Nie wiem, dlaczego ją o to pytam, przypuszczam, że Max nie jest w jej typie. Chcę tylko wiedzieć, co o nim sądzi.

– Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, jak wygląda – sięga po wodę trzęsącą się dłonią i wypija łyk. – Och, jest mi tak strasznie niedobrze. Nie wiem, jakim cudem zdołałam tyle wypić – jęczy.

Wyciągam się obok niej na łóżku.

– Sama też nie czuję się dziś najlepiej.

– Czy opowiadałam Maksowi o Jayu.

– Yhm... chyba coś wspomniałaś.
Rachel znów wydaje z siebie jęki.
– Co za koszmarny banał. Pijana, rozzalona kobieta.
– No, ale miałaś prawo się zdenerwować. Jay jest idiotą.
– Wiem, ale chodzi o to, że... nie było to dla mnie zupełnym zaskoczeniem.
Siadam i spoglądam na nią.
– Nie było.
– Nie. Kiedy powiedziałaś, że się z kimś spotyka, miałam przecucie, że to może być prawda. Częściowo właśnie dlatego tak źle zareagowałam. Nie chciałam się do tego przyznać – robi wymowną minę. – Było tyle rzeczy, które wydawały się nie w porządku.
– Jakich rzeczy.
– Od czego tu zacząć... na przykład oficjalnie nigdy nie byliśmy parą, bo on nie chciał, by ograniczały go „etykiety” – Rachel pokazuje palcami cudzysłów.
– Oo... – Jeśli facet mówi o „etykietkach”, to niemal zawsze jest zły znak.
– I nikt w pracy nie wiedział, że się spotykamy. Co wtedy wydawało się rozsądne, ale teraz uważam za mocno podejrzane. I zamknął swoje konto na Facebooku – tak mi przynajmniej powiedział – i był często zajęty w weekendy. – Rachel wywraca oczami. – Ależ ze mnie idiotka. Praktycznie wymachiwał wielkim transparentem z napisem „gram na dwa fronty”, a ja to zignorowałam.
Próbuję znaleźć jasną stronę tej sytuacji.
– Ale jeśli nikt w pracy nie miał pojęcia, że się spotykacie, to przynajmniej nikt nie będzie wiedział, że się rozstaliście. Ale jesteś mimo wszystko zadowolona, że się o tym dowiedziałaś? To znaczy lepiej późno niż później? – Mam nadzieję, że potwierdzi, bo w przeciwnym razie będę się czuła okropnie.
– Tak mi się wydaje. Nie, no oczywiście, że tak – wzdycha. – Wiem, że zachował się źle. I wiem, że to moja wina, bo zawsze wybieram złych facetów i muszę dorosnąć.
Jestem zaskoczona. Czy Rachel naprawdę wybiera niewłaściwych mężczyzn? Przypuszczam, że tak jest.
– Ale skąd mam wiedzieć, którzy są tymi właściwymi? I czy już do końca życia będę się umawiać z tymi nieodpowiednimi? – Opada z

powrotem na poduszki, po czym odwraca się w moją stronę, a w jej oczach, wokół których rozmazał się tusz do rzęs, widzę zmartwienie. – Co o tym sądzisz.

W tym momencie naprawdę chciałabym móc przewidywać przyszłość – całą. Ale nie potrafię, więc muszę zaufać swojemu instyktowi.

– Myślę, że wkrótce spotkasz cudownego mężczyznę, który będzie uważał, że jesteś pępkiem świata – poklepuję delikatnie jej nogę okrytą kołdrą. – Będzie inwestorem numer jeden w Projekcie Rachel.

– Projekcie Rachel? Co... o Boże! – Przyjaciółka znów zagrzebuje się pod kołdrą i słyszę jej przytłumiony głos: – Projekt Rachel, aaargh. – Potem podnosi się i pyta: – A tak przy okazji, jak poszło zapoznawanie się z rodziną Fitzgerald.

Opowiadam jej o całej aferze, od rozlania herbaty po obecność Jenny, ale później dodaję też dobre wieści: że omówiliśmy to porządnie z Davidem i że wszystko zmierza w dobrą stronę. Nie wspominam o pływaniu łódką w Hyde Parku, nie chcę się bowiem przed nią obnosić swoim szczęściem w kwestii związków.

– I mam jeszcze jedną dobrą wiadomość – dodaję. – Byłam w zeszłym tygodniu na rozmowie w sprawie pracy. Ubiegam się o stanowisko asystentki do spraw zakupów.

– O, wow! A ja nic o tym nie wiedziałam? Jak poszło.

– Wydaje mi się, że dobrze... Dowiem się za tydzień lub dwa, taką mam nadzieję.

– To fantastycznie – kwituje i zaczyna się powoli zwlekać z łóżka.

– Och, nie, musisz już iść? Nie chcesz tu zostać jeszcze przez jakiś czas? W ogóle się nie widzimy. Jest tak ładnie. Mogłybyśmy pójść do parku albo na drinka gdzieś na świeżym powietrzu.

Widzę, że Rachel jest rozdarta.

– No... mam trochę pracy w domu – mówi. – Ale chyba mogę jeszcze chwilę zostać.

Hm. Może skoro daję Davidowi więcej przestrzeni i nie wpędzam go w poczucie winy, gdy musi pracować, powinnam tak samo postępować wobec Rachel.

– Nie przejmuj się – stwierdzam. – Jeśli musisz iść, to nie ma sprawy.

Sprawia wrażenie wdzięcznej, a ja uśmiecham się do niej promiennie. Może zaczynam wreszcie dorośleć.

Rozdział 18

Rachel ubiera się, a ja odnoszę talerze do kuchni. Max stoi przy szafce, czyta książkę i czeka, aż woda się zagotuje. Widzę, że kuchnia jest nieskazitelnie czysta. Najwyraźniej pozmywał wszystkie naczynia z wczoraj. Mam zamiar powiedzieć mu komplement, gdy zadaje pytanie.

– Jak się dziś czujesz.

– Nie za dobrze. – Wkładam naczynia do zlewu i zabieram się do ich zmywania. – A ty jak się masz? – Spoglądam na niego znad ramienia. Ma na sobie naprawdę straszliwy, okropnie stary szlafrok frotté. To taka rzecz, którą – gdyby był moim chłopakiem – natychmiast bym wyrzuciła. Kiedy nalewa wodę, dostrzegam, że jego klatka piersiowa jest nadspodziewanie szeroka i owłosiona.

– Wszystko gra. Ostatnio dużo pracowałem, więc dziś robię sobie Dzień Rozpieszczania Maksa.

– Dzień Rozpieszczania Maksa? Co to takiego.

– To taki dzień, w którym przez cały czas robię tylko to, na co mam ochotę. Mogę pójść do kawiarni na kawę, a później przejść się do kina Prince Charles na podwójny seans albo kupić sobie jakieś nowe płyty... Dziś chyba będę czytał książkę w parku przez cały poranek, potem pójdę popływać w basenie w Hyde Parku, a wieczorem przejdę się z przyjaciółmi na Edgware Road, żeby zapalić sziszę – wygląda przez okno. – Oj. Chyba obejdzie się bez pływania.

Pada deszcz. Rachel wchodzi do kuchni i słyszy tylko końcówkę ostatniego zdania.

– Dzień dobry. Przepraszam za wczoraj – odzywa się z zakłopotaniem.

– Nie ma za co – odpowiada Max.

Oboje spoglądają na mnie, jakby oczekiwali, że pomogę im podczas tego spotkania.

– Brzmi cudownie – w moim głosie słychać entuzjazm. – Max właśnie opowiadał mi, że zamierza przez cały dzień robić tylko to, na co ma ochotę, czyli organizuje Dzień Rozpieszczania Maksa. Powinnam zrobić sobie Dzień Rozpieszczania Zoe.

– Sądziłam, że każdy dzień jest Dniem Rozpieszczania Zoe – mówi Rachel. – Żartuję – dodaje, gdy uderzam ją w ramię.

– Chodzi mi o to, że podoba mi się pomysł, żeby przeznaczyć na to specjalny dzień – ciągnę, ignorując przyjaciółkę. – Oczywiście nie da się spełnić wszystkich zachcianek, bo można przepuścić setki tysięcy funtów. Możesz więc robić, co ci się podoba, ale...

– W granicach rozsądku? – podpowiada Rachel.

– W granicach rozsądku można zrobić o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać – oświadcza Max, wylewając swoją kawę. – Do zobaczenia później – żegna się i wychodzi. Sekundę później znów zagląda do nas.

– Zoe, mam nadzieję, że zauważyłaś, iż pozmywałem wszystkie naczynia z dzisiaj. I z wczoraj – pokazuje na błyszczący zlew i blat.

– Dziękuję, Max – odpowiadam szczerze. – Jesteś królem zmywania.

Zakłada ręce nad głową, jakby został przed chwilą mistrzem świata w boksie, kłania się i opuszcza kuchnię.

– Sympatyczny – ocenia Rachel ściszym głosem. – Ale rozumiem, co masz na myśli. Jest ekscentryczny.

Całe szczęście, że nie wpadłam na pomysł, by ich ze sobą zeswatać. Rachel to zdecydowanie zbyt wielka realistka, a on jest dla niej za bardzo wyluzowany.

Po wyjściu przyjaciółki biorę prysznic i szybko depiluję nogi, żeby potem nie zawracać sobie tym głowy. Później parzę herbatę i idę do salonu, gdzie przy stole siedzi Max, nadal ubrany w swój okropny szlafrok, i układa zdjęcia w albumie.

– Nie masz nic przeciwko, jeśli obejrzę coś na DVD.

– Nie, nie – odpowiada półprzytomnie. Spoglądam na niego raz jeszcze i widzę, że to nie album fotograficzny, tylko specjalny brulion ze zdjęciami, ręcznie pisanymi komentarzami do zdjęć i czymś, co wygląda jak wycinki ze starych zeszytów ćwiczeń. Jakie to oryginalne. Muszę przyznać, że od wczorajszego dnia mam o moim nowym współlokatorze znacznie lepsze zdanie. Na swój sposób stanowi dobre towarzystwo. Podjął nawet wysiłek, by nie robić bałaganu. Można się z nim dogadać i umie sobie poradzić z pijakami – no i pozwala mi przejąć kontrolę nad telewizorem. Kucam przed odbiornikiem i przeglądam swoją kolekcję płyt w poszukiwaniu trzeciego sezonu *Plotkary*. Idealne towarzystwo w taki deszczowy dzień.

I wtedy sobie przypominam: sezon trzeci ma premierę dopiero

pod koniec sierpnia. Mimo że obejrzałam go już w połowie, nie mogę dokończyć serialu, bo jeszcze nie istnieje. To bardzo niewygodny aspekt całych tych podróży w czasie.

– Cholera.

– Co?

– DVD, które chciałam obejrzeć... nie ma... – już mam wymyślić jakąś historyjkę o tym, jak pożyczyłam płytę przyjaciółce, ale powstrzymuję się w odpowiednim momencie, gdyż przypominam sobie, że Maksa to nie obchodzi. Odczuwam ulgę, bo naprawdę przydałby mi się jeden taki dzień, w którym nie musiałabym wymyślać rozbudowanych historii.

Wybieram więc sezon drugi – nie oglądałam go od jakiegoś czasu – i rozsiadam się, wzdychając z zadowoleniem. Jestem ubrana w spodnie od dresu i moją ulubioną, najmniej twarzową koszulkę. Przyniosłam sobie kubek z herbatą i paczkę delicji – bardzo możliwe, że zjem więcej niż jedno ciastko. Nadal nie nałożyłam samoopalacza i nie zrobiłam porządku z paznokciami, ale takie sprawy mogą poczekać.

– Wow – mówi Max, gdy włączam płytę i dochodzę do wyboru odcinków. – *Plotkara*? Serio?

– Aha – odpowiadam. – Delicję? – Już mam wybrać odcinek numer jeden, gdy przypominam sobie, że zaczyna się od długiej sceny łóżkowej z Nate’em i starszą kobietą i dużo w niej wbijania się paznokciami w plecy. Przełączam więc na drugi odcinek i siadam wygodnie, po czym z radością oglądam Blair i Lorda Marcusa na przejażdżce rowerowej po Hamptons. Bardzo mi się podobają żółte detale na jej bluzce i to, jak kontrastują z jej spódniczką w odcieniu pomidorowej czerwieni.

– Można się przytulać z każdym w lipcu i sierpniu, ale czy zostanie tu do września? – pyta głos Plotkary. – Tak, zostanie – mamroczę triumfalnie. – A jeśli nie, pojedę z nim.

– Słucham? – pyta Max znad stołu.

– Nic.

Kilka minut później zadaje mi pytanie.

– Dlaczego nazywa tę kobietę księżną, skoro to jego siostra.

– Bo ona jest księżną. To nie jego siostra, tylko macocha.

– No ale i tak raczej nie nazywałyby macochy księżną, prawda?

– W *Plotkarze* nic nie jest zgodne z logiką – odpowiadam. –

Właśnie dlatego to taki fajny serial. Chciałabym obejrzeć sezon trzeci, ale nie ma go jeszcze na DVD. – Cholera. Sporo zapłaciłam za tę płytę. Zastanawiam się, czy jeśli kiedykolwiek wrócę do przyszłości i odzyskam stare DVD... Ale myśl o tym mnie przeraża, więc odsuwam ją od siebie.

Teraz Serena i Dan wskakują razem do autobusu. Mam przeczucie, że zaraz zdarzy się coś niecenzuralnego związanego z truskawkami, ale nie chce mi się przełączać odcinka. Poszerzy Maksowi horyzonty. Nie żeby w ogóle oglądał serial. Jest bardzo skoncentrowany, bo coś przykleja, i aż wystawił język.

– Nad czym pracujesz? – pytam z zainteresowaniem.

– A, robię dla kogoś coś w rodzaju księgi wspomnień. Taki album ze zdjęciami z dzieciństwa i tak dalej.

– Naprawdę? Czyimi zdjęciami.

– Moimi i moich sióstr, gdy byliśmy dziećmi... A tu jest ktoś, kogo możesz rozpoznać.

Zatrzymuję DVD i podchodzę zaciekawiona. Mały Max i jego wielkie brązowe oczy... dwie małe dziewczynki... i puciołowaty blondynek, który wygląda trochę znajomo.

– O mój Boże, czy to David? – Wpatruję się w fotografię. – Jest uroczy. Nie wiedziałam, że był taki pyzaty.

– Och, no tak. Ale to było dawno temu. Mamy tu chyba po dziewięć lat.

– Dla kogo jest ta księga? – W chwili, gdy zadaję to pytanie, ktoś dzwoni do drzwi.

– To dziwne. – Jeśli nie organizujesz przyjęcia ani nie czekasz na umówionego gościa, w Londynie rzadko słyhać dźwięk dzwonka do drzwi. – Zignoruj to, pewnie to jakiś świadek Jehowy albo ktoś taki.

– Sprawdzę, kto to – mówi Max i idzie do korytarza odebrać domofon. Sięgam po kolejne ciastko. Chwilę później mój współlokator zagląda do pokoju i oznajmia: – To David.

– Co? Tutaj? Teraz? – Podskakuję spanikowana i patrzę na siebie: jestem blada, ubrana w dres, nieuczesana, a w dłoni trzymam niedojedzoną delicyję.

– No tak... właśnie wpuściłem go do środka.

– Świetnie! Świetnie. Powiedz mu... powiedz mu, że biore prysznic – biegnę wyłączyć telewizor i wpycham pudełko od płyty pod

poduszkę kanapy. – Wracam za dziesięć minut, okej?

Oczywiście cieszę się z odwiedzin Davida, ale nie spodziewałam się go zobaczyć, gdy jestem w takim stanie. Szybko zmieniam dres na obcisłą koszulkę z Zary i džinsy Seven for All Mankind. Szczotkuję włosy i nakładam lekki, bardzo naturalny makijaż – podkład, tusz do rzęs, róż w kremie i żel na brwi. Wciskam pod łóżko szmirowatą powieść, szybko wygładzam kołdrę i zabieram pusty kubek po kawie do zlewu. Nie mam czasu, żeby nałożyć samoopalacz, ale nic na to nie poradzę. Liczę tylko na to, że przy następnym spotkaniu nie zauważy, że zmieniłam kolor.

Kiedy wracam do salonu, David i Max rozmawiają o pracy.

– Musisz tam pójść – to David. – Musisz wykorzystywać takie okazje, w przeciwnym razie zrobi to ktoś inny... – przerywa, gdy wchodzi do pokoju.

– A oto i ona – mówi i wstaje z krzesła. Przechodzę przez pokój i chcę go pocałować w policzek ze względu na obecność Maksa, ale on całuje mnie w usta. Ma wilgotne włosy i jest ubrany w spodnie z zakładkami i czerwony golf. Wygląda tak wspaniale, że przez niego całe nasze mieszkanie prezentuje się jeszcze bardziej zgrzebnie. Nawet jego granatowy prochowiec przewieszony przez oparcie krzesła sprawia, że mebel wygląda, jakby za chwilę miał się rozpaść. W myślach zapisuję sobie, że powinnam porozmawiać z właścicielem mieszkania o jego wymianie.

– Dlaczego brałaś prysznic o tej porze? – pyta David.

– Och, wiesz, taki leniwy poranek. Albo cały dzień. Co cię tu sprowadza? Jak się miewa twoja mała pacjentka.

– W porządku, obyło się bez komplikacji. – Wygląda, jakby kamień spadł mu z serca.

– O, to dobrze. Bardzo się cieszę.

– Nie musiałem iść wczoraj do pracy i przespałem czternaście godzin. Znów czuję się jak człowiek... pomyślałem więc, że wpadnę i sprawdzę, czy nie masz na coś ochoty.

Wow. Nigdy bym nie przypuszczała, że David będzie szedł do mojego mieszkania podczas ulewy.

– I co w końcu robiłaś wczoraj wieczorem? – pyta.

– Nic szczególnego... Spotkałam się na mieście z Rachel. – Rzucam Maksowi ostrzegawcze spojrzenie, ale on wydaje się tylko

skonsternowany.

– Jestem ostatnio trochę zajęty pracą i byłem zmuszony wczoraj wystawić Zoe w ostatniej chwili – zwraca się David do Maksa. – Będziesz się musiał nią zaopiekować.

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewnia go Max, po czym wstaje gwałtownie. – W sumie to... przestało padać, więc będę się zbierał. To znaczy ubiorę się i wyjdę na miasto. Miło cię było zobaczyć, Davidzie.

– Ciebie też. Umówimy się wkrótce na ten mecz.

Max trochę dziwnie na mnie patrzy, gdy wychodzi. Podejrzewam, że moja błyskawiczna przemiana mogła się wydawać trochę dziwna, ale która dziewczyna chciałaby, żeby jej chłopak oglądał ją w takim stanie.

– No więc – mówię do Davida – chcesz wyjść na miasto na lunch czy coś? – Choć wiem, że to głupie, dziwnie się czuję, gdy David jest u mnie, bo jego mieszkanie jest o wiele ładniejsze.

Podnosi głowę i czeka, aż usłyszymy, że za Maksem zamknęły się drzwi.

– No cóż, biorąc pod uwagę, że nie widziałem cię od tygodnia... „coś” zdecydowanie lepiej brzmi – nachyla się, by mnie pocałować.

Odwzajemniam pocałunek, ale gdy prowadzi mnie w stronę sypialni, stawiam opór.

– Co się stało.

– Nic! Tylko, no wiesz, jestem trochę skacowana, a poza tym... nie widziałam cię całe wieki. Może najpierw nadrobimy zaległości? Porozmawiamy trochę? Tyle się w tym tygodniu wydarzyło. Miałam rozmowę w sprawie pracy i w ogóle.

David jest zaskoczony, ale natychmiast odzyskuje dobre maniery.

– Musisz mi o tym wszystkim opowiedzieć. Możemy się wybrać na lunch. Gdzie masz ochotę pójść.

– Nieważne... wezmę tylko swoją torebkę, dobrze? –

Uśmiecham się do niego i idę poszukać torebki. Dziwne jest to, że choć czuję podekscytowanie z powodu niespodziewanego pojawienia się Davida, jakaś część mnie wołałaby się polenić i pooglądać telewizję. Ale później myślę sobie: „W jakim świecie wołałabym oglądać seriale na DVD i obżerać się ciastkami, zamiast spotkać się z Davidem?”. To na pewno przez tego kaca. Jeszcze raz przeczesuję włosy, biorę torebkę i biegnę z powrotem do niego.

Rozdział 19

W poniedziałek rano jestem w przymierzalni i pomagam pani Murdoch, naszej stałej klientce, wybrać jedną z dwóch sukienek do połowy łydki w aztecki wzór. Pierwsza jest czerwona, druga niebieska. Wszyscy wiedzą, że podejmowanie takich decyzji zajmuje pani Murdoch mnóstwo czasu i wymaga prawienia jej komplementów i przypochlebiania się przez kogoś z obsługi. Nie przeszkadza mi to, nie mamy teraz dużo klientów. W myślach zajmuję się rozważaniem, kiedy dostanę jakieś informacje dotyczące rozmowy w sprawie posady asystentki do spraw zakupów. Poprzednim razem odezwali się dość szybko, ale wtedy odrzucili moją kandydaturę. A tym razem.

– Oczywiście ta czerwona jest bardzo promienna – ocenia sukienkę pani Murdoch. – Ale ta niebieska też jest ładna, prawda?

– Uważam, że niebieska wspaniale na pani leży – przekonuję ją.
– Podkreśla pani oczy.

Robi krok w tył i próbuje wyrobić sobie własną opinię.

– A macie taką samą jeszcze w zielonym kolorze.

Pani Murdoch jest niesamowita. Zna naszą ofertę lepiej niż obsługa sklepu.

– Tak, mamy. Proszę poczekać, przyniosę ją pani.

Sprawdzam w komputerze przy kasie rozmiarówkę dostępną w magazynie, gdy podchodzi do mnie Karen.

– Mam wiadomość z biura Julii – informuje mnie i z widocznym wysiłkiem próbuje się uśmiechnąć. – Czy możesz do niej podejść o dwunastej trzydzieści.

– Oj. Ale przerwę zacznę dopiero o pierwszej.

– Nie szkodzi – mówi przez zaciśnięte zęby. – Ja wtedy zrobię sobie przerwę. Możemy się zamienić.

A to ciekawy rozwój wypadków. Jest wściekła, ale jednocześnie uprzejma, a to może oznaczać jedno. Wracam pośpiesznie do przymierzalni z sukienką w rozmiarze czternaście dla pani Murdoch i staram się ukryć swoje podekscytowanie.

•

Po tradycyjnym już oczekiwaniu, aż ktoś wpuści mnie do windy, udaję się do gabinetu Julii, gdzie zastaję ją i Seta oraz kanapki i

herbatę.

– Zoe! Usiądź, proszę. – Julia przerzuca przez ramię imponująco długi kucyk i wpisuje coś do komputera. Gdy zajmuję miejsce, podziwiam jej jedwabną koszulkę bez rękawów, pistacjowe dżinsy rurki i różowe sandały na koturnie. Seth już usiadł, trzyma w ręce filiżankę herbaty i spodek, a mały palec u jego dłoni jest idealnie podniesiony.

– Napij się – proponuje i nalewa mi herbatę, po czym pokazuje taczkę małych kanapeczek oraz ciasteczek Brownie. Jestem tak podekscytowana, że zaraz eksploduję. Chyba nie częstowaliby mnie ciastkami, gdybym nie dostała tej pracy? W myślach już wznoszę toasty szampanem z Rachel i Kirą i dzwonię do Davida, żeby przekazać mu dobre wieści.

– Zaczniemy od złych wiadomości – mówi Julia. – Postanowiliśmy zatrudnić na stanowisko asystentki do spraw zakupów kogoś innego.

– Słucham? – Czuję się tak, jakby oblała mnie zimną herbatą. – To znaczy, tak, rozumiem. – To straszne wieści. Ścisza mnie w żołądku. Dlaczego przywlekli mnie aż tutaj, żeby mi o tym powiedzieć? Czy te ciasteczka to nagroda pocieszenia?

– Podjęliśmy decyzję o zatrudnieniu kogoś, kto ma większe doświadczenie w technicznym aspekcie planowania zakupów – wyjaśnia Julia. Czy ja dobrze widzę, czy ona faktycznie wygląda, jakby była trochę rozczarowana? Chyba tak jest i ja też czuję rozczarowanie. Tak fajnie byłoby z nią pracować.

– Ale dobra wiadomość jest taka – odzywa się Seth – że znaleźliśmy dla ciebie bardzo ekscytujące zadanie.

– Och! Wow. Brzmi to obiecująco.

Seth odstawia filiżankę i poprawia krawat.

– Zostaniesz Naczelną Dyrektorką do spraw Trendów.

Teraz moja kolej, by odłożyć filiżankę, zanim po raz drugi w tym miesiącu rozleję herbatę. Naczelną? Dyrektorką? Trendów? Co?

– Wow! Ale co to oznacza? – pytam nieśmiało.

Julia zerka na Seta.

– Może ja wyjaśnię. W tej chwili dokonuje się w firmie wiele zmian strategicznych. Staramy się być nieco bardziej innowacyjni i wybiegać dalej w przyszłość.

– I wyrwać się trochę z lat dziewięćdziesiątych – dodaje Seth. – Dziewiętnastego wieku.

– Musimy więc mieć kogoś, kto będzie trzymał rękę na pulsie i będzie wyczulony na trendy. Kto powie nam, co będą nosić nasi klienci, czego będą potrzebować, ze szczególnym uwzględnieniem działu damskiego, oczywiście – mówi Julia. – A skoro mowa o dziale damskim, chciałabym – zerka na Seta – chcielibyśmy, żebyś się w jak największym stopniu zaangażowała w planowanie zakupów.

– Dbała o wiarygodność – dorzuca Seth.

– Tak więc co sezon damy ci małą część OTB.

– I możesz zrobić z tym, co chcesz! – zapewnia mnie Seth, dramatycznie rozpościerając ramiona.

Kiwam głową, staram się ukryć to, że jestem spanikowana, i zastanawiam się, co, do cholery, oznacza OTB.

– Chciałabym też, żebyś od czasu do czasu odwiedzała showroomy, wyraziła swoją opinię, w przyszłości pojechała też z nami na niektóre pokazy – wymienia Julia. Zaczynam dochodzić do siebie, gdy słyszę „showroom”, „opinia” i „pokazy”.

– To... cudownie! Jestem zaszczycona. – Próbując zyskać na czasie, pytam: – Czy to nowe stanowisko.

Seth śmieje się głośno.

– Oczywiście, że to nowe stanowisko. Chyba nie sądzisz, że potrzebowaliśmy dyrektora do spraw trendów, żeby pomógł nam kupować co roku te same szmizjerki i kapelusze.

– A czy jest może gdzieś spisana lista obowiązków? Tego, za co będę odpowiedzialna? – Innymi słowy, co ja, do cholery, mam robić.

– Zakres obowiązków jest szeroki – tłumaczy Seth. – Ogólne przewidywanie trendów, przygotowywanie zestawów inspiracji przed rozpoczęciem każdego sezonu, raporty dotyczące trendów do rozesłania co tydzień, raportowanie przed zarządem, spotkania zarządu.

– Zaraz, chwileczkę. Czy ja należę do zarządu?

– Tylko jako członek korespondent – wyjaśnia kojącym głosem Julia. Kiwam głową, starając się wyglądać na opanowaną.

– Te raporty będą miały wpływ na wszystko, w tym VM – dodaje Seth, a Julia kiwa głową. Ja też potakuję i zastanawiam się, co to jest ten VM.

– Przypuszczam, że pierwszym zadaniem – ciągnie Seth – będzie

przygotowanie małej prezentacji, przewidywane trendy na wiosnę i lato. Zgadzasz się ze mną, Jules?

– Tak, bardzo chcielibyśmy poznać twoją opinię na ten temat – mówi Julia. – Naprawdę szybko to wyczuwasz. Jak dotąd twoje przewidywania były niesamowite. Właściwie to niewiarygodne.

– Ale... – zaczynam mówić, zanim jestem w stanie się powstrzymać. Przecież tak naprawdę niczego nie przewidywałam, tylko sobie przypominałam. Nie potrafię jednak przywołać w pamięci niczego związanego z jesiennymi pokazami mody, bo byłam w takiej czarnej dziurze z powodu Davida, że nie zwracałam na nie uwagi. Jestem oszustką i nie będę umiała wykonywać tej pracy.

– Ale co? – pyta Julia. Wymieniają z Sethem zdziwione spojrzenia, jakby zaczęli teraz dostrzegać, że nie jestem tak szczęśliwa, jak powinnam być. Serce wali mi mocno. Mam dwa wyjścia: mogę się przyznać, że nie mam odpowiednich kwalifikacji, by przywoływać trendy, albo mogę po prostu... pójść na żywioł.

– Ale nic takiego! Myślałam, że muszę zgłosić odejście Karen z tygodniowym wyprzedzeniem.

– Faktycznie. W takim razie zaczniesz za tydzień.

Okej. Dzięki temu mam siedem dni na przyswojenie tego wszystkiego. Przypominam sobie, że nie zapytałam nawet o wynagrodzenie. Przez moment waham się, czy zadać takie pytanie i wyjść na zachłanną, czy nie pytać i zrobić wrażenie mało zorientowanej, i uznaję, że ta druga opcja byłaby dużo gorsza.

– Chcielibyśmy, żebyś zaczęła od sześćdziesięciu tysięcy funtów – oświadcza Julia. – Do tego dwadzieścia pięć dni urlopu i pięćdziesięcioprocentowy rabat w sklepie.

Kiwam dostojnie głową.

– W porządku.

Sześćdziesiąt tysięcy rocznie! To ponad trzy razy więcej, niż zarabiam teraz! To niewiarygodne! Okej, ta praca jest trochę przerażająca, ale dostrzegam trendy, potrafię robić prezentacje. Co może być w tym takiego trudnego.

•

Przez całą drogę w windzie – dają mi zapasową przepustkę – jestem w stanie się pohamować, ale przechodząc koło kasy, łapię

telefon, wybiegam na zewnątrz i wykonuję mały taniec na Regent's Street. Opuszcza mnie strach i jestem wniebowzięta. Rano byłam sprzedawcą, a teraz awansowałam na dyrektor do spraw trendów. Naczelną Dyrektor do spraw Trendów! Wybieram numer Rachel.

– Cześć – mówi. – Jak się miewasz? Jak poszła rozmowa? – Oddycham z ulgą, bo przyjaciółka sprawia wrażenie, jakby była w normalnym nastroju, a nie cierpiała z powodu Jaya. Choć raczej mało prawdopodobne, żeby ryczała w biurze – taką mam przynajmniej nadzieję.

– No cóż, nie dostałam posady asystentki w dziale zakupów, ale rozmawiasz teraz z Naczelną Dyrektor do spraw Trendów w Marley's Limited.

Dosłownie słyszę, jak piszczy w swoim biurze w St. Paul's.

– Coooo? Co to w ogóle znaczy.

– Oznacza to, że będę obserwować trendy i raportować, co jest modne. I zapłacą mi za to... no dużo.

Piszczy raz jeszcze.

– Raportować, co jest modne? Płacą ci za to, żebyś była Paris Hilton! O mój Boże, Zoe. Gratulacje! Musimy to uczcić.

– Tak! Ale zaczekaj, Rachel, jak się czujesz w związku, no wiesz, z Jayem.

Wydaje jakieś wymijające dźwięki.

– Jestem szczęśliwa, że udało mi się z tego wyjść cało. Słuchaj, odezwę się później do ciebie. I jeszcze raz gratuluję.

Po zakończeniu rozmowy śmieję się głośno, bo przypominam sobie, jak stałam tu w śniegu, taka nieszczęśliwa, dzień przed świętami. Jednak tym razem do tego nie dojdzie, bo będę.

Ale, zaraz, jeśli podejmę tę nową pracę, co się stanie, gdy za mniej niż miesiąc wyjadę do Ameryki? Albo inaczej: jeżeli pojedę do Ameryki, to czy wtedy będę musiała zrezygnować z mojej nowej wspaniałej pracy.

Postanawiam na razie się tym nie martwić. Może zostanę na dłużej i dołączę do Davida przed świętami, gdy zdobędę już trochę doświadczenia i poszukam innej pracy w Stanach. Albo może pozwolą mi pracować ze Stanów! W końcu jestem naczelną dyrektorką. Maszeruję do sklepu, żeby złożyć wypowiedzenie.

– Praca z tobą była prawdziwą przyjemnością – zapewniam

Karen. – Tak wiele się nauczyłam i bardzo się cieszę, że będziemy mogły dalej współpracować.

Kiwa głową, boleśnie wykrzywając twarz w próbie uśmiechu, choć wiem, że nie ma pojęcia, jak zareagować, gdy jej służka dostała się do zarządu.

– Praca z tobą także była przyjemnością, Zoe – wyznaje i dodaje ze śmiechem: – Zawsze wiedziałam, że tkwi w tobie ogromny potencjał.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiadam enigmatycznie.

•

Harriet miała rano wolne, ale gdy tylko zjawia się w pracy, przychodzi do mnie.

– Zoe! Nie uwierzysz, co się stało.

– Co takiego.

– Ktoś próbował się włamać do naszego domu podczas naszej nieobecności! – Kręci głową. – Miałaś rację! Dostaliby się do środka, ale uruchomił się alarm, a mama dodatkowo zaryglowała drzwi wejściowe. Ale skąd o tym wiedziałaś, Zoe? Jakim cudem to przewidziałaś.

– No... nie wiem – kończę bez przekonania. – Miałam po prostu przeczucie.

Harriet wpatruje się we mnie dłuższą chwilę, po czym mówi.

– Musisz mieć dar jasnowidzenia.

– Naprawdę? – odzywam się słabym głosem. – Tak sądzisz.

– Zaraz! Czy to właśnie robiłaś poprzednim razem, gdy chodziłaś tu z Julią? Przewidywałaś, co się stanie.

– No... – Niezręcznie mi, że użyła słowa „przewidywać”. – W pewnym sensie. A przy okazji... – mówię jej o mojej nowej pracy w charakterze naczelnej dyrektor do spraw trendów.

– O mój Boże! Zoe, to nic dziwnego! Masz dar jasnowidzenia! – Próbuję ją uciszyć, ale ona nawija dalej: – Będiesz mogła im powiedzieć, co dokładnie będzie modne! Co się sprzeda, a co nie! Nigdy nie popełnią błędów.

Nie chcę jej mówić, że myli się w kwestii mojego jasnowidzenia, bo to dogodne wytłumaczenie, ale z drugiej strony muszę ją uciszyć, zanim sprawa wymknie się spod kontroli.

– Posłuchaj, Harriet. Nie powiesz o tym nikomu, prawda?
Przysięgnij.

– Oczywiście, że nie – odpowiada natychmiast. – Przysięgam na wszystkie świętości. Poza tym – dodaje szybko – nawet gdybyś nie potrafiła przewidywać przyszłości, byłabyś świetna w tej pracy, naprawdę.

– Dzięki – mówię bez przekonania i mam wielką nadzieję, że się nie myli.

Rozdział 20

W pierwszym dniu pracy na stanowisku Naczelnego Dyrektora do spraw Trendów przychodzę do biura z kubkiem cappuccino w ręce i z sierpniowym numerem „Vogue’a” pod pachą. Oczywiście przeczytałam magazyn, gdy tylko się pojawił, ale i tak go potrzebuję: jest jak amunicja. To niesamowicie dziwne uczucie, gdy wchodzę do budynku, mijając ochroniarza Bruce’a, i zmierzam przez parter w stronę windy.

Kiedy jadę na górę (dzięki mojej własnej, zupełnie nowej przepustce!), przychodzi mi do głowy, że nie dostałam SMS-a od Davida, nie mówiąc już o kartce, w której życzyłby mi powodzenia. Odsuwam jednak od siebie tę myśl, uznając, że jest małostkowa i nie zasługuje na uwagę. David nie ma czasu na poszukiwania kartek w przerwie między kolejnymi operacjami, poza tym widzieliśmy się wczoraj.

Cały ubiegły tydzień był pochmurny i chłodny, więc niemal każdy wieczór spędzałam w domu, czytając wszystkie informacje, jakie udało mi się znaleźć na temat sprzedaży detalicznej odzieży i dodatków. Próbowałam też ułożyć sobie w głowie, co tak naprawdę oznacza „badanie trendów”. Odkryłam, że OTB to skrót od „open to buy” i jest to po prostu określenie na tę część budżetu, która została przeznaczona na zakup towaru zgodnego z najnowszymi trendami. Max był nieobecny przez większość tygodnia, bo musiał się wybrać z tajemniczą, nieprzewidzianą wcześniej wizytą do rodzinnego domu, więc nie widywałam go zbyt często. Fajnie było mieć mieszkanie tylko dla siebie.

A co najlepsze, spędziłam z Davidem całą sobotę i niedzielny poranek. Był naprawdę bardzo zmęczony, więc siedzieliśmy u niego w domu, choć w sobotni wieczór wybraliśmy się do Hampstead Heath na koncert na świeżym powietrzu. Motyw świeżego powietrza... no cóż, towarzyszył nam także po koncercie. Nie mogłam się całkowicie zrelaksować, bo słyszałam jakieś hałasy, ale tak bardzo cieszyło mnie nasze spotkanie po całym tygodniu niewidzenia się, że było warto.

A teraz mamy poniedziałkowy poranek, a ja jestem tutaj. Nie wiem nawet, kto jest moim zwierzchnikiem, więc odnajduję Julię, która ma na sobie bojówki J Brand oraz uroczą koszulkę na ramiączkach i z roztargnieniem przegląda maile, pijąc równocześnie kawę.

– Dzień dobry! Dobrze, pomogę ci się tu rozgościć. Przygotowaliśmy dla ciebie gabinet i tak dalej – odwraca się w moją stronę i prowadzi mnie przejściem między biurkami ustawionymi zgodnie z zasadą *open-space*. Kilka osób podnosi głowy i przygląda mi się z zaciekawieniem, co sprawia, że czuję się niepewnie – a co jeśli wyglądam na amatorkę, parując po biurze z „Vogiem” pod pachą? Czy sprawiam wrażenie, jakbym za bardzo się starała? Po drodze Julia przedstawia mnie kilku osobom i wydaje mi się, że każda z nich ma na sobie bojówki i buty na wysokim obcasie. Szybko zapominam ich imiona. Julia prezentuje mi mój nowy gabinet.

– Nie jest duży, ale masz ładny widok.

Nigdy wcześniej nie miałam swojego gabinetu. Z okna widać dachy Soho. Stoi tu fotel obrotowy, krzesło Ghost projektu Phillippe’a Starcka i błyszczący nowy Mac. Na drzwiach widnieje tabliczka, na której napisano: „Zoe Kennedy, Naczelną Dyrektor do spraw Trendów”. Ta chwila jest tak samo niewiarygodna jak moment, w którym obudziłam się i odkryłam, że znów jest lipiec, albo mój pierwszy pocałunek z Davidem po tym, jak cofnęłam się w czasie.

– Mamy zebranie dotyczące zakupów o jedenastej. W sali konferencyjnej – mówi Julia. – Możesz do nas dołączyć? Muszę się do niego przygotować, więc lepiej będzie, jeśli już pójdę.

Obchodzę gabinet i myślę sobie: „Mam biurko”. Nie muszę już stać osiem godzin dziennie! Taka okazja wymaga zakręcenia się na moim nowym krześle. Robię to, zanim ktoś zdąży mnie zauważyć. Włączam komputer. Dobra. To tyle. Mam komputer, mam telefon, mam notatnik i długopis. Czas zostać Naczelną Dyrektor do spraw Trendów. Ogarnia mnie panika, ale szybko udaje mi się ją opanować. Może trochę musiałam poudawać, żeby się tutaj dostać, ale teraz, gdy już mi się to udało, dam sobie radę.

Przez następną godzinę przeglądam strony internetowe pokazujące trendy i blogi modowe i robię notatki. Zapoznaję się też ze stroną Marley’s, która nadal tkwi w średniowieczu, oraz ze stronami Selfridges, Liberty i Harvey Nichols, żeby się zainspirować, gdy ktoś wchodzi do gabinetu, niosąc wielki bukiet różowych róż. Tuzin? Dwa tuziny? Nie wiem, bo nigdy wcześniej nie dostałam tylu kwiatów. Właściwie to nigdy nie przysłano mi takich róż.

– Poczta przyszła – obwieszcza Seth i wychyla głowę zza

bukietu. – Zobacz, co znalazłem w recepcji. Nikt się do tego nie przyznaje.

– O Boże! – Podbiegam i biorę kwiaty, zastanawiając się, czy przysłał je mój tato. To mało prawdopodobne, żeby zrobił coś takiego, ale nie jest to niemożliwe. Jednak nie. Na kartce napisano: „Dla Zoe. Życzę Ci powodzenia w pierwszym dniu pracy. D X”. Jestem wzruszona i mam wyrzuty sumienia – jak w ogóle mogłam pomyśleć, że David nie wysłał mi SMS-a. Gdyby nie było tu Setha, który najwyraźniej ma ochotę poplotkować, zaraz napisałabym do niego.

– Od kogo te kwiaty? – pyta Seth.

– Od mojego chłopaka.

– Oooh – wzdycha i rozsiada się na krześle. – Opowiadaj, opowiadaj. Kim jest, czym się zajmuje i od jak dawna jesteście razem.

Przynajmniej na te pytania mogę dziś odpowiedzieć z dużą dozą pewności siebie.

– Ma na imię David. Jesteśmy razem – nadal muszę obliczać – trochę ponad trzy miesiące. Jest kardiochirurgiem – wiem, że to płytkie, ale uwielbiam o tym mówić ludziom i patrzeć, jak ich brwi unoszą się w podziw, tak jak w przypadku Setha w tej właśnie chwili.

– Ka-kasa – mówi z aprobatą. – Miły chłopak, dobra praca – dodaje tonem charakterystycznym dla żydowskich matek. – No cóż, tutaj nikogo nie poznasz, więc wszystko w porządku, kochanie. Pomyślałem, że wpadnę i się przywitam... i zostawię ci kopię ostatniego raportu o trendach z naszej poprzedniej agencji.

Wręcza mi profesjonalnie wyglądający i przerażająco gruby folder z fikuśnym logo na okładce.

– Czyli już nie pracujecie... już nie pracujemy z nimi.

– Nie, w tobie pokładamy całe zaufanie. – Uśmiecha się do mnie i znika, po czym zagląda jeszcze raz do środka i pyta: – Przyjdiesz na spotkanie? Pomyślałem, że też się na nie wybiorę.

Oczywiście: spotkanie. Jest już jedenasta. Kątem oka zerkam na raport dotyczący trendów, zabieram notatnik i podążam za Sethem do sali konferencyjnej. Nie mam pojęcia, czego się spodziewać, więc odczuwam ulgę, gdy widzę, że w spotkaniu bierze udział mała grupa: pięć osób, wliczając już mnie i Setha. Julia przedstawia nas sobie. Clara, dziewczyna z długimi ciemnymi włosami, odpowiada za budżet. Oprócz niej w zebraniu uczestniczy Amanda, asystentka, która dostała

posadę, o którą ja się ubiegałam. Ma ciemną skórę i jest ubrana w plisowaną zieloną spódnicę i białą lnianą bluzkę z kołnierzykiem bebe. To dziwne, ale jej strój jest niemal identyczny jak mój mundurek szkolny, a Amanda przypomina mi Deirdre Hegarty, starszą uczennicę, która kiedyś doniosła, że palę papierosy na boisku.

Wydaje się zaskoczona naszą obecnością i spogląda pytająco na Julię.

– Zoe jest nową dyrektorką do spraw trendów i chciałam wysłuchać jej opinii. Zoe, w ramach wprowadzenia: dzielimy budżet na przyszłoroczne zakupy w dziale ślubnym. Mamy więc: Wang, Berketex, Temperley... – Zajmuję miejsce i staram się wyglądać na pewną siebie, gdy Julia rozdaje katalogi pełne zdjęć sukien ślubnych.

– Ale tak naprawdę musimy wiedzieć, co w przyszłym roku założy Kate – przypomina Seth. – Oczywiście zakładając, że wkrótce ogłoszą zaręczyny.

– Wiem! Gdybyśmy wiedzieli, nasze życie byłoby o wiele łatwiejsze. Stawiam na Temperley – mówi Julia.

– A może jakaś wschodząca gwiazda, jak Sophia Kokosalaki? – proponuje Amanda gorliwym, napastliwym tonem.

– Może. Albo McQueen? – zastanawia się Seth. – Mieli trudny rok w związku z Lee i w ogóle, ale...

– Tak, możliwe. A co ty sądzisz, Zoe? Masz jakieś pomysły? – pyta Julia.

– Niezupełnie – przyznaję bez zastanowienia, a później pukam się w czoło. Dlaczego nie wspomniałam Issy? Ale zaraz, czy oni w ogóle mają w ofercie suknie ślubne.

– No cóż, nie wiemy nawet, czy dojdzie do zaręczyn w rodzinie królewskiej, ale jakie twoim zdaniem będą trendy w modzie ślubnej w nadchodzącym sezonie.

Wszyscy milkną i odwracają się w moją stronę. Czuję suchość w gardle, bo nie dostrzegam żadnych trendów. Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia o trendach w modzie ślubnej. Muszę przyznać, że nigdy nawet o nich nie myślałam.

– Yhm – chrząkam. – Wydaje mi się, że zobaczymy... – Julia marszczy brwi. Mówię do siebie z desperacją: „Powiedz coś, cokolwiek!”.

– Wydaje mi się, że zobaczymy krótsze, mniej odświeżone

sukienki, takie, które kobiety będą chciały jeszcze kiedyś założyć. Tkwimy w recesji i nikt nie chce kupować ubrań zakładanych tylko jeden raz.

Wygląda na to, że nikogo nie przekonałam. Ale chyba sprawiałam wrażenie pewnej siebie (tak sędzę). Choć poruszałam się na oślep. A teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że to, co powiedziałam, jest prawdopodobnie bzdurą.

Julia robi minę, która mówi „być może”.

– No tak, w następnym sezonie chcemy dobrze pokazać brytyjskie marki, ale nie możemy poświęcać naszej uwagi wyłącznie brytyjskim projektom. Proponuję dwadzieścia procent dla Berketex.

Skupiam się tak mocno, jak tylko potrafię, ale czuję się, jakby rozmowa była prowadzona w języku francuskim. Gdy udaje mi się wreszcie załapać, o czym mówią, zmieniają temat. Koncentruję się na zapisywaniu określeń, których znaczenie muszę później sprawdzić: miks kategorii, rynkowy, SSQ, LFL. Gdy zauważam, że Seth przygląda mi się z zainteresowaniem, zakrywam notatnik tak, żeby nie mógł nic zobaczyć.

Jednak wydaje mi się, że zaczynam rozumieć: Clara chce pozostać przy sprawdzonych formułach, a Julia uważa, że powinniśmy wydawać większą część budżetu na nowych projektantów.

– W zeszłym roku dobrze sobie poradziliśmy – przekonuje Clara.
– W ciągu pierwszych czterech tygodni sprzedaliśmy osiemdziesiąt procent we wszystkich rozmiarach. Czemu nie mielibyśmy złożyć takiego samego zamówienia.

– Nie! To wyszło już z mody – wtrąca się Seth, a ja uśmiecham się do siebie: nieczęsto się słyszy, by ludzie tak mówili.

– Tutaj mamy te dziesięć dodatkowych z Belliny, które chcielibyśmy mieć na przyszły miesiąc – mówi Julia i wyjmuje kolejny katalog. – Chciałabym, żeby każdy się wypowiedział, żebyśmy mogli ograniczyć nasz wybór do trzech.

Oprócz Clary, która wstukuje liczby na kalkulatorze, wszyscy uważnie oglądamy sukienki. Jedna, o nazwie Seville, przyciąga mój wzrok – jest całkiem ładna, z koronkowym elementem na spódnicy. I druga, do kolan, która nazywa się Malibu, i kolejna, Moonlight, z paskiem ozdobionym kokardą. Ale wszystkie pozostałe są niemal identyczne: kremowy jedwab, gorset bez ramiączek wyszywany

korallikami na piersi, pełna spódnica. Przyglądam się tak dokładnie jak to tylko możliwe, ale, serio, nie widzę żadnych różnic. To jakaś sztuczka? Jakiś żart, który robi się nowym pracownikom.

– No cóż, na pewno ta, Moonlight – podejmuje decyzję Amanda i wskazuje na sukienkę z niebieskim paskiem. Wszyscy zgadzają się pod nosem, jakby to była tak oczywista sprawa, że nie trzeba o tym mówić.

– Co sądzisz, Zoe? – pyta Julia.

W myślach trzymam kciuki i wskazuję na sukienkę pośrodku, która wygląda identycznie jak te znajdujące się z prawej i lewej strony.

– Ooo! Kontrowersyjny wybór! – stwierdza Seth.

– Tak, niezwykła decyzja – zgadza się z nim Julia. – Dlaczego właśnie ta.

Co? O czym oni mówią? Czekam, aż ktoś powie: „Żartujemy!”, ale wszyscy patrzą na mnie z wyczekiwaniem.

– Moim zdaniem się wyróżnia – odpowiadam bez przekonania.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, iż jesteś za krótszymi sukienkami – odzywa się Amanda. – Dlaczego nie wybrałaś tej do połowy łydki.

Jej gładkie czoło jest pomarszczone i coś mi mówi, że Amanda potrafi rozpoznać oszustkę.

– Och, sądziłam, że to już załatwiliśmy wcześniej – wyjaśniam ogólnikowo.

Na szczęście chyba wszyscy zaakceptowali moje tłumaczenie i udaje mi się dotrzeć do końca spotkania, uniknąwszy kolejnych wpadek.

– Zoe – to Julia. – Zanim pójdziesz... Czy zdobyłaś już adres Keiry.

– Yhm, tak. Mam go... na biurku. Wyślę ci go mailem. – O Boże, zapomniałam o Keirze Knightley, mojej przyjaciółce gwieździe.

Biegnę do swojego gabinetu, zamykam drzwi i gorączkowo wpisuję w Google „Agent Keira Knightley”. Po kilku rozmowach telefonicznych, które prowadzę ściszym głosem, żeby nikt mnie nie podsłuchał, udaje mi się znaleźć agencję PR, która przyjmuje przesyłki dla Keiry, i zapisuję jej adres. Gdy odkładam słuchawkę, słyszę pukanie do drzwi, co omal nie przyprawia mnie o zawał. To Amanda. Przez sekundę wydaje mi się, że stanie, opierając się plecami o drzwi, i powie: „Koniec tej gry”. Ale mówi tylko:

– Zoe, czy mogłabyś przygotować szybki raport o trendach w kostiumach kąpielowych? Oglądam naszą *cruise collection*8).

8) Kolekcja międzysezonowa (przyp. red.).

– Yhm. Pewnie. A czy możesz mi przysłać... jakieś zdjęcia tej kolekcji? Albo listę tego, co już masz.

– To raczej nie działa w ten sposób. – Marszczy brwi.

– Oczywiście, że nie – mówię, choć nie mam pojęcia, na czym to polega. – Ale gdybyś mogła tylko wysłać mi jakieś, hm, materiały... żebym mogła zacząć. Dobrze? Dzięki! – wstaję i niemal wyganiem ją za drzwi, po czym wracam do bezpiecznej przystani w postaci swojego biurka i wpisuję do wyszukiwarki „cruise collection”. Jestem prawie pewna, że wiem, co to znaczy, ale chcę się upewnić.

Tak chyba musi się czuć włamywacz albo aktorka, która wyszła na scenę i zapomniała tekstu. Po raz pierwszy zastanawiam się, czy nie powinnam przyznać się do wszystkiego Julii i Sethowi. Może trzeba im powiedzieć, że choć wydaje mi się, że mam wyczucie stylu... potrzebuję szkolenia dotyczącego omawianych mechanizmów? Bo w ogóle ich nie rozumiem?

Ale może nie mam wyczucia stylu. Może odznaczam się tylko dobrą pamięcią i to wszystko.

Aby powstrzymać się przed przemianą w spanikowaną wariatkę, w myślach wygłaszam do siebie mowę motywującą: „Daj spokój. Potrafisz to zrobić, nauczysz się”. Biorę adres Keiry, idę do gabinetu Julii i mówię, że najlepiej będzie, jeśli wyślemy ubrania do agencji PR aktorki.

– Świetnie. Wybrałam dla niej kilka rzeczy. Wyślijmy je, po czym prześlemy notkę prasową – pokazuje mi dwie precudowne sukienki: długą, dopasowaną, z pięknego błękitnego jedwabiu i granatową z czerwonym wzorkiem, z krótkim rękawem i falbanką na dole. A do tego śliczną suknię z bordowego szyfonu, do kolan, z pierzastym zdobieniem na ramionach. Widziałam je wcześniej.

– Ach tak, Pilar Norman. Będą się dobrze sprzedawać. Właściwie to sądzę, że wyprzedadzą się w pierwszym tygodniu.

– Naprawdę? Nie mamy ich zbyt wiele. Może w takim razie zarezerwujemy ich sobie więcej u dostawcy – zastanawia się Julia. – Sądzisz, że spodobają się Keirze.

– Och... tak. Mogę ją sobie w nich wyobrazić – mówię zgodnie z prawdą.

– Świetnie, słuchaj, nie będzie mnie w biurze przez kilka dni. Może mogłabyś pójść do showroomu i obejrzeć propozycje nowego projektanta? Petera Sembello. Showroom znajduje się w Marylebone.

– Och, wow. Peter Sembello? Z przyjemnością.

– Super. Jeśli nie będziesz czegoś wiedziała, zapytaj Amandę.

Ulżyło mi, gdy widzę, że znów ma do mnie zaufanie, pomimo mojego wystąpienia na zebraniu. A jeszcze większą ulgę przynosi mi to, że słyszałam wcześniej o Peterze Sembello i wiem, że osiągnie spektakularny sukces.

Wracam do gabinetu – mojego gabinetu! – prowadząc zawieszane na stojaku ubrania dla Keiry, i czuję się, jakbym była częścią świata mody przez duże M. Dysponując nowo nabytą pewnością siebie, siadam do pracy nad raportem dla Amandy, dotyczącym kostiumów kąpielowych. Bardzo się cieszę, że nikt mnie nie widzi, i zaczynam od wpisania w Google hasła „trendy w kostiumach kąpielowych”. Dostaję miliard wyników, które zaczynam powoli przesiewać, starając się wychwycić powtarzające się motywy, kopiując zdjęcia i zapisując ich źródła. Ale jestem zaskoczona opiniami, które sobie nawzajem przeczą. Blogerka A sądzi, że nastąpił powrót do kostiumów retro z lat pięćdziesiątych, z kolei branżowa strona B głósuje za obcisłymi strojami. Kto ma rację? Obie strony? Żadna z nich? Nie mam pojęcia.

Postanawiam na razie porzucić moje badania nad kostiumami kąpielowymi i przeczytać poprzedni raport dotyczący trendów, żeby zobaczyć, czy zmierzam we właściwym kierunku. Po zaledwie paru stronach mój nastrój gwałtownie się pogarsza, bo raport jest fantastyczny: zawiera mnóstwo danych, całe strony analiz internetowego szumu na temat różnych marek oraz zestawienie zysków wszystkich domów towarowych w Londynie.

O mój Boże. Nie ma szans, żebym była w stanie przygotować coś choćby zbliżonego do tego raportu! Nigdy tego nie zrobię! To katastrofa! Mam wielką chęć wziąć płaszcz, wybiec z budynku i nigdy tu nie wrócić.

W tej właśnie chwili Seth zagląda do pokoju.

– Wszystko w porządku, kochanie? Pomyślałem, że ustalimy w

kalendharzu datę twojej pierwszej prezentacji.

– Tak, okej. Pracuję teraz nad czymś w związku z kostiumami kąpielowymi – odpowiadam i czuję, że nie będę w stanie opanować zbliżającego się ataku paniki. – Ale jestem pewna, że uda mi się wkrótce przygotować, ekhm, bardziej obszerny raport.

– W porządku. No to może... sprawdzmy... wtorek trzydziestego pierwszego sierpnia? Przed LFW.

Przynajmniej wiem, co znaczy ten skrót: London Fashion Week.

– Czy nie miałyby większego sensu, gdybym... zrobiła prezentację po tygodniu mody? Żebym mogła powiedzieć ludziom, co się działo na pokazach? – pytam nieśmiało. – Chodzi mi o to, że nowojorski tydzień mody jeszcze się wtedy nawet nie zacznie.

Seth kręci głową.

– Gdy pokazy się odbędą, będzie już za późno, moja droga. Przecież istnieją blogerzy, iPhone'y i gazety.

– Yhm, tak, jasne. – Dziś jest szesnastego sierpnia, co daje mi zaledwie trochę ponad dwa tygodnie na przewidzenie, co się stanie podczas londyńskiego tygodnia mody. Łatwizna. – A komu mam to zaprezentować? Zarządowi? Czy...?

– Na razie sądzę, że tylko kupcom i działowi handlowemu – mówi.

– Aha, świetnie, to znaczy w porządku. – Oddycham z ulgą i dodaję: – Przeglądałam ten raport z poprzedniej agencji. Jest... całkiem dobry.

– Ach, tak, jest dobry. Ale nie przejmuj się, kochanie. Być może nie masz takich jak oni metryk, oprogramowania, doświadczenia i zasobów ludzkich, ale posiadasz naturalne wyczucie, a to przecież się liczy, prawda?

– Prawda! – zgadzam się z Sethem. – Prawda.

Rozdział 21

Nie jestem w stanie znieść tej presji ani sekundy dłużej, wychodzę więc punktualnie o siedemnastej trzydzieści. Gdy Max wraca do domu, jestem już przebrana w spodenki i wiekową szarą koszulkę, zdążyłam też nałożyć samoopalacz i leżę na wznak na sofie. Oglądam *Zmierzch* i bez apetytu zajadam grzanki.

– Jak ci minął twój pierwszy dzień? – pyta.

– Gmh – tylko tyle jestem w stanie powiedzieć. Podnoszę rękę i wykonuję gest, który mówi: „Tak sobie”. – A jak twoja wyprawa.

– Moja wyprawa? A, w porządku. Pojechałem tylko do Walii, odwiedzić moich staruszków. Tam się wyprowadzili na emeryturze. Ale być może z powrotem się przeprowadzą.

Mam zamiar spytać go dlaczego, ale on szybko zadaje kolejne pytania.

– Chcesz coś z kuchni? Herbaty? Wódki? Jakies tabletki.

– Poproszę o herbatę. Mógłbyś mi zaparzyć malinę z dzikim bzem.

Wygląda niepewnie.

– A jak mogę coś takiego zrobić.

– Jest w różowym pudełku.

– Aha. Jedna różowa herbata, już się robi.

Gdy Max wychodzi, dostaję SMS od Davida. Wreszcie odpisał na wiadomość z dzisiejszego ranka, w której dziękowałam mu za kwiaty. „Cieszę się, że Ci się podobały. Trzymaj się. W pracy szaleństwo, ale nie mogę się doczekać naszego spotkania w piątek. XX”. Hm. Dwa ikсы. Super.

Max wraca z kubkiem herbaty, podaje mi go i siada obok mnie na sofie, z czasopismem „Nature” i miską z płatkami. Niedawno zauważyłam, że używa cały czas jednej miseczki, jak więzień. Podnoszę się z pozycji leżącej.

– Wiesz, możesz korzystać z moich talerzy i wszystkiego. Chyba że jesteś na koszernej diecie albo coś w tym stylu.

– Taki mam już nawyk. W poprzednim mieszkaniu tak właśnie robiliśmy – każdy z nas miał tylko jedną miskę i jeden talerz, których używaliśmy przez cały czas. Żeby uniknąć kłótni o zmywanie.

– Max! Czy tak właśnie się zachowujesz? To dlatego zawsze jest

tak czysto.

– W pewnym sensie.

Mam ochotę mu powiedzieć, żeby przestał, że nie musi się martwić kwestią zmywania, ale później myślę sobie: „No tak, jeśli to działa...”.

Przez chwilę oglądamy w ciszy *Zmierzch*. Ja częściowo patrzę na film, a częściowo zastanawiam się, czy R-Patza można uznać za przystojnego. Uświadamiam sobie również, że przyjemnie jest siedzieć z kimś i nie musieć nic mówić.

– Zaraz, wytłumacz mi coś – odzywa się Max po mniej więcej dziesięciu minutach. – Ten gość ma miliard lat.

– No kilkaset, tak.

– I ma niezliczone bogactwa i supermoce. I nadal chodzi do liceum.

– Wiem... to dziwne. Mógłby się zająć leczeniem raka albo czymś takim.

– Albo tworzeniem bezpiecznej energii odnawialnej. Albo nawet... nie wiem... układaniem bardzo skomplikowanych puzzli – wylicza Max. – Co byś zrobiła, gdybyś mogła wszystko.

– Gdybym miała supermoce? To fantastyczne pytanie – przerywam na moment. – Poza wszystkimi oczywistymi rzeczami, jak lekarstwo na raka, pokój na świecie i ratowanie środowiska? I umiejętność radzenia sobie dobrze w mojej pracy.

– Oprócz tego.

– No tak... kiedy byłam małą, chciałam być baletnicą. To ciężka fizyczna praca, ale i tak wydaje się, że byłoby cudownie. Teraz jednak otworzyłabym swój sklep. Butik.

– Tak? Mogłabyś się tym zająć – mówi zachęcająco.

– Mam nadzieję, ale to nie takie łatwe, jak się wydaje.

Oczywiście konieczny jest spory kapitał i właściwe podejście, trzeba też dobrze znać rynek, mieć wsparcie i dużo kontaktów, ale to właśnie chciałabym któregoś dnia zrobić.

– Czyli ta nowa praca powinna ci pomóc, nieprawdaż? Całe te trendy.

– Mam nadzieję. Ale to przerażające. Czuję, że tracę grunt pod nogami. Nie rozumiem niczego, co do mnie mówią, cały czas ściemnam.

- Ale to dobrze. To znaczy, że się uczysz.
Nie myślałam o tym w ten sposób.
- Chyba tak. Żałuję tylko, że nie studiowałam mody ani nie zdecydowałam się na studia podyplomowe zaraz po magisterce, zamiast zajmować się konsultingiem.
- Dlaczego tego nie zrobiłaś.
- Nie wiem. To było strasznie głupie z mojej strony. Wszyscy chyba zakładali, że zajmę się czymś babskim, na przykład public relations, więc chciałam udowodnić, że się mylą. I wydawało mi się, że to będzie interesujące. No i... kobieta, która przeprowadzała ze mną rozmowę, była naprawdę świetnie ubrana.
- Co?
- No tak. Miała na sobie cudowną matową jedwabną koszulę w odcieniach bieli i brązu, czarne skórzane spodnie i zabójcze buty na obcasie, no i wspaniałe ciężki naszyjnik z dużych paciorków. A ja pomyślałam, że jeśli zacznę tam pracować, będzie mnie stać na takie ubrania. To było tak głupie. Jednak wkrótce zmądrzałam.
- To znaczy.
- No wiesz, dotarło do mnie, że nie ma tam żadnego blasku ani szyku. A ty? Co byś zrobił, gdybyś miał supermoce.
- Pomógłbym wynaleźć lekarstwo na alzheimera.
- Aha – patrząc na kontrast między naszymi ambicjami, czuję się trochę płytka.
- Ale gdyby to się nie udało, uszczęśliwiłoby mnie powodzenie mojego eksperymentu. Tego lekarstwa nie wynajdzie jedna osoba, wiesz? Musi się zdarzyć kilka rzeczy.
- Będę za ciebie trzymać kciuki. – Uświadamiam sobie, że komentarze Davida odnośnie tego, że Max to ekscentryk, nie wydają mi się już zgodne z prawdą. Mam wrażenie, że jest bardzo zaangażowany w swoją pracę.
- Patrzemy, jak Kristen Stewart wsiada do jeepa i jedzie do szkoły przez opustoszały las.
- Kiedy oglądałem amerykańskie filmy i seriale i widziałem dzieciaki jadące własnym autem do szkoły, wydawało mi się to takie fajne – mówi Max.
- Ja też! Tak samo myślałam. Ale nie zazdroszczę jej miejsca, w którym mieszka. Jest tam tak szaro i posępnie, jak na końcu świata.

– Nie, tam jest pięknie. Byłem tam – nie w Forks, ale spędziłem tydzień pod namiotem w stanie Waszyngton. To było niezwykłe. Takie dzikie i odległe... Przez wiele mil nie spotkałem nikogo poza paroma niedźwiedziami.

Przypomina to moją wizję piekła.

– Nie lubię spać pod namiotem.

– Nie? Nie przepadasz za takimi dzikimi klimatami? Jestem w szoku.

– Ej! Nie jestem księżniczką. Po prostu nie lubię spać pod namiotem. – Sięgam po pilniczek i zabieram się do piłowania paznokci.

– Słuchaj, chodziłam do Irish college. Wiem, co to dzikie klimaty.

– Irish college? A co to takiego.

– To coś w rodzaju gułagu na zachodzie Irlandii, gdzie jedziesz, by nauczyć się irlandzkiego. Radzą ci, byś nie pakował dżinsów, bo tak często tam pada, a sałatka to plasterki szynki i pomidora, i odsyłają cię do domu za mówienie po angielsku. Ale i tak jest świetnie.

– Cofam to. Bear Grylls nie mógłby się doczepić. A jakie byłyby twoje wymarzone wakacje? Dwa tygodnie na Bali? Zakupy w Nowym Jorku.

– Zakupy w Nowym Jorku zawsze czynią cuda – przyznaję. – Ale tak naprawdę chciałabym przejechać przez całe Stany. Ruszyć z Nowego Jorku i dotrzeć aż do Kalifornii.

– Ja też. Robiłem wiele wycieczek po Kalifornii, ale niezbyt często wyjeżdżałem poza granice stanu. Jest tam tyle ciekawych rzeczy: winnice, Big Sur, pustynia...

– Brzmi świetnie. – Zastanawiam się, czy kiedyś zrobię coś takiego. Mam nadzieję, że tak. Przejeżdżam dłonią po nodze, żeby sprawdzić, czy wyschłam.

– Już się odpowiednio spiekłaś? – pyta Max.

– Tak, wszystko gra! – Śmieję się, ale czuję, że się trochę rumienię.

– Wybacz. Chodzi o to, że... wydawało mi się, że wszystko już widziałem, skoro miałem dwie siostry. Ale nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kto miałby tak wielki arsenał gadżetów poprawiających urodę.

– Jakich gadżetów! – protestuję. – Nie mam gadżetów.

– A to, jak to nazywasz? To piszczące.

– Ta kostka? To polerka do paznokci! Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałeś.

– Nie, i nie słyszałem, by ktoś nazywał ją kostką.

– No cóż, najwyraźniej urodziłeś się w oborze.

Rzucam w niego polerką, a on z łatwością ją łapie i zaczyna się śmiać. Ja też się śmieję. Mam zamiar uderzyć go w ramię, ale postanawiam tego nie robić. Byłoby to zbyt... nie byłby to oczywiście flirt, ale... mam świadomość, że jestem ubrana w raczej krótkie spodenki i siedzimy blisko siebie na kanapie. Na chwilę napotykam jego wzrok, po czym Max spogląda swoimi ciepłymi brązowymi oczami w drugą stronę.

Na ekranie Edward właśnie przemknął przez parking i uratował Bellę przed śmiercią pod kołami samochodu.

– No proszę! Właśnie zrobił użytek ze swoich supermocy. Ocalił jej życie – mówię.

– Wreszcie uczynił coś pożytecznego – przyznaje Max.

Śmieję się i patrzę na niego, jak obserwuje Edwarda. Ma na sobie zieloną koszulkę i obcisłe czarne dżinsy – najwyraźniej nowy nabytek. Do twarzy mu w zielonym kolorze – podkreśla orzechowy kolor oczu i oliwkową skórę. Chciałabym pomóc mu odnaleźć swój styl: ubrałabym go w szarości i zielenie, i w coś bardziej dopasowanego, może ładną błękitną koszulę i wąskie czarne sztruksy.

Zastanawiam się, co powiedziałyby Max, gdyby wiedział, że cofnęłam się w czasie i nie zdołałam zapobiec ani jednemu wypadkowi, katastrofie naturalnej czy aktowi terroryzmu, oczywiście za wyjątkiem włamania do domu Harriet. Prawdopodobnie pomyślałby, że jestem tak samo bezużyteczna jak Edward.

Dzwoni telefon. Maks zerka na niego, po czym wycisza dzwonek.

– To tylko moja siostra – informuje mnie smutnym głosem. – Później do niej zadzwonię.

– W domu wszystko w porządku? – pytam niezobowiązująco.

Kiwa głową i nic więcej nie mówi. O co chodzi z tą niechęcią do podania numeru telefonu do domu, a teraz z tą nagłą wyprawą... Zastanawiam się, czy jego rodzice się rozstają albo coś podobnego. Postanawiam zmienić temat – nie chcę być wścibska.

– W każdym razie, wracając do tematu Edwarda, nie wiemy, jak

to jest mieć dwieście lat – przypominam. – Może próbował wyleczyć raka, ale mu się nie udało, więc chodzi do szkoły, bo nie ma nic lepszego do roboty – wymachuję lewą stopą, żeby paznokcie szybciej wyschły. – Może posiadanie supermocy jest bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje.

Max kiwa głową.

– Wielka siła oznacza wielką odpowiedzialność – stwierdza głębokim głosem, jak z trailera filmowego.

– Ty to powiedziałeś – mówię i mam pewne przeczucia.

Rozdział 22

Jakoś udaje mi się przetrwać resztę pierwszego tygodnia w pracy. Głównie dzięki ukrywaniu się w swoim gabinecie i przygotowywaniu prezentacji, a także sporadycznym wyprawom do Soho, by nasiąknąć tym, co nosi ulica. Ta część pracy na pewno jest przyjemna, ale większość trendów, które dostrzegam – noszenie botków do letnich sukienek czy wiązanie włosów w kok na czubku głowy, co robi chyba każda dziewczyna – nie przyda się w Marley's. Zauważam wiele spódnic z wysoką talią, ale nie wiem, co to znaczy. Czy kobiety nadal będą je nosić latem w przyszłym roku, czy nie? Boję się zgadywać.

Najjaśniejszym punktem tygodnia jest moja wizyta u Petera Sembello, w showroomie przy Marylebone High Street, który pełni też funkcję pracowni. Peter jest bardzo sympatyczny, prezentuje mi sterty skór i przykłady okuć i omawia ze mną swoją nową kolekcję przygotowaną na sezon wiosna/lato, o której mówi, że jest inspirowana jego przechadzkami po Mediolanie – mieście, w którym urodził się jego ojciec. Torebki są cudowne: wyjątkowo miękkie skóry w pięknych odcieniach przytłumionego różu, zieleni i brązu, eleganckie formy i proste prążkowane wykończenia. Jak przewiduje Peter, w przyszłym roku będą bardzo modne duże torby z podwójnymi uchami i torby uniseks na ramię. Zdaniem projektanta kończy się też epoka kultowych torebek i generalnie będą one nieco mniejsze, co jest informacją, którą chwytam jak zgłodniała wiewiórka orzeszka. Wychodzę stamtąd niesamowicie zainspirowana i podekscytowana, jakbym wreszcie się czegoś uczyła (no i dostałam w prezencie torebkę).

W piątek siedzę przy biurku, przeglądam blog Sartorialist i zastanawiam się, czy noszenie mokasynów bez skarpetek do podwiniętych spodni liczy się jako trend, gdy słyszę pukanie do drzwi. Do środka wchodzi Clara.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy przejrzeć twoje zamówienie od Petera Sembello – mówi.

– Naprawdę? Nie zdawałam sobie sprawy, że będę składać jakiegokolwiek zamówienia. Sądziłam, że Julia kazała mi tylko pójść do showroomu i obejrzeć torebki.

Clara marszczy brwi.

– Nie, poleciła mi omówić z tobą zamówienie i chciała, żebyśmy

je złożyły przed jej powrotem.

Boże, nie sądziłam, że Julia tak bardzo zaufa mi w kwestii kupowania. Bardzo się cieszę, że mam obok siebie Clarę – ona na pewno wie, jak to się robi.

– Oczywiście – przyznaję energicznie. Postanawiam, że najważniejsze, gdy nie do końca rozumiem, co się wokół mnie dzieje, to sprawiać wrażenie pełnej werwy i pewnej siebie. – Ale... nigdy wcześniej tego nie robiłam, więc może mogłabyś opowiedzieć mi, jak to zazwyczaj wygląda – dodaję najbardziej autorytarnym tonem, na jaki mnie stać.

– To naprawdę zależy tylko od ciebie – wybierz tyle modeli, ile chcesz.

– No dobrze, zobaczmy. – Przyglądam się zdjęciom i próbuję wymyślić, jak będzie wyglądało dobre zestawienie wzorów i kolorów. Clara obserwuje mnie uważnie. Wolałabym, żeby sobie poszła.

Biorę do ręki ołówki i zaznaczam kółkiem kilka modeli. Clara z trudem łapie powietrze z przerażenia i wręcza mi oddzielną kartkę. Ups.

– Wiesz co? Chyba zajmie mi to trochę więcej czasu. Czy mogę się do ciebie zgłosić później? – pytam pewnym tonem i wyprowadzam ją za drzwi.

Gdy udaje mi się pozbyć Clary, jestem w stanie porządnie się skoncentrować. Zadanie jest dużo trudniejsze, niż się wydaje, ponieważ, co oczywiste, nie kupuję dla siebie. Pytam nawet Amandę, czy wie, jak mogę sprawdzić, jakie torebki najlepiej się u nas sprzedawały w ciągu ostatnich trzech lat – pomaga mi, ale robi to z wielką niechęcią. Wreszcie wracam do Clary i razem składamy zamówienie na dwadzieścia torebek, co sprawia mi wielką satysfakcję. Przynajmniej mam pewność, że zrobiłam coś jak należy: wiem, że Peter Sembello osiągnie wielki sukces.

Wyskakuję na lunch do Benugo (jak przyjemnie chodzić na dobry lunch i nie musieć się martwić jego ceną!), a gdy wracam, postanawiam pójść do kuchni, by zaparzyć sobie kawę. Nie wchodzę jednak do środka, gdyż słyszę rozmowę. Po ściszonych głosach i wybuchach śmiechu poznaję, że rozmawiają o kimś: o mnie.

– No dobra, rozumiem, że można dać jej jakąś wymyśloną funkcję i gabinet do zabawy, ale dlaczego muszą ją czynić

odpowiedzialną za zakupy? – to Amanda. – To oczywiste, że nie ma o tym zielonego pojęcia. Clara mówiła, że Zoe przed chwilą złożyła zamówienie na chybił trafił.

Na chybił trafił? Co za krowa! Mnie powiedziała, że było w porządku.

– Muszę przyznać, że nie mogę się doczekać jej raportu dotyczącego trendów – mówi ktoś inny i zaśmiewa się złośliwie. Przez moment mam obawy, że to Seth, ale to Louis, odpowiedzialny za zakupy w dziale męskim. Nie miałam okazji zbyt często z nim rozmawiać. Zastygam w miejscu. Wiem, że powinnam sobie stąd pójść, ale nie jestem w stanie.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, ale Julia wie, że mam doświadczenie w dziale akcesoriów. Dlaczego to Zoe mogła kupić projekty Sembello? – ciągnie rozzalona Amanda. – Jakie ona ma w ogóle doświadczenie? Pracowała wcześniej jako ekspedientka.

– No cóż, wiesz dlaczego tak naprawdę ją zatrudnili... – śmieje się pod nosem Louis.

– Dlaczego? Z kim sypia? – pyta z goryczą Amanda. Suka! – O nie, nie mów mi. Przyjaźni się z Keirą Knightley. Co jeszcze.

– Chodzi tylko o pieniądze. Kazano im obniżyć koszty, a ona jest dużo tańsza niż agencja, z której usług korzystali. Poza tym Seth może z jej pomocą przepchnąć to, na czym mu zależy.

Auć. Mam zamiar odejść stamtąd na paluszkach, gdy słyszę ostatnią rzecz.

– Moim zdaniem ona wcale się nie zna na trendach, a już na pewno nie na kupowaniu – mówi Amanda. – Daję jej kilka tygodni, po tym czasie stąd wyleci.

– Tak. Mają tu jakiś słodzik? Jestem na detoksie.

Słyszałam już wystarczająco dużo. Odwracam się i wychodzę na zewnątrz, by zebrać myśli. Płoną mi policzki, a w gardle czuję kluchę. Jestem upokorzona i przerażona. Czy to właśnie wszyscy o mnie myślą? Że blefuję, że mam lipną funkcję albo że się z kimś przespałam dla awansu? Albo że jestem tu, żeby przyklaskiwać Sethowi.

„To prawda – mówi wredny głos w mojej głowie. – Blefujesz. Tak naprawdę niczego nie potrafisz przewidzieć. Jesteś tylko ekspedientką, której się poszczęściło”.

Staję jak wryta na ulicy przed Starbucksem. No dobrze. Może i

blefuję. Ale to wcale nie oznacza, że nie nadaję się do tej pracy. Będę tak długo udawać, aż się nauczę.

Kupuję podwójne espresso i zdeterminowana wmaszerowuję do biura. Żadnego przeglądania stron internetowych: potrzebuję czegoś, czego w sieci jeszcze nie ma. Zaczynam od obdzwonienia wszystkich modowych agencji public relations, przedstawiam się i proszę o przesyłanie informacji prasowych, następnie dzwonię do agentów kilku projektantów, żeby się umówić na spotkania i obejrzeć ich prace przed londyńskim tygodniem mody. Telefonuję też do Sinead Devlin, która daje mi kilka genialnych rad w swoim charakterystycznym, wyluzowanym stylu.

– Każdy sezon jest zbudowany według tego samego wzoru, wiesz o co chodzi? – pyta. – Będziesz miała trzy nowe trendy i dwa klasyczne. A w ich obrębie – jeden retro, jeden etniczny i jeden prawdopodobnie futurystyczny. Metaliczne elementy są teraz bardzo modne – głosowałabym, że to one będą stanowiły ten futurystyczny trend.

Gdy umawiam się na spotkania, zaczynam budować tablicę trendów. Nie obchodzi mnie, czy depczę po palcach Amandy, czy kogokolwiek innego. Zrobię taką prezentację, że spadną im czapki z ich małych głów.

Wychodzę z biura o osiemnastej i spotykam się z Rachel na drinka. Jest kolejny gorący, słoneczny wieczór, więc zamiast stać w kolejce do baru w pubie, kupujemy w sklepiku na rogu zimne piwo Peroni i wypijamy je na Golden Square. Nie tylko my wpadłyśmy na ten sam pomysł: malutki plac jest pełen ludzi, a jakaś grupa ustawiła sobie linę i ćwiczy chodzenie po niej.

Najpierw nadrabiamy zaległości z życia Rachel. Stopniowo zaczyna sobie radzić ze sprawą w pracy. Tak bardzo żałuję, że nie mogę jej powiedzieć, że ją wygra, więc wszystko, na co mnie teraz stać, to gadki motywujące. Jay dwa razy zaprosił ją na drinka, a ona dwukrotnie odmówiła.

– To świetnie – mówię z podziwem. – To musi być trudne.

– Nie, właściwie to bardzo proste. Wydaje mi się, że gdybyśmy byli ze sobą o miesiąc dłużej albo gdybym nie dowiedziała się o jego postępowaniu, byłoby to naprawdę niełatwe, ale udało mi się z tego wyrwać o czasie.

Z entuzjazmem kiwam głową. Cieszę się, że to słyszę.

– W każdym razie... tak sobie myślałam... – przerywa na tak długo, że muszę z dwadzieścia razy zapytać „co?”, zanim zaczyna mówić dalej.

– No bo tak: Jay jest cudowny i była między nami niesamowita chemia i w ogóle, ale nie był dla mnie zbyt miły – powoli wypowiada słowa, jak gdyby doznała właśnie oświecenia.

– Nie, chyba nie – potwierdzam z namysłem, jakbym i ja pomyślała o tym po raz pierwszy.

– Ale ktoś taki jak Oliver... to będzie bardzo wredne.

– Tak?

– On po prostu... po prostu nie jest... to znaczy ma dobrą pracę i w ogóle, ale jest tak wysoki, że aż dziwaczny. I odstają mu uszy. I zawsze nosi strój kolarski i jest trochę zbyt... gorliwy.

Znów kiwam głową.

– Ale może tak właśnie powinnam zrobić. Powinnam zostać przy Oliverze. Przecież jest sympatyczny... – Wydaje się niepokieszona. – Może tak właśnie wszyscy postępują. Może na tym polega sekret.

– Nie sądzę, żebyś musiała poprzestać na czymś, z czego nie jesteś w pełni zadowolona. Ja tak nie zrobiłam.

– Nie! No i chyba masz szczęście. David jest boski, inteligentny, odnosi sukcesy i jest dla ciebie miły, ale nie zbyt miły. Jest idealny.

– Wiem – odpowiadam i po raz milionowy myślę, że jestem szczęściarą.

– A jak nowa praca.

– Trochę przypomina to. – Wskazuję palcem na linię. – Jest ekscytująca, ale dla mnie zbyt trudna. Pracuję nad prezentacją, której temat stanowi dla mnie zagadkę, i czuję się jak oszustka.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale takie same uczucia towarzyszą mi prawie każdego dnia.

– Serio?

– Tak. Pamiętaj tylko, że nie zatrudniliby cię, gdybyś nie była w stanie wykonać tej pracy. Masz talent, a oni go dostrzegli i właśnie dlatego znalazłaś się w tym miejscu.

Chciałabym móc powiedzieć jej prawdę, ale tylko kiwam głową.

– To samo twierdzi Max. Był naprawdę świetny w tym tygodniu i wygłosił wiele mów motywacyjnych. – Śmieję się na myśl o radzie,

jakiej mi udzielił („Pomyśl, co zrobiłaby Christina Aguilera”).

– A co mówi David? Widzieliście się niedawno.

Kręcę głową.

– Ostatnio w weekend. Ale pisaliśmy do siebie i przysłał mi śliczne kwiaty w pierwszy dzień pracy.

– To miłe... ale pewnie i tak świrujesz.

– Tak, postanowiłam jednak zachowywać się, jakbyśmy byli w związku na odległość. – Wiedziałam, że sierpień będzie właśnie taki, szalony. – W każdym razie, spotykamy się jutro.

– Świetnie. A co chcesz robić w urodziny? Nadal planujesz karaoke.

Wzdrygam się na myśl o tym, jaką klapą okazały się poprzednim razem moje urodziny.

– Nie karaoke. Jakaś mała kolacja, niezbyt wiele gości. Może tylko ty, ja, David, Harriet, Kira, Max... – znów wybucham śmiechem.

– Max poinformował mnie, że tego wieczoru gra jakaś kapela nu-wave folkmetalowa, ale powiedziałam mu, że wolę kolację.

– Zoe, planujesz w najbliższym czasie wybrać się do lekarza.

– Do Davida? Mówiłam ci przed chwilą, że widzimy się jutro. A czemu.

– Nie, miałam na myśli lekarza w przychodni. Wydaje mi się, że mogłaś się zarazić „wspomnieniem”.

– Czym?

– No wiesz, Max i ja siedzieliśmy... eksperyment Maksa dobrze wychodzi... Max uważa, że powinnam być jak Christina Aguilera.

– To wariactwo. Nie jestem chora na „wspomnienie”. Mam chłopaka. A Max to mój współlokator! – Równocześnie zastanawiam się, czy naprawdę aż tyle mówię o Maksie? – To tylko przyjaciel. Chodzi o to, że dotrzymuje mi towarzystwa, gdy David jest tak zajęty pracą.

– Aha. Dotrzymuje ci towarzystwa, tak? No dobra, przestań, przestań! – woła Rachel, gdy ją poklepuję. – Wiem, że nigdy by ci się nie spodobał. Jest miły, ale nie gra w tej samej lidze co David.

– Oczywiście, że tak! – zapewniam ją i z jakiegoś powodu mam dziwne poczucie winy, jakbym była niełojalna wobec Maksa. Ale gdybym o tym powiedziała, Rachel źle by mnie zrozumiała, więc ignoruję temat i zaczynamy omawiać miejsca, w których można

urządzić moje urodziny.

Rozdział 23

Gdy wracam do domu około dwudziestej pierwszej, zastaję Maksa z nogami na stoliku. Je płatki z kubka i zajmuje się grą na wideo. Wygląda na jeszcze bardziej nieogolonego niż zazwyczaj i ma na sobie tę samą koszulkę poplamioną atramentem, w którą był ubrany, gdy się poznaliśmy. Na jego widok odczuwam ulgę, bo wiem, że Rachel wcale nie miała racji. Naprawdę sędzę, że nawet gdybym nie była z Davidem, nie zainteresowałby mnie gość, który lubi gry fantasy. Poza tym on też się mną nie interesuje. Jak mogłoby być inaczej, skoro zaraz po powrocie do domu zdejmuję ładne ubranie i zmywam makijaż.

Przebieram się w spodnie od dresu – albo luźny strój wieczorowy, jak mam w zwyczaju mówić – i dołączam do Maksa siedzącego na sofie. Kiedyś siadaliśmy prostopadle do siebie, jedno na kanapie, drugie na fotelu, ale teraz czuję się na tyle swobodnie, by usadowić się obok niego i uniknąć siedzenia na rozwalonym fotelu.

– W co grasz? – pytam.

– W Zeldę – odpowiada jednostajnym głosem i nawet nie podnosi wzroku. – Muszę uratować odłączoną od ciała księżniczkę i przywrócić ją do normalnego stanu.

– Tak przy okazji, przyszło coś do ciebie pocztą. – Podaję mu kopertę, którą zabrałam z dołu, a sama otwieram przesyłkę od mamy, w której jest ogłoszenie w sprawie pracy na stanowisku ekspedientki w Brown Thomas w Dublinie. To trzecie ogłoszenie dotyczące pracy, jakie przesłała mi od czasów mojej przeprowadzki do Londynu.

Max szybko bierze swoją kopertę i odrzuca ją na bok.

– Nie ma sensu jej otwierać – mówi, wymachując padem jak mieczem. Na ekranie mały animowany człowieczek walczy z potworem.

– Nie?

– Nie, to PSO. – Klika jak szalony, a głowa potwora odpada z głośnym, pustym hukiem. Gdy widzi, że nic nie rozumiem, wyjaśnia:

– Wiesz, proszę się odpier... Dziękujemy za aplikację, lecz nie jesteśmy zainteresowani.

– Ale to się zmieni, jeśli twój eksperyment się powiedzie, prawda?

Potrząsa głową.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że dane wyglądają obiecująco.

– No tak.

– No to ostatnio już tak dobrze się nie prezentują. Mam wrażenie, że to może być zły trop.

– Oj. – Nie widziałam Maksa od kilku dni, więc słyszę o tym po raz pierwszy. Wydaje się, że spędza całe dnie w laboratorium, choć raz, gdy obudziłam się o czwartej nad ranem i przeszłam obok jego pokoju, zobaczyłam, że pali się światło.

– Ale możesz przeprowadzić następny eksperyment, nieprawdaż? Uśmiecha się krzywo.

– Teoretycznie mógłbym przeprowadzić setki eksperymentów. Ale one kosztują, a moje fundusze skończą się za sześć miesięcy. A właściwie to za pięć.

– Aha, no tak. – Siadam na sofie naprzeciw niego, zdeterminowana, by pomóc mu wymyślić plan działania. – A co zrobisz, gdy już nie będziesz miał pieniędzy.

Włącza pauzę, odkłada pada i przeczesuje włosy palcami.

– Nie chcę o tym nawet myśleć – przyznaje. – Składałam aplikacje wszędzie, więc jeśli mi się poszczęści, może załapię się na coś za granicą.

– W Stanach.

– Możliwe. Ale będę musiał mieć szczęście. Zaoferowano mi coś w Szwajcarii, zawsze to jakaś opcja, jednak przyjęcie tej oferty oznaczałoby, że muszę porzucić to, co robię tutaj. Poza tym nie za bardzo chcę teraz wyjeżdżać z kraju.

Nigdy nie widziałam, żeby był tak przygnębiony. Normalnie jest taki pogodny. Marszczę brwi i zastanawiam się, jak mu pomóc i co doradzić.

– A jak wyglądałby idealny scenariusz.

– Idealny scenariusz jest taki, że mój eksperyment przynosi dobre rezultaty, opisuję je i trafiam do jakiegoś naprawdę uznanego periodyku, jak na przykład „Science” albo „Nature”. Gdybym miał coś takiego na koncie, byłbym prawie pewien, że znajdę pracę.

Zauważyłam, że czytał te czasopisma. Ewidentnie są dla niego odpowiednikami moich „Women’s Wear Daily” czy „Vogue”.

– Wiesz, chciałbym mieć kryształową kulę. Chciałbym wiedzieć, czy ten eksperyment się powiedzie, czy też wszystko to jest jak domek

z kart i powinienem uciec z tonącego okrętu i przyjąć tę drugą ofertę.

Kiwam głową, desperacko próbując sobie przypomnieć, czy David mówił cokolwiek na ten temat. Chciałabym móc powiedzieć Maksowi, jak to się skończy, albo dać mu trochę nadziei.

– Przepraszam – odzywam się bez zastanowienia. – Po prostu nie pamiętam.

– Co to znaczy: nie pamiętam.

– Chodziło mi o to, że po prostu nie wiem.

– Ale dlaczego powiedziałaś, że nie pamiętasz? – ściąga brwi i przygląda mi się uważnie.

– Niekiedy tak mam. Mylą mi się wyrażenia. Czasem na przykład powiem „dziękuję”, gdy powinnam powiedzieć „do widzenia”.

– Aha – mówi Max i dalej dziwnie na mnie patrzy.

– Właściwie to.

Zamykam usta. Nie mogę uwierzyć, że miałam zamiar powiedzieć mu o mojej podróży w czasie. Pomyślałby, że uderzyłam się w głowę, zadzwoniłby do Davida i zaraz potem wezwał karetkę. Mam zamiar pod jakimś pretekstem zmienić temat, gdy nagle w pokoju gaśnie światło, wyłącza się też telewizor. Piszczę.

– Co jest, do cholery? – pyta Max. Czuję, że wstaje.

– O cholerka! Awaria prądu.

Zupełnie zapomniałam, że poprzednim razem też to miało miejsce. Byłam w domu i oglądałam telewizję, gdy wyłączyli prąd.

– Sprawdzę bezpieczniki – informuje mnie Max.

– To nie bezpieczniki, to awaria. Spójrz, jest ciemno na całej ulicy.

– Faktycznie. – Wygląda przez okno. – Mogę zadzwonić do elektrowni, sprawdzić, czy już wiedzą.

– Nie ma takiej potrzeby. Włączą prąd przed północą.

– Skąd to wiesz.

Odwraca się do mnie. Widzę zarys jego twarzy, ale nie wiem, jaką ma minę. Martwię się, że powiedziałam zbyt dużo.

– Nie wiem, na ogół tak jest, gdy dochodzi do awarii. A na razie mam w kuchni świece i zapalki, w szafce pod zlewem. Przyniosę je.

– Zaczynam ostrożnie przesuwając się w stronę kuchni.

– Nie, ja je przyniosę – mówi Max, stojąc za mną.

Odwracam się i wpadam na niego. Przytrzymuje mnie rękoma.

– Zaczekaj tu. – Łagodnie wyplątuje się z tej pozycji.

Siadam ostrożnie, po omacku znajdując drogę. To dziwne, ale podczas zderzenia, gdy dotknął palcami moich nagich ramion, coś poczułam – prawie jak porażenie prądem. Pewnie to tylko szok.

Po kilku minutach Max wraca i zaczyna zapalać świece. Ustawia je w rzędzie na stoliku. Kiedy pokój rozbłyskuje kilkunastoma małymi płomykami, po krótkim wahaniu siada obok mnie.

– No dobrze – zagaja. – Znasz jakieś dobre opowieści o duchach.

Dziwne wrażenie znika, gdy oboje zaczynamy się śmiać. Po chwili znów rozmawiamy, nawet więcej niż podczas poprzednich wieczorów: o rodzinach, pracy i przyjacielach oraz wszystkich tych drobnych rzeczach, o których warto wspominać tylko osobom widywanym codziennie. Jest dziwnie intymnie, zwłaszcza że siedzimy w półmroku. Myślę o tym, jak ładnie wygląda twarz Maksa w blasku świec, po czym przypominam sobie, że wszyscy dobrze prezentują się w takim świetle.

Max kończy właśnie opowiadać zabawną historię o tym, jak w jego laboratorium zorganizowano mikołajki i przez pomyłkę kupił świeczkę zapachową dla bardzo doświadczonego i przerażającego profesora. Teraz milczy i wpatruje się w migoczące płomienie.

– Zoe...

– Tak? – z jakiegoś powodu ton jego głosu budzi we mnie obawy.

– Pamiętasz, jak któregoś dnia rozmawialiśmy o chilijskich górnikach, którzy utknęli pod ziemią w zeszłym tygodniu, i powiedziałaś, że nic im się nie stanie.

– Tak powiedziałam? Nie pamiętam. – Pukam się w głowę, faktycznie tak było.

– Owszem, mówiłaś o tym z dużą pewnością. A teraz twierdzisz, że awaria prądu zakończy się około dwunastej. Dlaczego wyrażasz się w ten sposób o przyszłości.

Tak bardzo chciałabym mu powiedzieć prawdę. Mogę to zrobić? Potrafiłabym?

Nie daję sobie czasu do zastanowienia się i zaczynam opowiadać. Ciemność ułatwia sprawę.

– Pamiętasz ten ranek, kiedy spotkałam cię w mieszkaniu Davida? Gdy wydawałam się bardzo zdezorientowana.

– Właśnie o tym myślałem.

– No więc panikowałam z tego powodu, że dzień wcześniej był grudzień.

– Grudzień zeszłego roku? – pyta skonsternowany Max.

– Nie, grudzień tego roku. Położyłam się do łóżka w swoim pokoju w grudniu, a obudziłam się w pokoju Davida w lipcu. Nie wiem, jak to się stało, ale przeniosłam się w czasie.

– To, wybacz, Zoe, niemożliwe.

Serce mi pęka. Mogłam się domyślić, że mi nie uwierzy. Staram się odpowiedzieć na wszystkie jego pytania: o to, jak się czułam po przebudzeniu, czy brałam jakieś narkotyki albo coś takiego, czy mogłam się uderzyć w głowę.

Wreszcie mówi.

– Nie gniewaj się, ale nie potrafię przyjąć, że coś takiego mogło się wydarzyć. Nie chodzi o to, że ci nie wierzę – dodaje szybko – po prostu wydaje mi się, że musi istnieć jakieś inne wyjaśnienie. Być może cierpisz na pewien rodzaj amnezji albo.

– Albo zwariowałam – dorzucam ponuro.

– Tego nie powiedziałem. – Jednak to określenie wisi w powietrzu.

– Masz jakieś dowody? – ciągnie Max. – Jakieś światowe wydarzenia, które możesz przepowiedzieć, żeby udowodnić swoją teorię? Wyniki sportowe, wypadki, trzęsienia ziemi.

Rozmyślałam gorączkowo. Wreszcie coś wpada mi do głowy.

– Mam! Mam coś! Ci chilijscy górnicy, o których przed chwilą wspomniałeś.

– Tak.

– Wszyscy żyją. Przekażą komuś kartkę... nie pamiętam jak, ale będzie na niej napisane coś w stylu: „Trzydziestu trzech z nas jest w schronie i mamy się dobrze”.

Max marszczy czoło.

– Jesteś tego pewna.

– Na sto procent.

– Okej. Możemy poczekać i zobaczyć, co się stanie. Ale uważam, że wcześniej powinnaś znaleźć kogoś, kto ci pomoże.

Wstaję.

– Ojej, na pewno jest już późno. Pójdę się położyć.

– Zoe, wiesz, że nie.

– W porządku. Muszę wcześniej wstać. Nie zapomnij zgasić świeczek.

Wychodzę szybko z pokoju i odczuwam ulgę, że Max nie widzi mojej twarzy. Wydawało mi się, że skoro jest naukowcem, być może będzie bardziej otwarty na nowe, dziwne pomysły. Ale jest dokładnie na odwrót i teraz uważa mnie za kompletną wariatką. Żałuję, że w ogóle się odezwałam.

Rozdział 24

No więc w przyszłym tygodniu mam urodziny – oznajmiam niezobowiązująco.

– Wiem – mówi David i dolewa sobie kawy. – Być może ostatnie dwa tygodnie spędziłem na innej planecie, ale nadal pamiętam o tak ważnych sprawach jak twoje urodziny.

Jest późny niedzielny poranek, siedzimy z Davidem w delikatesach Daniela's, nieopodal jego mieszkania. Zostałam u niego na noc i było wspaniale. Choć cała ta kwestia robienia tego na świeżym powietrzu zaczyna mi naprawdę przeszkadzać; mam dość znajdowania we włosach kawałków liści. Chyba będę go musiała następnym razem poprosić, żebyśmy przenieśli się do budynku.

– No to co chcesz zrobić w swój wielki dzień? – pyta, pocierając oko palcem wskazującym.

Gdy poprzednim razem odbywaliśmy tę rozmowę, bez wahania odpowiedziałam:

– Karaoke!

– Naprawdę? – zapytał David, a krew odpłynęła mu z twarzy.

– Nie jesteś fanem karaoke.

– Nie za bardzo... ale przyjdę.

Wieczór był totalną katastrofą. Podczas każdej piosenki David uśmiechał się, rytmicznie kiwał głową i udawał, że dobrze się bawi, ale było oczywiste, że to dla niego tortura: fałszowanie przypominające miauczenie kota, duszna sala, śpiewanie ochrypłym głosem nieskończonej liczby babskich hitów, takich jak *It's Raining Men* czy *Girls Just Wanna Have Fun*. Nie było tam żadnego innego faceta – generalnie impreza przypominała wieczór panieński. A później, żeby dodatkowo pogрузić sytuację, Kira jak zwykle pokłóciła się z Davidem – twierdziła, że kasował jej piosenki w kolejce, co było nieprawdą (ja to robiłam).

Ale najgorszą, absolutnie najgorszą częścią wieczoru – na samą myśl o tym robi mi się na przemian zimno i gorąco – był moment, gdy próbowałam równocześnie zaśpiewać i zatańczyć *Single Ladies*. Wydawało mi się, że w przeciwieństwie do wszystkich pozostałych pijanych wyjców świetnie śpiewałam i bardzo się wczuwałam (do czego w znacznej mierze przyczyniła się butelka białego wina, którą

wcześniej wypiałam). Uciszyłam wszystkich i tańczyłam, i śpiewałam, i wspaniale się bawiłam, dopóki nie zauważyłam, że David się krzywi. Chwilę później dostał wiadomość. Twierdził, że zapomniał wyłączyć telefonu, ale podejrzewam, że wyszedł, bo tak strasznie się mnie wstydził. Gdy wróciłam do domu, urwał mi się film. Nigdy więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Tym razem nie chcę karaoke.

– Nie jestem pewna. Masz jakieś sugestie.

– Może kolacja gdzieś w okolicy? – Przez chwilę dyskutujemy o możliwych miejscach i David wspomina, że słyszał dużo dobrego o Ristorante Pizzeria Notting Hill. – A może to była Pizzeria Ristorante Portobello, nie jest pewien.

– Brzmi wspaniale. Sprawdzę. Gdzie o niej słyszałeś.

– Anestezjolog wczoraj mówił o tym lokalu – odpowiada, ziewając. – A kogo zamierzasz zaprosić.

– Małe grono znajomych. Rachel, Kirę i Harriet z pracy. O, i pomyślałam, że zaproszę Olivera. Twojego przyjaciela Olivera.

– Naprawdę? Dlaczego? – pyta David. – To znaczy, pewnie, zaprosz go. Nie wiedziałem tylko, że znasz go aż tak dobrze.

– Nie znam, ale go lubię. Poza tym to twój przyjaciel i byłoby fajnie, gdyby na kolacji nie było zbyt babsko. No i wiem, że podoba mu się albo przynajmniej podobała Rachel.

– Tak, i spławiła go – mówi poirytowany. Chyba wstał z łóżka lewą nogą. – Ale zapytam go. A, i zaczekaj – zapraszasz też Jenny.

Znowu! Poprzednim razem zapytał mnie, czy Jenny może przyjść na moją urodzinową imprezę z karaoke, ponieważ – cytuję – „uwielbia śpiewać”. Podobno śpiewała w chórze na studiach czy robiła coś równie cudownego. Od razu odmówiłam.

– Chcę zaprosić tylko swoich przyjaciół – powiedziałam. David nic nie odrzekł, tylko pokiwał głową, ale wyczuwałam, że według niego moje zachowanie jest niewiarygodnie dziecinne i niegrzeczne, i oczywiście miał rację.

I nadal tak się zachowuję. Mam ochotę krzyknąć: „Nie, oczywiście, że jej nie zapraszam!”. Jednak wypijam łyk kawy, liczę do trzech i wreszcie odpowiadam:

– Nie pomyślałam o tym.

Mam nadzieję, że David zrozumie aluzję i odpuści, ale nie.

Postanawia dalej ciągnąć ten wątek.

– Chodzi o to, że jeśli zapraszasz Olivera, on prawdopodobnie powie jej o tym albo założy, że ona też tam będzie.

Ech, to prawda. Spoglądam na resztki tostu i jajecznicy.

– Pewnie, zaprosz ją. – Zmuszam się, by dodać: – Będzie miło.

– Zaraz wyślę do niej wiadomość – oznajmia i wyjmuje telefon.

A później bardzo mnie zaskakuje, mówiąc: – Dziękuję, że ją zaprosiłaś. To bardzo ułatwi mi życie.

– Nie ma sprawy – odpowiadam. Nie jestem tak zdenerwowana, jak bywałam kiedyś, ale zastanawiam się, czy to normalne. Dlaczego jego życie byłoby trudniejsze, gdybym jej nie zaprosiła.

Telefon Davida sygnalizuje przychodzącą wiadomość.

– To Max – informuje mnie.

Przełykam ślinę.

– Tak? A co pisze? – Twoja dziewczyna jest wariatką.

– To takie wkurzające... mieliśmy zagrać w debła – on i jakaś dziewczyna z laboratorium przeciwko mnie i Jenny. Ale się rozchorowała.

Od razu zaczynam się zastanawiać, kim jest ta dziewczyna. Prawdopodobnie to tylko przyjaciółka. David spogląda na mnie z nadzieją.

– Grasz w tenisa, prawda?

– No cóż... – Owszem, potrafię grać, w takim sensie, że jestem w stanie trafić w piłkę. Ale idzie mi to naprawdę kiepsko. Wiem też, że dla Davida gra w tenisa to jak jazda na rowerze, pływanie czy umiejętność zawiązania sznurowadeł. To coś, co każdy potrafi, a jeśli tego nie umie, jest to powód do wstydu.

– Możesz wypożyczyć rakietę w klubie.

Cholera. Poprzednim razem nie zostałam zmuszona do grania w tenisa, bo nie poszliśmy z Davidem na śniadanie. Żałuję, że nie mogę wymyślić jakiejś wymówki, ale David tak ciężko pracował i tak się cieszył na ten mecz. No i jeśli nie zagram, Jenny będzie miała używanie bez końca.

– Pewnie! – zgadzam się z wymuszonym entuzjazmem.

Rozdział 25

David jest członkiem bardzo snobistycznego małego klubu w Maida Vale, który dysponuje świetnym kortem tenisowym i atmosferą przypominającą country club. Gdy wchodzimy i wita nas recepcjonistka (bardzo ładna blondynka), uderza mnie kontrast między tym miejscem a moją obleśną siłownią. Wszystko, co ma związek z Davidem, jest po prostu... ładniejsze.

– A oto nasz człowiek – mówi David.

Max siedzi w poczekalni za recepcją i wygląda bardzo nie na miejscu w swojej koszulce z Man or Astro-man, niebieskich bermudach i zniszczonych tenisówkach. W ręce trzyma reklamówkę z ciuchami na przebranie. Unikałam go od czasu naszej rozmowy o podróżowaniu w czasie i ciężko mi spoglądać mu w oczy. Na szczęście naszą uwagę przyciąga David, który odkrywa, że jego rakietą Babolat ma pękniętą strunę.

– Nic się nie dzieje – rozwiewa nasze wątpliwości. – Mam zapasową.

Po chwili pojawia się Jenny, ubrana jak na Wimbledon w zestaw Nike składający się z białej minispódniczki, bluzki bez rękawów i jaskraworóżowej opaski z logo. Ma taką samą raketę jak David. Nawet jej buty są idealnie czyste. Ja mam na sobie spodnie od jogi i fioletową koszulkę – najlepsze, co mogłam znaleźć, mając tak mało czasu na przygotowanie – i czuję się jak uboga krewna.

– Co ty tu robisz? – rzuca na powitanie po tym, jak ucałowała mojego chłopaka i w wymuszony sposób pomachała do Maksa. – Przyszłaś tu jako dziewczyna Davida, by mu kibicować? – parska śmiechem.

– Moja przyjaciółka nie mogła przyjść, więc Zoe była tak miła, że zgodziła się ją zastąpić – wyjaśnia Max.

– Naprawdę? Zajebiaszco. Ale lepiej się przebierz.

– Już się przebrałam – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Ja się muszę przebrać – stwierdza David. – Dajcie mi chwilę. A później zbijemy was na miazgę.

– Dużo gadasz – Max podrzuca piłkę i łapie ją pewnym ruchem.

– Dużo gadasz, mały człowieku.

David udaje, że chce go uderzyć w głowę raketą tenisową, a

Jenny mierzy mnie wzrokiem i w trakcie rozmowy z dziewczyną z recepcji głośno upewnia się, co stanowi *dress code*9).

9) Zbiór reguł dotyczących doboru stroju do pracy (przyp. red.).

•

Gdy David jest gotowy, spieramy się o skład drużyn.

– Ale my zawsze gramy razem! – jęczy Jenny, zgodnie z przewidywaniami, kiedy David proponuje, że zagra razem ze mną przeciwko niej i Maksowi.

– Zoe nie grała od dawna, więc być może będziemy mieć równe szanse, jeśli się podzielimy – tłumaczy dyplomatycznie David.

Wygląda wyjątkowo cudownie: cały ubrany na biało, tylko opaskę na rękę ma czarną. Nie przeszkadza mi nawet to, że jego ubiór pasuje do stroju Jenny.

– Ale to będzie niesprawiedliwe. Davidzie, znasz wszystkie moje ruchy... – wzdycha Jenny.

Czy to moja wyobraźnia, czy Jenny jest przy tym uwodzicielska? Robi mi się niedobrze, więc odwracam głowę i napotykam wzrok Maksa. Mruga do mnie, ale wiem, że nadal uważa mnie za wariatkę.

W końcu Jenny zgadza się grać z Maksem. Zajmujemy pozycje – z Davidem gramy pod słońce – a ja modłę się, by się nie zbłąźnić.

David rozpoczyna grę niewiarygodnie mocnym serwem, który posyła piłkę ponad siatką z prędkością światła. Jenny rusza naprzód i odbija ją w moją stronę, wydając przy tym odgłos jak Serena Williams, a ja piszczę niczym dziewczynka i uchylam się przed piłką. Max wybucha śmiechem, ale przestaje rechotać, gdy karczę go wzrokiem.

– Zero do piętnastu – mówi zadowolona z siebie Jenny i spogląda na Davida. Przyznaję to z niechęcią, ale świetnie prezentuje się na korcie tenisowym: jest wysoka, opalona i silna, a jej fruwały blond kucyk przywodzi na myśl Annę Kurnikową. David serwuje po raz kolejny i wygrywamy tę wymianę, ledwo, ledwo, a Jenny i Max następną. Jenny niesamowicie serwuje: wygląda, jakby wznosiła się w powietrze i uderzała w piłkę z prędkością stu mil na godzinę.

Oczywiście zgodnie z kolejnością musiałam serwować po niej. Gdy odbijam piłkę, staram się wyglądać na pewną siebie, ale wracają do mnie okropne wspomnienia z czasów szkoły, z lekcji WF-u.

Wyciągam rękę z największym wdziękiem, na jaki mogę sobie pozwolić, i szybko popełniam podwójny błąd serwisowy. Jenny oklaskuje mnie z ironią, a David nic nie mówi.

Oddycham z ulgą, gdy moja następna piłka przelatuje przez siatkę. Ale chwila mojego triumfu nie trwa długo: Jenny, ledwo się ruszając, odbija ją mocno, a ta przelatuje tuż obok Davida, który stoi koło siatki. David spogląda na mnie z lekkim wyrzutem i wraca na koniec boiska, a ja serwuję po raz kolejny.

Znów popełniam podwójny błąd serwisowy. Boże, to takie upokarzające. Wiem, że nie grałam od dłuższego czasu, ale nie sądziłam, że pójdzie mi aż tak źle.

– Zoe, następnym razem spróbuj serwisu spod ramienia, dobrze?
– proponuje David i pokazuje mi coś, co nawet dla mnie jest ruchem zaradczym. Wiem, że stara się mnie zachęcić, ale to tylko pogarsza sytuację. – A później może zrobimy tak, że ty obstawisz końcową linię singlową – pokazuje linię po mojej stronie – a ja resztę kortu.

– Uhm... dobrze.

Dzięki Bogu, moja następna piłka przechodzi przez siatkę. Ale gdy leci w moją stronę kortu, David biegnie do niej, krzyčząc „moja!”, i odbija ją w kierunku Jenny, która posyła ją z powrotem w jego stronę, a on przerzuca ją do Maksa, podczas gdy ja skaczę obok moich linii i udaję, że jestem czymś zajęta.

Od tego momentu idzie mi jeszcze gorzej. Zauważam, że Max świadomie posyła w moją stronę łatwe piłki, ale jeśli biegnę w ich kierunku, David wyprzedza mnie w nanosekundzie z okrzykiem „MOJA!” albo nawet w jednym przypadku „ZOSTAW!”. Domyślam się też, dlaczego David stał przy linii końcowej, gdy serwowałam: jestem tak beznadziejna, że wiedział, iż piłka przeleci obok niego, jeżeli stanie pod siatką. Wkrótce praktycznie gra sam przeciwko Maksowi i Jenny, która bardzo się ekscytuje, gdy zdobywa punkt, śmieje się z Davida i wygłasza żarciki.

– Ten twój backhand, Davidzie – krzyczy do niego – naprawdę wymaga pracy.

– Trzydzieści do czterdziestu – mówi David, ocierając opaską pot z czoła.

Jestem zaskoczona, bo Max wcale nie gra źle. Wzrost daje mu przewagę podczas serwowania, a kiedy musi biec po piłkę, Jenny

wrzeszczy na niego, krytykuje jego serwis i zagrywki, ale on ją po prostu ignoruje. Od czasu do czasu podejmuję jakiś wysiłek, lecz boję się, że wpadnę pod nogi Davidowi i za każdym razem, gdy udaje mi się odbić piłkę, robię to fatalnie – połowa moich serwów trafia w siatkę. Choć ani Max, ani Jenny nie są tak dobrzy jak David, przejmują prowadzenie w grze i szybko brakuje im już tylko kilku punktów do wygrania meczu. Modłę się, żeby zrobili to szybko i oszczędzili mi cierpienia.

Max przygotowuje się do serwowania, a przesiąknięta potem koszulka, którą ma na sobie, pokazuje, że jego ramiona i klatka piersiowa są bardziej umięśnione, niż się spodziewałam. Odwracam wzrok, gdy popełnia błąd i trafia piłką w siatkę. Biegając, by ją podnieść, napotyka moje spojrzenie. Chcę popatrzeć w inną stronę, ale on się do mnie uśmiecha. To dziwny uśmiech, pełen ekscytacji.

Max wyciąga się i posyła piłkę na naszą połowę najszybszym serwem, jaki kiedykolwiek widziałam w jego wykonaniu. David biegnie w moją stronę, by ją odbić, ale nie trafia i słyszę, jak przeklina pod nosem.

– Równowaga – mówi Max.

– Przewaga po naszej stronie – chwali się Jenny.

Moja znajomość tenisowego żargonu być może nie jest wielka, ale wiem, że jeśli zdobędą następny punkt, wygrają mecz. Nie mogę się tego doczekać – chcę, żeby się już skończył. Wokół kortu zgromadził się mały tłumek. Czuję się jak największa ciapa na świecie, gdy tak czają się z boku kortu, w nadziei, że piłka tu nie polecą. Kiedy David idzie na zagrywkę, próbuję złapać z nim kontakt wzrokowy, ale ignoruje mnie. Patrzę, jak Max podnosi koszulkę, by otrzeć twarz, i widzę płaski opalony brzuch i ciemne włosy.

Następna wymiana jest tak zaciekle, że usuwam się w bezpieczne miejsce i patrzę, jak cała trójka posyła piłki w tę i z powrotem, biegając po całym korcie. Przez moment można odnieść wrażenie, że Jenny się udało, ale David skacze w przód i posyła piłkę za siatkę. Max jest już na miejscu, wyskakuje po nią w taki sposób, że przyjmuje pozycję niemal poziomą, i udaje mu się posłać ją ponad siatką tuż przed białą linią. David nie trafia.

– Gem, set, mecz dla nas! – krzyczy Jenny.

Max wydaje okrzyk zachwyty, przybija z Jenny piątkę i biegnie

w kierunku Davida, by podać mu rękę.

– Co jest, do cholery? – protestuje David. – Był aut.

– Co? Nie było! Piłka spadła na kort – odpowiada Max.

– Nie weszła, to był, kurwa, aut. – Patrząc zaskoczona, jak David ciska rakieta o ziemię i wściekle wskazuje na linię. – Możesz zobaczyć ślad na kredzie.

Szczęka opada mi na ziemię. Nie mogę uwierzyć, że David zachowuje się jak dziecko.

– Co o tym sądzisz? – pyta mnie Max.

David chyba dostrzega mnie po raz pierwszy.

– Tak, Zoe, powiedz im! Był aut.

Waham się, bo wstyd mi zaprzeczać temu, co powiedział mój chłopak.

– No i? – popędza mnie niecierpliwie David.

Ton jego głosu jest tak niegrzeczny, a on sam zachowuje się jak palant, więc mówię.

– Według mnie nie było autu.

David patrzy na mnie z niedowierzaniem. Już spodziewam się następnego wybuchu, ale on tylko kręci głową, zdejmuje opaskę i ociera twarz.

– W porządku – rezygnuje z protestów. – Wygraliście – podaje rękę Maksowi i Jenny, ale jest nadąsany.

– Ej, daj spokój. I tak od mojego powrotu wygrałeś dwa mecze z trzech – przypomina Max.

David wzrusza ramionami. Idzie do linii bocznej, wypija trochę wody i zakłada ręcznik na ramiona, po czym wychodzimy stamtąd.

– Masz ochotę na drinka, Dave? – pyta Jenny, która najwyraźniej żałuje, że go poirytowała.

– Nie, muszę wrócić do domu i przygotować się do jutrzejszej operacji. – Docieramy do szatni, David pochyla się i daje mi szybkiego, spoconego buziaka w policzek. – Zadzwoń do ciebie w tygodniu, dobrze?

– Okej – odpowiadam chłodno, bo nadal jestem na niego wkurzona.

– Do zobaczenia, Max, Jen. Następnym razem nie będziecie mieli tyle szczęścia. – Klepie przyjaciela po plecach trochę zbyt mocno i odchodzi. Jenny biegnie za nim, mówiąc:

– Dave, zajebiaszczy mecz. Piękny tenis. Piękny!
Max od razu odwraca się w moją stronę i proponuje.
– Chodźmy się napić.
– Co, teraz? Jest dopiero piąta. I jesteś cały spocony. – W przeciwieństwie do mnie. To bardzo dziwne, ale tylko trochę się zgrzałam.

Ku mojemu zdziwieniu Max łapie mnie za ramię i dosłownie ciągnie w stronę wyjścia.

– Nie kłóć się ze mną. Idziemy się napić. Teraz.

•

Gdy docieramy do pubu Prince Alfred, ludzie siedzą tłumnie na chodniku w popołudniowym słońcu, piją piwo i Pimm's i chłoną ostatki letniej zabawy podczas tego weekendu. Zajmuję wolne miejsce na zewnątrz, a Max idzie do baru. Po paru minutach wraca z ginem z tonikiem dla mnie – który, przyznaję, bardzo mi się przyda po tym meczu – i kuflem piwa oraz paczką chipsów dla siebie.

– Dzięki. – Próbuję drinka. – No to o co chodzi.

Max wznosi w górę szklankę z lagerem.

– Za chilijskich górników. Są cali i zdrowi w schronie, trzydziestu trzech z nich. Tak napisali na kartce.

Zakrywam usta ręką.

– Co? To już się stało?

Max ignoruje moje pytanie i ciągnie dalej.

– Przez cały dzień zastanawiałem się nad tym, skąd mogłaś o tym wiedzieć. Albo o tym, że awaria prądu zostanie usunięta około północy czy o tych wszystkich drobnych rzeczach, o których ostatnio wspominałaś. W idealnym świecie miałbym więcej informacji, ale w takiej sytuacji jak tu muszę przemyśleć dwie możliwości: albo masz zdolność jasnowidzenia, albo przeniosłaś się w czasie.

Piję swój gin z tonikiem. Nie zamierzam próbować go przekonywać. Powinien sam wyciągnąć jakiś wniosek.

– Nie wierzę w jasnowidzenie. Ale podróże w czasie... czytałem o tym i w teorii nie jest to niemożliwe.

– Naprawdę? – spoglądam na niego z zaskoczeniem.

– Nie tak jak w *Powrocie do przyszłości*, ale w bardzo mały, kwantowy sposób. Generalnie wszystko w kosmosie podróżuje w wielu

różnych kierunkach, więc z czasem powinno być tak samo. Oczywiście nie wiemy jeszcze, czy komukolwiek udało się przenieść w czasie, ale teoretycznie któregoś dnia będzie to możliwe, być może dzięki użyciu czarnej dziury i oczywiście technologii. – Spogląda na mnie. – Ale ty nie korzystałaś z żadnej technologii.

– Wiem, że to brzmi niewiarygodnie.

Kręci głową, zanim jeszcze kończę wypowiadać to zdanie.

– Nie, wierzę ci – oświadcza. – Nie rozumiem tego i wiem, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie, ale wierzę, że przeżyłaś coś takiego.

Gdy to mówi, odczuwam niesamowitą ulgę.

– Ale to musi być... to znaczy... czy prowadzisz znowu takie same rozmowy.

– Przez cały czas. To strasznie dziwne.

– No raczej – zgadza się ze mną. – Przeniosłaś się w czasie! – Uderza się w głowę. – Chodzi mi o to... czy w ogóle wierzysz, że o tym rozmawiamy? – Wydaje dźwięk imitujący eksplozję i oboje wybuchamy śmiechem. Jestem w euforii.

– W każdym razie – kontynuuje Max, gdy udaje nam się uspokoić – rozmawiałaś z kimś o tym? To znaczy z kimś, kto zna się na, ekhm...

– Na czym? Podróżach w czasie? – Piję drinka. – Czy sądzisz, że mój lekarz rodzinny mógłby mi pomóc.

– Czy pomyślałabyś o tym, by przyjść do mojego laboratorium na badania.

Byłam przygotowana, by się zgodzić, ale teraz, gdy faktycznie to zaproponował i wie, z czym to jest związane, martwię się tym, co mogłoby się wydarzyć.

– Nie chcę wywierać presji, ale mógłbym dostać za to Nobla.

– Max, jak możesz w jednym zdaniu powiedzieć „nie chcę wywierać presji” i „Nobel”? – śmieję się. – Posłuchaj, nie jestem pewna. Mogę się nad tym zastanowić.

– Okej – odpowiada z wymuszonym uśmiechem. Widzę, że jest rozczarowany, więc próbuję się wytłumaczyć.

– Nie chcę być przypadkiem opisywanym na trzeciej stronie „Metra”. Ani umieszczona w izolatce, jak ET.

– Iiiii Tiiii... no dobra. Zastanawiam się, czy istnieją inni ludzie, którzy mają podobne doświadczenia. Czy próbowałaś o to, ekhm,

kogoś zapytać.

Z jakiegoś powodu mam wrażenie, że usłyszałam najzabawniejsze pytanie na świecie i oboje pokładamy się ze śmiechu.

– No dobrze. A co u ciebie? – pytam i znów udaje mi się go sprowokować.

– No cóż, mój eksperyment nadal okazuje się do bani – odpowiada. – Ale nie jest to tak ważne jak bycie podróżnikiem w czasie. – Wstaje i podaje mi rękę. – Chodź, idziemy świętować.

– Co świętować.

– Zoe, przed chwilą przekonałaś mnie, że przeżyłaś jedyne w swoim rodzaju doświadczenie. Takie, którego wcześniej nikt nie udokumentował w całej historii. Nie uważasz, że to wymaga drinka albo czegoś w tym stylu.

– Pewnie. Ale możemy się chyba tutaj napić.

Kręci głową.

– Nie. Mówisz, że ciągle robisz te same rzeczy. No to ja zabiorę cię gdzieś, gdzie nigdy nie byłaś.

Rozdział 26

Pół godziny później mam już upięte włosy, nałożony makijaż i jestem ubrana w krótką czarną sukienkę z Etro, która ma wiązanie na szyi i duże wycięcie na plecach. Kupiłam ją kilka lat temu na wyprzedaży, ale nie miałam zbyt wielu okazji, by się w niej pokazać – częściowo dlatego, że tak trudno ją zapiąć z tyłu, ma bowiem bardzo ładną, ozdobną klamrę, z którą trzeba się trochę pomęczyć.

– Max, czy mógłbyś mi pomóc? – pytam, wchodząc do salonu i jedną ręką trzymając paski.

Odwraca wzrok od telewizora i opada mu szczeka. Nieczęsto w prawdziwym życiu widzi się opadające szczęki – przynajmniej mnie się to zbyt często nie zdarza – ale nie mam wątpliwości. Podejrzewam, że to dlatego, iż przyzwyczył się do oglądania mojej osoby w tak zaniedbanej domowej wersji. Muszę jednak przyznać, że pochlebia mi jego reakcja.

Przytrzymuję paski i wyjaśniam, jak działa klamra. Bierze ją w dłonie i ostrożnie zapina. W tym samym momencie staję się bardzo świadoma tego, jak blisko siebie jesteśmy. Czuję, jak koniuszki jego palców dotykają mojej skóry. Przez sekundę zastanawiam się, czy nie zbłądziłam na terytorium, które można określić jako „nieprzyzwoite”. Ale później mówię sobie, że czas skończyć z tą pruderyjnością. Jestem całkowicie ubrana i wybieramy się razem na kilka drinków. I co z tego.

– Zrobione! – oznajmia głośno i serdecznie, po czym puszcza mnie i niemal klepie po plecach. – Chodźmy. – Dostrzegam, że ma na sobie wyjściową szarą koszulę, co uznaję za całkiem urocze.

Wchodzimy do metra, a gdy wysiadamy na stacji Tottenham Court Road, nadal nie wiem, co będziemy robić.

– Jestem trochę za bardzo wystrojona na Burger Kinga – mówię, gdy wspinamy się po schodach, torując sobie drogę wśród tłumu.

– Nie idziemy do Burger Kinga.

– *We Will Rock You*¹⁰⁾?

10) Tytuł utworu grupy Queen, w którym zamiast sekcji rytmicznej pojawiają się odgłosy tupania i klaskania (przyp. red.).

– Nie, chociaż moglibyśmy.

– Błagam, nie. – Wyobrażam sobie, że idziemy do Soho, więc

jestem zdziwiona, kiedy Max prowadzi mnie w drugą stronę, wzdłuż Tottenham Court Road. Mijamy Burger Kinga i skręcamy w boczną uliczkę.

– To... interesujące – stwierdzam, oglądając zabite dechami wejścia, mokry chodnik i samotną chińską restaurację. Jestem załamana, gdy dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie zabiera mnie do jakiegoś obscurnego pubu dla starych ludzi. Ale udaję, że mi się to podoba.

– Czyli nie byłaś tu nigdy wcześniej? – pyta wesoło Max. – To dobrze.

Uliczka skręca i rozszerza się w mały placzyk z kilkoma barami naprzeciwko siebie. Ludzie stoją na zewnątrz, trzymając w rękach butelki piwa i kieliszki z winem. Słyszę muzykę.

– Tutaj – Max gestem pokazuje, że mam wejść jako pierwsza. Małego wejścia pilnuje dwóch podejrzanych gości. Wchodzimy do środka i pierwsze, co słyszę, to dźwięk saksofonów grających jakąś melodię w latynoskim rytmie. Po prawej stronie, pod arkadami, na scenie gra kapela, na której czele stoi dziewczyna w białej sukience. Wszyscy tańczą – starsze pary wykonujące poprawne układy, cudowni młodzi hiszpańscy tancerze, a nawet dzieci biegające w kółko między ich nogami. Mam wrażenie, że przyszliśmy na wesele albo inne przyjęcie w rodzinnym gronie.

– Czyż to nie wspaniałe? – Max uśmiecha się do mnie.

– Tak! Tu jest naprawdę fajnie! – Nogi już mi podrygują i czuję, że podążając za Maksem w stronę baru, mimowolnie tańczę salsę.

– No to czego się napijesz, podróżniczko w czasie? – pyta mój towarzysz, wślizgując się na stół.

– Nie, nie, teraz ja stawiam. – Przeglądamy menu wręczone nam przez bardzo zabieganego kelnera z wąsem. – Może napiję się piwa. Właściwie to... ooooch, margarity! Lubisz?

Max potakuje ruchem głowy.

– Uwielbiam.

– Zamawiamy dzbanek.

– Nie, to może być za wiele – obawia się Max. Kiwam głową i jest mi trochę wstyd, że chyba przesadziłam, ale on dodaje: – Może później będziemy chcieli napić się sangrii. Albo piwa. Albo wina.

– Masz rację – zgadzam się z nim. Zamawiamy margarity, a

kiedy kelner je przynosi, stukamy się kieliszkami i próbujemy. Choć w moim przypadku to nie degustacja, tylko wypicie dużego, pysznego łyka. Uwielbiam margaritę: sól, gorzkawą słodycz... – To najlepszy drink na świecie, nie sądzisz.

– No. Ale z przykrością mówię, że lepsze podają w Ameryce. Tak samo jest z meksykańskim żarciem. Tak dobrego tu po prostu nie dostaniesz.

– No tak, ale teraz jesteś w Londynie, więc musisz sobie z tym poradzić. – Podnoszę szklanę, by wznieść toast. – Oooh! Shakira! – Kapela zrobiła sobie przerwę i puszczono *Waka Waka*. Zaczynam tańczyć na swoim krześle.

– Naprawdę znasz cały układ? – pyta Max, spoglądając na mnie przez szklanę.

– Tak! Tańczyliśmy go na zajęciach z zumby, a później ćwiczyłam jeszcze w domu – podnoszę jedną rękę, później drugą i wykonuję ruchy jedną ręką, a drugą trzymam szklanę.

– Pomyślałem, że ci się spodoba to miejsce.

– Jest świetne! – Naprawdę tak myślę. Wydaje się trochę obskurne, a bar jest upstrzony czymś, co przypomina ślady po przypaleniu papierosami, ale to fajny lokal. Tańczę całą piosenkę na krześle, sącząc co chwila margaritę. Gdy dopijam ją do końca, Max zamawia dwie kolejne.

– Hej – mówi, dyskretnie wskazując na odległy kąt sali. – Sprawiają wrażenie, jakby znalazły się w niewłaściwym miejscu, nie sądzisz.

Podążam za jego spojrzeniem w stronę czterech dziewczyn. Dwie z nich wyglądają stosunkowo zwyczajnie: jedna ma koszulkę na ramiączkach i króciutkie sprane dżinsowe spodenki, a jej koleżanka ubrała się w musztardowy kombinezon. Trzecia dziewczyna założyła na siebie różową koszulkę z kimonowymi rękawami, marmurkowe obcisłe dżinsy z gumką przy kostce i białe crocsy. Włosy ma wybielone na srebrny odcień, który niedawno stał się bardzo modny. Czwarta dziewczyna jest w zasadzie ubrana jak Pierrot.

– Jak sądzisz? Hipsterki czy Halloween.

– To nie może być na Halloween, tylko na bal przebierańców. No bo jak inaczej, Pierrot? – Spoglądam skonsternowana na dziewczynę i zastanawiam się, czy powinnam o tym napisać w mojej prezentacji

trendów. – To jakaś nowa moda.

– Nie wiem, może zapytaj Grahama Oogle'a?

– Kogo?

– No wiesz, Grahama Oogle'a, gościa, który wynalazł Google.

– To stąd nazwa Google? Nie miałam pojęcia. – Jestem zachwycona. Max zna takie ciekawostki.

– Pewnie. A Waitrose nazwano od nazwiska Warren Aitrose.

– Naprawdę? To dziwne.

– I Tesco. Nazwane od... tego... Terry'ego... uhm... – Zaczynają mu drżeć usta i wybucha śmiechem.

– Ohoho, ależ jesteś mądry. To takie zabawne. – Klepię go w ramię, ale sama też się śmieję.

– O, to świetna piosenka. Znasz ją? – pyta Max. Nasłuchuję. – Ma tytuł *La Camisa Negra*.

– Nie znam, ale rzeczywiście jest niezła. Zatańczmy! – Zeskakuje z krzesła, czując, że margarity uderzyły mi do głowy. – Chodź!

– O nie. Ja nie tańczę. Mam to zapisane w umowie. Jestem nietańczącym towarzyszem do kieliszka.

– Oczywiście, że tańczysz! – Łapię go za rękę, ale on nie rusza się z miejsca.

– Zaopiekuję się naszymi miejscami – proponuje. – Ty idź.

– Dobrze, tak zrobię. – Normalnie bym się tak nie zachowała, ale jestem trochę pijana. Zaczynam tańczyć, zatracam się w muzyce i rytmie. Jest coś takiego w tej piosence, co trafia prosto do mojej duszy. Może w poprzednim życiu byłam Hiszpanką? Chwilę później doczepia się do mnie nieco podejrzany facet ze srebrnym zębem. Cieszę się, że mogę z nim zatańczyć, ale moja radość mija, gdy zaczyna mnie gładzić po plecach. Kiedy wykręcam się z jego objęć, ktoś zdecydowanym ruchem wchodzi między nas – to Max. Dziwny koleś spogląda na niego i szybko się wycofuje.

– No dobra – kapituluje Max – możesz spróbować mnie nauczyć. Ale ostrzegam cię, wcześniejsze próby skończyły się niepowodzeniem.

Uśmiecham się do niego.

– Okej. Połóż mi rękę na ramieniu i złap mnie za drugą dłoń, o tak. Nie, wyżej, i złap mocno. A teraz trzymaj w górze, mocno. A teraz krok w tył raz i razem dwa trzy, i do przodu raz. To wszystko.

Po kilku falstartach zaczyna załapywać.

– To łatwiejsze, niż myślałem – przyznaje. – To trochę jak liczenie, prawda? Gdzie się nauczyłaś tak tańczyć.

– Chodziłam na lekcje tańca w Dublinie. A teraz spróbujmy z obrotem – podnoszę rękę, a Max sprawnie mnie obraca, po czym znów obejmuje. Wygląda na bardzo zadowolonego z siebie. Ja z trudem łapię oddech i śmieję się. Od dawna tak dobrze się nie bawiłam.

Kończy się *La Camisa Negra*, a zaczyna nowa piosenka. Dostosowanie się do niej zajmuje nam chwilę, ale Max ma zaskakująco dobre wyczucie rytmu. Gdy dotykam jego ramion, czuję, że są silne i pewne. Nasze biodra niemal się stykają. Podnoszę wzrok i uśmiecham się do niego, a kiedy on odwzajemnia mój uśmiech, znów odczuwam ten wstrząs, jak wtedy, gdy zabrakło prądu. Zaczynam czuć się naprawdę nieswojo, bo zdecydowanie nie powinnam doświadczyć uczucia, które się pojawia. A mina Maksa, gdy na mnie patrzy – czy tak powinno się spoglądać na dziewczynę swojego przyjaciela? Dostrzegam, że jego oczy są bardzo łagodne i ciemne, a usta mają piękny kształt. Szybko odwracam wzrok.

– Przy okazji, zapomniałam cię zapytać – mówię głośno, starając się przekrzyczeć muzykę, i odchrząkuję. – Masz jakieś plany na następną sobotę? To znaczy tę sobotę? Mam urodziny.

Max kiwa głową.

– Czymże są urodziny dla podróżniczki w czasie.

Jego słowa znów sprawiają, że wybucham śmiechem.

– Ale pewnie, przyjdę – obiecuje i obraca mnie. – Czy to te same urodziny co poprzednim razem.

– Nie. Wtedy było karaoke. Katastrofa, więc teraz zapraszam na kolację.

– Tym razem będziemy się lepiej bawić. – Pochyla głowę, by wyszeptać mi te słowa do ucha, i zostaje w tej pozycji o jakąś sekundę dłużej niż to konieczne. Ciarki przechodzą mi po plecach. Później czuję, jak jego dłoń przesuwają się po mojej talii, jakby przyciągał mnie do siebie. Bo przyciąga mnie do siebie. Biorę głęboki oddech i próbuję uporządkować myśli, a w tym czasie Max odsuwa się i łagodnie opuszcza moje ręce.

– Chyba muszę się napić wody – oznajmia. – Przynieść ci też.

Szybko kiwam głową i idę do toalety. Spoglądam z wyrzutem na swoje odbicie w lustrze: zaczerwienione policzki, rozmazana mascara,

rozszerzone źrenice.

– To przez margarity – mówię głośno. Zmysłowa ciemna dziewczyna staje za mną i unosi brwi, jakby chciała powiedzieć: „Jasne, że to przez nie”.

Cholera, cholera, cholera. Teraz wstydę się na myśl, że muszę stąd wyjść i stanąć twarzą w twarz z Makssem. Ale do niczego nie doszło! To tylko parę drinków i małe zderzenie na parkiecie. Zanim zacznę to nadmiernie analizować, maszeruję z powrotem na salę, gdzie przy barze zastaję Maksa. Obdarzam go szerokim promiennym uśmiechem, jak współlokatorka współlokatora, biorę szklanekę wody, którą mi podaje, i opróżniam ją niemal jednym haustem.

– Może powinniśmy wracać do domu – proponuję. – Już prawie północ.

– Dobrze, tak zrobmy – Maksowi chyba ulżyło.

– Było naprawdę fajnie – odzywam się, gdy wychodzimy z baru w chłodną noc. Na chodniku nadal stoją tłumy ludzi, ale szum ich głosów cichnie w miarę, jak oddalamy się od tego miejsca. Ukradkiem spoglądam na Maksa, który jest pochłonięty myślami.

– Słuchaj – mówi. – Całe te podróże w czasie... – oboje wybuchamy śmiechem, bo to takie absurdalne. – Jak sądzisz, co je wywołało.

Opowiadam mu o świętach, o tym, jak źle się czułam i jak starszka kazała mi pomyśleć życzenie.

– Ale czego dokładnie sobie życzyłaś? Chciałaś się cofnąć w czasie.

Waham się.

– Nie, niezupełnie. Chciałam... chciałam znów być z Davidem. Bo wcześniej ze sobą zerwaliśmy.

– Aha. – Odwraca na chwilę wzrok, po czym pyta: – Czyli chciałaś go odzyskać.

– Tak. Chciałam cofnąć się w czasie i postąpić inaczej.

– No i ci się udało.

Potakuję. Znów zapada cisza, więc zaczynam trajkotać.

– Bardzo mi się podobało. Muszę tam jeszcze kiedyś wrócić.

Wiesz, od dawna się tak dobrze nie bawiłam. To jedna z najfajniejszych rzeczy w Londynie, nie sądzisz? Wszystkie te ukryte miejsca.

– Ale na pewno czasem tęsknisz za Dublinem, prawda? – Max

wygląda, jakby bardzo starał się zmienić temat.

– Tak – kiwam głową. – Tęsknię za rodzicami, przyjaciółmi. Brakuje mi także jego spokojnej atmosfery, no i bardzo odczuwam brak morza.

– Naprawdę? Jutro jadę nad morze. Do Devonu, ze znajomymi, posurfować.

– Ale jutro jest poniedziałek.

– Pomyśleliśmy, że nie będzie dużo ludzi. Żadne z nas nie musi jutro siedzieć w laboratorium, więc...

– Zapowiada się fajnie.

Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale milknie. A później nagle pyta.

– Może pojedziesz z nami? Masz wolne, prawda?

– Tak. – Wzięłam sobie przypadkiem dzień wolny, z zamiarem wybrania się na wyprzedaż i kupienia sobie czegoś na urodziny. – Ale surfowanie? Nie potrafię.

– Nie? No cóż, możesz popływać, posiedzieć na plaży. Jedziemy autem wcześniej rano i wracamy tego samego dnia. Mamy miejsce w samochodzie, wybieramy się tylko we trójkę.

– No dobrze... pewnie! – Gdy tylko kończę wypowiadać te słowa, zastanawiam się, czy było to mądre posunięcie. Ale prawdopodobnie jestem zbyt ostrożna. Co mogłoby być bardziej zdrowego i niewinnego od dnia spędzonego na plaży ze swoim współlokatorem.

Rozdział 27

Zoe! Jesteś gotowa? Wyjeżdżamy za dziesięć minut.

Jęczę i spoglądam na budzik: za dziesięć ósma. Wytaczam się z łóżka, nakładam bieliznę i łapię przypadkowe ubrania: dżinsowe spodenki, klapki, koszulkę na ramiączkach, kostium kąpielowy. I balsam do opalania. Siedzę przy toalecie i próbuję wyłowić swój wodoodporny tusz do rzęs i bronzer, gdy Max znów wali do drzwi.

– Za moment wychodzę. Szukam moich kosmetyków do makijażu.

– O czym ty mówisz? – pyta przez drzwi. – Jedziemy na plażę. Nie potrzebujesz makijażu. Chodź już, inaczej będziemy stali w korku.

Przyglądam się sobie w lustrze. Wyglądam okropnie: jestem napuchnięta, mam rozmazaną mascarę z poprzedniego wieczoru. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wyszłam z domu bez makijażu. Ale przypuszczam, że nie umrę od tego.

Opuszczam mieszkanie, zabierając po drodze portfel, i zastaję Maksa siedzącego na schodach przed domem. Ma na sobie swoje zwykłe dżinsy i koszulkę, a plażowy ręcznik wepchnął do ulubionej reklamówki. Jest idealny bezchmurny ranek: na niebie nie ma ani jednej chmurki.

– Jak się czujesz po wczorajszym wieczorze? – pyta, gdy siadam i nakładam okulary przeciwsłoneczne.

„Tak sobie” – pokazuję.

– Czuję, że ta czwarta margarita była kiepskim pomysłem. A ty.

– Tak samo. – Odczuwam ulgę. Wszystkie te dziwne rzeczy, jakie przydarzyły się wczoraj, były najwyraźniej wynikiem wypicia kilku drinków.

– Przypomnij mi, z kim jedziemy.

– Z moimi przyjaciółmi, Suzanne i Garethem. Suzanne zabiera dla ciebie swoją starą piankę. Wiezie też deskę, a cała reszta będzie korzystała z wypożyczonych. Proszę, już są – wstaje i macha do ludzi w niebieskim mini cooperze, który właśnie się zatrzymuje. Z samochodu, z deską surfingową na dachu, wysiadają chłopak i dziewczyna. Ona nosi okulary przeciwsłoneczne i krótką sukienkę z wiązаныmi ramiączkami. Natychmiast żałuję, że nałożyłam szorty: czemu nie wybrałam ładnej sukienki.

– Suzanne, Zoe.

– Cześć! Miło cię poznać! – Uśmiecha się przyjaźnie zza okularów. Najwyraźniej jest Amerykanką albo Amerykanką z azjatyckimi korzeniami.

– A to Gareth. – Jej towarzysz jest niski i przysadzisty, ma ciemne włosy, okrągłą dziecinną buzię i psotne niebieskie oczy. Jest ubrany w spodenki do połowy łydki i bluzę z kapturem Hollister. Okulary z lustrzanymi szklami nosi zsunięte na czubku głowy. Jestem zaskoczona. Nie spodziewałam się, że Max ma znajomych, którzy gustują w firmowych ubraniach.

– Miło cię poznać, Zoe. Masz prawo jazdy? – pyta mnie od razu, z pięknym walijskim akcentem.

– Nie – przyznaję się. – Dwa razy oblałam egzamin.

– Nie ma sprawy, nauczymy cię. Wzdłuż A303 ciągnie się przyjemny, pusty odcinek.

– Zignoruj go – radzi Max i wkłada moją torbę do bagażnika.

– Żartowałam tylko. Oczywiście jedziemy M4 – mówi Gareth. – Suzanne zajęła miejsce z przodu, bo gdy siedzi z tyłu, chce jej się wymiotować, będziesz więc musiał się jakoś zmieścić na tylnym siedzeniu, dryblasie – zwraca się do Maksa.

– Nie, nie ma problemu. Może siedzieć z przodu – protestuje Suzanne i sadowi się razem ze mną z tyłu.

Natychmiast odwraca się w moją stronę i zasypuje mnie serią przyjaznych pytań, które zadaje radosnym głosem.

– Czyli mieszkasz z Maksem? Znaliście się wcześniej czy poznaliście się dopiero przy wynajmie mieszkania.

– Zoe spotyka się z Davidem. Znasz mojego przyjaciela, Davida Fitzgeralda? – pyta Max.

– Och, aha. Jest chirurgiem, prawda? Pamiętam. Pewnie prawie się nie widujecie, zgadza się? Skoro tak dużo pracuje.

– Suzanne! – przerywa jej Gareth. – Ledwo pięć minut temu Zoe wsiadła do auta.

– Wybacz – mówi Suzanne. – Mam tendencję do zadawania niewłaściwych pytań.

– Nie ma sprawy – odpowiadam ze śmiechem. – Faktycznie David dużo pracuje.

Jest trochę dziwna, ale budzi moją sympatię. Sama zaczynam

pytać ją o różne rzeczy i dowiaduję się, że Suzanne jest inżynierem, a Gareth zajmuje się dokumentacją badań i oboje chodzili z Maksem do Imperial. Minęliśmy już Westway i zmierzamy na zachód przez wiejskie okolice. Wkrótce prowadzimy ożywioną dyskusję na temat tego, czy małpy są straszne, czy nie. Wywołała ją propozycja Garetha, by zrobić postój w Monkey World w Dorset.

– Jak możesz uważać, że małpy są straszne? – dziwi się Gareth. – Są takie urocze.

– Są takie pomiędzy – wyjaśniam. – Czy to jeszcze zwierzęta? Czy to już ludzie? Czym one są.

– Zdecydowanie zwierzętami – odpowiada Max.

Prawie nie ma ruchu na drodze, więc pędzimy z zawrotną szybkością. Po postoju w Chippenham roślinność przy drodze staje się coraz bujniejsza, a okolica zielona i cukierkowa: wzgórza, urocze domy kryte strzechą i pola pełne pasącego się bydła. Cieszę się na widok Glastonbury – to miasto jest mekką hippisów. We wszystkich oknach widać batikowe tkaniny, łapacze snów i własnoręcznie robione świece.

– Możemy włączyć jakąś muzykę? – pyta Suzanne.

– Wszystko, tylko nie gównianą muzykę Maksa – mówi Gareth. – Nie chcę słuchać żadnych nieznanych utworów nagranych na ksylofonie przez Eskimosa z Nebraski czy cokolwiek dla nas przygotowałeś na dzisiaj.

– Mam Silver Jews i Magnetic Fields – oburza się Max. – To mainstreamowe kapele.

– Masz najbardziej niszowy gust muzyczny spośród wszystkich moich znajomych – stwierdza Suzanne. – Ale to nie jest aż tak fajne. To dziwne.

– Jestem fajny – oświadcza Max. – O czym ty mówisz.

Spogląda na moje odbicie w lusterku wstecznym i uśmiecha się. Odwzajemniam uśmiech i myślę sobie: „Naprawdę dobrze się bawię. Cieszę się, że się z nimi wybrałam”.

•

Zatoka Woolacombe jest ogromna, ma nieco zakrzywiony kształt i połyskuje niebieskimi falami przybojowymi. Dwa wysokie i spadziste wapienne klify wyznaczają jej granice. Na plaży jest tylko kilka osób: w większości surferzy i jeden starszy pan spacerujący z psem.

Wychodzę z auta i biorę głęboki oddech: nabieram słonego morskiego powietrza. Razem z nim wracają wspomnienia: wakacje, gdy byłam dzieckiem, dni spędzone nad morzem, wolność i szczęście. Max podchodzi i zatrzymuje się obok mnie. Przez chwilę stoimy w milczeniu.

– Jest dobrze, nie sądzisz? – pyta, a ja potakuję.

Wypożyczamy deski w małym sklepiku przy plaży. Ledwo jestem w stanie unieść swoją, ale podobno im jest dłuższa, tym łatwiej się na niej pływa. Później nadchodzi czas, by nałożyć krem do opalania z filtrem 50 i ubrać się w pianki. Max ostrzega mnie, że to najtrudniejsza część, i ma rację: ta czynność kojarzy mi się z wciskaniem się do tubki na pastę do zębów.

– A nie mogę po prostu zostać w kostiumie kąpielowym? – pytam sfrustrowana, machając rękoma.

– Nie, będzie ci za zimno. Spójrz, pasuje jak ulał! – odpowiada wesoło Suzanne, gdy w końcu udaje mi się założyć strój. Jestem cała czerwona i zdyszana. – Cieszę się, że go nie wyrzuciłam. Wszyscy gotowi.

– Idźcie już – decyduje Max. – Ja udzielę Zoe paru wskazówek.

Odwracam się do niego i muszę się bardzo starać, by nie wyglądać na zaskoczoną. Jego kostium z pianki uwydatnia wszystko to, co zakrywają luźne dżinsy i koszulki: szerokie ramiona, szczupły tors, wąską talię i biodra oraz długie nogi. Wow. Czemu nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

– No to pianka na ciebie pasuje – mówi, gapiąc się na mnie, po czym szybko odwraca wzrok. – Świetnie, dobrze. Wskazówki – chrząka.

– W jaki sposób staję na desce.

Wybucho śmiechem.

– Obawiam się, że dziś na niej nie staniesz, zamiast tego skupimy się na łapaniu fal.

Pokazuje mi, jak położyć się na desce: nie za bardzo z przodu, ale też nie z tyłu. Nie mogę tego załapać, więc pozwalam mu sobie pomóc i ustawić mnie we właściwej pozycji. Później udziela mi wskazówek, jak przypiąć deskę do kostki za pomocą krótkiej linki, żebym jej nie zgubiła i żeby nie uderzyła kogoś w głowę.

– A co jeśli ja dostanę nią w głowę.

– Słuszna uwaga – staraj się tego unikać. Dobrze, na tym zakończymy suchą część inicjacji. Złapmy parę fal, koleżanko! – Przybijamy piątkę i idziemy w stronę morza, gdzie Suzanne i Gareth już pływają na deskach.

Fale są większe, niż się spodziewałam, i po raz pierwszy się denerwuję. Dobrze pływam, ale nie chcę, by wielka fala przewróciła mnie i zmiotła do morza.

– Nie martw się – uspokaja mnie Max, widząc moją minę. – Będę na ciebie uważał.

– Wcale się nie denerwuję – kłamię, gdy wchodzimy razem do wody. Jest zimna jak lód.

– A powinnaś. – Chłapie mnie wodą, a ja piszczę i odwzajemniam mu tym samym. Przeistacza się to w regularną bitwę. Suzanne słyszy hałas, odwraca się i macha do nas.

Idziemy w głąb morza, aż woda zaczyna sięgać nam do pasa. Między stopami czuję przyływ, który niemal zwała mnie z nóg. Ale teraz jestem już podekscytowana – gdy widzę nadciągające fale, mam ochotę złapać jedną z nich i płynąć na niej, dokładnie tak, jak robi to teraz Gareth. To chyba nie może być aż tak trudne.

Okazuje się jednak, że nie jest to łatwe. Max idzie jako pierwszy, by zademonstrować technikę: kieruje deskę w stronę morza, a później, gdy zbliża się fala, skręca w bok i płynie, wiosłując rękami coraz mocniej, aż udaje mu się złapać falę we właściwym momencie, i na kolanach płynie w stronę brzegu. Staram się go naśladować, ale nie mogę uchwycić odpowiedniej chwili: albo fala przepływa, zanim zdążę ją złapać, i przewraca mnie, albo przechodzi obok, a ja podskakuję bez sensu.

Przy czwartej próbie wydaje się, że wyczułam odpowiedni moment, więc macham gorączkowo rękoma, by złapać falę, ale ta, akurat wtedy, gdy słyszę Maksa wołającego „Wiosłuj mocniej! Mocniej!”, wywraca mnie, co sprawia, że czuję się, jakbym się znalazła w pralce wypełnionej lodowatą, słoną wodą. Gdy się wynurzam, deska uderza z całej siły w moją nogę.

– Nic ci nie jest? – woła do mnie Max. Choć na rzęsach mam krople wody, a słońce razi mnie w oczy, widzę jego szczupłą ciemną sylwetkę, jak siedzi na desce i z łatwością unosi się na falach.

– Wszystko w porządku – odpowiadam. – Było świetnie! – Choć

nie wyszło mi jak trzeba, dobrze się bawiłam.

– Prawie ci się udało – mówi Max, podpływając do mnie. – Powiem ci coś: może przytrzymam twoją deskę, żebyś złapała falę? W ten sposób poczujesz, jak to jest.

– Max, nie chcę zajmować ci całego czasu. Powinieneś sam posurfować.

Kręci głową.

– Nie śpieszy nam się. Zostawię swoją deskę na brzegu, poczekaj chwilę. – Wraca na brzeg, niosąc deskę pod pachą, odkłada ją i wbiega z powrotem do wody. – No dobra, ruszamy. Połóż się na brzuchu i trzymaj się obiema rękami. Nie za daleko – idealnie. Oto twoja fala. Trzymaj się mocno! – zdecydowanym ruchem popycha deskę i biegnie za mną. Czuję zbliżającą się falę, a później Max już nie odpycha mojej deski, a kontrolę nad nią przejmuje woda. To niesamowite uczucie: mam wrażenie, że jestem częścią fali, a cała moc morza skupia się na tej jednej czynności, wystrzeliwując mnie jak strzałę w kierunku brzegu.

– Juuuuuuuuuuuuu! – krzyczę, gdy zbliżam się do piasku. Czuję, jak moje stopy się wykręcają, deska jakimś cudem znika, a ja wpadam pod wodę i uderzam o dno stopami i ramieniem. Chwilę później siadam. Posiniaczona, ale szczęśliwa.

– Udało mi się! – wołam. – Złapałam falę.

Kilka metrów ode mnie Max śmieje się i trzyma oba kciuki uniesione w górę. Idę do niego i mówię, że przez chwilę sama poćwiczę.

– Musisz sobie posurfować.

– Okej. Pamiętaj tylko: uważaj na deskę, gdy wpadniesz pod wodę. I nie próbuj łapać fali, na której płynie już ktoś inny.

Kiwam głową i wracam do ćwiczeń: zawracania, wyczuwania fali, wiosłowania na desce i próbie uchwycenia tego magicznego momentu. To naprawdę trudne i ciągle robię to źle, ale ta jedna chwila wcześniej była na tyle kusząca, że chcę próbować raz za razem. Już rozumiem, dlaczego ludzie się od tego uzależniają.

Niedaleko ode mnie Suzanne i Gareth pływają na deskach i rozmawiają ze sobą, leniwie unosząc się na wodzie. Podpływam do nich i przez jakiś czas pływamy razem – a przynajmniej oni łapią fale i udzielają mi pomocnych rad, a ja płaczę się w pobliżu.

– Nie widzę Maksa – Suzanne rozgląda się dokoła.

Ja też go nie dostrzegam i ogarnia mnie straszna panika. A co, jeśli znajduje się pod wodą.

– O, tam jest – mówi Gareth.

Odwracam się i widzę go płynącego na małej fali z taką łatwością, jak ktoś inny wsiada do busa. Stoi tak wyprostowany, że sprawia wrażenie, jakby odchyłał się do tyłu. Jedną stopę wysunął do przodu, ramiona tylko trochę odstają na boki. Patrzę, jak ślizga się po łuku przełamującej się fali, która z połyskującej zieleni i błękitu przeistacza się w białą pianę. Max wygląda fantastycznie.

– Wow! – Wzdycham bez zastanowienia. – Jest niesamowity.

– Tak, brał lekcje.

Mam wrażenie, że słyszę słowa Whoopi Goldberg wypowiedziane w filmie *Uwierz w ducha*: „Zoe, dziewczyno, jesteś w niebezpieczeństwie”.

„Okej, uspokój się – mówię do niej. – Jestem z Davidem, Max o tym wie, jesteśmy tylko przyjaciółmi”. Jedynym powodem, dla którego pojawiają się jakiegokolwiek dziwne uczucia, jest to, że ostatnio prawie nie widuję Davida. Ja i Max spędzamy miło czas, a Max świetnie surfuje. To wszystko.

Jest mi bardzo zimno, więc postanawiam wyjść na chwilę z wody. Zanoszę deskę daleko w głąb plaży i podchodzę do małego kiosku, żeby kupić sobie gorącą czekoladę.

– Z bitą śmietaną? – pyta nastoletni chłopak z utlenionymi dreadami.

– Tak. A macie też pianki? I mogłabym jeszcze prosić o hot doga? – dodaję.

Nie wiem, jak surferom udaje się zachować tak szczupłe figury. Mogłabym zjeść konia z kopytami. Gdy kończę pochłaniać hot doga i wypijam gorącą czekoladę, uznaję, że nadszedł czas na odpoczynek.

Rozdział 28

Dwadzieścia minut później leżę na plaży. Założyłam okulary przeciwsłoneczne, posmarowałam się kremem z filtrem, słucham kojącego szumu fal uderzających o brzeg. Mam na sobie swój najstarszy kostium kąpielowy, jestem bez makijażu i przed chwilą dostrzegłam białą plamę, której nie pokryłam samoopalaczem, ale i tak czuję się jak milion dolarów.

Chyba na moment się zdrzemnęłam, bo gdy otwieram oczy, słońce świeci niżej, choć nadal jest ładnie i ciepło.

– Cześć! – to Suzanne. Rozwija swój ręcznik plażowy, stary, z rysunkiem Małej Syrenki, i rozkłada się obok mnie, ubrana tylko w strój kąpielowy.

– Już ci wystarczy? To męczące, prawda? – pyta.

– Strasznie wyczerpujące! Ale dobrze się bawiłam.

Słyszę znajomy głos – mrużąc oczy, dostrzegam Maksa, który w połowie wydostał się już ze swojej pianki, założył koszulkę i gra na plaży w piłkę z kilkoma dziećmi. To naprawdę uroczy widok. Dwóch chłopców mających po osiem, dziewięć lat z łatwością go ogrywa i strzela gole. Max podnosi wzrok, zauważa mnie i macha do mnie ręką.

– No to jak się mają sprawy między tobą a Maksem? – zadaje mi pytanie Suzanne.

Niemal wyskakuję ze skóry.

– Jakie sprawy.

Suzanne wpatruje się w Maksa.

– Widzę, że mu się podobasz. To znaczy: naprawdę jest tobą zainteresowany. I wydaje mi się, że on tobie też przypadł do gustu, ale ty masz chłopaka, tak? I ten chłopak to jego przyjaciel.

– Skąd wiesz, że mu się podobam? – pytam, po czym od razu się poprawiam: – Mylisz się, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Suzanne ignoruje moje słowa.

– Dostrzegam to. Wiem, że to nie moja sprawa, ale Max ma tendencję do interesowania się trudnymi kobietami.

Jestem w takim szoku, że mogę wydusić z siebie tylko.

– Ach tak, naprawdę?

– Mniej więcej rok temu rozstał się z kimś i naprawdę przykro

było na to patrzeć. Bierze takie sprawy do siebie, a nie chcę, żeby cierpiał. Zwłaszcza teraz, gdy jego rodzina boryka się z takimi problemami – dodaje.

– Jakimi problemami.

Suzanne wlepia we mnie wzrok.

– Nie wiedziałas? Jego mama choruje na alzheimera. Wczesne stadium. To naprawdę straszne. Ma zaledwie sześćdziesiąt lat.

– O mój Boże! – Teraz ja gapię się na Maksa. Celowo bardzo słabo kopie piłkę, umożliwiając małemu bramkarzowi złapanie jej. Czuję się strasznie, że o tym nie wiedziałam. Teraz wszystko nabiera sensu. To dlatego chce zostać w kraju. To z tego powodu tak nagle pojechał do domu. Dlatego robił księgę pamięci. Dlatego tak bardzo mu zależy na tym, by eksperyment się powiódł. Biedny, biedny Max.

– W każdym razie – ciągnie Suzanne – wydajesz się bardzo miła i byłoby wspaniale, gdybyś była z Makssem. Ale nie dojdzie do tego, jeśli masz chłopaka. – Wstaje. – Idę popływać – oznajmia. – Masz ochotę dołączyć.

Kręcę głową, a Suzanne drepcze w stronę fal, mijając po drodze Maksa. Ten mówi coś do chłopców, po czym wolno rusza w moją stronę, a ja staram się wymyślić, co powinnam mu powiedzieć.

– Myślałam, że nie lubisz rywalizować w sporcie.

– Nie mam nic przeciwko, jeśli wiem, że mogę wygrać – siada po turecku obok mnie i pyta: – Masz już dość.

– Nie, wystawiam dziesiątkę.

– Co? Nie. Wystawianie dziesiątki to określenie na naprawdę zaawansowaną pozycję na desce. Oznacza, że wszystkie palce u stóp wystają poza deskę.

– Oj, myślałam, że chodzi o dziesięciominutową przerwę. – Oboje się śmiejemy.

– Może któregoś dnia wystawisz dziesiątkę, jeśli będziesz się starać... Poszło ci dobrze, biorąc pod uwagę, że dopiero zaczynasz.

– Nie, byłam beznadziejna! Ale i tak bardzo mi się podobało. A ty jesteś niesamowity.

– Długo się uczyłem.

Przez chwilę siedzimy w ciszy, po czym pod wpływem impulsu mówię.

– Suzanne powiedziała mi o twojej mamie... bardzo mi przykro.

Max spuszcza wzrok i przygląda się swoim stopom na piasku.
– Dzięki – odpowiada tak cicho, że ledwo go słyszeć.
– Czy to...?
– Nie chcę o tym rozmawiać.
– Przepraszam.
– Nie dzisiaj. Nie teraz.
– Rozumiem. – Cholera. Prawdopodobnie stara się o tym zapomnieć, a ja mu o tym przypominałam.
Max nabiera garść piasku, który przesypuje powoli przez palce.
– Czy mogę cię o coś zapytać? To znaczy, powiedzcie ci coś? Wiesz, gdy wspomniałaś, że cofnęłaś się w czasie, żeby... no z powodu Davida... – Chrząka i widzę, że wypowiedzenie tego imienia przychodzi mu z wysiłkiem.
– Tak – prawie szepczę.
– No cóż.
Następuje bardzo długa przerwa i kiedy już myślę, że zmienił zdanie i nie chce mi nic powiedzieć, ciągnie dalej.
– Po prostu uważam, że nie musisz robić czegoś takiego, żeby sprawić, by facet się w tobie zakochał. To wszystko.
Jeśli przemowa Suzanne wprowadziła mnie w osłupienie, to teraz dosłownie mnie zatyka. O czym on mówi.
– Ahoj, szczury lądowe! – ryczy ktoś za nami. Gareth przebrał się już w normalne ciuchy i rzuca się obok mnie, rozpryskując wszędzie piasek.
– A teraz, moi kochaniutcy – mówi z akcentem, który, jak sądzę, ma naśladować akcent z Devonu – powiem dwa słowa. Mleko. Herbata. W Woolacombe. Zsiadłe mleko, dżem, mnóstwo piwa imbirowego. Macie ochotę.

•

Wkrótce wracamy do domu. Siedzimy w aucie, objedzeni ciastkami z dżemem. Tym razem Max usiadł ze mną z tyłu, bo Suzanne robiło się niedobrze. Zasnął. Suzanne i Gareth rozmawiają ze sobą z przodu, a ja przyglądam się Maksowi: ciemnym, długim rzęsom, jeszcze bardziej opalonej twarzy, sterczącym włosom, sztywnym od słonej wody.

No to Max mnie lubi. Jestem prawie pewna, że tam na plaży

chciał mi przekazać, że coś do mnie czuje. I nie ma sensu zaprzeczać: on też mi się podoba. Wmawiałam sobie, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, współlokatorami, ale nie ma sensu się dalej oszukiwać. Podoba mi się jak cholera. Gdybym nie miała chłopaka, nic by mnie nie powstrzymało od tego, by odpiąć pasy, pochylić się w jego stronę i... powiedzmy, zacząć od pocałunku.

Ale mam chłopaka. Jestem z Davidem, kocham go. Idealnie do mnie pasuje! Jakim więc cudem mogę żywić jakieś uczucia do Maksa? Jest uroczy, i tyle.

Ogarnia mnie fala paniki, gdy myślę o tym, co to może oznaczać. Czy muszę zerwać z Davidem? Albo powiedzieć coś Maksowi.

Ale później dochodzę do wniosku, że przesadzam. To tylko zauroczenie. Hormony szaleją, a ja tak dawno nie widziałam Davida, że pojawiają się takie dziwne odczucia, które w rzeczywistości nic nie znaczą. Nawet o tym czytałam! To normalne. Bardzo często tak jest, że zaczyna ci się podobać ktoś nieodpowiedni w pracy albo coś w tym stylu. Ale to wcale nie oznacza, że w twoim związku źle się dzieje. Prawdopodobnie to nawet zdrowe.

– Wszystko w porządku tam z tyłu? – pyta Gareth.

– Tak – odpowiadam, odchrząkując. – Jestem tylko zmęczona.

Max budzi się, gdy słyszy nasze głosy. Patrzy mi prosto w oczy, po czym z jego twarzy znika uśmiech. Odwraca się w drugą stronę.

Mam straszne poczucie winy. Nic się nie stanie, jeśli przeżyję małe zauroczenie, ale Max... A co jeśli on naprawdę coś do mnie czuje? Robi mi się niedobrze, kiedy myślę o tym, jak z nim flirtowałam, jak dawałam mu nadzieję, jak z nim tańczyłam. Zasugerowałam mu, że coś się między nami dzieje. A naprawdę, za nic w świecie, nie chciałabym go skrzywdzić. Zwłaszcza teraz, gdy ma taką sytuację w rodzinie! Będę musiała się wycofać i pokazać mu w jakiś sposób, że jest mi dobrze z Davidem. Muszę być z nim szczerą. Jego wyznanie na plaży zawierało też pytanie, które zasługuje na odpowiedź.

Suzanne włącza Magic FM – trwa audycja poświęcona muzyce lat dziewięćdziesiątych. Słuchamy 4 Non Blondes, OMC śpiewających *How Bizarre*, po czym zaczyna się piosenka *Breakfast At Tiffany's*. Próbuję zignorować tekst opowiadający o dwóch osobach, które nie mają ze sobą nic wspólnego, bo z jakiegoś powodu budzi we mnie

ogromny smutek.

– Widziałas *Śniadanie u Tiffany’ego*, Zoe? – pyta Suzanne.

– Tak, uwielbiam go. – Milknę, po czym mówię dalej: – Zawsze chciałam to zrobić: zjawić się tam wcześniej, stać przy wystawie, wpatrywać się w nią i pić kawę.

– Dlaczego miałabyś stać na zewnątrz? To droga restauracja?

– Tiffany? Nie! To jubiler.

– Och! Nie miałam pojęcia – wybucha śmiechem i ja też się śmieję, choć moje myśli nadal krążą wokół Maksa. Jak mam mu powiedzieć, że źle mnie zrozumiał.

•

Po wolnym przejeździe autostradą docieramy do domu za pięć ósma. Pożegnawszy się z resztą, wchodzimy z Maksem po schodach. Otwiera drzwi swoim kluczem, a ja patrzę na różowo-pomarańczowe wieczorne niebo.

– Chyba zamówię pizzę – odzywa się, gdy idziemy na piętro. – Dołączysz się.

– Hm...

– Mam kupon na pizzę – mówi, unosząc brwi. – I dziś wieczorem puszczają w telewizji *Na fali*. Wieczór idealny, nie sądzisz.

Serce mi pęka, gdy muszę mu odmówić.

– Nie, chyba wezmę prysznic i pójdę wcześniej spać. Może zjem tylko jakieś płatki albo coś w tym stylu.

– Albo grzanki? Wiem, że lubisz je podjadać. – Choć w korytarzu panuje półmrok, widzę, że się do mnie uśmiecha. Muszę dać wyraźniejszy znak.

– Max, chciałam cię o coś zapytać. Przychodzisz na moje urodziny w sobotę, prawda?

– Oczywiście.

– To świetnie. Bo wydaje mi się, że mam przyjaciółkę, która mogłaby ci się spodobać. Nie będę was jakoś ostentacyjnie swatać, ale mógłbyś ją poznać i sam się przekonać.

– Oj... dobrze.

O mój Boże! Gdy widzę jego minę, czuję się, jakbym właśnie wbiła mu nóż w plecy. Ale przekonuję samą siebie, że lepiej sprawić, by teraz trochę cierpiał, niż później złamać mu serce.

Rozdział 29

Po dramatycznych weekendowych wydarzeniach odczuwam ulgę, gdy we wtorek zjawiam się w biurze. Jednak włączając komputer, myślami ciągle wracam do Maksa. Za każdym razem, gdy przypominam sobie jego minę, kiedy usłyszał, że chcę go umówić z moją przyjaciółką, czuję się jak morderczyni. Ale wiem, że tak będzie lepiej.

Pierwsze spotkanie tego dnia mam z Amandą, która komentuje mój raport dotyczący trendów w kostiumach kąpielowych.

– Nie jest wystarczająco szczegółowy – oznajmia, z roztargnieniem wachlując się raportem. – Musisz powiedzieć nam, którym markom powinniśmy się przyglądać, co się o nich mówi, podać wyniki sprzedaży, co zamawiają nasi konkurenci... takie podstawy. Dasz sobie radę z czymś takim? Czy powinnam poprosić Julię, by ci pomogła.

– Nie, w porządku. Zaraz się tym zajmę.

Cholera. Wiem, że ma rację w kwestii dodatkowych szczegółów, ale nie mam pojęcia, skąd wziąć takie informacje. A jeśli nie trafię w sedno, jestem pewna, że wspomni o tym Julii lub Sethowi. Ogarnia mnie taka panika, że aż się trzęsę. Oglądam po raz kolejny raport poprzedniej agencji, szukając wskazówek na temat źródła, z którego czerpali dane.

Chwilę później Julia wzywa mnie do swojego gabinetu, mówiąc, że chce mi pokazać jakąś sukienkę.

Na widok kreacji zapiera mi dech w piersi. Jest piękna: uszyta z jedwabnego szyfonu w kolorze brudnego różu, z głębokim dekoltem w szpic, wycięciem na plecach i delikatnym pierzastym zdobieniem na spódnicy, która sięga tuż przed kolano. To taka sukienka, którą zakładasz do klubu, z mnóstwem bransoletek, albo na wesele, do butów na wysokim obcasie i dopasowanego żakietu. Czuję silny ból w klatce piersiowej – to prawie jak bycie zakochaną.

– Pomyślałam, że spróbujemy wysłać Keirze jeszcze jedną sukienkę – mówi Julia. – Ta powinna przykuć jej uwagę, nie sądzisz.

– Zgadzam się. – Nie potrafię oderwać od niej oczu. – Jest idealna. Czy to Alice and Olivia.

– Nie, to nowa marka, Victoire des Anges. Jedyna w swoim

rodzaju. Czy Keirze podobały się dwie poprzednie sukienki, które jej wysłałyśmy? Nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi, nawet od jej agencji PR.

– Wydaje mi się, że przypadły jej do gustu – stwierdzam lekkomyślnie. Zakładam, że tak się stało: ja tylko wysłałam je kurierem i nie otrzymałam żadnej wiadomości zwrotnej. Trzymam kciuki z nadzieją, że nikt tego nigdy nie sprawdzi.

Julia kręci głową.

– Wydaje mi się, że zbyt wiele ryzykujemy, wysyłając ubrania Keirze za pośrednictwem jej agencji PR. Nie chodzi o to, że jej nie ufam, ale nigdy nie wiadomo, jak długo takie prezenty będą leżały u nich w biurze, zanim zostaną przekazane Keirze. No i co ważniejsze: ludzie czasem gubią różne rzeczy.

– Wiem. – Kiwam głową, ale mój wzrok nadal jest wbity w sukienkę. Czuję się, jakby do mnie mówiła: „Załóż mnie”. Wyobrażam sobie, jaką minę zrobiłby Max, gdyby mnie w niej zobaczył, po czym szybko i zdecydowanie zastępuję Maksa Davidem. Podczas mojej kolacji urodzinowej! Byłaby idealna.

– Pomyślałam więc, że może przekazałabyś ją Keirze do rąk własnych – proponuje Julia. – Mogłabyś to zrobić.

Odrywam oczy od sukienki, patrzę na Julię i odpowiadam.

– Pewnie. – Odchrząkuję. – Oczywiście, że tak. Zadbam, by do niej dotarła. A tak przy okazji, czy widziałaś moje zamówienia na torebki od Petera Sembello? Były w porządku.

– Tak, były doskonałe. – Podaje mi sukienkę i siada przy komputerze. – Przepraszam, muszę coś sprawdzić.

Wycofuję się z jej gabinetu, cały czas gapiąc się na suknię. Jest tak wspaniała, że nie potrzebuje zbyt wielu dodatków. Może kolczyki koła? Włosy oczywiście musiałabym upiąć. Jakies boskie buty... Robię krok do przodu i delikatnie głaszczę niezwyklej jakości materiał, z którego została uszyta. Biorę do ręki metkę i wypuszczam ją, bo doznaję szoku. Nawet przy mojej nowej pensji nie mogłabym sobie na nią pozwolić.

Cholera. Jeśli wyślę tę cudowną kreację do agencji PR, jakaś doświadczona laska może ją zwędzić i sprzedać na eBayu. A gdybym ją zaniósła do domu, zaopiekowałabym się nią, kochała ją i oddawała jej cześć przez resztę życia.

Ale jeżeli wezmę sukienkę, będę złodziejką – to oczywiste. Odwracam się tyłem do niej, siadam i koncentruję na moim raporcie dotyczącym kostiumów kąpielowych. Obcisłe. Moja analiza tego trendu mówi, że...

Oczywiście, mogłabym ją tylko pożyczyć. Założyłabym ją na urodziny, oddała do pralni i następnego dnia wysłała do agencji PR, która obsługuje Keirę. I nikt nigdy by się nie dowiedział. Nie jestem w stanie się powstrzymać, zeskakuję z krzesła, zamykam drzwi do swojego gabinetu i przymierzam sukienkę. Świadomość, że leży na mnie tak doskonale, jest niemal nie do zniesienia. Właściwie to Keira prawdopodobnie musiałaby ją zwęzić... Biegnę do małego lustra obok drzwi i dosłownie brakuje mi tchu. Suknia jest idealna.

Muszę się opanować. Zdejmuję ją i odkładam na miejsce, z którego będzie dla mnie niewidoczna, i skupiam się na poprawianiu prezentacji dotyczącej kostiumów. Pracuję też nad własnym pokazem, który muszę mieć gotowy za niecały tydzień.

Po południu udaję się na spotkanie VM (co, jak się już zdążyłam dowiedzieć, oznacza *visual merchandising*). Rozmawiamy o ekspozycjach świątecznych i odczuwam wielką ulgę, gdy wiem, co powinniśmy zrobić z naszymi wystawami (zdecydowanie popieram pomysł wykorzystania czterech pór roku i baśni) i co prawdopodobnie wymyśli nasza konkurencja.

– Mam przeczucie, że Selfridges będzie eksploatował motyw zabawy – mówię z większą pewnością siebie niż ostatnio. – Dużo zabawek i wesoły, nowoczesny styl.

– Wydaje się, że w wielu kwestiach kierujesz się przeczuciem – odzywa się niewinnie Amanda. – Czy w ten sposób pracujesz też nad raportami dotyczącymi trendów.

– Ale to prawda – przyznaje dziewczyna, która zajmuje się wystrojem i ma na imię Jane albo Janet. – Znam kogoś, kto nad tym pracuje. Wybrali zabawę jako główny motyw.

„Mam cię!” – myślę sobie, gdy Amanda wycofuje się, patrząc na mnie z wymuszonym szacunkiem. Seth ziewa i ogląda coś na swoim BlackBerry. Zdążyłam już zauważyć, że podczas spotkań nie potrafi się za bardzo skupić: wypowiada swoje zdanie, a później się wyłącza.

Po omówieniu kwestii wystaw rozmawiamy przez jakiś czas o nowym rozkładzie sklepu. To niezwykle ważna sprawa: wysokość

obrotów przeliczana na powierzchnię decyduje, czy nasza działalność jest opłacalna, czy nie. Jestem podekscytowana, gdy dowiaduję się, że projekty Sinead zajmą dobrze eksponowane miejsce. Nie mogę się doczekać chwili, gdy jej apaszki będą kultowe, a stanie się to dzięki naszemu sklepowi.

– A skoro mowa o akcesoriach... – to znowu Jane (albo Janet) – gdzie umieścimy nową markę, Petera Sembello? Jak to sobie wyobrażacie.

Wszyscy spoglądają na mnie.

– Odniesie niewiarygodny sukces, więc uważam, że powinniśmy dać mu bardzo dobrze widoczne miejsce... Może tutaj, po lewej, zaraz obok kasy? – Pokazuję na planie sklepu.

– Ale tam zawsze wystawiamy produkty Gucci – przypomina Jane-Janet.

– No cóż, może Peter to nowy Gucci – stwierdza Seth.

– To prawda – zgadza się z nim Jane-Janet. – Zoe, co o tym sądzisz.

Czekam przez chwilę, bo próbuję się upewnić, że się nie mylę. Wyraźnie pamiętam, że wracałam do domu metrem i czytałam w „The Evening Standard”, że Peter Sembello to nowy projektant torebek, któremu warto się przyglądać. Ale nawet bez tej wyjątkowej wiedzy uczę się w większym stopniu ufać własnej ocenie. A naprawdę wierzę w Petera Sembello.

– O tak, zdecydowanie – odpowiadam. – Musimy zapewnić mu dobry punkt.

– Okej – oświadcza Jane-Janet i oznacza to miejsce wielkim PS.

•

– Cześć, dziewczyno – mówi Seth, idąc za mną korytarzem. Dziś ma na sobie granatową marynarkę, białą koszulę i czarne spodenki do kolan oraz, jak zawsze, mokasyny noszone bez skarpetek. – Dobra robota. Bardzo mi przypadły do gustu te rzeczy od Sembello. I podoba mi się, gdy ktoś tak wierzy w nową markę.

– Dziękuję! Znalazłbyś trochę czasu, żeby spojrzeć na to, co dotychczas udało mi się zebrać do raportu dotyczącego trendów? Chętnie poznałabym twoją opinię.

Zmierza za mną do mojego gabinetu, gdzie pokazuję mu tablice z

trendami i slajdy, nad którymi pracuję. Według mnie trendy, którym należy się przyglądać, to wzorzyste spodnie, kolorowy dzins, łączenie kolorów i damulkowate ubrania.

– Mmmmmm – mruczy.

– Co o tym sądzisz? – pytam zmartwiona.

Seth wzdycha.

– Bardzo ładnie, kochana. Nie chcę jednak być wredny ani nic takiego, ale to informacje, które mógłby zebrać każdy projektant pracujący dla sieciówki. Wydaje mi się, że powinnaś spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Czego ludzie będą pragnąć? Jakie nastroje zapanują na ulicach? Co ludzie będą robić w wolnym czasie? Takie rzeczy. Na przykład nie masz tam nic na temat Internetu. A takie sklepy jak nasz nie przetrwają, jeśli nie zbudują sobie marki w sieci.

Aha, teraz wszystko się układa. Seth zawsze mówi o internecie. To pewnie jest jego konik i właśnie o tym wspominał w kuchni Louis.

– Na pewno mogę umieścić informacje na temat naszej strony.

– Albo jej braku. Tak, zdecydowanie powinnaś o tym napisać.

Nie bądź nietaktowna... ale zdobądź informacje na temat tego, co robią inne sklepy.

– Okej. – Trudno będzie to wszystko zebrać, skoro został mi tylko trochę ponad tydzień, ale Seth jest bystry i uważam, że ma w tej kwestii rację. Naprawdę sądzę, że takie informacje uczynią moją prezentację bardziej strategiczną. Mogłabym nawet zaproponować konkretne rozwiązania dla naszej strony i pozostałych spraw.

Zaczynam czuć prawdziwą ekscytację: jestem przekonana, że świetnie wypadnę.

Dokładnie w tej chwili dostaję wiadomość od Davida. Seth nadal przegląda moje slajdy, więc szybko zerkam na telefon: „Cześć, prawie urodzinowa dziewczyno. Wybacz, że ostatnio jestem taki beznadziejny. Nie mogę się doczekać, by Ci to wkrótce wynagrodzić. Xxxo.D”.

W jednej chwili weekend spędzony z Maksem wydaje się zamierzchną przeszłością. Odczuwam ogromną ulgę i absolutną pewność: David na pewno jest tym jedynym.

– Wiadomość od chłopaka? – pyta Seth, który z pewnością dostrzegł głupi uśmiech na mojej twarzy. – Pokaż fotkę.

Śmieję się, ale mam też ochotę się pochwalić, więc wyszukuję w telefonie moje ulubione zdjęcie Davida, zrobione u niego na tarasie.

Byłam trochę zawstydzona, gdy go fotografowałam, ale bardzo zależało mi na tym, by je mieć.

– Wow! – Seth gwizdże. – Ukrój mi kawałek tego ciacha! Wybacz, kochanie, nie chciałem być wulgarny. I jest chirurgiem? Mój brat także. Okulistą. A twój chłopak czym się zajmuje, przypomnisz mi.

Gdy mówię, że kardiochirurgią, Seth znów wydaje krótki gwizd. Nagle przychodzi mi do głowy myśl zasługująca na pogardę: Seth nie zareagowałby tak samo na widok Maksa ani na informację o jego pracy. Takie jest życie.

– Ale to musi być trudne, pewnie prawie się nie widujecie.

– Jest ciężko – przyznaję. – W ciągu ostatnich trzech tygodni widzieliśmy się zaledwie dwa razy – gdy wypowiadam te słowa głośno, brzmi to naprawdę żałośnie, więc dodaję: – Ale w tę sobotę świętujemy moje urodziny.

– Ooo! Zatem wszystkiego najlepszego w sobotę, będziemy musieli cię podrzucić. Zakładasz to? Boska. – Wskazuje palcem na powieszoną w kącie sukienkę, która nadal mnie kusi. Seth podchodzi i przygląda się metce.

– Nie, to prezent dla Keiry Knightley.

– Ach tak, twojej kumpeli! To wspaniale. W każdym razie, kochana, lepiej już pójdę. Mam mnóstwo pracy, a muszę wyjść wcześniej, żeby zdążyć na zajęcia z cyclingu. Do zobaczenia później. Daj mi znać, jeśli będę mógł ci pomóc przy prezentacji.

Po wyjściu Seta robię notatki z naszej rozmowy, ale nie mogę przestać myśleć o sukience. Szybko podejmuję decyzję: założę ją w weekend, oddam do pralni, a później wyślę do Keiry. Po rozwiązaniu tego dylematu z radością wracam do pracy, zdeterminowana, by przygotować najlepszą prezentację w historii.

Rozdział 30

Stolik dla ośmiu osób na nazwisko Kennedy? Proszę za mną.

Razem z Kirą idziemy za kelnerem, który prowadzi nas w głąb restauracji, i wymieniamy między sobą spojrzenia mówiące „Francja elegancja”. Lokal sprawia idealne wrażenie: swobodny, ale szykowny, z pomalowanymi na biało ścianami, otwartą kuchnią z płomieniami buchającymi nad piecykami i cudownym zapachem pizzy. Wszędzie dokoła siedzą duże grupy ludzi, dzielących się pizzą ustawioną na małych podwyższeniach na stole.

– Dobry wybór – przyznaje Kira, gdy zajmujemy miejsca.

– Mam nadzieję, że wszystkim się spodoba – mówię. Nagle ogarnia mnie panika, jestem przecież gospodynią przyjęcia. – Myślisz, że to dobrze, że siedzimy w środku? Próbowałam zarezerwować stolik na zewnątrz, ale się nie udało.

– Jest okej.

– Super. Uff. Zaraz, jeśli usiądziemy na tym końcu, wtedy możemy posadzić Davida obok mnie, Olivera koło ciebie, a za nim Rachel. Harriet zajmie miejsce obok Davida, a za nią będą siedzieć Sinead i Max. A, no i Jenny. Może usiąść na końcu. – Wyjmuję kawałeczki brystolu.

– Co to jest, do cholery? – pyta Kira. – Będziesz wygłaszać mowę.

– Małe karteczki, żeby pokazać ludziom, gdzie kto ma usiąść. Olać?

– Halo! To nie przyjęcie u ambasadora. – Zabiera mi kartoniki i chowa je do swojej torebki. – Przestań się stresować i baw się dobrze. Usiądziemy tu, pośrodku, a każdy niech siada, gdzie chce.

Przepraszam? – Do stolika podchodzi kelner, a Kira oczarowuje go swoim cudownym uśmiechem. – Czy możemy prosić o butelkę białego i butelkę czerwonego wina? Stołowe będą okej.

Kira ma rację: muszę się odprężyć. Nie wiem, dlaczego jestem tak spięta. Częściowo może to być spowodowane faktem, że założyłam sukienkę Victoire des Anges i boję się, że coś na nią wyleję. Na wszelki wypadek położyłam na kolanach trzy serwetki.

– Nie uważasz, że jestem zbyt elegancko ubrana.

– Nie! Zrelaksuj się! – Wręcza mi mały pakunek. To mydło i

krem do rąk Lush, które pamiętam z poprzedniego razu. – A tak przy okazji, gdzie jest David.

– Gra po południu w tenisa. Ale zaraz się pojawi.

– No tak... hej, a kim jest ten koleś, który do ciebie macha.

– Ach. To Max, mój współlokator. – Max idzie do nas okrężną drogą między stolikami. Jest ubrany w szarą koszulę – tę samą, którą założył, gdy poszliśmy tańczyć. Ma mokre włosy i niesie sportową torbę, która wygląda na nową. Szkoda, że przyszedł tak wcześnie. Między innymi dlatego też byłam zdenerwowana: właściwie nie widziałam go od czasu naszej rozmowy po powrocie z plaży.

– Wydawało mi się, że określiłaś go jako trochę obciachowego – stwierdza Kira. – A jest słodki.

– Cicho! Usłyszysz cię.

– I dobrze – kwituje, a jej wzrok nadal jest utkwiony w Maksie, który idzie w naszą stronę.

– Witam – mówi Max. – Wszystkiego najlepszego, Zoe!

Kira podaje mu rękę i uśmiecha się szeroko.

– Cześć, jestem Kira – przedstawia się.

– Miło cię poznać... jestem Max – waha się, najwyraźniej nie jest zdecydowany, czy usiąść obok niej, czy obok mnie.

– Siadaj koło mnie – Kira poklepuje siedzisko krzesła. – Byłeś teraz na siłowni.

– W pewnym sensie. Poszedłem do Porchester Centre na basen i do łaźni tureckiej – wyjaśnia, odkładając torbę pod stół. – To naprawdę fajne stare miejsce.

– Uwielbiam łaźnie tureckie – oznajmia Kira. – Są genialne, zwłaszcza jeśli masz kaca. To naga łaźnia.

Serio. Czy to naga łaźnia? Ale Max wcale nie wydaje się zawstydzony.

– Tak. Ale nie koedukacyjna. Tylko w niedziele można pójść parami... co zawsze sprawia, że myślę o swingowaniu.

Kira zaczyna opowiadać o swojej wyprawie do łaźni tureckiej w Budapeszcie, gdzie masażystka zapytała ją, czy chciałaby „goły masaż”, a ona dostała takiego ataku śmiechu, że nie była w stanie wytrzymać dalszej części zabiegu; zresztą wszystkie masażystki też dostały hysterii. To bardzo zabawna historyjka, a Kira ma talent do opowiadania. Widać, że Max słucha jej z przyjemnością.

– Wszystkiego najlepszego, Zoe. Przepraszam za spóźnienie. To Oliver, z kaskiem rowerowym pod pachą, ubrany w odblaskową kurtkę. Macha do Kiry i Maksa, z pewnym skrępowaniem całuje mnie w policzek i podaje mi kartkę.

– Nie spóźniłeś się. Jest dopiero dziesięć po ósmej. – Otwieram kartkę. Namalowano na niej akwarelą bukiet kwiatów i napisano: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin dla ukochanej siostry”. Wybucham śmiechem i ustawiam kartonik na honorowym miejscu obok swojego talerza.

– Ojej. Nie zauważyłem – usprawiedliwia się Oliver. – Ups. Ale Zoe, stałaś się dla mnie jak siostra.

– Dzięki, braciszku – poklepuję go po ramieniu i przez chwilę zastanawiam się, dlaczego Max nie dał mi kartki.

Oliver dalej wyplątuje się ze swoich lampek, światełek i odblaskowych gadżetów. Później wiesza kurtkę na oparciu krzesła i odkłada na stół światło rowerowe. Postanawiam zrobić coś z tym, zanim będzie za późno.

– Wiesz co, może zabiorę część tych rzeczy. – Szybko wyciągam bawełnianą torbę (przyniosłam ich kilka, by zapakować w nie prezenty) i zgrabnie wkładam do niej akcesoria Olivera. Rachel zjawi się tu za chwilę i nie chcę, by Oliver zakopał się w takich pierdołkach.

– Dlaczego kradniesz mój sprzęt rowerowy? – pyta ze zdziwieniem.

– Podaj mi też swoją odblaskową kurtkę. Sprzątam tutaj, żeby nikt tego nie pobrudził pizzą.

– Ach, wybaczone. Narobiłem bałaganu na stole.

– Trochę. Ale nie przepraszaj. – Spoglądam na Kirę i Maksa, którzy nie słuchają nas, bo są zajęci rozmową o podróżowaniu po Europie Wschodniej.

– Naprawdę? – pyta rozbawiony. – Ale mówisz ogólnie czy o moim sprzęcie rowerowym.

– Ogólnie.

– Okej – odpowiada i uśmiecha się miło. Wygląda o wiele lepiej, gdy nie jest zakryty goglami i kaskiem. Ma ładnie opalone przedramiona, a jego ciemne, w tym momencie zwichrzone włosy są trochę dłuższe, dzięki czemu świetnie zakrywają mu uszy. Wiążę dziś z nim i Rachel wielkie nadzieje.

– Przy okazji – mówi – kiedy zamierzasz znów przyjść na quiz w pubie? Jesteś nam naprawdę potrzebna.

– Niedługo. Już niedługo! – obiecuję, uśmiechając się szeroko. Odczuwam ulgę, gdy Kira wznosi toast.

– Za zdrowie jubilatki! – Nalała każdemu wina, więc wszyscy podnoszą kieliszki i mówią: „Zdrowie!”. Przyglądam się ich twarzom i uznaję, że jak na razie to lepsze niż karaoke.

– Dziękuję!

– A gdzie jest David? – dopytuje się Oliver.

Wolałabym, żeby przestali zadawać to pytanie.

– Zaraz tu będzie – odpowiadam.

– O, idzie – mówi Oliver. – Z Jenny.

Faktycznie. Jenny ma na sobie dżinsową koszulę z postawionym kołnierzem i naszyjnik z pereł. David założył jasnoniebieską bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami i beżowe spodnie. Oboje wyglądają bardzo rześko, zdrowo i mają rumieńce. Niosą ze sobą rakiety tenisowe.

– To dziwne – zastanawia się Kira. Najwyraźniej ma zamiar skomentować fakt, że David dotarł na miejsce w towarzystwie Jenny, a nie moim, ale się powstrzymuje. Doceniam to.

– Przepraszamy za spóźnienie. Para, która była na korcie przed nami, przedłużyła grę – usprawiedliwia się Jenny.

Zaraz. Czy ona właśnie powiedziała: „Para, która była na korcie przed nami”?

– Wszystkiego najlepszego, Zoe – David całuje mnie i wręcza podłużny upominek zapakowany w ozdobny papier.

– Dziękuję, Davidzie. – Też go całuję i odkładam prezent obok talerza. Postanawiam, że zostanie odpakowany później.

– Wszystkiego naj – dodaje Jenny i siada naprzeciw Davida. – Czy mogę dostać jak najszybciej colę light i dwie karty dań – zwraca się do kelnera, zanim ten zdążył otworzyć usta. – I może pan to zabrać, ale proszę obchodzić się z nią ostrożnie, bo jest droga – oddaje mu swoją raketę do tenisa. – Dave, chcesz też oddać swoją? – pyta, przerywając Davidowi rozmowę z Makssem.

– Pewnie – David oddaje raketę. Jestem zachwycona, bo później ignoruje Jenny i skupia całą uwagę na mnie. – Wyglądasz absolutnie zniewalająco – szepcze. – Nowa sukienka.

Z radością przytakuję.

– Przepraszam, że nie spotkaliśmy się wcześniej na drinka. Po prostu musieliśmy rozegrać ten mecz, inaczej wypadlibyśmy z ligi.

– Nie szkodzi – odpowiadam i uświadamiam sobie, że mówię prawdę.

Stuka swoim kieliszkiem o mój i spogląda mi w oczy.

– Wszystkiego najlepszego. Nie mogę się doczekać weekendu, który spędzimy razem.

Uśmiecham się do niego i odczuwam jeszcze większą ulgę na myśl, że wszystko między nami dobrze się układa. Max nadal jest pochłonięty rozmową z Kirą, co uznaję za pozytyw.

– Witaj, jubilatko, dzień dobry wszystkim! Przepraszam za spóźnienie – Rachel dociera na miejsce. – O, cześć, Jenny – dodaje. – Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę.

– Dziękuję za prezent! – rzucam szybko. Zanim Jenny zreflektuje się, że Rachel powiedziała to samo, co ona sama do mnie podczas spotkania z rodzicami Davida, robię wielkie zamieszanie z odpakowywaniem prezentu, żeby odwrócić uwagę. Dostałam taki sam uroczy wazon jak poprzednim razem.

– Co ona tutaj robi? – mamrocze Rachel półgębkiem. Zajmuje miejsce obok mnie, z dala od Davida i Jenny.

– Działa mi na nerwy. – Świadomie nie patrzę na powitanie Rachel i Olivera. Są trochę skrępowani, ale ja jestem pełna nadziei.

Tymczasem między Kirą i Makssem iskrzy coraz mocniej.

– Tak bardzo za tym tęsknię – mówi Max. – Czasem mam straszną ochotę.

– Wiem dokładnie, o co ci chodzi – odpowiada Kira z emfazą. – Tutaj to nie to samo, nie sądzisz.

O czym oni rozmawiają.

– Znasz taką całkiem dobrą knajpę? La Taqueria przy Westbourne Grove. To niedaleko stąd. Podają naprawdę dobre śniadania. Powinnaś się tam kiedyś przejść.

Aha, meksykańskie jedzenie. Ulżyło mi. To znaczy, odbieram to jako coś zabawnego.

– Zoe! – to Harriet. Dopiero teraz dotarła i wygląda na okropnie zakłopotaną. – Wszystkiego najlepszego! Tak bardzo, bardzo, bardzo cię przepraszam za spóźnienie. Musiałam pomóc siostrze przy

przeprowadzce, a później były opóźnienia na linii Central, więc przesiadłam się do autobusu, co było kiepskim pomysłem. Powinnam była pojechać inną trasą, ale tam są zawsze korki. W każdym razie, wszystkiego najlepszego! – wręcza mi ogromną paczkę, która zawiera duży zestaw upominkowy Benefit. Cudownie. Harriet ma na sobie falbaniasty top z głębokim dekoltem, chyba z Nougat. Nie mam takiego w żadnym kolorze. A ten naprawdę do niej pasuje.

– Nie przejmuj się! Usiądź! – Całuję ją na powitanie.

– Cześć! O nie, czy muszę tu siadać? – Harriet spogląda na wolne miejsce u szczytu stołu, między Rachel a Oliverem. Drugie wolne krzesło jest na drugim końcu, zarezerwowane dla Sinead, która nadal się nie pojawia.

– Mamy mnóstwo miejsca – zapewnia ją Rachel.

– Nie, chodzi tylko o to, że nie chcę siedzieć tutaj – to miejsce powinien zająć ktoś ważny, a nie ja. Zoe, może ty tu usiądziesz. Och, nie, wtedy nie będziesz obok Davida. W porządku – mówi, zajmując miejsce – robię tylko zamieszanie.

Oliver przygląda się jej z rozbawieniem.

– Zamienię się z tobą – wstaje. – Serio, to nic takiego, daj mi szansę odegrać ojca chrzestnego. – Kręci głową w bardzo męski sposób, gdy Harriet protestuje i zajmuje miejsce. Siedzi teraz u szczytu stołu, twarzą do Harriet i Rachel.

– Bardzo ci dziękuję. – W wielkich oczach Harriet widać wdzięczność.

Max i Kira nadal są pochłonięci rozmową.

– Bells Beach – mówi Kira. – Tyle mogę powiedzieć. Dopóki nie pływałeś na desce u wybrzeży Australii, nie możesz powiedzieć, że surfowałeś.

– Tak? A jaka pora roku jest najlepsza.

– To zależy. Pojechałam w czerwcu ubiegłego roku. Było nieziemsko.

– Skąd znasz Zoe? – pyta Olivera Harriet. – Och, przyjaźnicie się z Davidem. Też jesteś lekarzem.

– Tak.

– To niesamowite – podsumowuje Harriet. – Nie wiem, jak to robicie. Jesteście tak zaangażowani, inteligentni i tak ciężko pracujecie.

– Oliver śmieje się, ale widzę, że mu to pochlebia. Hm. Mam nadzieję,

że Harriet nie odciągnie jego uwagi od Rachel.

Dostaję SMS. Od Sinead. „Cześć, Zoe, nie mogę się doczekać twojej jutrzejszej imprezy urodzinowej. O której mam być?”.

Przewracam oczami i nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

– Wiesz już, co chcesz zamówić? – pytam Davida, ale w tym samym momencie Jenny zagłusza mnie swoim głosem, subtelnym niczym syrena alarmowa.

– Ej, Dave, a mówiłam ci, że dyrektorka z mojej dawnej szkoły chce, żebym tam przyjechała i wystąpiła w roli, no wiesz, wzoru do naśladowania? Straszne, co?

Znów przewracam oczami i odwracam się do Harriet i Rachel.

– Możecie już zamawiać.

– Och! Przepraszam – mówi natychmiast Harriet. – Przejrzę menu.

– Wszystko wygląda naprawdę smacznie – stwierdza Oliver i wpatruje się w jej śliczną ciemną główkę pochyloną nad kartą dań oraz obfity biust podkreślony falbaniastą bluzką. Rachel zerka ze zdziwieniem na Olivera, a później na mnie. Max opowiada Kirze jakąś zabawną historię i oboje się zaśmiewają. Chyba wypiliśmy już kilka butelek wina. Zaczynam się czuć, jakbym była na dwóch świetnych pierwszych randkach, gdzie ja i Rachel to piąte koła u wozu, choć ja oczywiście mam Davida.

– Hej! – staram się przekrzyczeć rozmowy. – Czy ktoś już wie, co chce zamówić.

Gdy na małych podwyższeniach lądują nasze pizze, zaczynam się czuć lepiej. Moja pizza jest pyszna: cienka, chrupiąca, z niewielką ilością sera i licznymi dodatkami. David poświęca mi teraz całą swoją uwagę, daje spróbować swojej pizzy, dolewa wina i prawi komplementy. Ale w międzyczasie musi też słuchać Jenny, która siedzi po jego drugiej stronie i opowiada o rugby, tenisie i medycynie oraz o tym, jak męczące jest odnoszenie takich sukcesów. Zaczynam się zastanawiać: czy gdybym wychodziła za mąż za Davida, Jenny byłaby jego drużbą.

– Wszystko w porządku, jubilatko? – pyta Rachel, wgryzając się w swój kawałek pizzy. – Jesteś taka milcząca.

– Tak, jest okej. Próbowałam sobie tylko przypomnieć... kto opowiadał nam historię o gościu, którego drużbą na weselu była

kobieta.

– O, ja wiem, o kogo chodzi – wtrąca się Oliver. – Znamy go z Davidem, choć niezbyt dobrze. Jego družbą była siostra, która założyła na tę okazję białą sukienkę.

– To najbardziej szalona rzecz, o jakiej słyszałam – przyznaje Rachel. – Jej kiecka pasowała do sukni panny młodej.

– Nie. Ale tak się nieszczęśliwie złożyło, że siostra była raczej wysoka i niezwykle piękna – wydaje mi się w sumie, że jest modelką – a panna młoda... no trochę gorsza.

– Biedna dziewczyna. To straszne – odzywa się Harriet.

– To okropne i nie na miejscu – dorzuca Rachel. – Wyobraźcie sobie, że ludzie będą później oglądać zdjęcia. Prawdopodobnie pomyślą, że to siostra była panną młodą. Albo że były dwie panny młode.

– No cóż – włącza się dyplomatycznie do rozmowy Oliver – owszem, w tym konkretnym przypadku to nie wypaliło, ale uważam, że to miłe, jeśli ludzie nie robią wszystkiego tak samo, jeżeli dodają coś od siebie.

Harriet potakuje.

– Zupełnie się z tobą nie zgadzam – mówi Rachel.

Wykrzywiam się. Naprawdę wołałabym, żeby Rachel tak nie polemizowała z ludźmi. Zwłaszcza z mężczyznami. Oni w ogóle tego nie lubią.

– Naprawdę? – pyta uprzejmie Oliver. – Dlaczego?

– Po prostu w ogóle nie widzę sensu w urządzaniu wielkiego tradycyjnego wesela, jeśli masz zamiar uczynić družbą kobietę albo kazać mamie odprowadzić się do ołtarza czy coś w tym stylu. Albo hołdujesz tradycji, albo nie. Ale uważam, że to śmieszne, gdy ludzie próbują dopasować do siebie tradycyjne zwyczaje, bo nie o to przecież chodzi.

– Naprawdę? – powtarza Oliver, a jego oczy błyszczą. Wygląda, jakby ta rozmowa sprawiała mu przyjemność. Odwraca się w stronę Harriet i pyta: – A ty co o tym sądzisz.

Biedna Harriet wygląda, jakby kazano jej wyrecytować grecki alfabet.

– Ja... lubię wesela... – odzywa się niepewnie.

– Zgadzam się – mówi Oliver. – Ja też je lubię. Ludzie inwestują

w nie mnóstwo czasu i pieniędzy, więc jeśli chcą mieć kobietę jako družbę, chcą wypuścić stadko gołębi czy zrobić cokolwiek innego, czemu mieliby się od tego powstrzymać?

Rachel, Harriet i ja wlepiamy w niego wzrok. Wyznanie „lubię wesela” wywołały dreszcze i mam wrażenie, że każda z nas – nawet ja, przez ułamek sekundy – wyobraża sobie siebie wychodzącą za mąż za Olivera.

– Ale istota tradycji tkwi w tym, że jest taka sama i znana. I jeśli z nią pogrywasz, to przestaje być tradycją – ciągnie swój wywód Rachel z nieco mniejszą pewnością siebie.

– Ale czy to ma znaczenie, jeżeli wszyscy, których sprawa dotyczy, są zadowoleni? – pyta rozsądnie Oliver.

Po raz pierwszy Rachel nie jest w stanie mu od razu odpowiedzieć.

– Miałam przyjemność być ostatnio na cudownym weselu – wspomina Harriet. – Moja kuzynka wychodziła za mąż. Przyjęcie odbywało się w małej wiosce w Cotswolds, skąd pochodzą ciocia i wujek. Byłam jedną z druhien.

– Z której części Cotswolds? Dorastałem niedaleko od Witney – mówi Oliver.

Zaczynają rozmawiać o wadach i zaletach Oxfordshire i Gloucestershire oraz wymieniać uwagi na temat różnych rodzajów Bistleys, Barnleys i Burnleys.

– Nagle poczułam się wyobcowana – szepcze do mnie Rachel i mruga ukradkiem, ale kilka minut później Oliver odwraca się w jej stronę.

– Co sądzisz o wieczorach panieńskich? – pyta.

– Są beznadziejne... – Wzrusza ramionami Rachel.

Kira spogląda w naszą stronę.

– Byłam ostatnio na takiej imprezie. Graliśmy w taką grę, która polega na sprawdzeniu, jak dobrze się zna swojego partnera. I wymyślałyśmy też pytania na wieczór kawalerski. Na przykład moglibyśmy zapytać Davida o... wymarzoną pracę Zoe, jej upragnione wakacje, jakie miała zwierzątko, gdy była dzieckiem, jaki najlepszy prezent dostała pod choinkę.

David obejmuje mnie ramieniem.

– To proste – mówi. – Wymarzona praca to szefowa zakupów w

którymś z domów towarowych... Wakacje to prawdopodobnie zakupy w Paryżu albo wyjazd na Malediwy. Nie jestem pewien, co ze zwierzątkiem. A jeśli chodzi o prezent na święta... – odwraca się w moją stronę i śmieje się do mnie – mógłby to być voucher do Brown Thomas.

Uśmiecham się i mimowolnie dostrzegam, że Max mi się przygląda. Wiem, o czym myśli: że David nie zawsze odpowiadał poprawnie. Moją wymarzoną pracą jest prowadzenie własnego butiku, nie miałam kota, choć bardzo tego chciałam, a najlepszym prezentem był domek dla lalek, który dostałam, gdy byłam dzieckiem. Ale Max jest moim współlokatorem i może wylapywać takie informacje na mój temat. To nic nie znaczy.

Nie mogę też zignorować faktu, że Max świetnie dogaduje się z wszystkimi moimi przyjaciółmi: z Harriet rozmawia o tym, jakim koszmarem są przeprowadzki, z Oliverem gawędzi o kolarstwie, rozśmiesza Rachel opowieścią o wyczynach swojej siostry. Tak dobrze być w jego towarzystwie. Ale David też jest niezłym kompanem. Tylko w inny sposób.

Prawie kończymy jeść, gdy moją uwagę przykuwa rozmowa prowadzona podniesionym głosem. Kira chyba kłóci się o coś z Davidem.

– Przysięgam – mówi. – Przysięgam na zdrowie mojej mamy. Sprawdził w Google.

– Nie ma mowy – nie zgadza się z nią David.

– Może źle to zapamiętałaś – sugeruje Jenny swoim najbardziej protekcyjnym tonem. Max wygląda, jakby starał się nie wybuchnąć śmiechem.

Kira odwraca się w moją stronę.

– Poszłam ostatnio do lekarza – wyjaśnia – bo od jakiegoś czasu bolała mnie ręka. Przewlekły, przenikliwy ból. Lekarz nawet mnie nie zbadał, tylko wpisał w Google „ból ramienia”.

– Mówisz serio? – Rachel wybucha śmiechem.

– Wydaje mi się, że żartujesz – stwierdza David. – Albo się pomyliłaś.

– Nie kłamie! Wrzucił to do wyszukiwarki, do cholery! – krzyczy Kira.

– Może powinnaś była przez cały czas narzekać – podpowiada jej

Jenny – skoro nie byłaś zadowolona.

– Byłam w SZOKU! – ryczy Kira. Wszyscy przy naszym stole słuchają tej rozmowy w napięciu, a ludzie zajmujący sąsiednie stoliki odwracają się w naszą stronę. David wygląda na naprawdę wkurzonego, a ja jestem niesamowicie zażenowana.

– To mi przypomina – wtrąca się Max – że gdy ostatnio poszedłem do swojego lekarza rodzinnego, zapytano mnie, ile piję. Podobno należę do grupy ryzyka.

– Naprawdę? – pytam, wdzięczna za zmianę tematu. – I co powiedziałaś?

– Pytania były sformułowane w bardzo skomplikowany sposób. Próbowałem wyjaśnić, że piję jedno lub dwa piwa trzy, cztery razy w tygodniu, ale wydaje mi się, że lekarka mogła pomyśleć, że raczę się trzema lub czterema piwami od czterech do sześciu razy w tygodniu... nie pamiętam już.

– Sam fakt, że masz problem z tak prostymi liczbami sugeruje, że z tym pić może być coś na rzeczy – mówi Oliver.

– Te limity dotyczące ilości wypijanego alkoholu to bzdura – odzywa się Kira. – No pomyślcie, czternaście jednostek tygodniowo. To absurd. Tyle mogę wypić w ciągu jednej nocy.

– To limit, a nie cel – oznajmia Max.

– A właśnie, w tej okolicy jest kilka całkiem fajnych barów.

Byłeś kiedykolwiek w Mau Mau's? – dopytuje się Kira.

– Nie, ale słyszałem o nim. Czy to tam...

Wyłączam się i słyszę sympatyczną rozmowę Olivera i Harriet.

– A dlaczego wybrałaś ortopedię? – pyta go.

– No cóż, poszedłem na medycynę, żeby móc zrobić coś dobrego – odpowiada poważnie Oliver. – I uważam, że ortopedia to jedna z tych dziedzin, gdzie możesz najbardziej pomóc, a najmniej zaszkodzić. No i łatwiej pogodzić ją z życiem prywatnym. Z posiadaniem rodziny.

Jakie to urocze. Zerkam na Rachel, żeby sprawdzić, czy to słyszała, ale ona i David są zajęci tłumaczeniem Jenny reguł hurlingu. Max i Kira skończyli omawiać Notting Hill Carnival – usłyszałam, jak Max mówił, że zawsze chciał się tam wybrać, a Kira powiedziała, że idzie w poniedziałek, a teraz przeszli do filmów.

– Ja też! Uwielbiam japońskie horrory – ekscytuje się Kira.

Niech nie przesadza. Jasne, lubi meksykańskie jedzenie, podróże

i surfowanie, ale mogę się założyć o moją podrabianą szpilkę od Jimmy'ego Choo, że nigdy nie widziała żadnego japońskiego horroru.

W tym momencie gasną światła i pojawia się kilku kelnerów z tortem. Wszyscy śpiewają *Happy Birthday*, klaszczą, a ja zdmuchuję świeczki.

– Mieć znów dwadzieścia jeden lat! – wzdycham. Napotykam wzrok Maksa. Tylko on wie, że drugi raz obchodzę te urodziny. Ale nie kończę dwudziestu jeden lat.

– Chyba nadal nie odpakowałaś wszystkich prezentów – zauważa David.

– Jasne! Najlepsze zachowałam na koniec.

Ostrożnie wsuwam palce pod tasiemkę, żeby nie zniszczyć pięknego, sztywnego papieru, i wyjmuję długie, wąskie, niebieskie pudełko obite aksamitem. Przez moment zastanawiam się... ale nie, nie zrobiłby chyba tego? Nie przy wszystkich?

– Otwórz – mówi David.

Otwieram pudełko, ciesząc się dźwiękiem, jaki przy tym wydaje, i dotykiem aksamitu pod moimi palcami. To naszyjnik z pereł: pojedynczy kremowy sznur z prostą srebrną klamrą. Jest piękny. Nie przepadam szczególnie za perłami, ale te są urocze.

– Boże, dziękuję ci, Davidzie. Są prześliczne. – Odwracam się i całujemy się, a wszyscy gwizdzą i klaszczą. David pomaga mi założyć naszyjnik. Jest tak zręczny, że zapięcie go zajmuje mu jakieś pół sekundy. Perły wyglądają dość dziwnie przy moim ulubionym złotym wisioru w kształcie błyskawicy (kupionym w Nowym Jorku), więc go zdejmuję.

Na kartce David napisał: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin najładniejszej dziewczyny w Londynie. Przepraszam, że byłem tak zajęty. Mam nadzieję, że wkrótce Ci to wynagrodzę. D x”.

Jestem wzruszona. Odwracam się w jego stronę i jeszcze raz się całujemy.

– Jaki wspaniały prezent – oświadcza Kira wielkodusznie, najwyraźniej żałując, że wcześniej go podpuściła.

– Być może ktoś mu trochę pomógł z tymi perłami – Jenny puszcza oko i rozsiada się na krześle. Mrużę oczy. Jeśli pomogła mu wybrać prezent dla mnie... Spoglądam na Davida, którego telefon właśnie zaczyna dzwonić.

– Przepraszam was na chwilę – mówi. – Muszę odebrać. – I wychodzi na zewnątrz.

– Mam nadzieję, że to tylko jego beżużyteczny asystent – odzywa się Jenny. – Ale jeśli David będzie musiał wyjść, wezmę ze sobą jego raketę i oddam następnym razem, gdy będziemy rozgrywali mecz.

– A czemu nie dasz jej Zoe? – pyta Rachel. – To ona spędzi dziś wieczór z Davidem.

– Ale ja będę grała z nim w tenisa – nie daje za wygraną Jenny. – Więc to lepsze rozwiązanie.

O mój Boże. Nie mówcie mi, że Jenny będzie się ze mną kłócić o raketę tenisową Davida. Wypiła już sporo: ma rumieńce i trochę jej się płacze język.

– Weź ją, Jenny. Ja muszę zabrać ze sobą te wszystkie prezenty – stwierdzam wesoło. Spoglądam na nią, jak siedzi sama na końcu stołu i posępnie opróżnia kieliszek.

To mój słaby punkt. Nie jestem w stanie znieść widoku kogoś siedzącego albo stojącego samotnie na imprezie czy przy posiłku.

– Jenny – wkładam ogromny wysiłek w to, by moja propozycja zabrzmiała serdecznie – chodź tu i usiądź z nami.

Przesiada się, zajmując miejsce Davida. Gdy pozostali goście są pochłonięci rozmową, ona wpatruje się w przestrzeń. Zastanawiam się, czy za chwilę nie straci przytomności, ale odwraca się do mnie i ze współczuciem wyolbrzymionym przez ilość wypitego alkoholu pyta:

– Dobrze się czujesz, Zoe?

Mogłabym zadać jej to samo pytanie, ale odpowiadam tylko:

– Jasne!

– To musi być dla ciebie takie trudne... gdy David ostatnio tak dużo pracuje – ciągnie. Wkłada ogromny wysiłek, by mówić wyraźnie, ale ledwo trzyma się prosto.

– No cóż – mówię pogodnie – tak to już jest. – Naprawdę mam nadzieję, że David zaraz wróci.

– No i ta wiadomość dotycząca stażu...

– O czym mówisz?

– Nie dostał się na ten staż w Teksasie, na którym mu tak bardzo zależało. Nie powiedział ci o tym.

Cholera. Albo będę musiała się przyznać, że nic nie mówił, albo

skłamać.

– Nie obgadujmy Davida za jego plecami – syczy Jenny. – Mówię ci o czymś, co jako jego dziewczyna powinnaś wiedzieć. Ale on ciebie wcale nie obchodzi, nieprawdaż?

Przez moment jestem w takim szoku, że nie potrafię nic powiedzieć.

– Słucham?

– Nic nie wiesz o Davidzie. Ja go znam, odkąd skończyłam sześć lat. Możesz być jego zabawką miesiąca, ale nie wytrzymasz długo. To ja jestem prawdziwą kobietą jego życia.

Patrzę na nią, zastanawiając się, czy to żart. Ale jej spojrzenie uświadamia mi, że Jenny nie jest po prostu pijana: to psychopatka, taka jak bohaterka *Sublokatorki* czy *Fatalnego zauroczenia*.

– Hej – David staje za nami. – Czy coś przegapiłem? – pyta i siada obok swojej przyjaciółki.

– Jenny powiedziała, że musi już iść – oznajmiam lakonicznie.

Jenny wstaje i obdarza mnie zimnym uśmiechem.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić, Zoe – odwraca się i pochyla, żeby pocałować Davida w policzek. Gdy to robi, niewinnie odchyła nadgarstek do tyłu, strącając kieliszek w połowie wypełniony czerwonym winem. Staram się odsunąć, ale zanim udaje mi się to zrobić, długi czerwony strumień ląduje na mojej sukience, plamiąc różową tkaninę.

– Podajcie sól! Proszę! Szybko! – krzyczę.

– Coś się stało? – pyta niewinnym głosem Jenny.

– Wiesz, co się stało! Celowo przewróciłaś ten kieliszek! – Nalewam na serwetkę wody i zaczynam bezsensownie poklepywać plamę.

– Nie zrobiłam tego celowo! To był wypadek! Poza tym, to tylko kilka kropli... – Jenny aż brakuje powietrza.

Mam ochotę powiedzieć jej, że te kilka kropli będzie mnie kosztować kilkaset funtów, ale widzę, jak David na mnie patrzy, i gryzę się w język.

•

Po wyjściu Jenny proszę o rachunek. Rachel genialnie go przejmuje i rozlicza każdego gościa, po czym spieramy się, bo chcę za

siebie zapłacić, a reszta stara się do tego nie dopuścić. W końcu spór rozstrzyga David, który nalega, by uiścić za mnie należność.

– To gdzie teraz idziemy? – pyta Kira, rozlewając resztki wina. – Gdzieś w pobliżu? Może Cherry Jam? Zoe, lubisz to miejsce.

Zerkam na Davida.

– Jak chcesz, Zoe. To twoje urodziny.

– Właściwie, to może na tym zakończymy? Przepraszam.

Nikt nie może w to uwierzyć.

– To nie w twoim stylu – dziwi się Rachel.

– Oj, daj spokój – mówi Kira. – Masz dwadzieścia osiem lat, a nie osiemdziesiąt osiem. I jest sobotni wieczór!

Wpatruję się w swoją sukienkę.

– Chcę iść do domu i zalać ją odplamiaczem. – David ściska pod stołem moją rękę, a ja spoglądam na niego z wdzięcznością.

– Okej – zgadza się Kira. – A kto ma ochotę jeszcze gdzieś pójść? Rachel? Harriet? – Po chwili przerwy spogląda na Maksa. – A ty.

Max nawet nie patrzy na mnie, gdy odpowiada:

– Pewnie.

– Świetnie – rzuca Kira. – Chodźmy!

Zaczynamy zbierać nasze rzeczy i wychodzimy z restauracji, z typowym opóźnieniem spowodowanym dyskusjami o tym, kto gdzie idzie. Na dworze jest wciąż bardzo ciepło. Normalnie chętnie poszłabym jeszcze do klubu, ale nie dziś: po dramatycznych wydarzeniach podczas kolacji i zniszczeniu sukienki mam dość.

– Zoe, widzę taksówkę – odzywa się David. – Możemy już iść?

Odczuwam ulgę, że tak szybko uda nam się uciec. Obejmuję i całuję każdego w pobliżu i wsiamam z Davidem do taksówki.

– Do Maida Vale, poproszę – mówi David.

Wyglądam przez okno i widzę, że Oliver, Harriet i Rachel idą przodem, a Kira i Max za nimi, rozmawiają i śmieją się. Jest mi trochę przykro, ale później tłumaczę sobie, że nie powinnam zachowywać się tak głupio i egoistycznie. Jeśli Maksowi podoba się Kira, będę się cieszyć jego szczęściem. Ich szczęściem.

– A gdzie dokładnie w Maida Vale? – dopytuje się kierowca.

– Warwick Avenue, zaraz obok stacji metra – wyjaśnia David.

– Zaraz, czy możemy jechać do mnie? – pytam.

– Oczywiście – zgadza się zaskoczony. – Elgin Avenue.

Podminowana butelką Chianti, które wypiałam, postanawiam zapytać go o coś jeszcze.

– Davidzie, czy Jenny pomogła ci wybrać naszyjnik dla mnie?

– Nie – odpowiada, marszcząc brwi. – Dlaczego pytasz.

Mam zamiar opowiedzieć mu o jej wybuchu oraz o tym, jak celowo zniszczyła moją sukienkę, i zapytać go o staż, ale nie chcę jeszcze bardziej zrujnować sobie urodzin.

– Nie, nic – mówię.

•

Gdy docieram do mieszkania, dostrzegam na stoliku w korytarzu paczkę o dziwnym kształcie, niezgrabnie zapakowaną w srebrno-niebieski papier. Leży tam także kartka zaadresowana do mnie.

– Przyniosę nam wody – proponuje David. – Do zobaczenia w sypialni.

Odklejam kopertę i śmieję się, gdy widzę obrazek: niewiarygodnie kiczowatą grupę jednorożców i wrózek nad brzegiem jeziora. Jest w bardzo złym guście, ale szalenie mi się podoba. Na kartce napisano.

Droga Zoe.

Wszystkiego najlepszego! Życzę Ci dużo szczęścia w tym dniu i w tym roku. I mam nadzieję, że tym razem będziesz się dobrze bawić, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

*Xoxo, plotkara**

**Max*

Otwieram prezent. To trzeci sezon *Plotkary*.

Max musiał zapamiętać, jak wspominałam, że chciałam go mieć, i zamówił go dla mnie. To takie typowe dla niego. Jestem tak wzruszona (i zmęczona, i pijana), że mam łzy w oczach. Czy to źle, że wolę jego przemyślany upominek od drogiego podarunku od Davida? Ale zaraz każę sobie skończyć z tymi głupotami. Oznacza to tylko tyle, że Max widuje mnie każdego dnia i zna moje zwyczaje. Tak to już jest ze współlokatorami.

– Zoe! – woła David z sypialni. – Wszystko w porządku.

– Tak, już idę! – krzyczę i odkładam prezent od Maksa.

Rozdział 31

Wiem, że powinnam zaraz po przyjściu do pracy we wtorek powiedzieć Julii o sukience i zaproponować, że ją odkupię. Ale i tak denerwuję się już z powodu prezentacji, więc postanawiam przeczekać, aż minie niebezpieczeństwo. Za dziesięć czwarta uznaję, że lepiej się pośpieszyć, i zaczynam zbierać wszystko do kupy. Gdy wstaję, mam wrażenie, że mój żołądek nadal siedzi na krześle. Biorę kilka głębokich wdechów i staram się uspokoić.

Ktoś puka do drzwi. To Seth.

– Witaj, modna dziewczyno – wskazuje na mnie palcem. – Gotowa, by pokazać nam to, co przygotowałaś.

– Tak mi się wydaje.

– Nie denerwuj się – uspokaja mnie Seth, gdy idziemy razem korytarzem. – Ale uprzedzam, że robiłem ci dobry PR, opowiadałem wszystkim, że nie mogą tego przegapić, więc dołączy do nas kilka dodatkowych osób.

Staję w miejscu.

– A kto dokładnie.

– Ach, tylko kilka osób ze sklepu... Aaron z działu męskiego, twoja była szefowa Karen też chciała przyjść... i chyba zabiera ze sobą kilka ekspedientek. Ale najważniejszym gościem jest dyrektor zarządzający – sam John Marley.

O Boże. Dyrektor zarządzający! I Karen! Zwalniam tak bardzo, że ledwo idę, a Seth właściwie musi mnie ciągnąć za sobą. Przez przeszkloną ścianę widzę, że sala konferencyjna jest pełna: są wszyscy, którzy pracują na naszym piętrze, oraz kilka osób ze sklepu.

Zatrzymuję się raz jeszcze. Nie mogę tego zrobić.

– Chodź, kochana – mówi Seth. – Dasz radę.

Jest już za późno. Znajdujemy się w jaskini lwa, czyli w sali konferencyjnej. Szum rozmów cichnie, gdy wchodzimy do środka. Spoglądam na to morze twarzy i muszę zwalczyć w sobie chęć ucieczki. I tak by mi to nie pomogło: wyjście blokuje zaciekawiony tłumek, w którym zabląkała się jakaś modelka. Większość osób stoi, ale widzę, że z przodu na specjalnym fotelu siedzi wysoki mężczyzna z siwymi włosami, Pan Marley – nasz dyrektor zarządzający.

– Witam wszystkich – mój głos przypomina skrzypienie.

Odwracam się i piję wodę z butelki. Żałuję, że nie wpadłam na to, by przynieść sobie szklankę. Próbuje raz jeszcze. – Witam wszystkich.

Działa. W sali jest tak cicho, że byłoby słyszeć, gdyby ktoś upuścił szpilkę. Dostrzegam stojącą z boku Karen. Za nią Harriet pokazuje mi uniesione w górę kciuki. Biorę głęboki wdech i ciągnę dalej.

– Nazywam się Zoe Kennedy i jestem tu z państwem, by omówić trendy, jakie spodziewamy się zobaczyć w sezonie wiosenno-letnim.

Nie wyszło to tak źle. Odwracam się i włączam rzutnik, ale nic się nie dzieje. Cholera.

– Och, przepraszam. – Niestety, wciśnięcie innego przycisku też nic nie daje.

– Porozmawiajcie między sobą – proponuje Seth i biegnie mi na pomoc.

Odczuwam ulgę, gdy wyświetla się pierwszy slajd: „Podsumowanie trendów, wiosna-lato”. Zerkam na notatki i zaczynam czytać. Chciałabym, żeby nie trzęsły mi się tak bardzo ręce.

– Wybrałam trendy, którym warto się przyjrzeć podczas nadchodzącego Londyńskiego Tygodnia Mody. Jednym z najpopularniejszych jest łączenie kolorów – naciskam jeszcze raz guzik i pojawia się zdjęcie Kate Middleton w biskoptowym kostiumie i cielistych butach. Słuchacze zaczynają się śmiać. Cholera.

– Przepraszam, to nie ten slajd. – Wciskam gorączkowo przyciski i odnajduję właściwy obrazek. – Łączenie jaskrawych kolorów będzie silnym trendem w nadchodzącym sezonie, co możemy dostrzec w zwiastunie kolekcji Pilar Norman.

Wreszcie wszystko chyba idzie dobrze: ludzie słuchają uważnie, nikt się nie śmieje, a slajdy pojawiają się, jak należy. Nawet mój ryzykowny przykład przedstawiający „metaliczny trend” – czarny sweter z cekinową ozdobą na ramieniu, wzór projektu Sinead, który sama sfotografowałam – zostaje dobrze przyjęty. Od czasu do czasu zerkam na pana Marleya, dyrektora zarządzającego, ale ten ogląda prezentację, nie okazując przy tym żadnych uczuć. Harriet uśmiecha się do mnie za każdym razem, gdy na nią spojrzę.

– I wreszcie: kwintesencja elegancji – mówię teraz pewniejszym głosem i prawie dobrze się bawię podczas pokazu. – Znów mamy tu Kate Middleton, tym razem już we właściwym miejscu – ludzie znów

wybuchają śmiechem, ale tym razem brzmi on przyjaźnie. – Kate to nowa ikona stylu. Jej elegancki, skromny styl jest w zgodzie z nową długością spódnic i rękawów, jakie zobaczymy w tym sezonie. Księżna pokazała już, że jest fanką sieciowych firm, takich jak Reiss czy LK Bennett, a ponieważ jej popularność rośnie, będzie lojalna wobec luksusowych brytyjskich marek i projektantów, takich jak Issa czy Erdem. Odwracam się w stronę rzutnika i, stojąc tyłem do słuchaczy, z ulgą wydymam policzki i wypuszczam powietrze. Mam wrażenie, że dobrze mi idzie, ale nie jestem pewna. Liczę tylko na to, że dojrnę do końca i nie wydarzy się żadna katastrofa. Przełączam na następny slajd: zdjęcie fasady sklepu z podsumowaniem naszych zysków za ostatnie cztery kwartały.

– A co to tak naprawdę dla nas oznacza? – pytam retorycznie. – Jak możemy wpisać się w nowe trendy i przyciągnąć nowych klientów, jednocześnie zatrzymując przy sobie tych, którzy od wielu lat robią u nas zakupy.

Po reakcji ludzi widzę, że to całkiem sensowne pytanie. Mam tylko nadzieję, że moja odpowiedź sprostą oczekiwaniom. Przez chwilę omawiam nowe marki, które będziemy wprowadzać, oraz ich rozmieszczenie w sklepie, po czym przechodzę do kwestii sprzedaży online. Klikam kolejny slajd, który pokazuje procentowy udział sprzedaży w Internecie u konkurencji i u nas.

– Tak więc widzimy, że obecnie sprzedaż online stanowi zaledwie osiem procent naszych obrotów, podczas gdy średnia konkurencji jest dużo wyższa i wynosi niemal.

– Dziesięć – ktoś przerywa.

– Słucham? – wpatruję się w tłum. To Dominic, jeden z naszych merchandiserów.

– W ostatnim kwartale sprzedaż przez Internet stanowiła dziesięć procent, a nie osiem. Sama to napisałaś na poprzednim slajdzie.

Oj. Ma rację. Miałam zamiar to poprawić, ale pewnie o tym zapomniałam. Szybko ciągnę dalej.

– Przepraszam, tak, dziesięć. W każdym razie, wzrost sprzedaży online może tylko pomóc tradycyjnym sklepom. Stanowi możliwość podwyższenia zysków przy obniżonych kosztach, zebrania informacji o klientach i łatwej analizie sprzedaży według marek i trendów.

Widzę, że Seth się uśmiecha, ale nadal mi wstyd z powodu błędu.

No i zdaję sobie sprawę, że zapomniałam wspomnieć o średniej sprzedaży internetowej wśród naszej konkurencji. Mam zamiar opowiadać dalej, ze szczegółami, o luksusowych markach, takich jak Burberry, które prowadzą sprzedaż detaliczną online, gdy przerywa mi bardzo donośny i rozgniewany głos.

– A co się stanie z tradycyjnymi sklepami, gdy wszyscy będą kupować wyłącznie za pośrednictwem Internetu? Staniemy się tylko showroomem?

O słodki Jezuniu. To dyrektor zarządzający, który sprawia wrażenie nieco zdenerwowanego: wychyla się do przodu, a jego twarz jest wykrzywiona w złowrogim grymasie. Najwyraźniej to bolesny temat. Zastanawiam się, jak załagodzić sprawę bez konieczności spierania się z nim.

– Nie, skądże. Sprzedaż online, jak pokazuje przykład Selfridges, może wesprzeć sklep, pomagając zbudować jego profil i... – próbuję sobie przypomnieć wynotowane przeze mnie przykłady, ale jego wyłupiaste niebieskie oczy są tak przepelnione gniewem, że mam pustkę w głowie.

– Ludzie jednak decydują się na zakupy tutaj ze względu na to, jakie mają doświadczenia związane z naszym sklepem – przerywa kolejny głos. To Karen. – Jeśli mają kupować w sieci, czemu nie zrobią tego na Net-a-Porter? – dociera do mnie, że reszta słuchaczy się z nią zgadza.

– My... oni – z desperacją spoglądam na Seta, mając na dzieję, że zacznie bronić swojej ulubionej idei, ale on jest zajęty swoim telefonem.

– Tylko od nas zależy, czy idealnie dobierzemy ofertę różnych marek sprzedawanych w jednym miejscu i wykorzystamy nasze doświadczenie, by pielęgnować lojalność wobec marki... tak żeby klienci nadal robili u nas zakupy.

Auć, to było słabe. Słyszę szum niezadowolenia, gdy wygłaszam ostatnią (dzięki Bogu) część prezentacji, poświęconą kartom klienta i temu, jak można je lepiej wykorzystać do gromadzenia informacji na temat kupujących.

– I to już koniec mojej prezentacji. – Chciałabym móc na tym zakończyć, ale taki finał wydaje się nieprzekonujący, więc niechętnie dodaję: – Czy są jakieś pytania?

– Tak, ja chciałbym o coś zapytać – zgłasza się Dominic. – Powiedziałaś, że w zestawieniu z konkurencją nasza sprzedaż w sieci jest niska. Ale nasze zyski systematycznie wzrastały w ciągu ostatnich trzech lat. Dlaczego mamy wchodzić w zakupy online, skoro takie przedsięwzięcie jest obarczone dużym ryzykiem?

– No cóż... – Cholera, cholera, cholera. Nie wiedziałam o tym. – No... nie, to znaczy zakładam, że chcemy, żeby nasze zyski wzrosły jeszcze bardziej, nieprawdaż? – Tylko tyle mogę powiedzieć. Na szczęście Seth postanawia w końcu dołączyć do dyskusji.

– Wzrosły, ale niewystarczająco, i dobrze o tym wiesz, Dominicu. Sprzedaż online to przyszłość. Tylko w ten sposób możemy zredukować koszty i mieć równe szanse w tej walce.

– Zmniejszyć zatrudnienie, tak? – pyta ktoś z końca sali.

•

Z przerażeniem obserwuję, jak coraz więcej osób zaczyna krzyczeć. Nie miałam pojęcia, że to tak drażliwy temat. Po chwili pan Marley klaszcze w dłonie i wrzeszczy „Cisza!”. Wszyscy milkną.

– Jeszcze jedno pytanie i na tym, jak sędzę, powinniśmy zakończyć – mówi.

– Mam ostatnie pytanie – to znowu Dominic. – W tym roku wprowadzamy mnóstwo nowych projektantów: Petera Sembello, Pilar Norman, Devlin, ale nie zwiększamy powierzchni sklepu. Jak zamierzacie to zrobić bez uszczerbku na powierzchni przeznaczonej dla bestsellerowych marek, które od dawna są w naszej ofercie.

Co to jest? Newsnight¹¹). Bezradnie spoglądam na Julię, która wstaje.

11) Publicystyczny program telewizji BBC, w którym goszczą znani politycy (przyp. red.)

– Dominicu, marki, które już mamy w ofercie, na pewno na tym nie ucierpią. Jest wyraźna różnica między naszymi flagowymi markami, które dalej będą mieć najlepszą lokalizację, a propozycjami debutantów, których pokażemy w jednym miejscu.

Ups. Właśnie sobie przypomniałam, że powiedziałam merchandiserce, żeby przesunęła Petera Sembello na dawne miejsce Gucci. Sądząc po jej minie, pomyślała sobie o tym samym. Pójdę do

niej zaraz po zakończeniu spotkania i powiem, że musi przywrócić Gucci na dawne miejsce.

W tym momencie naszą uwagę odwraca jedna ze stażystek, która stuka w szybę. Zagląda do środka i przekazuje wiadomość Louisowi, którego ogarnia przerażenie. Biegnie w stronę Julii i szepcze jej coś do ucha. Julia podnosi się i mówi.

– Dziękuję za wasze uwagi. Sądzę, że na tym zakończymy.

Wszyscy uprzejmie czekają, aż pan Marley wyjdzie, po czym opuszczają salę, spierając się i prowadząc ożywione dyskusje.

– Normalnie te spotkania są nudne – słyszę jakiś głos. – Ale to było świetne.

Jestem zadowolona, że komuś się podobało. Julia, Dominic i Louis chyba przechodzą jakiś kryzys. Cieszę się, że coś odwróciło ich uwagę od mojego słabego wystąpienia. Seth wyszedł, nawet nie obejrzał się za siebie. Podejrzewam, że będzie żałował pomysłu, bym była przekąźnikiem jego idei. Zaczynam zbierać swoje rzeczy i przygotowuję się do tego, by dyskretnie wyjść z sali.

– Co się stało? – pyta Amanda Louisa.

– Powiem ci, co się stało – odpowiada, gromiąc mnie wzrokiem. Czekają, aż wszyscy zwrócą na nas uwagę, po czym oznajmia: – Straciliśmy Gucci.

– Co zrobiliśmy? Jak? – dopytuje się Amanda.

– Najwyraźniej nasza dyrektorka do spraw trendów – pluje – uznała, iż Gucci tak się przejadło, że powinniśmy oddać ich miejsce pieprzonemu Peterowi Sembello. Którego projekty są zerżnięte od Gucci. Więc Gucci uznało, że mogą sobie poradzić bez nas. Dzięki, Zoe.

Julia łapie się za głowę.

– Czy to prawda, Zoe? Czy rzeczywiście kazałaś Jean zmienić ekspozycję? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś.

– Albo mnie? – dorzuca Amanda. – Miałaś skonsultować ze mną to zamówienie, a w ogóle ze mną o tym nie rozmawiałaś.

– Wiesz, ile przez to stracimy zysków? – pyta Louis. – Nie mówiąc już o katastrofie wizerunkowej, jeśli informacja o tym dotrze do innych marek. Naprawdę mam nadzieję, że nie wkurzyłaś Vuitton.

– Nie możemy sobie pozwolić na utratę Gucci – mówi ktoś, kogo nigdy wcześniej nie widziałam.

– Może ci się wydawać, że Peter Sembello odniesie sukces, ale nie jestem do tego przekonana – stwierdza Amanda.

– Nie, naprawdę tak będzie, obiecuję – odzywam się słabym głosem.

– Zoe, musisz wyjaśnić, jak do tego doszło – to chyba mówi Julia, ale wszystkie głosy zlewają się w jeden, aż wreszcie słyszę, że ktoś je przekrzykuje.

– Ale musicie posłuchać Zoe! Ma dar jasnowidzenia!

Te słowa przykuwają uwagę wszystkich. Odwracamy się i widzimy Harriet stojącą przy wejściu. Czuję się, jakby to był sen: wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, ale nie mogę tego powstrzymać. Harriet, błagam, nie rób tego.

– Ona wie, co się wydarzy – wyjaśnia z pasją Harriet. – W ten sposób może przewidzieć wszystkie trendy. Wiedziała, co się stanie podczas wyprzedaży, wiedziała, że będzie włamanie do mojego domu. Musicie jej uwierzyć! – Harriet jest szczerą i ma dobre intencje, ale wolałabym, żeby była milion mil stąd albo przynajmniej w sklepie, na parterze.

Teraz wszyscy zwracają się w moją stronę.

– Co jest, do cholery? – pyta Louis.

– Zoe – mówi Julia słabym głosem. – Czy naprawdę powiedziałaś Harriet, że masz dar jasnowidzenia.

Wszyscy się na mnie gapią. Po tych tygodniach kłamstw, wymyślania wymówek i gorączkowego pływania pod wodą nie mogę już dłużej tego znieść.

– Tak – przyznaję się. – Powiedziałam Harriet, że mam dar jasnowidzenia. Ale to nie jest prawda. Ja... – Najchętniej wyjaśniłabym, że przeniosłam się w czasie, ale nie chcę, żeby rozszarpano mnie na kawałki. Zamiast tego przedstawiam inną wersję, najbliższą prawdy. – Wydawało mi się, że mogę to robić, ale się myliłam. To wszystko – wskazuję na rzutnik – to tylko... strzały.

Milknę. Wszyscy patrzą na mnie z niedowierzaniem. Julia na moment łapie się za głowę.

– Dobrze, Zoe, poczekaj na mnie w swoim gabinecie. Louis, porozmawiam zaraz z Vanessą z Gucci i powiem jej, że to nieporozumienie. A wy wróćcie, proszę, do pracy. Nie chcę już o tym więcej słyszeć, rozumiano?

Na trzęsących się nogach docieram do gabinetu i udaje mi się po drodze nie spojrzeć nikomu w oczy. Harriet próbuje coś do mnie powiedzieć, ale macham ręką, żeby sobie poszła. Nie mogę z nią teraz rozmawiać.

Zamykam drzwi, padam na biurko i zakrywam twarz dłońmi. Jest mi tak wstyd. Przypominam sobie, jak Harriet powtarzała: „Ale Zoe ma dar jasnowidzenia!” i za każdym razem, gdy to robię, wydaję z siebie głośny jęk. Dlaczego pozwoliłam jej, by myślała w ten sposób? Czemu się po prostu nie zamknęłam.

Po chwili Julia puka do drzwi i wchodzi.

– Jest mi naprawdę przykro – kajam się, ledwo będąc w stanie na nią spojrzeć.

– Mnie również – mówi. – Zoe, nie do końca rozumiem, co tak naprawdę się stało. Czy powiedziałaś Harriet, że potrafisz przepowiadać przyszłość.

Żałośnie kiwam głową.

– Ale dlaczego.

Kręcę głową: nie potrafię.

– Może będziesz w stanie wyjaśnić coś innego – zmienia temat Julia.

Serce wali mi jak młotem.

– Marianne, projektantka Victoire des Anges, dzięki znajomemu związanemu z branżą spotkała się wczoraj z Keirą Knightley i zapytała ją, czy podobała się jej sukienka.

– O nie. O nie, nie, nie.

– Ale Keira nie dostała sukienki. I nigdy o tobie nie słyszała, Zoe. Nie miała pojęcia, kim jesteś.

– Ja... – Wpatruję się w Julię i czuję, że robię się coraz bardziej czerwona.

– Gdzie jest sukienka.

– Założyłam ją w sobotę – szepczę. – Wylałam na nią czerwone wino. Zapłacę za nią.

Julia odchyła się do tyłu i dotyka długich włosów spiętych w kucyk. Nie jest już zdziwiona ani nie patrzy na mnie ze współczuciem. Na jej twarzy maluje się autentyczna wściekłość.

– Uważam, że musimy się spotkać z kimś z HR i wymyślić, co zrobić w tej sytuacji. A teraz zabierz, proszę, swoje rzeczy i idź do

domu. Skontaktujemy się z tobą.

Wychodzi, a ja wpatruję się w puste biurko. Zabieram kilka drobiazgów.

Gdy wychodzę, mijam gabinet Setha. Spogląda na mnie sponad swojego komputera i ponownie spuszcza wzrok.

– Kochana, to było skomplikowane, nie sądzisz? – pyta wymijająco. – No cóż.

– Przepraszam, że tak zawałam – mówię. – Próbowałam...

– Wiem, że próbowałaś – dodaje szybko. – Nieważne. Możemy o tym porozmawiać innym razem. Muszę wykonać pilny telefon. Na razie! – niemal wypycha mnie z gabinetu. Najwyraźniej postanowił, że nie chce już być ze mną kojarzony.

Skradam się do windy ze spuszczoną głową i modłę się, by ta szybko przyjechała. Nie mam pojęcia, co zrobić z moją specjalną przepustką – może po prostu ją odeślę. Jakoś nie sądzę, żebym jeszcze jej potrzebowała.

Rozdział 32

Cztery godziny później Rachel wpycha mnie do taksówki. Widzę, że daje pieniądze kierowcy.

– Nie rób tego, Rachel – wołam słabym głosem z tylnego siedzenia. – Jestem w stanie zapłacić. – Ale przyjaciółka już oddała się w lusterku wstecznym, macha do mnie i pokazuje uniesione w górę kciuki. O mój Boże. Jak to się stało, że cofnęłam się w czasie, wszystko zrobiłam inaczej, a Rachel i tak musi pakować mnie do taksówek.

– Udany wieczór? – pyta taksówkarz.

O nie. Nie mogę teraz zajmować się gadatliwym kierowcą. Nie zniosę tego. Nie jestem zupełnie pijana, choć wypiliśmy butelkę wina do kolacji. Jestem taka nieszczęśliwa.

– Przepraszam. Miałam zły dzień i nie mam ochoty na rozmowę.

– No cóż, w takim razie nie będę przeszkadzać – mówi bardzo obrażonym tonem.

Jedziemy w ciszy. Będę musiała dać mu większy napiwek za to, że nie chciałam rozmawiać.

– To nie koniec świata, Zoe – powtarzała Rachel w czasie kolacji. – Wiem, że takie masz teraz wrażenie, ale tak nie jest.

Łatwo jej powiedzieć. Nawet jeśli pozwolą mi dalej pracować w Marley's – a to wydaje się średnio prawdopodobne – nie będę w stanie tam wrócić. Wyglupiłam się przed całą firmą. Nigdy już nie będę mogła pracować w Londynie w żadnej firmie, która ma coś wspólnego z modą. Będę musiała wrócić do Dublina z podkulonym ogonem. Moje CV ma więcej dziur niż ser szwajcarski. Mam prawie trzydzieści lat. Czemu nie mogę się zebrać w sobie.

Kierowca słucha Smooth FM – leci *One More Night* Phila Collinsa, które wpędza mnie w jeszcze większą melancholię. Zanim się spostrzegam, lecą mi łzy. Chciałabym zwinąć się w kłębek, zasnąć i zapomnieć o wszystkim albo obudzić się znów w grudniu. Jest tylko jedna osoba na świecie, z którą mam ochotę porozmawiać i która byłaby w stanie mnie pocieszyć, ale nawet z nią nie mogę już pogadać.

Czuję się, jakbym słuchała swoich słów nagranych na taśmę, gdy analizuję to, co przed chwilą pomyślałam. „Jest tylko jedna osoba na świecie, z którą mam ochotę porozmawiać i która byłaby w stanie mnie pocieszyć, ale nawet z nią nie mogę już pogadać”.

Chwila. Moment.

To właśnie tak powinnam pomyśleć o swoim chłopaku. Ale nie myślę w ten sposób o Davidzie. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby do niego zadzwonić, gdy zostałam wyrzucona z pracy. A Max... Rozmyślałam o tym, jak bardzo lubię z nim rozmawiać, jaki jest cudowny i miły, o tych wszystkich razach, gdy przyszedł mi z pomocą, kiedy miałam problemy w pracy. Bawiłam się z nim lepiej niż – no tak – z kimkolwiek innym. I uważam, że jest cudowny.

Phil Collins kończy śpiewać i puszcza ją – nie do wiary – hałaśliwe akordy *Breakfast at Tiffany's*, piosenki, której słuchaliśmy w drodze powrotnej z Devon, na krótko przed tym, jak dałam kosza Maksowi. Kosza, którego teraz chciałabym wymazać.

Byłam taka głupia. Nie obchodzi mnie to, że nie mam nic wspólnego z Maksem, że nie stanowi on dobrego materiału na męża, że jest moim współlokatorem ani nawet to, że ja chcę wrócić do Irlandii, a on nie. Moi rodzice się z tym pogodzą. Chcę tylko z nim być, jeśli nadal tego pragnie.

Taksówka zatrzymuje się pod moim domem. Widocznie Rachel podała mój adres.

– Dobranoc – żegna się lakonicznie taksówkarz. Po czym, widząc moją minę, dodaje: – Rozchmurz się, miłość może się nigdy nie trafić.

– Już się trafiła – mówię, wytaczając się z taksówki. – Dwa razy.

Mieszkanie jest puste. Drzwi do pokoju Maksa są otwarte, ale jego nie ma w środku. Ogarnia mnie zimny strach: może jest z Kirą? Jednak wydaje mi się, że nie. Wiem, że poszli razem na Carnival – ale chyba tylko jako przyjaciele. Gdyby do czegoś doszło, opowiedziałyby mi o tym.

Działam, jakbym włączyła autopilota: zdejmuję buty, łykam dwa nurofeny i popijam je dużą szklanką wody. Niech diabli wezmą oczyszczanie, nawilżanie czy nawet przetarcie twarzy. Mam zamiar schować telefon, gdy zauważam, że dostałam wiadomość od Kiry. Za bardzo się boję, by ją otworzyć, bo chyba wiem, co w niej będzie. Wyłączam więc telefon i postanawiam, że odczytam ją rano.

Tylko że oczywiście nie mogę tego zrobić. Muszę wiedzieć teraz.

„Wróciłam właśnie z drugiej randki z Maksem. Wow. Dzięki, że nas sobie przedstawiłaś. Wydaje mi się, że to ktoś na dłużej! X K”.

Jestem w takim szoku, że dosłownie wypuszczam komórkę z rąk.

Padam na kolana, by ją podnieść, i uświadamiam sobie, że nie dam rady wstać. Druga randka. W takim razie to koniec. Nie wróci dziś do domu. Wszystko zniszczyłam. Odzyskałam Davida, ale straciłam Maksa i nie cofnę się w czasie, by to naprawić.

Rozdział 33

Zoe? Czy wszystko w porządku? – pyta David.

– Co? Przepraszam. Oczywiście, że tak.

Siedzimy u niego na tarasie na dachu i cieszymy się wrześnie słońcem. Jest sobotni poranek i właśnie zjedliśmy śniadanie, składające się ze świeżych owoców, rogalików, kawy i soku, które David kupił, gdy wracał z porannego joggingu.

– Mam nadzieję, że nie zamartwiasz się pracą – mówi David. – Skończyłaś swoją wielką prezentację, prawda?

– Och, tak, skończyłam.

Wczoraj dostałam list od szefowej HR w Marley's, w którym zostałam poinformowana, że jestem na przymusowym płatnym urlopie do czasu podjęcia przez nich decyzji. Cokolwiek to może oznaczać. Nie powiedziałam jeszcze o tym Davidowi. Ani moim rodzicom.

W każdym razie, kiedy jestem z Davidem i idziemy do restauracji Marco Pierre'a White'a (co zrobiliśmy wczoraj) albo jemy śniadanie na tarasie w jego pięknym apartamencie, prawie udaje mi się nie myśleć o zwolnieniu z pracy. Ani o Maksie.

On i Kira oficjalnie są już parą. Kira zadzwoniła wczoraj do mnie, żeby zdać mi pełny raport.

– Było strasznie dziwnie – powiedziała. – Sądziłam, że mu się nie podobam, bo nie poszedł do mnie do domu w sobotę po twoich urodzinach. Ale później w poniedziałek wybraliśmy się na Carnival i spędziliśmy razem cały dzień. I nic – znów wrócił do domu. Po czym spotkaliśmy się następnego dnia i, o mój Boże, warto było na to czekać.

– To... to wspaniale.

– Ale nie chodzi tylko o seks – dodała. – Serio, Zoe, on mi się naprawdę podoba. Jest zabawny, wyluzowany, miły i hojny.

– Wiem – przyznaję odrętwiale.

– I mam świadomość, że nie znosisz takich szczegółów, ale on jest niesamowity w łóżku. Słuchaj, zrobił coś takiego, czego się zupełnie nie spodziewałam.

– Wiesz co? Masz rację. Nie lubię takich szczegółów.

– Och, okej. Powiem tylko tyle, gdy przyjdziemy do was do mieszkania, będziesz musiała kupić stopery do uszu! Ha, ha, ha, ha, ha! Było niesamowicie.

– Uch... super – powiedziałam. – Błagam, czy możemy zmienić temat.

– Oj nie bądź taką świętoszką. Jest fajnie. Dobrze się bawimy. Ale sądzę też... no tak, uważam, że to może być początek czegoś poważniejszego.

Ta informacja złamała mi serce bardziej niż reszta rozmowy. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by Kira mówiła o kimś w ten sposób.

Prawie nie widziałam w tym tygodniu Maksa. Wczoraj przez chwilę spotkaliśmy się przy śniadaniu, ale nie powiedziałam mu o swojej pracy.

– No proszę! Ty i Kira, tak? – stwierdziłam niczym nadgorliwy wujek.

– No – tyle tylko odpowiedział. – No. Skończyło nam się mleko. Kupię. – Nałożył kurtkę na piżamę i wyszedł z domu, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Ponieważ nie chce o tym mówić, wydaje mi się, że to poważna sprawa. W końcu Kira go lubi, więc jest spora szansa, że i on darzy ją podobnym uczuciem.

David dopija kawę i rozsiada się wygodnie.

– Mam coś dla ciebie. Spóźniony prezent urodzinowy – wręcza mi kopertę, a ja spoglądam na niego ze zdziwieniem. – Otwórz ją.

To bilet na przelot pierwszą klasą do Nowego Jorku. Wylot dziesiątego – w przyszły piątek – a powrót czternastego.

– Dostałem się na staż w Nowym Jorku – mówi. – Zaczynam na początku października.

– Och, Davidzie, gratuluję! – Bilet na samolot pomaga mi udawać zaskoczenie. Nie do końca rozumiem, co David chce mi powiedzieć.

– Lecę tam w następny weekend na konferencję i z zamiarem rozejrzenia się. I chciałbym, żebyś się wybrała ze mną.

– Och! Poleciała na weekend czy...?

– Chcę, żebyś poleciała na cały rok. Ale pomyślałem, że wcześniej weekendowy wyjazd będzie fajny.

– Chcesz, żebym poleciała z tobą na cały rok? – powtarzam.

– Tak, naprawdę tego chcę.

W jego ustach wydaje się to takie proste, bezpośrednie i kuszące. Myśl, że on naprawdę chce być ze mną i że mnie potrzebuje, sprawia mi ból.

– Davidzie, wow – odzywam się niepewnie. – Nie... to takie miłe, że mnie zaprosiłeś. Nie wiem, co powiedzieć. To znaczy... czy będę mogła tam pracować? Co z wizami.

– Wszystko da się załatwić – zapewnia mnie David. – Mogłabyś pracować jako wolny strzelec albo pójść na staż. Albo studiować – modę lub coś takiego. Wspominałaś wcześniej o czymś podobnym, prawda?

– Tak, ale wiesz, to kosztuje. To znaczy życie w Nowym Jorku jest drogie. – Nadal gapię się na trzymany w dłoni bilet.

– Nie musiałybyś się o to martwić.

– Hm... ale o co chodzi.

– No przecież mieszkałabyś ze mną. Czemu więc miałabyś się zastanawiać nad kosztami utrzymania.

Nie mam pojęcia, co odpowiedzieć na taką ofertę, ale nie mogę się zmusić do tego, by ją odrzucić.

– Z wielką przyjemnością polecę z tobą w następny weekend.

– A przemyślisz wyjazd na stałe? – zadaje to pytanie dość swobodnie, składając gazetę, ale wiem, że dla niego to właściwie tak, jakby błagał mnie na kolanach.

– Przemyślę wyjazd z tobą na stałe.

Po śniadaniu szybko wracam do domu. W głowie mi się kręci. Dopiero w połowie drogi uświadamiam sobie, że pamiętam dzisiejszą datę: sobota, czwartego. Dzień, w którym zerwaliśmy. A ja całkiem o tym zapomniałam. O ironio: poprzednim razem David zerwał ze mną, bo wyjeżdżał do Ameryki. Tym razem chce, żebym pojechała z nim. Zrobiłam wszystko według *The Rules*: zgrywałam zimną i trudną do zdobycia i efekt jest dokładnie taki, jak obiecano.

Nie wiem, co zrobić. Nie jestem już w nim zakochana do szaleństwa – ale kiedyś byłam. Na pewno znów mogę się zakochać. Wszystkie związki przechodzą wzloty i upadki, nieprawdaż? Zaczynam myśleć o Maksie, ale zaraz wybijam sobie to z głowy. Chciałabym wyjechać z Londynu. Polecieć do Ameryki, gdzie nikt mnie nie zna i mogę zacząć od nowa. A później moglibyśmy razem wrócić do Dublina.

Słyszę hałasy dochodzące z salonu. Wchodzę i zastaję tam Maksa i Kirę. Kira ma na sobie jego koszulkę i chwali się swoimi długimi, brązowymi nogami, które oparła o jego uda. Siedzą na kanapie i piją

herbatę. To najbardziej przerażająca rzecz, jaką w życiu widziałam.

– Zoe! Cześć! – mówi zaskoczony Max.

– Cześć, mała! – wita się Kira. – Usiądź z nami.

– Oj, nie, dziękuję. Ja tylko... ja wróciłam do domu, żeby się zdrzemnąć. To znaczy wziąć prysznic. Ja... – Wycofuję się z pokoju.

– Byłaś w jakimś fajnym miejscu? – pyta Kira.

Niechętnie wracam do salonu.

– Byłam u Davida.

– Co u niego słychać? – pyta Max.

Staję przy drzwiach i zmuszam się do udzielania normalnych odpowiedzi. Po cichu mówię do siebie: „Zachowuj się jak zwyczajny człowiek, który rozmawia ze swoją przyjaciółką i jej chłopakiem”.

– W porządku. Wyjeżdża do Stanów.

– A, na staż? Już? – dopytuje się Max.

– Nie, nie... tylko żeby się rozejrzeć, tak sędzę. To znaczy, na konferencję. – Po czym pod wpływem impulsu dodaję: – Chce, żebym pojechała z nim.

Kira siada wyprostowana.

– Na cały rok.

– Zaproponował mi wyjazd na cały rok. Muszę to przemyśleć. A wcześniej pojedę tam z nim na weekend.

– Wow, będzie super – stwierdza Kira. Max się nie odzywa.

– Słuchajcie, lepiej już pójdę. Do zobaczenia później, okej? – uśmiecham się do nich obojga, a następnie idę do swojego pokoju, zamykam z trzaskiem drzwi i zwijam się w kłębek na łóżku.

O Boże. To było najgorsze. Widzieć ich razem w takiej sytuacji – mam koszmarne wspomnienia, w których widzę jej brązowe stopy z jaskraworóżowymi paznokciami oparte o jego uda... Zakrywam twarz dłonią i wydaję z siebie głośny jęk. To było jak piekło. Nigdy, przenigdy nie mogę tego znów zobaczyć.

Muszę się wyprowadzić.

A potem uświadamiam sobie, że jeśli wyjadę do Ameryki, nigdy więcej nie będę musiała oglądać Maksa i Kiry.

W tej chwili jednak jestem uwięziona w swoim pokoju. Nie mam dokąd pójść, a poza tym nie mogę stąd wyjść, bo jeszcze mnie zobaczą albo przyłapię ich na migdaleniu się bądź uprawianiu seksu na kanapie lub czymś w tym stylu. Ironia losu: Kira jest dokładnie w typie Maksa.

Wysportowana, lubi przebywać na łonie natury, jest wyluzowana, nie nosi makijażu, ale i bez niego jest atrakcyjna, kocha meksykańskie jedzenie i pływanie na desce... Jak mogłam tego nie przewidzieć.

W końcu słyszę, że drzwi się zamykają. Dzięki Bogu. Czekam dziesięć minut i ostrożnie zerkam za drzwi. Jeśli sobie poszli, może pooglądam *Plotkarę*. Otwieram DVD, ale w środku nie ma mojej płyty, tylko płyta z japońskim horrorem *Dead Water*, jednym z jego ulubionych. Kira musi naprawdę lubić Maksa, skoro to oglądała.

No ale gdzie położyli moje DVD? Doprowadza mnie do szaleństwa, gdy ludzie wyjmują płytę i nie odkładają jej z powrotem do pudełka. Szukam jej dookoła, gdy słyszę za sobą jakieś hałasy. To Max. Niesie pusty kosz na pranie i słyszę w tle pralkę.

– O, cześć. Widziałeś gdzieś moją *Plotkarę*.

– Tę, którą ci dałem? – Odchrząkuje.

– Nie, tę drugą. – Podaję mu jego japoński horror. – A tak przy okazji (nienawidzę samej siebie za to, co teraz mówię), Kira tak naprawdę nie lubi tych filmów. Kłamała.

– O co ci chodzi? – Marszczy brwi.

– O to, że nie była z tobą szczerą. – Boże, ależ jestem małostkowa.

Odpowiedź Maksa mnie zaskakuje.

– Skoro mowa o szczeroci: powiedziałaś Davidowi prawdę? To znaczy o przeniesieniu się w czasie.

– Nie – odpowiadam ze złością. – A co to ma wspólnego z tą sytuacją.

– Czyli David nie ma pojęcia, co ci się przytrafiło.

– To nie twoja sprawa.

– Nie sądzisz, że jesteś trochę samolubna, Zoe?

– Co! Samolubna? – śmieję się głośno. – Chodzi ci o to, że nie pozwoliłam przebadać swojego mózgu.

– Nie. O to, że jesteś egoistką, bo zyskałaś przewagę nad Davidem. Wiesz o nim rzeczy, których on nie wie o tobie. Poza tym masz chyba problem, bo umawiam się z twoją przyjaciółką, i to też jest trochę samolubne.

Patrzemy na siebie z wściekłością.

– Świetnie. Dziękuję, że uświadomiłaś mi, jaką jestem okropną osobą – mijam go i idę do swojego pokoju. Cała się trzęsę. Jest dopiero

pora lunchu w sobotę, a weekend już jawi się niczym z piekła rodem. Czuję, że zaraz oszaleję. Biorę telefon i dzwonię do Rachel. Właśnie wybiła trzynasta. Powinna już wrócić z siłowni i pewnie ogarnia dom.

– Cześć! – Jest w zadziwiająco dobrym nastroju. W tle słyszę telewizję.

– Jak się masz? – pytam.

– Dobrze. Przed chwilą wróciłam z siłowni i jestem w domu.

Prasuję i oglądam Sky News. A ty.

Biorę głęboki wdech i zniżam głos.

– Czuję coś do Maksa i wiem, że powinnam zerwać z Davidem, ale David chce, żebym przeprowadziła się z nim do Ameryki i to naprawdę bardzo kusząca propozycja, bo Max jest z Kirą, a ja nie będę w stanie znieść myśli, że tu zostanę samotna i bez pracy.

– Co? – Słyszę pisk, a później gwałtowne ruchy. – Zoe, właśnie upuściłam telefon. O czym ty, do licha, mówisz?

– Słyszałaś.

– Od jak dawna to trwa.

– Nie wiem. Narastało od jakiegoś czasu. Sama o tym wspominałaś.

– Wiem, ale... daj spokój. To tylko zauroczenie. David chce, żebyś pojechała z nim do Ameryki? To fantastyczne! Tego właśnie pragnęłaś, prawda? Przynajmniej ostatnim razem, gdy o tym mówiłaś.

Kiwam głową, po czym przypominam sobie, że ona przecież mnie nie widzi.

– Słuchaj, Zoe – mówi. – Max jest uroczy i w ogóle, ale to David się liczy. Łączy was coś wspaniałego.

– O to właśnie chodzi. Nie wydaje mi się, by łączyło nas coś wspaniałego.

– O czym ty mówisz.

– Wiem, że z zewnątrz to wygląda doskonale, ale tak naprawdę wydaje mi się, że to nie jest prawdziwy związek. David mnie nie zna. Pomyśl: dał mi perły, a ja nigdy nie noszę pereł.

– Jeśli masz zamiar narzekać, że podarował ci naszyjnik z pereł, rozłączę się.

– Okej, to był zły przykład. Ale nie wiem, co siedzi w jego głowie.

– Nikt nigdy nie wie, co siedzi facetowi w głowie – przypomina

Rachel.

– I prawie się nie widzimy.

– W takim razie wyjazd na weekend jest tym, czego potrzebujesz, by naprawić tę sytuację. Słuchaj, nie musisz teraz podejmować decyzji w sprawie wyjazdu na rok. Ale daj wam szansę przez weekend. A jeśli naprawdę przeszkadza ci ta sytuacja z Makssem... może czas spędzony z dala od niego dobrze ci zrobi. Będziesz miała okazję, żebyście z Davidem zorientowali się, co się dzieje.

Czas spędzony z dala od Maksa. W tej chwili wydaje się to niesłychanie kuszące.

– Może. A w ogóle, co u ciebie? Co robisz dziś wieczorem?

– Idę na pożegnalne przyjęcie do siostry Eriki – mówi Rachel. – Całkiem blisko ciebie. Może też przyjdiesz.

– Do Alice? Gdzie wyjeżdża.

– Do Los Angeles, ze swoim chłopakiem, o ile mi wiadomo.

Wydaje mi się, że dostała tam pracę.

– Hm – odpowiadam. Pamiętam, że poprzednim razem Rachel wspominała o tej imprezie w dniu, w którym David ze mną zerwał. Wtedy nie poszłam, nie byłam w stanie. Ale tym razem jest inaczej: muszę wyjść z domu. Umawiamy się na spotkanie na stacji Westbourne Park o ósmej wieczorem.

Rozdział 34

Rachel zjawia się na stacji nadzwyczaj późno i wygląda jak milion dolarów. Ma na sobie brzoskwiniowy top i dopasowaną kurtkę dżinsową. Rachel w kolorze! Wszystkie moje marzenia się spełniają! I sznur pereł.

– Wow! Wyglądasz świetnie. – Obejmuję ją na powitanie. – Piękne perły! Prawdziwe?

– Tak. Słodkowodne. Byłam trochę zazdrosna, gdy dostałaś perłowy naszyjnik od Davida... a później pomyślałam, że nie potrzebuję faceta, żeby mieć perły. Poszłam więc do Johna Lewisa i zainwestowałam w mały podarunek dla siebie.

Idziemy na szczyt wzgórza, w stronę pubu Grand Union. Jest cudowny, słoneczny wieczór. Ludzie kręcą się po chodniku przed pubem, śmieją się, rozmawiają, palą papierosy. Zastanawiam się, czy kiedyś jeszcze będę taka beztrojska – później jednak postanawiam wziąć się w garść i dobrze się bawić.

– Co robiłaś wczoraj? – zapytuję Rachel.

Wygląda jakby została w domu i nałożyła sobie maseczkę, więc jestem zaskoczona, gdy mówi.

– Och, poszłam z kimś na drinka. – W języku Rachel oznacza to, że była na randce.

– Z kim? – pytam z zainteresowaniem.

– Och, nikt taki. Nie wiem jeszcze, czy coś z tego będzie. To tylko parę drinków... – milknie, ale w jej głosie nie da się nie zauważyć podekscytowania. Ten facet jej się podoba. Mam ochotę zapisać i zapytać o szczegóły, ale zmuszam się do tego, by podejść do całej sprawy swobodnie.

– Cóż, brzmi to intrygująco. Czy w najbliższym czasie poznam dalsze szczegóły.

– Być może – odpowiada Rachel. – Jeśli wkrótce znów się z nim spotkam, dam ci znać.

Docieramy do pubu usytuowanego tuż przy kanale. Najwyraźniej zarezerwowano salę na dole, schodzimy więc spiralną klatką schodową i odkrywamy, że dotarliśmy jako jedne z pierwszych. Erica podchodzi się przywitać. Jest w zaawansowanej ciąży, z czego wcześniej nie zdawałam sobie sprawy.

– Świetnie was widzieć – mówi i całuje nas. – Dziękuję, że przyszyście.

Rozmawia z Rachel o swojej pracy. Przez chwilę czuję się niezręcznie, gdy stoję z mężem Eriki, Rajem, ale po chwili udaje nam się ustalić, że jest chirurgiem ortopedą i – jaki ten świat mały – zna Davida.

– Rozmawiałem ostatnio z kimś, kto pracuje z Davidem. To jeden z jego byłych przełożonych. Powiedział, że David jest najbardziej utalentowanym torakochirurgiem, z jakim kiedykolwiek pracował.

– Och, to wspaniale. Powiem mu o tym. – Podczas naszej rozmowy patrzę na siebie z perspektywy Raja: dziewczyna genialnego młodego chirurga. Czuję się lepiej.

– Rachel! – Zjawia się bardzo ładna blondynka i potrzebuję kilku sekund, by uświadomić sobie, że to siostra Eriki, Alice. Gdy ją widziałam ostatnim razem, miała na sobie bezkształtny granatowy sweter i przygryzała rozdwojone końcówki swoich włosów. Wydaje mi się, że tuż przed tym rzucił ją chłopak. Nadal ma długie włosy, ale teraz są ładnie ostrzyżone i ułożone, a jej strój zasługuje na uwagę: wąskie ciemnoniebieskie spodnie, dopasowany złoty top i urocze sandałki ze skóry węża, na niskim obcasie.

– Pamiętasz moją przyjaciółkę Zoe? – pyta Rachel.

– Oczywiście! Bardzo dziękuję, że przyszyście.

Nawet jej głos zdradza większą pewność siebie: jest opanowana i szczęśliwa. Nadal próbuję się przyzwyczaić do tej całkiem nowej Alice, gdy u jej boku pojawia się bardzo wysoki koleś.

– Cześć – mówi, uśmiechając się na krótką chwilę, ale bardzo serdecznie. – Jestem Sam.

To na pewno ten chłopak z Ameryki. Jeszcze raz mu się przyglądam, gdy Alice nas sobie przedstawia i podajemy sobie dłonie, bo Sam jest przystojny na ten typowy amerykański sposób. Później Erica i Raj znów porywają Rachel. Spodziewam się, że Alice mnie porzuci i pójdzie rozmawiać z innymi gośćmi, ale ona i Sam nie mają zamiaru uciekać.

– Czyli przeprowadzasz się do LA? – zadaję głupie pytanie. – To świetnie.

– Tak, w przyszłym tygodniu – odpowiada z uśmiechem Alice. – To ekscytujące. Dostałam pracę w agencji literackiej, a Sam zakłada

swoją firmę. Zamieszkamy w Venice Beach.

Sam obejmuje ją ramieniem.

– Tak. Po dwóch latach w Londynie wreszcie przerzucam ją przez siodło i zabieram z powrotem na Zachód.

Kiedy Alice daje mu kuksańca, zauważam, że coś błyszczy na jej palcu. Ogromniasty, jakby to powiedziała Jenny, pierścionek z brylantem.

– Czy wy...? – Delikatnie wskazuję na pierścionek.

Alice uśmiecha się szeroko, Sam sprawia wrażenie bardziej opanowanego, ale widać, że też jest podekscytowany całą tą sytuacją.

– Zaręczyliśmy się! – mówią równocześnie, jakby byli pierwszymi ludźmi, którzy wpadli na tak genialny pomysł.

– Wow! Gratuluję! – Jakim cudem jej życie nagle stało się tak idealne.

– Sam, mój drogi – Raj staje obok nas – mogę cię porwać na moment.

– Pewnie. Miło cię było poznać, Zoe. – Ścisną na chwilę ramię Alice, po czym znika.

– A co u ciebie? Jak się sprawy mają? – pyta Alice.

Z całą pewnością nie opowiem siostrze Eriki, jak bardzo jest popieprzone moje życie (zwłaszcza że jej należy do idealnych). Ale robię coś okropnego. No cóż, przechwalam się.

– Świetnie! Spotykam się z cudownym facetem. Jest chirurgiem, wiesz? No i w następny weekend lecimy razem do Ameryki na konferencję medyczną. Do Nowego Jorku. To znaczy David będzie na tej konferencji, a ja lecę z nim. Ale prawdopodobnie przeprowadzimy się tam na rok.

Po co o tym mówię? Jeszcze nie podjęłam decyzji o przeprowadzce. Jednak smutna prawda jest taka, że chcę, aby Alice myślała, że jestem we wspaniałym związku i wiodę ekscytujące transatlantyckie życie, tak samo jak ona.

– A jak się czujesz, planując wyjazd do Stanów? Denerwujesz się? – pyta Rachel, gdy ponownie dołącza do nas.

– Bardzo. Ale Sam mieszkał w Londynie przez dwa lata, więc, żeby było fair, muszę spróbować życia w Los Angeles. Nigdy nie wiadomo, jak sprawy się potoczą, nieprawdaż? Czasem musisz po prostu zatkać nos i skoczyć.

Spoglądam na nią i rozmyślam. Alice ma rację. Nie wiem, co się stanie, jeśli pojedę do Stanów z Davidem. Ale może powinnam zatkać nos i skoczyć.

Zaraz potem pojawiają się kolejni przyjaciele Alice, więc zostawiamy ją i mieszamy się z tłumem. To naprawdę fajna impreza. Nikt nie rozmawia o weselach, cenach mieszkań czy kupowaniu domów – zamiast tego mówimy o przypadkowych absurdalnych rzeczach, na przykład Erica i Raj opowiadają o swoich sąsiadach, którzy są druidami. Na kilka minut jestem w stanie zapomnieć o Maksie i Davidzie, aż wreszcie trzeba stamtąd wyjść. Większość ludzi udaje się w inne miejsce, ale Rachel chce zdążyć na ostatnie metro i postanawiam jechać razem z nią.

– Fajna impreza – stwierdza Rachel, gdy idziemy w stronę stacji.
– Czy Alice nie wygląda wspaniale.

– Świetnie. Jakby przeszła metamorfozę w programie telewizyjnym – potrząsam głową.

Spodziewam się, że przyjaciółka wygłosi cyniczną uwagę o tym, że siostra Eriki będzie musiała kupić sobie w LA małego psa i uggysy albo coś podobnego, ale ona tylko mówi.

– Może po prostu jest zakochana.

Spoglądam na nią.

– Bardzo dziś bujasz w obłokach. Czy to skutek uboczny twojej wczorajszej randki? – Umieram z ciekawości, by dowiedzieć się więcej, ale wiem, że szanse na to są niewielkie.

– Być może. – Uśmiecha się i chichocze. Chichocząca Rachel!
Ale nie chce powiedzieć nic więcej.

Żegnamy się przy stacji metra. Wracam pieszo do domu i czuję, że wszystkie moje problemy znów do mnie wracają. Max, praca i David. Przyznaję, że nie odczuwam już takiej pasji i namiętności jak wcześniej. Ale nadal uważam, że to cudowny człowiek i że mam szczęście, że z nim jestem. No i daje mi szansę, by się stąd wyrwać.

Rozdział 35

Z okna samolotu widzę ziemię. Słońce wschodzi i już dostrzegam zbliżające się miasto, a nawet kilka słynnych budowli: wydaje mi się, że rozpoznaję Statuę Wolności i Empire State Building.

– Davidzie! – mówię, wychylając się w stronę przejścia i trącając go łokciem. – Spójrz, Empire State Building.

– To mało prawdopodobne. Przelatujemy właśnie nad Bostonem – wyjaśnia i wskazuje na monitor. – Została nam jeszcze mniej więcej godzina drogi – uśmiecha się i rozkłada na swoim siedzeniu. To znaczy na łóżku. Robię to samo.

Nigdy wcześniej nie leciałam pierwszą klasą i muszę przyznać, że taki lot ma działanie terapeutyczne. Właściwie gdyby szukać dobrego antidotum na złamane serce, ośmieszenie się przed całą firmą i przymusowy urlop, to prawie idealne wyjście. Mamy łóżka, na których możemy się wyciągnąć, osobiste monitory, o wiele lepsze niż te beznadziejne w klasie ekonomicznej, luksusowe, wyjątkowo miękkie jasnyniebieskie koce i mnóstwo miniatuerek kosmetyków.

Z każdą pokonaną milą i każdym filmem obejrzanym na monitorze czuję, że Londyn coraz bardziej się od nas oddala. Gdyby zobaczyli mnie teraz Julia, Seth albo Karen, na pewno nie uznaliby mnie za przegraną. Na sekundę odpływam w krainę fantazji, w której szturmem zdobywam świat mody w Nowym Jorku w bliżej niesprecyzowany sposób. Wpadam na Julię na pokazie mody – ja siedzę w pierwszym rzędzie, a ona gdzieś z tyłu, ale uprzejmie proponuję jej, by usiadła na moim miejscu.

– Wiesz – zwracam się do niej – odejście z Marley's było najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła. Nigdy bym nie.

– Kawy? Soku? – pyta stewardesa, stając między naszymi łózkami. Ma zamiar zadać to samo pytanie Davidowi, ale informuję ją, że mój towarzysz śpi. To prawdopodobnie jego najdłuższa drzemka w ciągu ostatnich tygodni, a może nawet miesięcy. Biedny David. Pracuje tak ciężko i potrzebny mu ktoś, kto o niego zadba.

– Hej – mówi chwilę później i otwiera oczy. – Witaj.

– Zasnąłeś?

– Tak, chyba tak. – Ziewa i pociera twarz. – Dziwne. Śniło mi się, że na pokładzie był potrzebny lekarz i musiałem ich ochrzcić, bo

nie mieli defibrylatora. Ale nic takiego się nie wydarzyło, prawda?

Kręcę głową i uśmiecham się. David nie jest typem, który opowiada ludziom swoje sny. To trochę zabawne. Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, po czym ściska moją rękę.

– Cieszę się, że ze mną lecisz.

Tak rzadko mówi mi podobne rzeczy, więc kiedy już to robi, czuję się, jakby napisał dla mnie wiersz albo zaśpiewał mi serenadę, podczas gdy ja stoję na balkonie. Szczerze mówiąc, bardzo lubię takie niezobowiązujące stwierdzenia. Nie znoszę, gdy ludzie – faceci – są zbyt sentymentalni. David nigdy nie byłby zanadto sentymentalny, nigdy by mi nie nadskakiwał. Przez moment zastanawiam się, jaki jest Max w chwilach czułości – wyobrażam sobie, że romantyczny, lecz nie przesadnie słodki – ale szybko odpędzam od siebie te myśli.

– Cieszę się, że lecę – odpowiadam i dodaję po cichu: – I dziękuję ci, Davidzie, za bilety. – Gdy zobaczyłam, ile kosztowały, omal nie dostałam zawału. To, co – jak sądziłam – było ceną biletów powrotnych dla nas obojga, okazało się kosztem przelotu w jedną stronę za osobę.

– To naprawdę żaden problem – mówi, a ja już wiem, że to prawda.

•

The Surrey to prawdopodobnie najładniejszy hotel, w jakim się kiedykolwiek zatrzymałam. Mieści się na Upper East Side (Upper East Side!), w eleganckiej kamienicy, która wygląda jak z planu *Plotkary*, a jej wnętrze zdobią marmurowe posadzki, sztuka współczesna, szarości i złoto. Mamy apartament: sypialnię z ogromnym białym łóżkiem z szarymi i złotymi poduszkami oraz oddzielny salon z niską, również szarą sofą obitą aksamitem. Gdy kładę się na łóżku, myślę o lecie, które spędziłam w Nowym Jorku, gdy miałam dwadzieścia lat i mieszkałam w zapchlonej norze bez klimatyzacji przy Avenue E. Ta miejscówka jest znacznie lepsza.

– Czy reszta delegatów też się tu zatrzymała? – pytam po chwili namysłu. The Surrey nie bardzo kojarzy mi się z hotelem biznesowym.

– O Boże, nie. Są w jakimś Mariotcie... Pomyślałem, że zasługujemy na coś trochę wygodniejszego.

Mało powiedziane. Nawet nie mogę sobie wyobrazić, ile tutaj

kosztuje doba. Ale, jak stwierdził wcześniej David, to najprawdopodobniej jedyne wakacje, jakich doczeka się w tym roku.

– Nie jestem jakoś bardzo zmęczona, a ty? – pytam, ziewając. – To znaczy jestem zmęczona, ale nie tak bardzo, jak się spodziewałam, biorąc pod uwagę, że jest... – spoglądam na zegarek i postanawiam nie zabierać się za dodawanie.

– Spałem w samolocie, więc czuję się dobrze. – Wzrusza ramionami. – Tak naprawdę lepiej niż zazwyczaj.

David zaczyna się rozpakowywać, a ja idę w jego ślady. Wieszam moją uroczą sukienkę od Helmuta Langa (na wyprzedaży zapłaciłam za nią trzydzieści procent ceny) i nowy ulubiony trenz od Isabel Marant (kupiony ze zniżką dla pracowników tuż przed tym, jak mnie wywalili z pracy). Otwieram plan miasta i widzę, że jesteśmy oddaleni tylko o przecznicę od Central Parku i muzeów.

– Co chcesz teraz zrobić? – pytam Davida.

David zerka na zegarek.

– Obawiam się, że zaraz zaczyna się wystąpienie, którego nie chcę przegapić. – Klepie mnie po ramieniu, po czym idzie w stronę łazienki. – Dasz radę znaleźć sobie jakieś zajęcie dziś po południu.

– No... pewnie. – Siadam na krawędzi łóżka. – A o której powinieneś być wolny wieczorem? – pytam. Słyszę prysznic, David nie odpowiada. Patrząc na zegarek: jest trzynasta trzydzieści. Odczuwam zmęczenie, ale nie mam ochoty na drzemkę. Ruszam w drogę.

Po dziesięciu minutach David wychodzi z łazienki, ubrany w ekskluzywny biały szlafrok. Włosy ma ostatnio trochę dłuższe niż zwykle, tylko dlatego, że nie miał czasu ich obciąć. Jednak pasują do niego, zwłaszcza gdy są mokre i zaczesane do tyłu.

– Nie jestem pewien, jaki jest plan dnia – mówi – ale na pewno wyjdę przed szóstą. Zarezerwuję stolik na wieczór w jakimś przyjemnym miejscu i ruszymy na miasto. Dobrze? – uśmiecha się do mnie, podchodzi do szafy i zaczyna się ubierać. – Wyślę ci SMS. Masz roaming, prawda? A jeśli będzie jakiś problem, możesz zostawić wiadomość w recepcji.

Kiwam głową i gdy zakłada bokserki i spodnie, podziwiam jego mięśnie oraz płaski brzuch. Wiedziałam, że głównym celem tej wyprawy jest udział w konferencji, ale luksusowy lot i romantyczny hotel być może sprawią, że spędzimy razem więcej czasu. Nigdy o tym

tak naprawdę nie rozmawialiśmy. Później jednak wyglądam przez okno i myślę: „Jestem w Nowym Jorku”. Jeśli istnieje takie miejsce na świecie, w którym mogłabym sobie bez problemu znaleźć jakieś zajęcie, to właśnie tutaj.

•

Po wyjściu na zewnątrz biorę głęboki oddech, przepełnia mnie poczucie szczęścia. Jest idealny nowojorski dzień: niebo ma niebieski kolor, a w powietrzu czuć wystarczająco dużo jesieni, by słońce przywracało siłę i dobre samopoczucie. Mija mnie starsza para: on podpira się laską, a ona prowadzi na smyczy małego białego psa.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie – mężczyzna mówi bardzo głośno. – Korek. Powiedzieli „korek”.

– Powiedzieli „worek” – odpowiada kobieta z emfazą. – Worek. Worek. – Przypomina to scenę z filmu. Nowojorczy! Jestem w Nowym Jorku.

Ubrałam się idealnie: mam koszulkę z długim rękawem w białe i granatowe paski z Petit Bateau, džinsy rurki, converse’y i trencz, na wypadek, gdyby zrobiło się chłodniej. Przez ramię przewiesiłam torebkę Mulberry, której jedno ucho przewiązałam apaszką od Sinead. Zakładam okulary przeciwsłoneczne i ruszam w kierunku Central Parku, chłonąc wszystkie detale: eleganckie budynki z kamiennymi fasadami i zielonymi markizami, portierów w uniformach, amerykańskie flagi, mijające mnie żółte taksówki, napis „X-ING” na chodniku. Przez całe lato, które spędziłam w tym mieście, nie miałam pojęcia, co oznacza określenie „PED XING”. Sądziłam, że to nazwa chińskiego miasta partnerskiego. Dopiero po wyjeździe zorientowałam się, że chodzi o przejście dla pieszych. Wyobrażam sobie, jak bardzo Max śmiałyby się z tej historii, ale szybko wybijam sobie z głowy tę myśl.

Po kilku minutach docieram do Piątej Alei. Piąta Aleja! Już samo patrzenie na tę nazwę zapisaną na drogowskazie sprawia, że mam ciarki. Czuję się prawie jak mieszkanka Nowego Jorku (nie musiałam jeszcze patrzeć na mapę!), skręcam w lewo, do centrum, w stronę mojego dawnego miejsca pracy – FAO Schwartz. Mało prawdopodobne, że ktokolwiek z osób, które poznałam w tym miejscu, nadal tam pracuje – ale kto wie. Może moja dawna szefowa Mary,

pochodząca z Galway, będzie na miejscu... Z ogromną siłą wracają do mnie wszystkie obawy związane z pracą, ale szybko się ich pozbywam. Mam dość planowania i kombinowania: popłynę z prądem. Może wszechświat da mi jakiś znak.

Gdy widzę kawiarnię Starbucks, uznaję, że czas na frappuccino. Dziewczyna w uroczym żółto-musztardowym pasiastym kombinezonie i słomianych butach na koturnie pracuje nad czymś, co wygląda jak blog modowy. Zawsze miałam nadzieję, że kiedyś jakiś fotograf mody ulicznej mnie dostrzeże, ale jak dotąd nigdy tak się nie stało.

Dziewczyna spogląda na mnie bez większego zainteresowania i wraca do pracy nad stroną. Widzę, że podają tu frappuccino z solonym karmelem, którego jeszcze nie próbowałam, więc je zamawiam.

– Jak masz na imię? – pyta baristka.

– Zoe. – Dlaczego ją to interesuje? Nie rozumiem. Nie ma sensu się ze mną zaprzyjaźniać, jestem tu tylko na weekend.

Gdy dostaję kawę, widzę, że zapisała moje imię jako „Zooey”. Wow. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy. Wychodzę na zewnątrz, pijam frappuccino i myślę, że na pewno mogłabym tutaj zacząć wszystko od nowa. Zooey Kennedy. Mogłabym studiować modę, prowadzić mody bloga i dorabiać jako stylistka... mogłabym stać się, jeśli nie ikoną stylu, to przynajmniej stylową dziewczyną. Postanawiam podjechać autobusem do centrum i przejść się po Village, a potem wrócić i zajrzeć do „Świętej Trójcy”: Saksa, Barneysa i Tiffany’ego.

•

Greenwich Village stała się bardziej komercyjna od czasów mojej ostatniej wizyty: mniej małych hipisowskich kafejek i sklepów z używanymi rzeczami, więcej salonów firmowych, przyjemnych sklepików i restauracji. Wcale nie narzekam. Po tym, jak pociekła mi ślinka na widok wypieków w Magnolia Bakery, ale postanowiłam, że nic nie kupię, bo przecież wybieramy się wieczorem na kolację, idę najkrótszą drogą do Marca Jacobsa – najpierw do butiku z akcesoriami, gdzie kupuję mnóstwo srebrnych i złotych portfelików i kosmetyczek, które będą świetnymi podarunkami dla Rachel, Harriet i mojej mamy.

Zakładam, że powinnam poszukać też coś dla Kiry i z niechęcią wybieram dla niej breloczek do kluczy. Ale później wyobrażam sobie,

że doczepia do niego klucz do mojego mieszkania i upuszczam breloczek, jakby parzył. Kupię jej pumeks albo supermocny dezodorant w Duane Reade, albo coś w tym stylu.

Z zakupami w ręce udaję się do głównego sklepu Marca Jacobsa, który mieści się po drugiej stronie ulicy. Na witrynie umieszczono napis: „ZATRUDNIMY”. Gość za ladą robi wrażenie naprawdę uprzejmego i wyrozumiałego – jest jak spokojna przystań dla mojego zniszczonego statku. Przez chwilę kusi mnie ogromnie, by poprosić go o formularz aplikacyjny, ale przecież nie mam wizy, więc nie ma to sensu.

Wychodzę na dwór i przez chwilę włóczę się po Bleeker Street, oglądam pięknych ludzi, którzy przechodzą obok mnie, i zastanawiam się, co do cholery powinnam zrobić ze swoim życiem. Chowam się w kawiarni, zamawiam latte i rozmyślam. Czy wrócić do Londynu i poszukać nowej pracy (i mieszkania), czy też zdecydować się na powrót do Dublina? A może przeprowadzić się tu z Davidem i studiować modę? To chyba jedyna realistyczna opcja. Ale czy postąpię wtedy właściwie.

Obok mnie siedzą dwie śliczne, opalone blondynki, ubrane w jasnobezowe kaszmirowe sweterki i bardzo obcisłe granatowe dżinsy, których jedna nogawka kosztuje pewnie tyle samo co cały mój strój. Wyglądają jak apetyczne mamuśki, choć aktualnie nie mają na głowie dzieci. Mówią dość głośno i bez zahamowań, więc po krótkim czasie dowiaduję się, że jedna z nich przestała jeść produkty zbożowe i czuje się świetnie, a druga ma ogromny problem z wydobyciem od męża środków na założenie firmy handlującej świecami zapachowymi.

– Uważa, że to nie jest zbyt dobry pomysł, ale powiedziałam mu, żeby się wypchał i że przez pięć ostatnich lat zajmowałam się jego sprawami, więc teraz czas na moje.

Wow. Ostra babka. Zastanawiam się, co stwierdziłby David, gdybym chciała, by zainwestował w moją firmę handlującą świecami zapachowymi. Generalnie zaproponował, że będzie mnie utrzymywał przez rok. Ale czy mogę mu na to pozwolić? Czy nie skończyłabym tak jak te kobiety, które aktualnie omawiają zalety botoksu? I czy naprawdę mogłabym zamieszkać tutaj z Davidem, skoro nie... nie... Żeby odwrócić swoją uwagę, odczytuję SMS od Davida. Nie wróci przed osiemną, ale proponuje kolację o dwudziestej w restauracji

Daniel przy Sześćdziesiątej Piątej Wschodniej. Uznaję, że czas stąd iść i wstąpić na chwilę do Saksa, po czym wrócić do hotelu, by się przebrać.

•

Wróciwszy do hotelu (po bardzo krótkich wizytach w Saksie, Barneys, Sephorze i Bergdorfie), w recepcji zastaję nową, sympatyczną dziewczynę w moim wieku.

– Czy słyszałaś o restauracji Daniel? To fajne miejsce? – pytam. Kiwa głową tak energicznie, że wiem, iż odpowiedź brzmi „tak”.

– Czy powinnam się elegancko ubrać? – chcę się dowiedzieć więcej.

– Z całą pewnością. Daniel Boulod jest też właścicielem Bar Boulod, działającego przy naszym hotelu. To świetne miejsce, ale Daniel to prawdopodobnie jedna z najlepszych restauracji w mieście. – Rozgląda się i ciszej dodaje: – Jeśli zatrzymaliście się z chłopakiem u nas, a on zabiera cię do Daniel zamiast do Bar Boulod, to naprawdę dobry znak.

Świetnie, to znaczy, że czas założyć sukienkę od Helmuta Langa.

Spoglądam na zegarek: osiemnasta trzydzieści. Biorę szybki prysznic, rozkoszując się dotykiem puszystych ręczników i cudownych darmowych kosmetyków. Później nakładam balsam do ciała Chanel Chance. Nie myję włosów, tylko upinam je w wysoki kok, trochę w stylu lat sześćdziesiątych. Używam nowego eyelinera Stila, który kupiłam w Sephorze, i robię wydłużone kreski, nakładam ulubiony róż Bourjois i matuję skórę za pomocą nowego pudru Chantecaille. Nie maluję ust, rozprowadzam tylko trochę wazeliny. Po namyśle rozświetlam nią szczyty kości policzkowych.

Odkładając swoje kosmetyki, zauważam kosmetyczkę Davida, która leży obok umywalki. Nigdy wcześniej jej nie widziałam, więc z czystej ciekawości zaglądam do środka. Jest taka jak sobie wyobrażałam, czyli bardzo zorganizowana: grzebień, dezodorant, krem do twarzy, prezerwatywy, filtr przeciwsłoneczny i jakiś dziwny lek na receptę, którego nie rozpoznaję.

Przez chwilę rozmyślałam o niespożytej energii Davida, o tym, jak udaje mu się funkcjonować, jakby był superczłowiekiem, mimo straszego nawału pracy. A ten jego wybuch złości, gdy graliśmy w

tenisa. I mięśnie. A może zażywa sterydy? Czytam etykietkę... i już wiem, że to lek mający zahamować łysienie androgenowe. Czuję się jak idiotka i wścibska ciotka. Odkładam kosmetyczkę.

Sukienka od Helmuta Langa została uszyta z ciemnozielonego dżerseju. Jest prosta, bardzo obcisła i niezwykle seksowna: długa, bez rękawów, z drapowanym przodem i wyciętym tyłem. Łatwo się ją nosi. Zestawiam ją z mnóstwem złotych bransoletek i nowymi sandałkami gladiatorkami, kupionymi dziś po wyjątkowo niskiej cenie w Saksie. Zegar pokazuje dopiero dziewiętnastą dziesiątą, a restauracja jest bardzo blisko. Z Davidem spotykam się o dwudziestej, rozmyślam więc, co zrobić, by zabić czas.

Mogłabym się zdrzemnąć, ale nie jestem zmęczona, choć w Londynie dochodzi pierwsza w nocy. Max pewnie śpi albo ma jedną z tych swoich bezsennych nocy, gdy włóczy się po mieszkaniu lub gra na komputerze. Raz spotkałam go przy śniadaniu, sterczały mu włosy i był absolutnie nakręcony.

– Długa noc, co? – zapytałam.

– Chyba przeczytałem cały Internet – odpowiedział.

A może jest z Kirą.

Tralalala: nie myślę o Maksie. Po prostu nie myślę. Przypominam sobie, że w hotelu jest bar na dachu, w którym jeszcze nie byłam. Postanawiam pójść tam i wypić drinka.

Podobnie jak cały hotel, także ten lokal wygląda jak wyjęty z *Plotkary*: długi bar, za którym barman poleruje kieliszki, puszyste białe sofy i fotele ustawione wokół szklanych stolików, elegancka brązowa boazeria oraz donice z terakoty z bujnymi zielonymi krzewami. Jest dość spokojnie: tylko kilka osób sączących wysublimowane koktajle.

Ale to widok jest tutaj najważniejszy: nowojorskie drapacze chmur zbudowane z połyskującego metalu lub subtelnego piaskowca. Smukłe prostopadłości albo budynki ze zwieńczeniami w kształcie piramid rozciągają się tak daleko, jak sięga wzrok, przełamuje je tylko zieleń Central Parku. Słońce zaczyna zachodzić, wypełniając całe niebo intensywnym złotym blaskiem, który opływa krawędzie metalowych elewacji i odbija się w tysiącach okien. Podchodzę do barierki tarasu, opieram się o nią i upajam tym widokiem.

– Czy napije się pani czegoś? – pyta kelner, który zjawia się obok mnie.

– Oczywiście. Poproszę o... kieliszek szampana. Nie, może cosmopolitan.

Wiem, że to strasznie banalny drink, ale uwielbiam go. Siadam na najbliższej białej sofie, układam dół sukni, podziwiając kontrast między zielonym materiałem a moją (sztuczną) opalenizną, i próbuję koktajl.

Tak naprawdę trochę się denerwuję na myśl o dzisiejszym spotkaniu z Davidem. W ten weekend spędzimy więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej i nie wiem, jak to się potoczy: może będziemy sobie działać na nerwy, a może zabraknie nam tematów do rozmowy albo zrobię coś obrzydliwego, na przykład zostawię ślady mascary na ręczniku. Ale gdy czuję smak cudownego lodowatego drinka, moje zmartwienia powoli ustępują. David szaleje na moim punkcie. I też ma swoje zmartwienia – wystarczy spojrzeć na jego tabletki przeciwko łysieniu.

– Jeszcze jednego cosmopolitana? – zapytuje kelner, grzecznie zabierając mój pusty (ups) kieliszek.

– Uhm... – Spoglądam na zegarek. Dziewiętnasta trzydzieści. – Oczywiście – odpowiadam.

Sądzę, że tego wieczoru David poprosi o ostateczną odpowiedź na swoje pytanie, czy byłabym gotowa się tu z nim przeprowadzić. Gdy piję drugiego drinka, starając się nieco zwolnić tempo, spoglądam na błyszczące wieżowce i myślę: „To może być moje miasto”.

Chwilę później kończę saczyć koktajl. Jest za dziesięć ósma. Muszę już iść.

– Czy mogę zapłacić za te dwa drinki? – pytam kelnera, który odpowiada, że doda je do rachunku. Świetnie. Wstaję i zakładam marynarkę przypominającą smoking, po czym szybkim krokiem zmierzam w stronę windy, czując, że trochę się chwieję na nogach. Ups, te drinki były mocniejsze, niż mi się wydawało. Ale dzięki nim czuję się bardzo, bardzo odprężona.

Rozdział 36

Wow – mówi David, gdy spotykamy się przed restauracją. – Wyglądasz fantastycznie. – Całuje mnie i dodaje: – Nigdy bym nie pomyślał, że tego ranka wysiadłaś z samolotu.

– Ty też nieźle wyglądasz – rewanżuję się za komplement. David ma na sobie granatową marynarkę od garnituru, beżowe spodnie i jasnoniebieską koszulę. Przystojny i zrelaksowany. I bez śladu identyfikatora.

Wchodzimy do restauracji, która jest bardzo luksusowa i urocza: przyciemnione światła, dźwięczna muzyka, białe obrusy, a nawet nienarzucający się kwartet smyczkowy. Hostessa bierze nasze okrycia i pyta, czy chcielibyśmy od razu usiąść przy stoliku, czy najpierw napić się przy barze.

– Na co masz ochotę? – zwraca się do mnie uprzejmie David.

– Na drinka w barze – odpowiadam. Hostessa pokazuje nam dwa wysokie stołki barowe. Staram się zachować ostrożność, więc udaje mi się wspiąć na swoje miejsce bez żadnych wpadek.

– Szampana? – pyta David.

– Pewnie! – zgadzam się i prostuję się nieco, żeby David nie domyślił się, że wcześniej już piłam alkohol. Gdy podają nam musujący trunek, stukamy się kieliszkami. Naprawdę, nie można być ponurym, racząc się szampanem.

– Jak było na konferencji?

– Owocnie. Poznałem interesujących ludzi, wysłuchałem kilku wspaniałych wystąpień, obejrzałem kilka genialnych operacji...

– Jak to, na żywo? – wzdrygam się.

– Nie, przecież to nie była wystawa ludzkich ciał. Zostały nagrane. – Zaczyna mi opowiadać o nowym maleńkim skalpeli, którego działanie zademonstrowano, po czym przerywa.

– Czasem zapominam, że rozmawiam z normalnym człowiekiem.

– A spotkałeś się ze swoim profesorem?

– Tak, dziś po południu – mówi David. – Wydaje się świetny. To znaczy, żaden z niego Salazar – charakteryzuje się zupełnie innym podejściem, ale to dobrze. Mam dobre przeczucia odnośnie do Nowego Jorku.

– Przepraszam, a przypomnisz mi, kim jest Salazar?

– To ten gość, z którym bardzo chciałem pracować w Texas Heart Institute w Houston.

– Ach tak. – Zastanawiam się, czy zapytać go, dlaczego nigdy mi o tym nie opowiedział i dlaczego Jenny dowiedziała się pierwsza, ale wydaje się, że nie ma to już najmniejszego znaczenia.

– A ty? Biegałeś po sklepach, aż opadłeś z sił.

– No... może trochę zaszalałam w Sephorze.

– A co to takiego?

– Davidzie! Jak możesz o to pytać? To sklep, w którym znajdziesz absolutnie wszystko związane z urodą i makijażem. To jak Texas Heart Institute piękna!

– Rozumiem – odpowiada i wydaje się kompletnie zafascynowany. – W Londynie nie ma takiego sklepu?

Kręcę głową.

– Czyli mamy już jedną przewagę Nowego Jorku... Zastanawiałaś się nad kwestią przeprowadzki? – pyta niezobowiązująco.

– Tak. Ale nie wiem, co mogłabym robić związanego z pracą.

– W porządku. Ale wiedz, że nie musisz się tym martwić. Możesz odpocząć. Pracować trochę jako stylistka. Zdobyć dyplom. Cokolwiek zechcesz – pomogę ci.

Wow. W jego ustach wydaje się to takie proste. I może to jest łatwiejsze, niż mi się wydawało. Prawdę mówiąc, zaczyna mnie męczyć samodzielne rozmyślanie o rozwiązaniu moich problemów i podejmowaniu decyzji. Propozycja Davida... no cóż, jest niesamowicie kusząca.

– Choć jestem pewien, że Marley's będzie zdruzgotany z powodu twojego odejścia – dodaje.

Trochę poczuwam się do winy, ale najwyraźniej to była spontaniczna uwaga. David odchyła się do tyłu i przeciąga, a ja dostrzegam dwie chude, eleganckie i wygłodniałe kobiety, które najwyraźniej przyszły tu na łowy. Przyglądają się Davidowi i wymieniają spojrzenia. Gdyby wiedziały, że jest kardiochirurgiem, prawdopodobnie zrzuciłyby mnie z taboretu i zaniósły mojego chłopaka do swojej jaskini.

– Gotowa, by coś zjeść? – pyta David.

– Oczywiście. – Wypiłam już swojego szampana i z całą

pewnością osiągnęłam drugi poziom nietrzeźwości. Muszę być wyjątkowo ostrożna podczas schodzenia z wysokiego krzesła, żeby uniknąć upadku na tyłek. Nagle obok naszych stołków materializuje się kelner i prowadzi nas do stolika. Wow. Byliśmy już w paru eleganckich restauracjach w Londynie, ale ta przewyższa je o klasę. Próbuję uchwycić spojrzenie Davida, jakbym chciała mu powiedzieć: „Wysoki poziom, no nie?”, ale on tylko się do mnie uśmiecha. Oczywiście jest bardziej przyzwyczajony do takich miejsc niż ja.

Obsługa jest bez zarzutu. Mam wrażenie, że kelner zna imię i pochodzenie każdej krowy i kurczaka, które przyczyniły się do powstania menu, i chyba napisał pracę magisterską na temat win. Po długiej i przyjemnej dyskusji, w czasie której omówił zalety każdego z nich, David decyduje się na czarnego okonia morskiego z sosem z winogron shiraz. Ja zamawiam dwie przystawki: morskie przegrzebki panierowane ryżem z zatarem, cokolwiek to może oznaczać, a do tego ravioli z rukolą i cytryną. David wybiera też kalifornijskie sauvignon blanc.

– Rukola to inaczej rokieta siewna – objaśniam Davidowi. Dziwnym trafem pamiętam to z czasów mojego poprzedniego pobytu w Stanach. – Ale nie jadłam zbyt dużo rukoli. Przypominam sobie tylko pizzę kupowaną na kawałki i pączki w Dunkin Donuts.

– Najwyraźniej taka dieta nie wpłynęła negatywnie na twoją sylwetkę – zauważa. – Przy okazji, myślałem, żeby obejrzeć w niedzielę parę mieszkań. Bardzo mi zależy na twojej opinii.

David wyjmuje telefon i pokazuje mi sfotografowane wnętrza. Pierwsze ze zdjęć przedstawia loft: mały, ale bardzo stylowy, ze ścianami z gołych cegieł i wielkimi oknami. Drugie mieszkanie wygląda bardziej przytulnie: drewniane podłogi, wysokie sufity, gzymsy. Oba są oddalone o lata świetlne od mojej dziupli przy Avenue E.

– Nie są umeblowane – uprzedza. – Ale to chyba żaden problem. Nie wiem, czy to przez to, że David jest taki odprężony i podekscytowany swoim stażem, czy przez urlop, czy dlatego że jestem troszkę pijana – no dobrze, jestem całkiem wstawiona – ale bawimy się naprawdę świetnie. Właściwie to jeden z najfajniejszych wieczorów, jakie spędziliśmy razem. Jedzenie jest niesamowite i opisanie, jak bardzo nam smakuje, zajmuje nam sporo czasu. A później, po otwarciu

drugiej butelki wina, rozmawiamy o naszych znajomych. Jestem zaciekawiona, gdy David mówi, że Oliver się z kimś umawia, ale on nie wie z kim. Zastanawiam się, czy to Harriet. David sądzi też, że Kira lubi ze mną rywalizować.

– Ja także lubię współzawodnictwo, więc dostrzegam tę cechę u innych. No ale Max wydaje się trochę zauroczony Kirą – dodaje David.

– Naprawdę? – Z trudem przełykam ravioli.

– A właśnie, wiedziałaś, że Max jest teraz w Nowym Jorku? – pyta.

Niemal wypuszczam z ręki widelec, ale na szczęście udaje mi się to ukryć.

– Tak? Nie wiedziałam.

– Przyleciał w związku z pracą. Może moglibyśmy się z nim spotkać jakoś jutro wieczorem.

Odruchowo przytakuję. Ogarnia mnie panika. Max jest w Nowym Jorku! Dlaczego musiał się tu zjawiać? Właśnie w momencie, gdy postanowiłam przestać o nim bez przerwy myśleć. A teraz David planuje z nim spotkanie. Wyciągam rękę i dotykam jego dłoni.

– A może spędzimy ten czas tylko we dwoje? – proponuję, wkładając wysiłek w to, by sprawić wrażenie uwodzicielskiej, a nie przerażonej.

Odczuwam ulgę, gdy David od razu się ze mną zgadza. Zmieniamy temat rozmowy: nasze rodziny, Dublin, czego z Londynu będzie mu brakować tutaj, nasze poprzednie wizyty w Nowym Jorku. David pracował wtedy w lodziarni Friendly's Ice Cream w Nantucket i mieszkał w czteropokojowym domu z dziewiętnastoma innymi chłopakami i jeden z nich wyszedł z budynku w środku nocy, zabierając ze sobą rolki Davida i jego czterysta dolarów. Matka Davida uznała, że miarka się przebrała, i kazała mu znaleźć sobie mieszkanie z maksymalnie trzema współlokatorami.

– Powiedziała: „Wiem, że Irlandczycy mieszkają jak świnie, gdy wyjeżdżają za granicę, ale ty nie będziesz jednym z nich”. – Śmiejemy się obydwój, ja tak bardzo, że muszę otrzeć łzy. Nie przypuszczałam, że jego matka potrafi być tak ostrą babką. To moja mama mogłaby powiedzieć coś w tym stylu.

– Miło porozmawiać z kimś, kto pracował w wakacje w Stanach – mówi David i uśmiecha się do mnie. Kiwam głową. Bez względu na

dzielące nas różnice, pochodzimy z tego samego miasta, a to wiele znaczy. Moje myśli – dzięki Bogu – przestały na chwilę krążyć wokół Maksa. Wypijam kolejny łyk wina, żeby wzmocnić to zjawisko.

– Czy mają państwo ochotę na deser? – pyta kelner.

Tak naprawdę nie chcę deseru, ale David zamawia go dla siebie i nalega, bym ja też to zrobiła.

– Możesz tylko spróbować – mówi.

Decyduje się na bezę z bitą śmietaną, wanilią i passiflorą, a ja wybieram dacquoise z mleczną czekoladą i lodami z solonym karmelem – to chyba, dosłownie, ulubiony smak miesiąca.

– Zamówienie deseru jest nie w twoim stylu – droczę się.

– No cóż, może to wyjątkowa okazja. Choć wychowałem się z dala od waniliowych bez – żartuje i oboje wybuchamy śmiechem.

Przez chwilę przyglądam się pięknej sali, eleganckim gościom i naszym w połowie pełnym kieliszkom doskonałego wina. Czasami nadal muszę się uszczyplić, by się upewnić, że to nie sen. Mogę zapomnieć o swoich wątpliwościach i porażkach: wróciłam, by inaczej zachować się wobec Davida, i udało mi się. Jestem tutaj z nim.

Ojej. Ja też wychowałam się z dala od bez i dacquoise, ale te wyglądają nieziemsko apetycznie. Jeśli jedzenie w Nowym Jorku jest tak pyszne, będę musiała zapisać się na jakieś ostre zajęcia: fitness albo jogę.

– Do dacquoise dodajemy coś specjalnego. Smacznego – mówi kelner i odchodzi.

Coś specjalnego? Spoglądam na mój pyszny deser czekoladowy – niewielki, ale wyjątkowy, z niedużą porcją złotych lodów o smaku solonego karmelu. A po lewej stronie widzę talerzyk z małym niebieskim pudełkiem z aksamitu.

Podnoszę wzrok. David uważnie mi się przygląda. Nie tylko on: ludzie przy stoliku obok zauważyli pudełko i uśmiechają się do siebie.

– Zoe – David i bierze mnie za rękę. Spoglądam na niego, oszołomiona. Dosłownie mnie zamurowało.

– Wiesz, że cię kocham. – Przełyka ślinę, a serce na moment przestaje mi bić. David nigdy wcześniej mi tego nie powiedział. – Chcę, żebyś przyjechała ze mną do Ameryki jako moja narzeczona albo, jeszcze lepiej, moja żona. – Widzi, że nie jestem w stanie się ruszyć, więc sięga w moją stronę i otwiera pudełko, w którym leży

platynowy pierścionek z ogromnym diamentem o brylantowym szlifie. Natychmiast rozpoznaję, że to klasyczny pierścionek od Tiffany'ego. To banalne, ale zapiera mi dech w piersi.

– Wyjdiesz za mnie? – pyta cichym głosem.

– Nie wiem, co powiedzieć – jąkam się. To idiotyczna odpowiedź, ale najlepsza, na jaką mnie stać. Chciałabym móc myśleć bardziej trzeźwo. Żałuję, że wypiliśmy te dwa cosmopolitany, szampana i prawie całą butelkę wina.

– Powiedz tak – podpowiada mi proszącym tonem, uśmiechając się. Rozmowy wokół nas ucichły i wiem, że ludzie patrzą na nas i czekają. Diament odbija światło i hipnotyzuje mnie swoimi promieniami.

– Tak – szepczę.

David uśmiecha się triumfalnie i pochyla, by mnie pocałować. Odwzajemniam pocałunek, choć nie do końca wierzę w to, co się tu przed chwilą stało. Słyszę brawa dobiegające od sąsiednich stolików, a kwartet smyczkowy gra *Here comes the bride*. Prawą ręką chwytam krawędź stolika, a David bierze moją lewą dłoń i łagodnym ruchem wsuwa pierścionek na palec. Klejnot błyszczy w blasku świec. Jestem w euforii, jestem pijana, skonsternowana, przerażona, zmęczona po podróży i zaręczona.

Rozdział 37

Budzi mnie pulsowanie w głowie. Wydaję z siebie cichy jęk i sięgam w kierunku szafki nocnej, mając nadzieję, że jakimś cudem stoi tam szklanka z wodą. Ale tak nie jest. Jęczę raz jeszcze, pocieram oczy i czuję, że coś drapie mnie po twarzy.

Och. To mój pierścionek zaręczynowy.

Nie chodzi o to, że nie pamiętam, co się stało wczoraj wieczorem. O niczym nie zapomniałam. Byłam na kolacji z Davidem, wypiliśmy kilka kieliszków szampana, a teraz jesteśmy zaręczeni. Czuję się, jakbym stała na ruchomych schodach, poruszających się z szaloną prędkością i prowadzących mnie gdzieś, gdzie nigdy nie spodziewałam się znaleźć. „Ale jest dobrze – powtarzam sobie. – Jest wspaniale!”.

Na poduszce obok mnie widzę liścik. „Poszedłem na spacer. Zaraz będę – D x”.

Nalewam sobie szklankę wody z minibarku i szybko wypijam ją do dna, po czym udaję się do łazienki. Mój makijaż jest rozmazany i to wcale nie w seksowny sposób, a natapirowane włosy przypominają ptasie gniazdo. Boże, naprawdę mam nadzieję, że David nie widział mnie w tym stanie.

Siadam na sedesie i wpatruję się w swój pierścionek zaręczynowy, obracam go, by zobaczyć, jak zmienia się jego blask w zależności od światła. Jest ogromny i wygląda imponująco. Daje mi pewność. Miałam różne wątpliwości, co nie jest niczym dziwnym, a wzmianka o... kimś, kto przebywa aktualnie w Nowym Jorku, wywołała atak paniki. Ale oświadczyzny Davida stanowiły znak. Były też takie romantyczne. Wspaniale będzie o nich opowiadać. A pierścionek jest po prostu niesamowity. Nie mogę się na niego napatrzeć.

– Zoe! Jesteś tam? – to David! Zamykam drzwi łazienki i zaczynam rozczesywać włosy, wykrzywiając się z bólu, gdy szczotka zaplątuje się w natapirowany kołtun.

– Momencik.

– Podano śniadanie! – krzyczy.

Zdejmuję pierścionek, wskakuję pod prysznic i myję włosy. Później pozbywam się oczu pandy, wklepuję trochę kremu

koloryzującego i różu, szczotkuję zęby i język i zakładam puszysty hotelowy szlafrok. Mam nadzieję, że wyglądam uroczo i stylowo, a nie jak kura domowa. Ostrożnie wsuwam pierścionek na palec, zadowolona, że nie zgubiłam go w ciągu ostatnich dziesięciu minut, i wychodzę z łazienki.

David wygląda stylowo: ma na sobie granatowy kaszmirowy sweter z wycięciem w serek, białą koszulkę i džinsy. Nalewa kawę ze srebrnego dzbanuszka do dwóch filiżanek. W małym koszyczku ułożono ciastka i owoce, a srebrny pojemnik zawiera pączki i gofry.

– Dzień dobry – David podnosi wzrok i uśmiecha się. – Dobrze spałaś? Poszedłem kupić gazetę – wskazuje na „New York Timesa” leżącego na stoliku. – I pomyślałem sobie, że będziemy musieli przygotować oświadczenie.

Dolewam sobie i jemu kawy.

– Ekhm, jakie oświadczenie?

– W „Irish Times” – mówi, siadając i przełamując na pół rogalika. – Nie chcesz?

– Ach tak, oczywiście! – Staram się zapanować nad przytłumieniem paniki. – Ale nie możemy najpierw normalnie powiedzieć o tym bliskim? Będę musiała zadzwonić do rodziców. – Rozglądam się nerwowo dokoła, jakby za kanapą miał się czaić fotoreporter.

– Oczywiście – odpowiada uspokajająco David. – Choć już o tym wiedz.

– Co? Jakim cudem?

– Zadzwoniłem do twojego ojca, by poprosić go o zgodę.

– Aha! Rozumiem. Wow. Co... co on na to?

– Powiedział, że musi zapytać mamę. – Choć jestem bardzo zestresowana, nie mogę się nie uśmiechnąć: to takie typowe dla taty. – A ona wydawała się całkiem zadowolona – uśmiecha się, a ja przez krótką chwilę zastanawiam się, czy on jest zadowolony z siebie? Później jednak strofuję się za tę myśl.

– Ale i tak możemy do nich zadzwonić. W Dublinie jest pora lunchu.

Gdy czekamy na połączenie, myślę o tym, jak bardzo surrealistyczna jest ta sytuacja. Nadal nie jestem całkiem pewna, czy już się obudziłam. Robi się jeszcze dziwniej, gdy mama odbiera telefon i wybucha płaczem.

– Przepraszam, nawet nie wiem, dlaczego płaczę – mówi zawstydzona. – Ale tak bardzo cieszymy się twoim szczęściem, kochanie. To cudowne, cudowne wieści. Daję ci ojca.

Tato jest bardziej oszczędny w słowach, ale też sprawia wrażenie bardzo zadowolonego. Mama odbiera mu telefon i pyta o pierścionek.

– Jak wygląda? Jest ładny?

– Och... jest cudowny. Ogromny.

– To tylko dwa karaty – rzuca skromnie David.

– Czy chciałabyś, żebym zadzwoniła do ojca O’Sullivana i zapytała go o kościół Blackrock? Lato przyszłego roku to dobry termin, nie sądzisz? Moglibyśmy urządzić przyjęcie w klubie nadmorskim, tam gdzie miała wesele twoja kuzynka...

Czuję się otumaniona. Ledwo co się zaręczyliśmy, a mama już dzwoni do księdza. Odpowiadam, że się zgadzam, bo nie wiem, jak mogłabym jej odmówić. Wypytują mnie o to, jak David się oświadczył, a później chcą z nim rozmawiać, są serdeczni, witają go w rodzinie i mają nadzieję, że będziemy bardzo szczęśliwi. Mama zaczyna dopytywać się o to, kiedy możemy ich odwiedzić, ale tato przypomina jej, że to zagraniczne połączenie, i w końcu się rozłączamy, obiecawszy uprzednio, że wkrótce wrócimy do rozmowy.

– A teraz zadzwonimy do moich rodziców – proponuje David, spoglądając na zegarek.

– Sądzisz, że będą zadowoleni?

– Oczywiście – David uśmiecha się do mnie, wybierając numer, ale ja jestem bardzo zdenerwowana. – Cześć, to ja... jest tam tato? Mam dla was wiadomość. Zaręczyliśmy się z Zoe! – Cisza. – Nie, nie Chloe. Zoe. Poznaliście ją w Connaught... tak, właśnie wtedy. – Jeszcze dłuższa cisza. Uśmiech Davida staje się trochę bardziej wymuszony, gdy opowiada krótko o szczegółach. – Wczoraj wieczorem. W restauracji. Uhm, nie jestem pewien. Zakładam, że najwcześniej jak to możliwe. Tak, w porządku. Okej.

– No i? – pytam słabym głosem, gdy się rozłącza.

– Są zadowoleni – odpowiada zdecydowanym tonem. – Kazali ci pogratulować. Mama chciała szybko skończyć rozmowę, żeby zadzwonić do Lough Rynn Castle i sprawdzić wolne terminy.

– O Boże. Naprawdę?

– Mają rezerwacje kilka lat naprzód.

– Ale... nie wolałbyś wziąć ślubu w Dublinie.
Wzrusza ramionami.
– Przypuszczam, że moglibyśmy urządzić wesele w Shelbourne, o ile wystarczy miejsca. Ale będziemy musieli zaprosić przynajmniej dwieście, może trzysta osób.
Postanawiam zabrać głos.
– To wspaniałe miejsca, ale nie wiem... zawsze podobał mi się pomysł ślubu na plaży.
David wpatruje się we mnie.
– Na plaży? Ludzie nie biorą ślubów na plaży. – Widząc, że jestem wstrząśnięta, pochyla się i całuje mnie. – Ale na pewno moglibyśmy spędzić miesiąc miodowy w takim miejscu. Może Musique? Albo Malediwy?
To się dzieje stanowczo zbyt szybko. Nie znoszę gigantycznych wesel. Zawsze chciałam zaprosić tylko najlepszych przyjaciół i najbliższą rodzinę. I już stresuję się na myśl o tym, że nasze matki będą się kłócić o to, gdzie urządzimy przyjęcie. Ale później nakazuję sobie nie być tak niewdzięczną. Wesele w Lough Rynn Castle albo w Royal St. George Yach Club, w zależności od tego, czyja mama wygra, i miesiąc miodowy na Malediwach: któż by tego nie pragnął?

•

Szybko się ubieram: wełniana sukienka vintage z paskiem wydaje się odpowiednia dla narzeczonej, do tego kozaki na płaskim obcasie. Wychodzimy z Davidem z hotelu, by spędzić romantyczny dzień na Manhattanie. Przez chwilę jestem zaniepokojona, że możemy się natknąć na kogoś, kogo wolałabym nie spotkać, ale potem wybijam sobie tę myśl z głowy. Na Manhattanie mieszka sześć milionów ludzi – a może więcej? Nie natkniemy się na nikogo znajomego.

– Tak więc – mówi David, gdy wychodzimy na dwór – pomyślałem sobie, że moglibyśmy się przejechać dorożką wokół Central Parku, a później pójść na lunch do Boathouse i może udać się do Tiffany’ego?

– Cudownie... ale po co do Tiffany’ego?
– No cóż – David uśmiecha się do mnie – może przyda ci się bransoletka pasująca do tego pierścionka?
– Davidzie, to wariactwo. Niczego więcej mi nie trzeba... – Ale

to pocieszające, że jest gotów tyle dla mnie zrobić.

Jest piękny jesienny dzień, a cały ranek przypomina trochę sen. Najpierw jazda dorożką, która z początku wydaje się obciachowym pomysłem, ale później okazuje się naprawdę fajna. Powożący domyśla się, że niedawno się zaręczyliśmy – być może dzięki temu, że cały czas gapię się na swój pierścionek – i robi jeszcze jedno kółko wokół parku, po czym wysadza nas przy Boathouse, gdzie zajmujemy miejsca z widokiem na staw, zajadamy się przepysznym kiszem i popijamy białe wino.

– Myślałem, żeby oświadczyć ci się tutaj – przyznaje się David. – Ale nie mogłem się doczekać.

Za każdym razem, gdy mówi coś tak romantycznego, czuję się pewniej, choć równocześnie jest mi trudniej to zakończyć. „Nie, żebym tego chciała”, mówię szybko do samej siebie. To cudowne, mam ogromne szczęście. Rodzice szaleją z radości – to z pewnością znak, że postępuję właściwie! A później coś zaczyna mnie nurtować.

– Davidzie, a skąd miałeś numer do moich rodziców.

– Od Maksa. Oczywiście mogłem zadzwonić na informację w Dublinie, ale pomyślałem, że pewnie w Blackrock jest całkiem sporo Kennedych.

– Czyli Max wie, że zamierzałeś się oświadczyć.

– Tak, powiedziałem mu – mówi David wesołym tonem.

Nic nie odpowiadam, ale teraz nie mogę przestać myśleć o Maksie. Zastanawiam się, co sobie pomyślał, gdy David poinformował go o oświadczeniach. Czy choć odrobinę żałował? No cóż, pewnie nie. Jest teraz z Kirą, a ja muszę go sobie wybić z głowy.

Później idziemy na drinka do Oak Room w Plazie – David zamawia szampana, choć wołałabym gin z tonikiem. Ale gdy zaczynamy przechadzać się Piątą Aleją w kierunku Tiffany’ego, czuję się coraz bardziej niekomfortowo.

– Davidzie, naprawdę nie musimy niczego więcej kupować – mówię. – Dostałam już od ciebie ten piękny pierścionek.

– Nalegam. Prezent zaręczynowy. Jakiś drobiazg.

Spoglądam na swoje odbicie w witrynach i zastanawiam się, czy z pierścionkiem na palcu wyglądam inaczej – nie mogę przestać się na niego gapić. Ale zaczynam mieć też lekką paranoję, że ktoś mnie napadnie i go ukradnie. Bazując na swoim krótkim doświadczeniu na

stoisku z biżuterią w Marley's, jestem prawie pewna, że jego cena może być pięciocyfrowa. Co jest tak naprawdę raczej nieprzyzwoite... Potem jednak znów każę sobie przestać być tak nieromantyczną i niewdzięczną.

Podchodzimy już do Tiffany'ego, gdy dzwoni telefon Davida.

– To mój profesor, muszę z nim porozmawiać i może mi to zająć chwilę. Możemy się spotkać w środku za jakieś dziesięć minut? Pod zegarem.

– Oczywiście.

Wchodzę do eleganckiego budynku z różowo-beżowego piaskowca na rogu Pięćdziesiątej Siódmej i Piątej Alei i dołączam do tłumu gapiącego się na witryny. Widzę naprawdę wymyślną wystawę żółtych diamentów: naszyjników, bransoletek, pierścionków koktajlowych i zaręczynowych, sprytnie umieszczonych na miniaturowych uliczkach Nowego Jorku. Jeden z pierścionków zwisa z latarni, naszyjnik zawieszono na bramie Central Parku, a bransoletkę ułożono na łuku w Greenwich.

Przypominam sobie, jak wpatrywałam się w witrynę Marley's w grudniu ubiegłego roku, to znaczy tego roku, i chciałam odzyskać Davida. Gdybym teraz sobie czegoś życzyła, co by to było.

Chwilę później zapiera mi dech w piersi, bo za mną staje Max i widzę jego odbicie w szybie. Ma czerwony szalik i uśmiecha się do mnie. Co on tutaj robi? Szybko obracam się, ale zniknął. Desperacko rozglądam się dokoła, lecz nigdzie go nie ma. Nawet nie dostrzegam nikogo, kto byłby do niego podobny. Musiałam to sobie wyobrazić. Ogarnia mnie rozpacz.

– Zoe? – słyszę kogoś stojącego za mną.

Odwracam się i moja nadzieja umiera, gdy uświadamiam sobie, że to David.

– Przepraszam – mówi. – Chciał mi zadać parę pytań. Wejdziemy do środka.

Gdy patrzę na błyszczące drzwi, wszystko staje się jasne. Nie chcę stamtąd niczego, za wyjątkiem osoby, którą dostrzegłam wcześniej w odbiciu. A jeśli wejdę do środka i pozwolę, by David kupił mi kolejny drogi prezent, nie będę mogła już dłużej tak żyć. Nie kocham go. Sądzę, że jestem zakochana w Maksie.

– Nie – odchrząkuję. – Jestem... jestem naprawdę zmęczona,

Davidzie. Przepraszam. Czy możemy wrócić do hotelu.

– Oczywiście – zgadza się, jak zawsze zachowując się jak dżentelmen. – W każdym razie – dodaje, gdy odwracamy się i zaczynamy przepychać przez tłum – w Londynie też jest Tiffany.

•

W drodze powrotnej do domu David omawia zalety różnych zamków i wielkich posiadłości, w których moglibyśmy urządzić przyjęcie weselne, mówi o tym, kto będzie jego drużbą (Oliver) i jak wpasować ślub oraz miesiąc miodowy w jego staż – uznaje, że im szybciej, tym lepiej, żebyśmy mogła załatwić sobie wizę. Ma też mnóstwo pomysłów na to, gdzie urządzić przyjęcie zaręczynowe, które będziemy musieli zorganizować szybko, przed naszym wyjazdem z Londynu. Właściwie to uważa, że fajnie byłoby w tajemnicy przygotować imprezę pożegnalną i w ramach niespodzianki poinformować gości o zaręczynach.

Nigdy bym nie pomyślała, że kwestia zaręczyn będzie dla niego tak ważna: jest jak pan młody z piekła rodem. Mam przez to jeszcze większe poczucie winy, ponieważ szykuję się do tego, by w najlepszy możliwy sposób z nim zerwać, gdy tylko znajdziemy się w zaciszu naszego pokoju.

Ale kiedy wchodzimy do hotelu, wszystkie moje przygotowane przemowy zostają zapomniane, bo w holu siedzi Max. Wygląda całkiem nie na miejscu, nie ma czerwonego szalika i zapisuje coś na kawałku papieru, który opiera o udo.

– Hej! – woła David, kierując się w jego stronę – Kogo my tu mamy.

Max wstaje, wpychając liścik do kieszeni, i podaje Davidowi rękę. Szybko wkładam swoją lewą dłoń do kieszeni płaszcza i wykonuję niezręczne machnięcie. Serce mi wali, a kolana się uginają. Nie wiem, gdzie podziąć wzrok ani jak się zachować.

– Cześć – wita się gwałtownie. – Byłem w okolicy i pomyślałem, że wpadnę się przywitać.

– Masz świetne wyczucie czasu – stwierdza David. – Mamy dobre wieści.

– Tak? – pyta Max, a jego uśmiech nieco blednie.

– Zaręczyliśmy się.

Max uśmiecha się, kiwa głową i mówi wszystko to, co w takiej sytuacji należy powiedzieć, ale w jego oczach nie widać uśmiechu, a jego ramiona się zapadają.

– Gratuluję wam obojgu – kwituje, kiwając głową. – To wspaniałe wieści.

– Pokaż Maksowi pierścioneł, Zoe – zwraca się do mnie David. Niechętnie wyjmuję rękę z kieszeni i wyciągam ją w stronę Maksa.

– Piękny – przyznaje Max, odchrząkuje i wygląda na jeszcze bardziej zrozpaczonego. Cierpię: chciałabym powiedzieć mu prawdę, że mam zamiar zerwać z Davidem. Ale nie mogę tego zrobić Davidowi.

Skoro jednak Max jest zasmucony... musi to oznaczać, że nadal coś do mnie czuje. Ale jak mam mu przekazać, co tu się naprawdę dzieje, zanim będzie za późno.

– Może umówimy się wieczorem na drinka? – proponuje David. – Mamy już zaplanowaną kolację, ale moglibyśmy spotkać się wcześniej. Gdzie się zatrzymałeś.

– W centrum. Nie... teraz sobie przypomniałem, że mam już coś w planach. Powinniście świętować we dwoje. Chciałem się tylko przywitać. – Zaczyna zbierać się do wyjścia.

David sprawia wrażenie zaskoczonego, ale pyta.

– A może jutro? Zadzwonimy do ciebie.

– Nie, nie mam włączonego roamingu. Ale spotkamy się w Londynie.

– Jeśli tak wolisz. Do zobaczenia – David raz jeszcze podaje mi rękę, po czym odwraca się, by przywołać windę.

Desperacko pragnę powiedzieć coś Maksowi. Albo chociaż pokazać mu, by zaczekał. Ale on już się odwraca, a zaraz po tym David mnie woła. Wsiadam do windy, a kiedy drzwi się zamykają, dostrzegam przerażoną minę Maksa. Jadąc z Davidem na górę, czuję, jak z każdym piętrem Max coraz bardziej się ode mnie oddala.

Rozdział 38

Gdy jesteśmy już w pokoju, David znów zaczyna mówić, tym razem o naszych planach na jutro.

– Poranek spędzę na konferencji, ale pomyślałem, że później, po południu, moglibyśmy pooglądać mieszkania. A dziś wieczorem... dostaliśmy zaproszenie na kolację od mojego profesora. Mieszka w Riverside. Wydaje się, że to rzeczywiście fajne miejsce, z widokiem na rzekę Hudson.

Nigdy wcześniej nie był tak rozmowny, odpływa w świat marzeń.

– To naprawdę... poczekaj Davidzie, muszę ci coś powiedzieć.

– Oczywiście. – Patrzy na mnie z zaskoczeniem.

– Uważam... – Boże, to straszne. – Uważam, że powinniśmy zwolnić.

– Zwolnić? – powtarza David.

Zmuszam się do wypowiedzenia tych słów.

– To znaczy... nie... przepraszam. Ale nie mogę wyjść za ciebie

– Uff. Wydusiłam to z siebie.

David marszczy brwi i milknie na dłuższą chwilę. Po czym pyta.

– Ale skąd się to wszystko wzięło.

– Ja po prostu... przepraszam, ale miałam wątpliwości i wiem, że nie powinnam się była zgodzić, lecz to wszystko zdarzyło się tak szybko... Nie chodzi jednak o ciebie, jesteś cudowny. To tylko moja wina. Uważam, że do siebie nie pasujemy.

Odpowiedź Davida zaskakuje mnie.

– Wydaje mi się, że się przestraszyłaś – mówi.

Teraz ja się w niego wpatruję, a on kontynuuje.

– Tak, to całkiem normalne. Wiem, że wszystko wydarzyło się tak szybko. I ta przeprowadzka do Stanów i tak dalej. Ale to... – Kręci głową i dodaje: – Słuchaj, może wyjdziemy dziś wieczorem, zjemy kolację, a później porozmawiamy o całej tej sprawie.

Mogłam się domyślić, że posłuży się kolacją. Biorę głęboki oddech i próbuję podejść do sprawy inaczej.

– Davidzie, dlaczego chcesz się ze mną ożenić.

– Dlaczego chcę się z tobą ożenić? – powtarza zdziwiony. – No cóż, jesteś cudowna, słodka i czarująca. Czemu miałbym nie chcieć się z tobą ożenić.

Nic nie rozumie. Czuję, że jestem mu winna wyjaśnienia.

– Ale mam też mnóstwo innych cech. Łatwo się stresuję i irytuję, bywam zmęczona i marudna. I nie zawsze wyglądam idealnie. Zdarza mi się być zazdrosną o Jenny. I uważam, że trudno jest żyć przy twoich godzinach pracy... nie jestem... nie jestem tak idealna, jak ci się wydaje.

Przez chwilę zastanawiam się, czy może powie, że nie muszę być idealna, że kocha mnie taką, jaka jestem. Ale on skupia się na czymś innym.

– Uważasz, że trudno jest żyć przy moich godzinach pracy? Ale cały czas byłaś taka wyrozumiała... Nigdy nie narzekałaś, gdy musiałem pracować, zawsze byłaś wesoła... wydawało mi się, że nie masz nic przeciwko.

Boże, to straszne. Powinnam była mu powiedzieć, że go nie Kocham – byłoby łatwiej.

– Czy jest coś jeszcze? – pyta. Patrzą na niego, ale na jego twarzy nie widać nawet cienia podejrzeń. Nie zna mnie wystarczająco dobrze, by choć przez sekundę podejrzewać, że mogę żywić jakieś uczucia do innego mężczyzny, a zwłaszcza do Maksa. Czuję się jak tchórz i kręcę głową.

– Lepiej będzie, jak sobie pójde – mówię cicho. – Znajdę sobie inny hotel na dziś i przebukuję lot. Wybacz mi, Davidzie.

David wygląda przez okno. Nic nie mówi. Widzę, że rozmyśla, ocenia sytuację, a ja przypominam sobie o czymś, co powiedział na jednej z naszych pierwszych randek, o tym, jak przez lata uczono go podejmowania decyzji w ułamku sekundy: czy ciąć, czy nie, kiedy starać się reanimować pacjentów, a kiedy pozwolić im odejść. Gdy znów na mnie spogląda, widzę, że podjął już decyzję.

– No cóż, jeśli tak właśnie czujesz, zakładam, że nie musimy nic więcej mówić.

Otwiera szafę i wyjmuję z niej skórzaną torbę listonoszkę, zabiera klucz do pokoju. Odwraca się w moją stronę.

– Czy mam ci pomóc w znalezieniu noclegu i powrocie do domu? – pyta oficjalnym tonem, nie patrząc mi w oczy.

– Nie, dziękuję – szepczę.

– W takim razie pójde się przejść, a ty załatw swoje sprawy.

Żegnaj, Zoe.

– Żegnaj, Davidzie.

Czuję się okropnie, ale jednocześnie lekko: kamień spadł mi z serca. Wstaję i zastanawiam się, czy powinniśmy pocałować się w policzki, choć to nie najlepszy moment na padanie sobie w objęcia. Ale David klepie się po kieszeniach, wychodzi z pokoju i znika.

Gdy tylko zamyka za sobą drzwi, ciężko opadam na kanapę. Trzęsą mi się kolana, cała dygoczę. Nie mogę uwierzyć, że wszystko potoczyło się tak szybko. Dłuższą rozmowę odbyłam z konsultantem, gdy postanowiłam zmienić operatora. Tak naprawdę to sieć komórkowa dłużej o mnie walczyła niż mój narzeczonny.

Nadal nie mogę uwierzyć, że byłam zaręczona z Davidem, a tym bardziej w to, że zerwaliśmy. To takie smutne. Czuję, jakbyśmy w trakcie naszej ostatniej rozmowy powiedzieli sobie więcej niż w czasie całego naszego związku. Ale żadna wymiana słów nie rozwiązałaby naszych problemów. Mogłabym być szczęśliwa z Davidem przez całe życie – pod warunkiem że zgadzałabym się na wszystko, co powiedział, i nigdy nie pokazałabym mu, kim tak naprawdę jestem.

Oddycham z ulgą i żalem, ściągam z palca pierścioneł i dzwonię do recepcji, by powiedzieć, że muszę przechować coś w sejfie dla Davida Fitzgeralda z pokoju dwieście dwadzieścia trzy.

•

Pakuję swoje rzeczy i po krótkiej rozmowie z miłą dziewczyną z recepcji idę do metra i jadę pociągiem do śródmieścia, do innego hotelu. Najtańszą opcją, a właściwie najmniej drogą, jest wylot pojutrze, postanawiam więc dać sobie dzień w Nowym Jorku na dojście do siebie. Przez chwilę rozważam powrót do moich rodziców, ale nie jestem jeszcze gotowa na przekazanie im wieści o Davidzie. A poza tym, muszę się spotkać z Makssem tak szybko, jak to tylko możliwe. Nadal jest w Nowym Jorku: chcę go odnaleźć i wszystko mu wytłumaczyć, zanim wróci do Kiry. Nie wiem nawet, czy coś do mnie czuje. Ale muszę się tego dowiedzieć.

Niestety, odnalezienie go jest trudniejsze, niż mi się początkowo wydawało. Dzwonię do niego, ale nie ma sygnału i wtedy przypominam sobie, że nie włączył roamingu. Kiedy decyduję się wysłać do niego maila, uświadamiam sobie, że nigdy do siebie nie pisaliśmy i nie znam jego adresu. Wchodzę na Facebooka, moją

ostatnią deskę ratunku, ale wiem, że rzadko tam zagląda, poza tym nie chcę się do niego odzywać przez pieprzonego Facebooka.

Jestem sfrustrowana, ale wydaje mi się, że trzeba poczekać do powrotu do Londynu, gdzie będę musiała coś zrobić z tym koszmarem, w jaki zmieniłam swoje życie. Ale zanim to uczynię, mam jeden dzień w Nowym Jorku na przeorganizowanie sił. Postanawiam rozpocząć go od wizyty w miejscu, które sprawia, że wszystko staje się lepsze, i zrobienia czegoś, o czym zawsze marzyłam.

Rozdział 39

Jest ósma piętnaście rano. Stoję przed witryną Tiffany'ego, z kawą i bajgłem w ręce – nie wiedziałam, gdzie sprzedają croissantsy. Nie mam na sobie sukni balowej ani pereł, rzecz jasna, ale i tak czuję się trochę jak Audrey, ubrana w trencz, džinsy i balerinki.

– Przepraszam – mówi ktoś uprzejmym głosem. – Czy mogłaby pani zrobić mi zdjęcie.

Przede mną stoi drobna Japonka ubrana jak Audrey Hepburn: ma nawet potrójny sznur pereł, długie czarne rękawiczki i okulary przeciwsłoneczne. W ręce trzyma croissanty. Zastanawiam się, gdzie udało się jej go znaleźć.

– O, wow, oczywiście. Wyglądasz wspaniale – komplementuję ją zza obiektywu i naciskam guzik.

Oddaję jej aparat, a ona dziękuje mi i sprawia wrażenie bardzo zadowolonej z siebie. A ja, wprost przeciwnie, jestem smutna. Spoglądam na zegarek – ósma trzydzieści – i wreszcie przyznaję przed samą sobą, dlaczego tu jestem. Miałam nadzieję, że Max zapamiętał, że zawsze chciałam odwiedzić to miejsce wcześniej rano. Opowiadałam mu o tym, gdy wracaliśmy samochodem z Devon. I wyobraziłam sobie, że zjawi się tutaj, by zrobić mi romantyczną niespodziankę.

Ale tak się nie dzieje. I dlaczego, do licha, miałby tutaj przyjść, skoro sądzi, że jestem zaręczona z Davidem? Pewnie nadal jest z Kirą – być może przyjechała z nim do Nowego Jorku. Na pewno przywidziało mi się wczoraj, gdy go tu zauważyłam, i nie ma możliwości, by jakimś cudem pokazał się akurat w tym punkcie miasta dziś rano. Ruszam w kierunku Saksa, by zająć się poranną terapią zakupową.

Oczywiście, gdy tylko wchodzę do Saksa, przypominam sobie, że wydałam już za dużo pieniędzy, a aktualnie jestem spłukana i bezrobotna. Decyduję się więc na darmowy makijaż w Sephorze, a później, pod wpływem impulsu, idę w stronę zatoki, by popatrzeć na Statuę Wolności.

Przez cały czas popadam w coraz większą rozpacz. Skrzywdziłam i upokorzyłam Davida. Muszę przekazać smutne wieści rodzicom, którzy będą zdziwieni i rozczarowani. No i Max – ale o nim nie jestem w stanie myśleć. Kupuję hot doga i postanawiam zasięgnąć opinii kogoś z zewnątrz, zanim całkowicie postradam zmysły. Dzwonię

do Rachel i spuszcza kilka bomb, jedna po drugiej: oświadczyny Davida, moja zgoda, zmiana zdania.

– Nie wiedziałam, że przegapiłam tyle odcinków – mówi zaskoczona.

– Wiem, pewnie myślisz, że oszalałam, zrywając z Davidem...

– Nie, wcale tak nie uważam – oznajmia poważnie. – To zabawne, ale po twojej kolacji urodzinowej myślałam, że nie byłas wtedy tak naprawdę sobą. Sprawiałaś wrażenie jakby oficjalnej Zoe, nawet w towarzystwie Davida. Zwłaszcza w jego towarzystwie. Wydajesz się o wiele bardziej wyluzowana, gdy przebywasz z Makssem. Powinnaś spróbować.

– Myślę, że jest już za późno. Chyba jest szczęśliwy z Kirą, a nawet jeśli się dowie, że rozstałam się z Davidem... nie wyobrażam sobie, żeby chciał być moim wyjściem awaryjnym, rozumiesz? – Postanawiam zmienić temat, zanim wpadnę w jeszcze większą depresję, więc pytam: – A co u ciebie? Kolejne tajemnicze randki.

– Tajemnicze randki? A, masz na myśli Olivera.

– Cooooo? Rachel! Opowiadaj.

Wygląda na to, że w moje urodziny Harriet wróciła do domu, a Rachel, Oliver, Kira i Max poszli do Notting Hill Arts Club. Rachel wypięła z Oliverem parę drinków i wdali się w okropną kłótnię w związku z polityką, po czym, ni stąd, ni zowąd, zaczęli się całować.

– Połączyła nas niesamowita chemia – mówi. – Od tamtej pory spotkaliśmy się trzy razy i naprawdę go polubiłam; tak, wiem, Zoe, mówiłaś o tym.

– Jestem podekscytowana. Nie tylko dlatego, że ci o tym wspominałam – wdycham, szczęśliwa, że pośród tylu nieszczęść przynajmniej moje swatanie się udało.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę. Zapada już zmrok, a ja nie jestem pewna, co powinnam zrobić w swój ostatni wieczór, który spędzam sama w Nowym Jorku. Postanawiam pójść do kina Angelica i sprawdzić, jakie filmy teraz pokazują.

Wsiadam do autobusu jadącego na północ i wpatruję się w ulice pełne ludzi idących we wszystkich kierunkach. Zastanawiam się, czy jakimś dziwnym zrządzeniem losu uda mi się dostrzec Maksa – zatrzymał się w tej okolicy. Ale później myślę, że strasznie byłoby dowiedzieć się, że przyjechali tu z Kirą na romantyczną wyprawę. Być

może tylko mi się wydawało, że wczoraj był przygnębiony.

Autobus szybko mknie. Mijamy budynek Flatiron, gdy uświadamiam sobie, że całkiem zapomniałam, gdzie dokładnie jest zlokalizowane kino.

– Angelica? – zastanawia się kobieta siedząca obok mnie, gdy ją o to pytam. – Oj, nie. Angelica jest w przeciwnym kierunku. Zupełnie gdzie indziej. Musisz natychmiast wsiąść i wsiąść do autobusu jadącego w drugą stronę. O której godzinie zaczyna się seans.

Pędem wypadam z autobusu, przechodzę na drugą stronę ulicy i próbuję znaleźć autobus jadący we właściwym kierunku. Ale to zadanie trochę ponad moje siły: stopy w balerinkach zaczynają mi marznąć, jestem zmęczona. Przepycham się przez tłum ludzi i uświadamiam sobie, że to kolejka do wejścia do Empire State Building. Pod wpływem impulsu postanawiam wjechać na jego szczyt. Mam nadzieję, że pozwoli mi spojrzeć na świat z szerszej perspektywy. A jeśli nie, zawsze mogę z niego skoczyć.

•

Na szczycie Empire State Building jest oczywiście mnóstwo par, z których większość chyba się przed chwilą zaręczyła. Mijam ich i opieram się o poręcz, by spojrzeć na miasto, którego światła migoczą o zmierzchu, i ogromny prostokąt Central Parku w jego centrum. Owijam się mocniej trenczem, ale i tak się trzęsę. Jest już naprawdę zimno. Cieszę się, że wzięłam rękawiczki. Gdy spoglądam na wszystkie mrugające na horyzoncie światła, z zaskoczeniem czuję w sobie odrobinę nadziei. Może nie udało mi się w Marley's – no dobrze, to był eufemizm – ale istnieją przecież inne prace.

Przez chwilę przechadzam się po tarasie, by w pełni wykorzystać pieniądze wydane na bilet, upajam się widokiem i przyglądam ludziom. Uznaję, że chyba byłam trochę głupia, zakładając, że tylko w domu towarowym mogę zdobyć doświadczenie w handlu. A tak naprawdę potrzebuję praktyki w małym butik. A później.

I wtedy to do mnie dociera. Chcę otworzyć własny butik tylko dlatego, że lubię udzielać porad modowych i stylizować ludzi. I nic mnie od tego nie może powstrzymać! Myślę o Rachel, która zawsze opowiada o kobietach ze swojego biura, które nie mają czasu na zakupy albo nie wiedzą, co do nich pasuje. Mogłabym pomóc im

znaleźć swój styl: zabrać je na zakupy lub zjawić się u nich w domu i przejrzeć ich szafy. Mogłabym to najpierw robić za darmo, a później wprowadzić stałą opłatę albo pracować za prowizję. A potem, gdyby klientki polecały mnie znajomym, urządzałabym co parę miesięcy prywatne wyprzedaże, będące wydarzeniem towarzyskim, z winem i przekąskami, być może nawet w mieszkaniu Rachel, gdyby mi na to pozwoliła. Byłoby idealnie! Idę coraz szybciej, niemal przewracając zwiedzających. Postanawiam wrócić do pokoju i wynotować parę pomysłów.

Zmierzam w kierunku wyjścia, gdy mój wzrok przyciąga postać podziwiająca widoki. Jest ciemno, a mężczyzna stoi jakieś piętnaście metrów ode mnie, ale od razu rozpoznaję Maksa. I wiem, że dziewczyna obok niego to Kira. Widzę jej długą pikowaną kurtkę.

Biegnę w kierunku wyjścia, przepychając się przez tłum, desperacko pragnę uciec stamtąd, zanim mnie dostrzegą. Nie mogę uwierzyć, że wmówiłam sobie, że nie są razem. Jeśli będę musiała stanąć z nimi twarzą w twarz, naprawdę skoczę.

Ktoś z obsługi staje mi na drodze.

– Proszę pani – mówi. – Na tarasie nie wolno biegać.

– Nie biegnę – szepczę z desperacją w głosie. – Muszę stąd uciec. Z zacięciem przechyla głowę.

– Naprawdę? Dlaczego?

W końcu udaje mi się go pozbyć, ale gdy jestem już prawie przy wyjściu, ktoś pyta.

– Zoe?

Zanim jeszcze się odwrócę, wiem, że to on.

Max ma na sobie granatowy dwurzędowy płaszcz i wełnianą czapkę.

– Cześć – mamroczę. Rozglądam się za Kirą, ale jej nie widzę.

Max pochyla głowę.

– Witaj – odzywa się neutralnym tonem. – Co za zbieg okoliczności, że się tu spotykamy.

– Dokładnie – wzruszam ramionami i uśmiecham się na sekundę.

– Posłuchaj, muszę już iść. Nie chcę w niczym przeszkadzać. –

Odwracam się i ruszam przed siebie, ale zanim udaje mi się zrobić dwa kroki, Max łapie mnie za ramiona.

– Przeszkadzać? – mówi ochryplym głosem. – Czekam tu na

ciebie przez cały dzień.

– Co? – pytam zaskoczona. – A co z Kirą.

– Co z nią? Zoe, nie jesteśmy razem. I wiem, że związałaś się z Davidem i nie chcę tego zniszczyć, ale...

Milknie, a ja ściągam rękawiczkę, żeby pokazać mu lewą dłoń, na której nie mam pierścionka, i zaczynam paplać.

– Nie. Nie jestem... nie jesteśmy już zaręczeni. Nie jesteśmy razem. Ale na pewno nie ma tu Kiry? Mogłabym przysiąc, że ją widziałam... albo kogoś w jej kurtce.

Nagle nie muszę już nic mówić. Max całuje mnie i obejmuje. Ma zimne usta, ale to bez wątpienia najgorętszy, najbardziej namiętny pocałunek w moim życiu. Czuję bicie jego serca, jego dłoń przeczesującą moje włosy. Wtapiam się w niego i odwzajemniam ten pocałunek. Max wypuszcza mnie z objęć i przygląda mi się z miną, która wskazuje na pełnię szczęścia.

– Nareszcie – mówi.

•

Włączymy się jeszcze po tarasie, prawie wcale nie oglądając widoków. Dostrzegam kobietę, którą pomyliłam z Kirą. Nosi taką samą kurtkę, ale ma przynajmniej pięćdziesiąt lat, a jej włosy są siwe, a nie w odcieniu platynowy blond. Nie sądzę, żeby Kirę ucieszyło takie porównanie, więc nie mówię nic Maksowi, który przyznaje właśnie, że wcale nie przyjechał tu z powodu pracy.

– Przyleciałem do Nowego Jorku, żeby przeprosić cię za wszystko, co ci powiedziałem.

– W porządku. Ja też cię przepraszam.

– Nie, nie jest w porządku. Kiedy David oznajmił mi, że zamierza ci się oświadczyć, trochę mnie poniosło. Postanowiłem ci powiedzieć, co czuję, żebyś przynajmniej miała tego świadomość. Ale później, gdy zobaczyłem, że już na to za późno, zdecydowałem zostawić cię w spokoju i pozwolić ci cieszyć się swoim szczęściem.

– Ale potem.

– Potem wcale nie byłem pewien, czy naprawdę jesteś szczęśliwa. Uznałem, że trzeba poczekać i się przekonać.

To najbardziej romantyczna rzecz, o jakiej słyszałam. Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego.

– Ale co ty tutaj robisz? To znaczy w tym miejscu? – wskazuję na budynek.

– Nie wiedziałem, gdzie się zatrzymałaś, i nie chciałem do ciebie dzwonić, na wypadek, gdybyś dalej była z Davidem. Ale czytałem ostatnio o teorii gry i... czemu się uśmiechasz.

Potrząsam głową. Uśmiecham się, bo tak bardzo cieszy mnie to, że znów mogę wysłuchiwać jego teorii i ciekawostek.

– Mów dalej.

– Istnieje taka teoria, która mówi, że jeśli dwoje osób chce się spotkać na Manhattanie, a nie mają możliwości, by się z sobą skontaktować, najbardziej prawdopodobnym miejscem na spotkanie jest Empire State Building. Albo Times Square, ale wydawało mi się, że nie lubisz tego miejsca.

– Masz rację, nie znoszę go! Ale to... – robię krok w tył i napawam się widokiem Maksa i świateł Manhattanu w tle. – To cud. O mój Boże! Jesteśmy na Piątej Alei! To cud na Piątej Alei.

Max kręci głową.

– To nie cud, to tylko teoria gry. – Po jego minie widzę jednak, że podziela moje zdanie. – Chcesz wejść do środka? Wyglądasz, jakbyś zmarzła. – Kiwam głową i odwracamy się w kierunku wyjścia. Do momentu, gdy musimy się rozdzielić w drzwiach, nawet nie zauważyłam, że objął mnie ramieniem – to takie naturalne.

– Ej – mówię. – Byłeś może wczoraj u Tiffany'ego? Owinięty czerwonym szalikiem.

– Nie. Mam czerwony szalik, ale nie zabrałem go z sobą... i nawet nie wiem, gdzie jest Tiffany. To dom towarowy.

– Nie, sklep z biżuterią. Mogłabym przysiąc, że o nim rozmawialiśmy. – Do windy ustawiała się ogromna kolejka. Mam zamiar do niej dołączyć, ale Max odsuwa mnie na bok, dociska do ściany i znów mnie całuje – to jeszcze bardziej namiętny pocałunek, który dosłownie zapiera mi dech w piersi. Max też wygląda na trochę oszołomionego.

– Przepraszam, o czym to rozmawialiśmy? – pyta, wciskając przypadkowe guziki, by przywołać następną windę. Poprzednią – albo dwie – przegapiliśmy.

– To bez znaczenia – odpowiadam, wpatrując się w niego.

•

Tani hotel Maksa z pewnością nie odznacza się taką elegancją jak The Surrey. Pokój jest maleńki, bez łazienki, tylko z umywalką, a dobór kolorów kojarzy się z latami osiemdziesiątymi (pomarańczowa narzuta na łóżko i syntetyczny niebieski dywan). Wyraźnie słychać hałas dochodzący z ulicy. Ale nie dbam o to. Jesteśmy w swoim własnym świecie: zaplątani w siebie, kompletnie ubrani (no prawie) i całujemy się tak jak nigdy wcześniej nikogo nie całowałam. Nigdy w życiu.

– Max, nie pójdę z tobą do łóżka – mamrocę pomiędzy pocałunkami. Wydaje mi się, że muszę to powiedzieć, bo przyciska mnie mocno do siebie; jesteśmy sklejeni, jego ręka błądzi wzdłuż mojego ciała, a moja koszula jest już prawie rozpięta.

– Aha. Okej... oczywiście – przerywa, po czym niechętnie pyta: – Ale nigdy.

– Nie! Nie nigdy, tylko nie na naszej pierwszej randce... Co cię tak ubawiło.

– Wybacz, Zoe, ale to... trudno nazwać naszą pierwszą randką. Ale dobrze cię rozumiem. Masz rację. – Kładzie się obok i łapie mnie za rękę, po czym bierze głęboki wdech i głośno wypuszcza powietrze.

– Ale dalej możemy, no wiesz... całować się i w ogóle – mruczę i nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znów mam szesnaście lat.

– Brzmi wspaniale – mówi i uśmiecha się do mnie. Znów wpatruję się w niego i staram się to wszystko ogarnąć. Ten mały pokój i dźwięk syreny na dworze. Jego cudownie potargane włosy na pomarańczowej poduszce, piękne rysy twarzy i rozszerzone źrenice. Dołek w szyi, gdzie czuć puls, pogniecioną koszulkę, która podwinęła się, pokazując włosy na brzuchu; delikatne wzniesienie na dżinsach.

– Może pójdziemy się czegoś napić albo coś zjeść. – Max odchrząkuje, starając się brzmieć swobodnie i normalnie. Siada.

– Nie.

– Co to znaczy „nie”?

Ciągnę go w dół.

– Zmieniłam zdanie.

– Ach tak.

Oboje wybuchamy śmiechem, po czym wchodzę na niego i przygważdżam go do łóżka.

– Jesteś pewna.

Kiwam głową i zaczynam rozpinąć jego dżinsową koszulę. „W końcu – myślę, całując powoli jego tors i słysząc jak cicho jęczy – to nie jest nasza pierwsza randka”. Później już nie myślę, bo jestem zajęta zdejmowaniem z niego tych okropnych ubrań i odkrywaniem każdego centymetra jego cudownego ciała: silnych ramion, płaskiego brzucha, gładkiej skóry. A potem nie możemy już dłużej czekać. Przez chwilę robi się dziwnie, gdy Max szuka prezerwatywy, a ja staram się nie myśleć o tym, kiedy ją kupił ani dlaczego – a następnie o wszystkim zapominam, bo jesteśmy tylko we dwoje. To nowe i ekscytujące uczucie, ale mam też wrażenie, jakbyśmy się znali od dawna i do siebie pasowali. Uprawiamy niesamowity seks – taki, podczas którego człowiekowi jest tak dobrze, że gryzie z rozkoszy poduszkę, a o którego istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

•

Jestem tak szczęśliwa, że nie mogę przestać się uśmiechać.

Leżymy razem na łóżku: ja oparta o jego ramię i klatkę piersiową, z nogami położonymi na jego nogach, on z brodą wspartą o czubek mojej głowy. Przez ostatnie trzy godziny odkleiliśmy się od siebie tylko na moment, by zamówić jedzenie.

Bardzo dużo czasu spędziliśmy, rozmawiając o moim zwolnieniu, o którym oczywiście nic nie wiedział, o tym, jak zakończył znajomość z Kirą i jak nasze uczucia uległy zmianie przez ostatnich parę tygodni. Jeszcze raz przepraszam go za to, że naraziłam jego i Davida na takie przeżycia.

– No cóż, ja również nie pokazałem się od najlepszej strony – przyznaje. – To dziwne, ale nie mam takich wyrzutów sumienia, jakie powinienem mieć. Myślę, że David sobie z tym poradzi.

– Też tak sędzę. I być może będzie teraz z Jenny.

– Tak się zastanawiam... – mówi Max. Wygląda, jakby celowo nie chciał dokończyć. Szturcham go.

– Nie wiem. Pamiętasz jak wtedy, w klubie tenisowym, powiedział, że zawsze nosi ze sobą zapasową rakietę? Z Jenny jest tak samo.

– Boże. Masz całkowitą rację. – Nie pomyślałam o tym wcześniej w ten sposób, ale uważam, że Max trafił w sedno.

– A co z Kirą? Wszystko w porządku? Albo nie, nie mów mi. To nie moja sprawa.

– A poczułabyś się lepiej, gdybyś się dowiedziała, że miała mnie już dość? Uznała, że jestem za mało skomplikowany i zanadto zajęty swoimi eksperymentami.

Czuję się odrobinę lepiej, choć nadal uważam, że Kira nie będzie zbyt szczęśliwa. Ale z drugiej strony, nasza przyjaźń przetrwała już wzloty i upadki. Jeśli będzie na mnie zła z powodu Maksa, jestem gotowa ponieść tego konsekwencje.

Mam zamiar zapytać go, jak się miewa jego mama, ale postanawiam poczekać. Niech sam o tym opowie, gdy będzie gotowy. Przez chwilę leżymy w milczeniu, po czym on pyta.

– A co masz zamiar zrobić w związku z pracą.

– No cóż, najpierw muszę poczekać i zobaczyć, jaką decyzję podejmą w Marley's...

– A czemu ty się z nimi nie skontaktujesz? Umów się na spotkanie, powiedz swojej szefowej – byłej szefowej – że byłaś zestresowana, ale chcesz zacząć od początku.

– Mogłabym to zrobić. Ale w sumie to mam inny pomysł, chciałabym działać na własną rękę. Musiałabym znaleźć inną pracę i robić to dodatkowo, myślę jednak, że dałabym radę. – Opowiadam mu o swoim pomysle: osobista stylistka i domowe zakupy dla kobiet robiących karierę.

– Zapowiada się fantastycznie, uważam, że będzie świetnie – stwierdza Max.

Uśmiecham się do niego. Po raz pierwszy zaczynam w to wierzyć. Mam tyle spraw do załatwienia: muszę przekazać wieści rodzicom, inne wieści Kirze, znaleźć pracę. Ale teraz, gdy mam przy sobie Maksa, wiem, że dam radę.

Gdy muskam opuszkami palców jego piękne usta, coś innego nie daje mi spokoju.

– A czym się teraz martwisz? – pyta Max.

Śmieję się.

– To takie oczywiste? No cóż... chodzi o całą tę podróż w czasie.

– A co dokładnie.

– A co jeśli obudzę się któregoś ranka i będę znów tam, gdzie zaczęłam? To znaczy w grudniu? Nawet cię wtedy nie znałam.

Max kiwa głową.

– A co jeśli mam teraz halucynacje? To znaczy cała ta sytuacja przypomina bardzo wyrazisty sen. A jeżeli pójdziesz do łazienki albo coś w tym stylu i nigdy nie wrócisz? Albo ja rozplynę się w kupę ektoplazmy.

– Jeśli to zrobisz, czy mogę napisać o tym artykuł do „Nature”?

Uderzam go, a on mnie obejmuje, po czym przewraca się na plecy i wzdycha.

– Słuchaj, ja cię rozumiem. To jest przerażające. I wydaje mi się, że nie ma żadnych gwarancji. Ale tak się dzieje w przypadku wszystkich związków, nieprawdaż? Nigdy nie wiemy, co się przytrafi. Mogę powiedzieć tylko tyle: będę kręcił się w pobliżu tak długo, jak to tylko możliwe. – Całuje mnie, a następnie odsuwa od siebie na odległość ramienia i spogląda mi w oczy. – Zrobisz to samo.

– Obiecuję. – Uśmiechamy się do siebie.

– Dobrze. A teraz się z tym prześpijmy.

Rozdział 40

Ostrożnie testuję mojego kaca w sposób, w jaki sprawdza się dziurę po wyrwanym przez dentystę zębie. Święty Boże, jest potworny. Głowa mi pęka i umieram z pragnienia. Przykleiłam się też do poduszki – najwyraźniej nie udało mi się zmyć makijażu. Nie mogę uwierzyć, że jechałyśmy rikszą. Co sobie myślałyśmy? Ale przynajmniej moje świąteczne zakupy dotarły do domu; widzę, że porzuciłam torby w kącie.

Ziewając, zwlekam się z łóżka, zakładam skarpetki i czołgam się do kuchni, gdzie nalewam sobie szklankę wody, biorę dwa nurofeny i przygotowuję kawę oraz tosta. Jest tak zimno, że czekając, aż będą gotowe, przestępuję z nogi na nogę i wpatruję się w tabelkę Deborah przyklejoną do lodówki. Widzę, że w tym tygodniu moja kolej na sprzątanie lodówki – zakreślone na czerwono, więc już się spóźniłam.

Deborah wchodzi do kuchni, kompletnie ubrana, założyła nawet buty na rozsądnym niewielkim obcasie. Ma takie coś, co przyczepia się do butów, dzięki czemu wygodnie chodzi się po śniegu, ale jeszcze tego nie zamocowała. Pewnie leży to, jak zwykle, w korytarzu. Deborah spogląda na mnie i mówi.

– Och! Wiesz, spóźnisz się do pracy.

– Uhm – odpowiadam i wyobrażam sobie, że wbijam jej widelec w głowę.

Sięga do lodówki i wyjmuję małe pudełko z lunchem: w piątek to kanapka z kurczakiem i sałatą. Trudno sobie wyobrazić, że można być tak zorganizowanym. Ja w większość poranków ledwo mam siłę się ubrać. Zegarek na kuchence pokazuje ósmą trzydzieści siedem. Deborah ma rację, powinnam się zbierać – choć na szczęście nie muszę być w pracy przed dziesiątą.

Kończę śniadanie i wskakuję pod prysznic. Używam żelu, który dostałam w pracy na mikołajki (mogę się założyć, że to od Harriet). Gdy stoję w strumieniu parującej wody i namydlam się, czuję orzeźwiający pomarańczowy zapach i uświadamiam sobie, że pomimo kaca jest mi dziwnie dobrze, zwłaszcza jeśli porównam swoje samopoczucie z wczoraj, a właściwie z kilku ostatnich miesięcy. W zasadzie jestem szczęśliwa.

Nagle nieruchomieję, bo przypominam sobie wczorajszy sen.

Śniło mi się, że byłam znów z Davidem. Nie pamiętam dokładnie, co się stało, ale jestem pewna, że wszystko szło naprawdę dobrze i nie popełniłam żadnych błędów.

Nie czułam się jednak szczęśliwa.

To bardzo interesująca myśl.

Pędzę do swojego pokoju i ubieram się tak szybko, jak to tylko możliwe, żeby nie mieć odmrożeń. Czarny golf, czarna ołówkowa spódnica i grube rajstopy w tym samym kolorze, wygodne, ale ładne buty na płaskim obcasie. Zużywam pół opakowania suchego szamponu i układam włosy w kok. Nakładam dużo podkładu, puder i mnóstwo tuszu do rzęs. Ale nadal wyglądam okropnie. No cóż. Biorę torebkę, płaszcz i szalik, wkładam śniegowce i wytaczam się z domu.

Idealna zimowa sceneria. Niebieskie niebo i nieskazitelnie biały śnieg w ogródkach i na dachach. Ludzie przemieszczają się powoli i ostrożnie, wszyscy opatuleni jak bałwanki. Mroźne powietrze sprawia, że leci mi para z ust, ale jest cudownie i rześko. Idąc, przypominam sobie kolejne elementy snu i wracają wspomnienia związane z Davidem. Był idealny i w ogóle... ale tak naprawdę nie zawsze udawało mu się być zabawnym. To dziwna myśl, ale rzeczywiście tak było.

Kieruję się do Starbucksa naprzeciwko stacji Maida Vale, żeby kupić sobie kawę, ale lokal – jak głosi napis na drzwiach – jest zamknięty z powodu urlopów. Normalnie podziałałoby mi to na nerwy, lecz dziś rano jestem niczym wyznawca zen: kupię kawę w Starbucksie obok mojej pracy.

Siedząc w metrze, dostrzegam reklamę wieczorowych kursów z różnych dziedzin, w tym zakupów modowych. Zapisuję od razu szczegóły i postanawiam, że w nowym roku zapiszę się na kurs i poproszę o jeszcze jedno spotkanie z Julią, i zapytam, czy mogę pracować po godzinach, odbyć jakiś staż czy coś takiego. Jeśli mi nie wyjdzie, znajdę inny sposób na otworzenie własnego butik. Na pewno mi się to uda.

I wtedy uświadamiam sobie, że chcę mieć własny butik dlatego, że uwielbiam doradzać innym ludziom w kwestii ubrań i stylizacji. Wydaje mi się, że w Marley's jest wolna posada stylistki. Mogłabym się o nią ubiegać. Albo... myślę o Rachel, która zawsze opowiada o kobietach ze swojego biura, które nie mają czasu na zakupy lub nie

wiedzą, co do nich pasuje. Mogłabym pomóc im znaleźć swój styl: zabrać je na zakupy albo zjawić się u nich w domu i przejrzyć ich szafy. Mogłabym to najpierw robić za darmo, a później wprowadzić stałą opłatę albo pracować za prowizję. A potem, gdyby klientki polecały mnie znajomym, urządzałabym co parę miesięcy prywatne wyprzedaże, będące wydarzeniem towarzyskim, z winem i przekąskami, być może nawet w mieszkaniu Rachel, gdyby mi na to pozwoliła. Byłoby idealnie.

Wydaje mi się, że już wytrzeźwiałam, ale wciąż jeszcze nie doszłam do siebie. Czuję się tak czasem po zajęciach jogi, gdy wyglądam tak samo, mimo że wewnątrz wszystko sobie poukładałam. Na przykład: Jenny. Nie mogę uwierzyć, że wczoraj byłam z jej powodu zmartwiona. Jej związek z Davidem naprawdę jest dziwny! Miałam absolutnie prawo do tego, by się mu sprzeciwić.

– Ha! – mówię i za późno zdaję sobie sprawę z tego, że powiedziałam to na głos. Ale wagon jest w połowie pusty i nikt niczego nie zauważył.

To zabawne: wydawało mi się, że jest tylko jedna droga do szczęścia i oznacza ona bycie z Davidem. Ale teraz jestem przekonana, że do szczęścia prowadzi mnóstwo różnych dróg.

Jakimś cudem jest naprawdę wcześniej, postanawiam więc wysiąść przy Regent's Park i iść pieszo. Po drodze oglądam tak niesamowicie ładne widoki, że kilka razy muszę się zatrzymać i zrobić zdjęcie. Przy trzecim zaczyna dzwonić mój telefon. To Rachel.

– Co tam?

– Boże, ale masz dobry nastrój.

– Tak jest. Znajduję się blisko Regent's Park i jest przepięknie.

Muszę pokazać ci zdjęcia. Co u ciebie.

– Nic ciekawego, tylko wczoraj byłaś taka smutna, że się o ciebie martwiłam.

– Dzięki, ale... obudziłam się z innym spojrzeniem na świat. Wydaje mi się, że wszystko jakoś się ułoży. I chciałam cię o coś zapytać.

Szybko opisuję jej mój pomysł pracy w charakterze osobistej stylistki, a Rachel mówi, że jest świetny.

– Ktoś przed chwilą powiedział, że potrzebuje nowej sukni na bal, a nie ma pojęcia, gdzie ją kupić.

– Super. Daj mi znać, gdyby ta osoba chciała, żebym ją zabrała na zakupy.

– Tak zrobię – obiecuje Rachel. – Wow, Zoe. Przyszły rok będzie twoim rokiem. Czuję to. Słuchaj, nigdy nie zgadniesz, kto właśnie zaprosił mnie do znajomych na Facebooku.

– Kto?

– Oliver! Czyż to nie zbieg okoliczności? Może się do niego odezwę – dodaje niezobowiązująco.

– Zrób to zaraz. No cóż. To miło z jego strony. – Tak naprawdę jestem podekscytowana, ale staram się dopasować do jej nastroju.

– A przy okazji – mówi Rachel – usiądź, gdy będziesz zaglądała na Facebooka.

– Dlaczego?

– Zjrzyj na profil Davida i zadzwoń do mnie, dobrze?

Tak naprawdę nie mam ochoty zaglądać na jego profil. Ale jeśli tego nie zrobię, będzie mnie to nurtować. Loguję się na swoim telefonie i pierwsze co widzę, to zdjęcie, na którym jest ze śliczną brunetką. Obejmuje ją ramieniem i najwyraźniej są parą. To straszne. Ale później przyglądam się bliżej i widzę, że między nimi stoi, jak surykatka, Jenny.

Wybucham śmiechem, co w tej sytuacji bardzo obniża napięcie. No cóż, życzę im obojgu – trojgu – szczęścia.

Przez robienie zdjęć i rozmowę nie jestem już tak wcześnie, ale nadal mam czas, by wstąpić na chwilę do Starbucksa. Krzywię się na widok swojego odbicia w szybie w drzwiach: moja skóra pod makijażem wygląda na zieloną, nos mam czerwony, a pod oczami okropne worki. No cóż, przynajmniej to bożonarodzeniowe kolory.

W kawiarni puszcza Ellę Fitzgerald, w powietrzu unosi się zapach kawy i piernika. Mam zamiar zamówić latte na odtłuszczonym mleku, ale zaczynam się zastanawiać. Może powinnam spróbować latte piernikową? Pachnie cudownie... Albo kupić kawałek piernika i zjeść go z normalną chudą latte? Nie, wezmę tylko latte piernikową. Ale może wtedy będę chciała później wypić jeszcze normalną kawę...

– Przepraszam, czy pani stoi w kolejce? – pyta ktoś za mną. Odwracam się i widzę dość seksownego mężczyznę. Jest wysoki, ma sterczące brązoworude włosy i zaspane brązowe oczy. Jest ubrany w czarny płaszcz i owinięty czerwonym szalikiem, a pod pachą trzyma

czasopismo.

– Hej – mówi. – Zoe, prawda?

Marszczę brwi. Nie przypominam go sobie.

– Jestem Max – przedstawia się. – Poznaliśmy się kiedyś przez Davida. W tym pubie, koło Paddington.

– Och! Oczywiście. – Teraz sobie przypominam. To było na początku znajomości z Davidem. Wydaje mi się, że nie zwracałam wtedy uwagi na inne osoby, które tam przyszły.

– Pracujesz w tej okolicy.

– Tak, w Marley's. A ty.

– W laboratorium na UCL, przyszedłem tu tylko na spotkanie.

– Kawy dla państwa? – pyta chłopak za ladą. Max odwraca się w moją stronę. – Zoe?

– Przepraszam, nie mogę się zdecydować, czy chcę latte piernikową, czy moją normalną latte na chudym mleku.

– Może obie? Poproszę jedną latte piernikową, jedną na chudym mleku i cappuccino – mówi do chłopaka za ladą. – Jesteś pewna, że nie chcesz nic więcej? – z tym pytaniem zwraca się do mnie. – Babeczkę? Czekoladową monetę? Ja stawiam. – Kręcę głową i śmieję się. Jego zachowanie jest niesamowicie przyjazne, mam wrażenie, że znamy się od dawna.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony – odzywam się, gdy czekamy na kawę.

– No cóż, mamy święta. Poza tym świętuję. Właśnie przyjęto do publikacji mój artykuł... o tutaj – stuka palcem w czasopismo, które trzyma pod pachą, i uśmiecha się szeroko. Wygląda na niesamowicie zadowolonego z siebie i choć nie wiem, czemu to takie ważne, też się uśmiecham.

– Gratulacje! Co to za czasopismo? „Nature”? No cóż, do mnie bardziej trafia „Vogue”.

O mój Boże. Flirtuję. Nie robiłam tego od miesiący.

– Cappuccino, latte na chudym mleku i latte piernikowa – recytuje chłopak i stawia przed nami zamówione napoje.

Max podaje mi obie kawy w kartonowym stojaczku i otwiera dla mnie drzwi, gdy wychodzimy z kawiarni. Idziemy w tym samym kierunku i rozmawiamy, brnąc przez śnieg. Na zmianę próbuję obie kawy – są przepyszne. Opowiadam mu o dziwnych i cudownych

klientach w Marley's i dowiaduję się, że oboje spędzamy święta w Londynie – jego rodzina przyjechała w odwiedziny.

– Po tym spotkaniu zaczynam wakacje – stwierdza. – I zamierzam świętować, robiąc przez cały dzień tylko to, na co mam ochotę, a zacznę od lunchu w pubie ze znajomymi. Później może obejrzę *To wspaniałe życie...* albo cokolwiek innego, co mi się zamarzy.

– Jaki cudowny pomysł! – przyznaję z entuzjazmem. – Cały dzień robienia tylko tego, na co masz ochotę. Dzień Rozpieszczania Maksa.

Spogląda na mnie i uśmiecha się.

– No tak. Właśnie tak to nazywam. Dzień, w którym robię tylko to, na co mam ochotę. W granicach rozsądku oczywiście.

– W granicach rozsądku można zrobić o wiele więcej, niż ci się wydaje – sugeruję. Zaraz, gdzie ja to wcześniej słyszałam.

Max znów posyła mi uśmiech.

– Całkowicie się z tobą zgadzam. No cóż, muszę iść. – Wskazuje na boczną uliczkę. – Do widzenia, Zoe. Wesołych świąt.

– Nawzajem. I dziękuję za kawy. Obie. – Macham do niego i rozchodzimy się, każdy w swoją stronę.

Ojej, Max jest bardzo, bardzo słodki. Zastanawiam się, czemu wcześniej tego nie dostrzegłam. Jestem trochę rozczarowana, że nie poprosił o mój numer telefonu, ale zaraz każę sobie nie zachowywać się tak głupio. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze na siebie wpadniemy.

Jestem już prawie przy głównym wejściu do Marley's i zatrzymuję się, żeby spojrzeć na baśniową wystawę, gdy widzę w szybie odbicie kogoś, kto podchodzi do mnie z tyłu. Najpierw dostrzegam czerwony szalik, później rozpoznaję Maksa.

– Posłuchaj, gdybyśmy więcej przypadkiem na siebie nie wpadli, może podałaś mi swój numer.

– Pewnie! Proszę... – Na mojej twarzy gości absurdalny uśmiech, gdy wymieniamy się numerami telefonów.

– Świetnie – mówi Max. – Zadzwoń do ciebie po Nowym Roku... a może nawet wcześniej? Przecież jesteś tu na święta i ja też.

– Super – odpowiadam z uśmiechem.

– Dobrze, zadzwonię. – Obserwuję, jak odchodzi i nie mogę przestać się uśmiechać. Nie wiem dokładnie, co się wydarzy, ale coś mi

mówi, że te święta będą warte zapamiętania.

